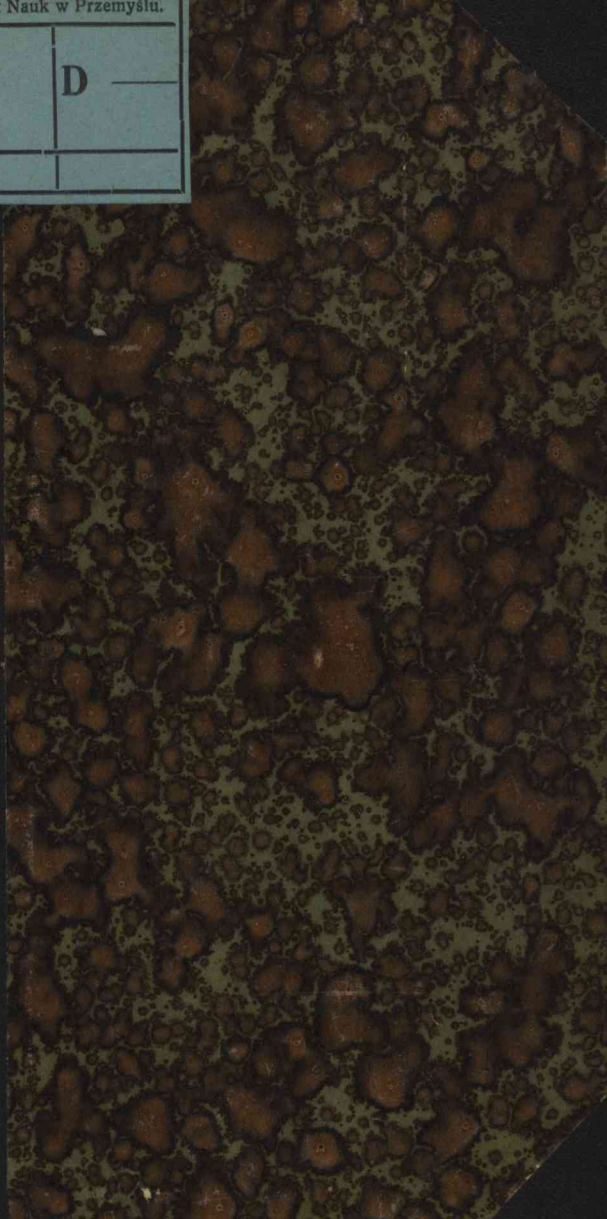
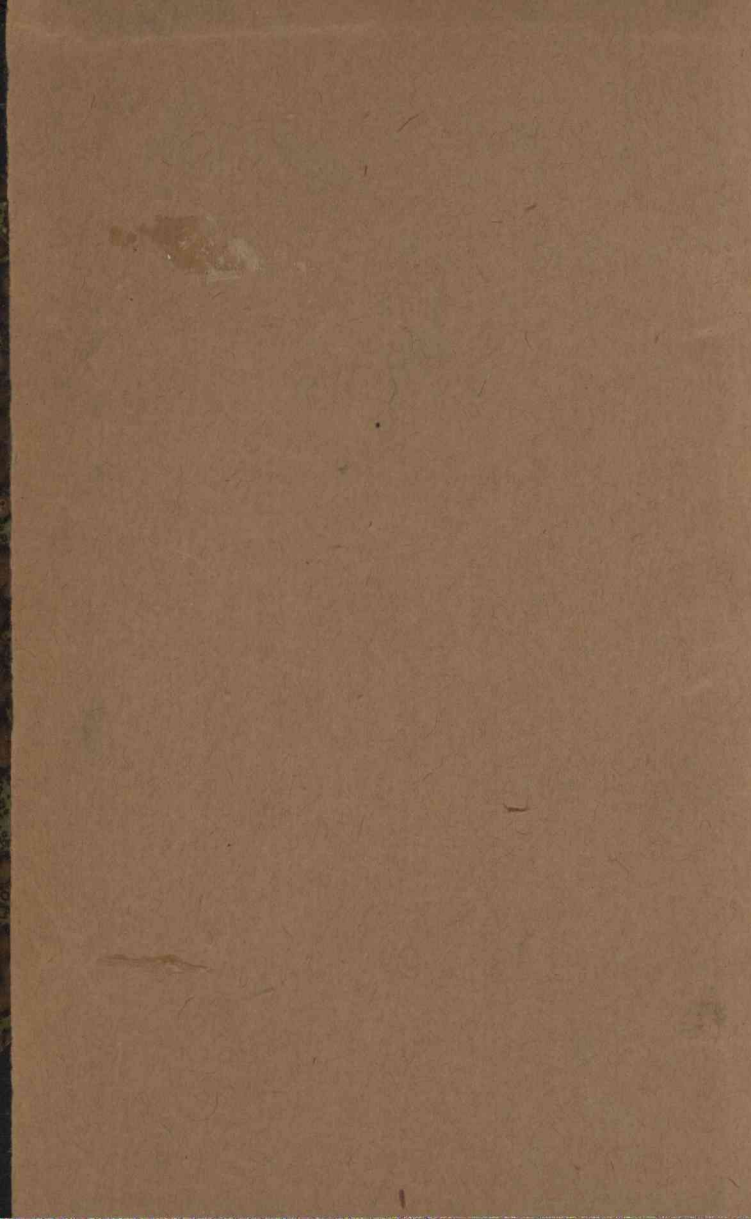
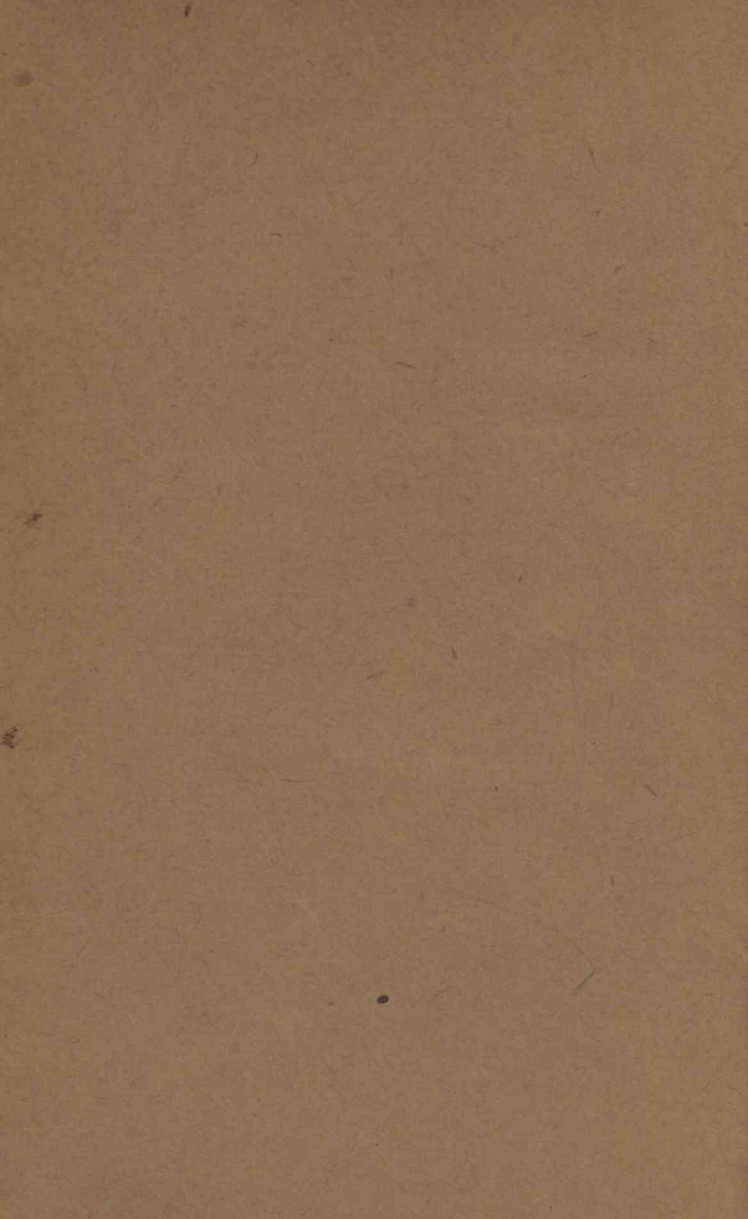


D

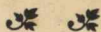








17  
MICHAŁ SYNORADZKI



3127453

L: 505 II

# POTEPIEŃCY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA



Tom II

~~BIBLIOTEKA~~

~~URZĘDNI. TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE~~

~~SEKCJA IV.~~

WARSZAWA

Państw. i druk Synów St. Niemiry

Plac Warecki № 4

1904

S



1000171957

A-20816/2

Дозволено Цензурою.  
Варшава 10 Юня 1903 года.

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

Literatura

Kr. 1160/56/1392

## I.

Była w Krakowie kamienica jedna, całe okazała, jakby dla zamożnego dworu zbudowana, która podczas pustką świeciła, częściej jednak nader wesołem rozbrzmiewała życiem. Księża i ludzie wiekiem starsi, myślą poważni, odwracali się od niej ze zgrozą, ale młodzież, oraz na kosterstwo, trunek i insze zdrożności łasi, poglądali na nią ciekawie, z pewnego rodzaju pożądlivością.

— Szatański to przybytek, schronisko Beliala zaiste... — mawiał o niej mistrz Grzegorz z Sanoka. — Zburzyć go jeno, by zgoła tam kamień na kamieniu nie został, bo trąd tam mieszka, co ludzi na duszy zaraza, na potępienie prowadzi. Dziwno, że grot piorunowy go oszczędza.

Zdanie mistrza dzielali wszyscy ludzie enotliwi, ale kamienica, mimo oburzeń onych, jak stała, tak stała, nikt na nią nie ważył się porywać.

Oburzenie było słuszne: z kamienicy zaraza się rozchodziła, zgorszenie wielkie. Należała ona do pani Piotrowej z Tokarzewa, wdowy po Piotrze Belinie, rycerzu znacznym, z rodem Melsztyńskich spokrewnionym. Godnym człkiem był Belina, do knowań Spytka

Melsztyńskiego się nie mieszał, przy Jagiellonach stał wiernie i w ochronie ojczyzny poległ, jak na rycerza przystało.

Powiadali, że śmierci sam szukał, do rozpacz przez żonę przywiedziony, która niewiastą dziwnego nabożeństwa była... Z rodu pochodziła zacnego, ojcowie wychowali ją zbożnie, w poczciwości i cnocie, ale gdy zamąż wyszła, tak się zmieniła, jakby w nią złe wstąpiło.

Wieść niosła, że powodem tego był sam Belina, któremu snadniej przypadało ojcem pięknej Barbarki być, niż mężem. Prawda jest, że małżonkowie znacznie się wiekiem różnili i to jeszcze, że Belina nazbyt dla żony był surowym, trzymał ją, by na uwięzi, zazdrością dręczył, na nikogo pojrzeć nie dawał. Młodość ze starością w stadle małżeńskim trudno się godzi, a gdy jeszcze jarzmo znosić musi, nic dobrego z tego nie wynika. Chęciaż tedy wieści były słuszne, w każdym jednak razie nie mogły one usprawiedliwiać postępowania pięknej Barbarki, które istotnie było nad wyraz karygodne. Wkrótce po ślubie wojować z mężem zaczęła, usiłując się z jarzma surowego wyłamać i wątpliwości nie ulega, że mu życie zatrąła. Zrozpaczony Belina w klasztorze ją zamykał, ale nic z tego — ujęć z zamknięcia potrafiła, aby broić dalej.

Była to natura wielce namiętna, pragnąca świata używać w całej pełni. W mężu znalazła serce ostygłe, chłód, obyczaj surowy, żelazny, spartański, a tu ona rozkoszy pożądała, uniesień miłosnych, wszystkich świata słodyczy. Już za życia męża gachów miała co niemiara, wszelako wstrzymywać się musiała i pozory zachowywać; ale wdową zostawszy, pomiarkowanie straciła



i, na nic nie pomna, w wir życia wesołego się zanurzyła.

Opływając w dostatki, mogła sobie dogadzać, to też czyniła to bez wszelkiej rachuby. Z dworu w Tokarzewie goście nie wyjeżdżali, uczta szła za uczta, a podczas tych bankietów trunki drogie strumieniem płynęły, gorzały pochodnie, wonnościami sycone, brzmiała kapela i pieśni miłosne, zawodzono tany... Nie odróżniano tam [dnia od nocy, nie liczono się z żadnym względem. Gdy się piękna gospodyni znudziła w jednym siedzieć miejscu, przenosiła się do kamienicy krakowskiej i tam znów rozpoczynały się szaleństwa, o których dziwiwo opowiadano ze zgorszeniem...

Bywało jednak, że pani Barbara uczuwała przesyt i jakby zgryzoty sumienia. Wtedy zamykała się w Tokarzewie, albo do klasztoru szła i tam, włosienicę przywdziawszy, modliła się, biczowała, krzyżem leżała, złorzecząc sama sobie. Trwało to niedługo, znów kładła na się jedwabie, puchy, złotogłowy, znów podwoje dworu otwierała, gości spraszala, najdziksze z nimi wyprawiała swywole...

Taka oto w niej tkwiła natura osobliwa, z ostateczności w ostateczność się przerzucająca gwałtownie, jakby obłędem powodowana.

Miłości pożądała, ale uczucia tego nie zaznała; nie mogła znaleźć serca, do którego trwale przylgnąćby jej się udało. Nęciła mężczyzn, ciągnęła ich do siebie, czasem zdało jej się, że znalazła, czego tak namiętnie szukała, ale rychło przekonywała się, że to była pomyłka, i odtrącała gacha szorstko, ze wstrętem. Niekiedy w rozpacz wpadała, ręce łamała i rzewnemi zalewała się łzami, gorzko przed zaufaną służebną, Bietką,

się żałąc (bo przed nikim innym się nie zwierzała), a po takim okresie znów następował nowy szal, namiętności jeszcze gwałtowniej wybuchały...

Mimo rozpasanego życia, miała pani Barbara wielu zalotników takich, którzy z pocałowaniem ręki przed ołtarzby ją zawiedli, pociągani jej możliwością, a przede wszystkim jakąś porywającą, czarodziejską pięknoscia. Ale gdy jej który z gachów o stule wspomniał, śmiała się i drwinami go odprawiała, dodając:

— Jednego męża miałam dość! Zaznałam przy nim słodyczy i innych ponownie kosztować nie chcę. Do grobu prędzej pójdę, niż do ołtarza; wolę śmierć, niż łożnicę małżeńską! Bez swobody, wolności, żyćbym nie mogła, a małżeństwo to okowy, to brzemię, to klęska, niewola, największe nieszczęście. Wolną do mogiły mnie złożą.

Rodzina upominała ją, starała się do umiarkowania przywrócić, przekładała, że wstyd przynosi wszystkim, takie życie pędząc; ale nadaremne były usiłowania — piękna Barbarka ani słuchać o zmianie życia chciała.

— Swoją wolę mam, nikogo nad sobą nie uznaję, żyję i będę żyła, jak chcę — odpowiadała. — Swego patrząc, a mnie samej sobie ostawcie. Bogiem i potępieniem mnie straszycie? Ano... Bóg wysoko, a przed śmiercią oczyścić się z grzechów zdążę... Zresztą, zali to grzech, że życia używam? Jakże może być, aby człowiek, głód czując i mając stół zastawiony przed sobą, do niego nie zasiadł? Chyba szaleniec na coś podobnego się zdobędzie... Życie mi czarę podawa, więc piję do dna, a kto chce pragnieniem się dręczyć — wolna mu wola. Spokój mi dajcie.

I dano jej też spokój, przekonawszy się, że nie z nią nie wskórają, a ona swoje robiła.

W tym czasie, gdy Zbigniew do Ossolina pojechał, ona znów w Krakowie się zjawiła, a kamienica, przez dwa miesiące zamknięta na głucho, znów życiem gorączkowym zawrzała, znów napełniła się gośćmi i odgłosem uciech szalonych. Królował w niej teraz, obok pani Barbary, niejaki Skower, na którego kolej łask pięknej wdowy przypadła. Był to człek również osobliwej natury, średniego wieku, niewiadomego pochodzenia. Gdy go o nie pytano, rozmaicie się wywodził: to z Czech, to z Węgier, to z Moraw, to z inszych krajów, a przy party do muru, odpowiadał ze śmiechem:

— Co wam z tego przyjdzie, kto jestem i skąd? Człowiek i tyle. Kto mnie chce znać — dobrze, a kto nie chce — za rękę go ciągnąć nie będę. Człowiek jestem wolny, nikomu nie ulegam, nikomu nie służę, sam sobie rozkazuję... Dla każdego świat otwarty, kto się na nim znajdzie.

Jakoż Skower, jeśli nie był cudzoziemcem (bo mową polską jak rodowitą władał) to przynajmniej dużo świata zwiedził; o każdym kraju i narodzie rozpowiedzieć dokładnie potrafił, a świadomi przyznawali, że istotnie mówi, jak jest. Stałej siedziby nie miał, z miejsca na miejsce się przenosił, sam się nazywając ptakiem bez gniazda. Najczęściej znaleźć go było można w jakiej gospodzie, browarze, lub w takim dworze, gdzie pędzono życie wesołe, swobodne, bez troski; gdzie ze słowami się nie liczone, ani z uczynkami. Zgoła wydawał się być obieżyświatem, człowiekiem bez jutra.

Śmiały był bardzo, w karku twardy, każdemu hardo odpowiadał, patrzył w oczy wyzywająco. Uspo-

sobienie miał awanturnicze, do gwałtów pochopne, a z postępowania można było wymiarkować, że na wszystko gotów się ważyć, na żadne nie oglądając się względy...

Zdało się, iż nie do stracenia nie miał.

Domyślano się, że jakaś poważna na nim cięży wina, która go wykoleiła, z kraju ojczywego wygnała i skazała na tułactwo, ale nikt domysłu, jak należy, stwierdzić nie umiał. W każdym razie człowiek ten obycie lepsze zdradzał, a nawet wielkopańskie nawyki. Przytem umysłu bystrością zdumiewał. Każdą sprawę w lot ogarniał i również w oka mgnieniu sposób znajdował na wszystko.

Co do sposobów onych, w tych nie przebierał. Każdy był dla niego dobry, który do celu zamierzonego prowadził, a prawdę mówiąc, do gwałtownych, krwawych, dzikich, okrutnych chętniej się zwracał. Na swoją rękę nie nie poczynał, ale z ochotą wszelkiego rodzaju awanturnikom pomagał. To też łącno z Melsztyńskim się zwąchał, a co do Rawitów, do tych odrazu przylgnał, jak do swoich. W wielkiej pozostawał z nimi zażyłości, chociaż w oczy i za oczy lekce ich traktował.

Jedno jeszcze trza było w nim podziwiać, — że wszelkie stosunki krajowe znał — gdzie trafić, z kim jak gadać, doskonale wiedział.

Tak bywało, że Rawici, u których chętnie przesiadywał, wściekali się na niego, że z nich bez skrupułu podrwiwał, ale jakąś ich przewagą opanował, wpływem niezwyčajnym. Nawet, zawsze ostrożni, zwierzali się mu z zamysłów swoich.

Właśnie przez Jaszka Rawitę z piękną Barbarką się

zapoznał, a ona, czy jego samowolnem usposobieniem pociągnięta, czy pochodzeniem tajemniczem, a może urodą (bo Skower istotnie urodą swą mógł się pochłubić), dość, że go do łask swoich, na czas pewien przy najmniej, dopuściła, co on znowu przyjmował bez oznak uradowania, jak gdyby mu się to należało. Dziwiło, że obchodził się z nią despotycznie, rządził w jej domu, niby w swoim. Pierwsze zawsze miejsce zajmował, izbę swoją miał, wszystko na zawołanie; wdowa dogadzała mu, jakby istotnie była w nim rozmiłowana, chociaż fawory one były jedną z mnóstwa jej niewytłumaczonych fantazyj.

Z Ossolina Jaszko Rawita, z dziadem i rodzicem się porozumiawszy, samotrzeć jeno do Krakowa popędził i wprost do kamienicy Belinowej zakochał. Jechał na pewno, wiedział, że Skowra znajdzie, a jego to właśnie szukał. Jakoż chociaż późno przybył, izby pięknej Barbarki pełne znalazł gwaru i gości. Zabawiano się wedle zwyczaju — bez pamięci jutra i pomiarkowania. Gospodyni w najlepszym była humorze i wesołością podniecała innych. Rej zaiste wodziła. Siedziała w miękko wysłanem krześle poręczowem, w sukniach bogatych, obwieszona klejnotami, chociaż i bez świetnych ozdób posiadała dosyć wdzięków, by oczy do siebie przykuwać i głowy zawracać. Wzrost miała wysoki, postawę tak kształtną, że trudno było odnaleźć równiej, a rysy twarzy nad wszelkie powiedzenie wabne. Rysy te jej twarzy pociągłej tworzyły niezmiernie imponującą, harmonijną całość, a raz wraz jakoś się zmieniały. To zdawało się, że patrzysz na dziewczę niewinne; to, że na niewiastę uosobieniem cnoty będącą; to znów na jakąś dziwożoną, która z rąk szatana urok otrzy-

mała, aby nim ludzi nęcić i do zguby wieść. Wielkie, czarne oczy miały w sobie jakąś moc, która ludzi świdrowała na wskroś, przyciągała i jarzmo na nich nakładała, a i głos pieściwy posiadał w sobie coś urocznego. Głosem tym i oczyma serca topiła... Cóż dopiero powiedzieć o każdym jej ruchu, skinieniu każdym... Wiedziała piękna Barbarka o władzy swojej i rada jej nadużywała; nie wahała się przytem dopomagać wdziękowi stosownym strojem, mimo, że nie zachodziła tego potrzeba.

Skower siedział tuż obok, brodę trefioną muskał jedną ręką, drugą wsparł czoło namarszczone. Tego dnia nieswój był, czy też coś mu nie po myśli poszło. W wesołej rozmowie nie uczestniczył, przymuszony do odezwania się—odpowiadał niechętnie. Nawet na przywołania się Belinowej bąkał mrukowato, ociężale, oburkliwie. Często sobie na takie wybryki pozwalał, a zdarzało się, że gdy go wtedy nie pozostawiano w spokoju, w gwałtowność wpadał i groźnym się stawał nie żartem.

Belinowa jedna nie sobie z jego mrukowatości i dąsów nieczyniła, że zaś w danym razie czuła się więcej niż zwykle rozbawioną i jego przeto rozruszać chciała.

— Rozchmurz się—powtarzała co chwila, to czarę mu podsuwając, to po twarzy gładząc—kto słyszał takim być? Co ci złego? Nic po tem żółcią się karmić, kiedy trunek mamy słodki i dokoła drużynę wesołą... Odejmij dłoń od czoła, spojrzuj po ludzku i uciechy nam nie zatruwaj. Ano, Skower... nie godzi się...

— Sam wiem, co się godzi, albo nie godzi... — mruknął Skower. — Nie uczcie mnie, jaki mam być...

— Wesołym masz być, jako my wszyscy — rzekła wdowa, w oczy mu poglądając. — Patrz... u każdego śmiech na ustach, jenoś ty kwaśny i chmurny. Takim cię nie chcę mieć. Słyszysz? Nie chcę...

Skower ramionami wzruszył, nie nie odpowiadając.

— Skower... — nalegała piękna wdowa — jeśli cię w mojej gromadzie rada oglądam, to nie po to, żebyś mi przypominał tego, który do trumny się ma położyć, albo gardło w inszy sposób dać. Dość już się namarkociłam za nieboszczyka Piotra... wyżej uszu go miałam, więcej niż do żywego mi dojadł. Nagrodzić sobie chcę i muszę męczeńskie z nim pożycie. Postanowiłam to, bo tak mi się we znaki dał, że gdy teraz jeszcze wspomnę, czuję, jakoby mi zmora na piersi siadła i dusiła... Pozbądź się posepności, rzuć ją precz... Przewdrowie twoje sama wnoszę, ano... Skower...

— Sama zmorą się stajecie, nadobna Barbarko — ozwał się znów niechętnie Skower. — Przychodzą wszakci na człowieka chwile, w których mu nie do śmiechu. Zabawiajcie się do woli. Ja dziś... ot...

Dłonią machnął, z kubka pociągnął i znów minę uczynił kwaśną.

— Kapela! hola! kapela! Niech jeno zadudła fletnie a lutnie, to mu ze łba chmurę wypędzą... — ozwał się któryś z biesiadników.

Skinęła Belinowa na drzemiących już w kącie grajków, którzy wnet się rzucili do instrumentów swoich skwapliwie. Ale i wdzięczna muzyka nie rozchmurzyła zasepionego Skowra.

— Coś niemilego przypomnieć sobie musiał — zauważono.

— Na to wychodzi—potwierdził ktoś inny.

— Zagadka w tym człeku tkwi...—dodał jeszcze inny. — Weseli się do umoru, naraz coś go ima, jak kleszczami, że bodaj tylko całunem go owinać i do mogiły...

— Serdeczny ból może... Taki cierń dręczy strach jak. Do obłędu człeka doprowadza.

Usłyszała tę ostatnią uwagę Belinowa, oczy jej zapłonęły żywiej.

— Skower... słyszysz, co gadają?—zapytała, przysuwając się do faworyta poufale. — Słyszysz? Gadają, że ból serdeczny ci dolega? Prawda-li to? Co? Odpowiedz? Nie godzi się takiej boleści poddawać... Jeszcze gdzie? Tu... przy mnie... Ano, odpowiedz?

Na to Skower ze złością:

— Uwzieliście się dzisiaj myśli mi z głowy wyparać, czy co?! Alboż skakać mam i śmiać się na zawołanie wasze? Od tego wesołkowie są, którzy za zapłatę krotochwile obowiązani są wyprawiać...

Pięścią w stół uderzył, okiem po obecnych gniewnem rzucił i nagle, miarkując się, dodał łagodniej:

— Co za dziw, zem bez ochoty? Z dnia na dzień wczasu należytego się nie zażyje, to i człek nieswój... Znużenie każdego dojmie, nawet przy tak wdzięcznej gospodyni, jak nasza pani Belinowa... Hej! przedzrowie wasze, Barbaro miła... Bodaj się każdemu życie tak jasno, promiennie splotało, jak promiennemi są wasze ślepki. Przedzrowie z pełnego, a kto nie wypije, ze mną do czynienia będzie miał...



Z jakąś gwałtownością porwał kubek, wychylił, usta otarł i w bok się ujął, a kapela śnać dla podniecenia ochoty, głośniej w instrumenta uderzyła.

— Przedzrowie! Niech żyje wdzięczna gospodyni nasza setne lata w szczęściu i wesołości!! — powtórzyli biesiadnicy.

Podziękowała Belinowa układnym gestem i sama spełniła czarę, rzekłszy:

— Na szczęście i wesołość zgoda, tego każdy szuka i pożąda, ale setnych lat sobie nie życzę... Dopóty cena niewieście, dopóki młodość ma i urodę jaką-bądź; gdy się ich pozbędzie, za nic jej życie. Tyle warta wówczas, ile liść zwiedły, albo źródło wyschnięte. Sama dla siebie niemiłym ciężarem się staje... Nie! nie! Setne lata zgoła mi się nie uśmiechają...

— Przy boku miłującego męża, słodko, mniemam, nawet podeszłe lata płyną—ozwał się jeden z gachów, lubieżnie w mówiącą się wpatrując.—Tak wszyscy głoszą, tedy prawda w tem musi być. Nie wadziłoby, żebyście na sobie tego doświadczyli. Wyboru macie podostatkiem, niby plew...

Rozśmiała się Belinowa.

— To też właśnie, że plew nie brakuje, ale smakowitego i zdrowego ziarna ani na pokaz. Dogodziłabym sobie, plewę wybierając — odparła. — Wyjechaliście z radą, niby z wiciną na wojnę... Zresztą nie-tajno nikomu, że małżeństwo mi wstrętne. Nieboszczyk napoił mnie taką słodkością, aż do dzisiaj dnia ją czuję. Ptak raz ujęty w sidła, jeśli mu się uda z nich wywikłać, ostrożnym się staje i powtórnie ułowić się nie da. Tak ze mną. Uchowam ja się sama do śmierci...

Zastanawiać się nad tem zaczęli gachowie i za-

łować, że w postanowieniu tak zawziętą się okazuje; ale piękna wdowa żartami ich zbywała, wreszcie, słuchać zaprzestawszy, do Skowra się zwróciła i, w oczy mu się wpatrując, zapytała:

— Wolej na misia poglądać, gdy go od barci odpędza, niż na ciebie zasumowanego. Inszyby się chociaż wypowiedział z frasunku, a z ciebie słowa wydobyć niesposób... Nie serce-li ci doskwiera? Przyznaj się? Nosisz tam może jakie oczy? jakie liczko gładkie, do którego przystępu ci bronia? Prawda? Przede mną ukrywać nie masz potrzeby, a wyznawszy, kamienia się zbędziesz...

— Ciągniecie za język, jak gdyby wam co na tem zależało... — fuknął Skower.—Gotów jestem o zazdrość was posądzić...

— Kto wie... może zazdrość przeze mnie gada?

— Takżeście powiedzieli! Wy i zazdrość...

— Dlaczego zazdrośną nie miałabym być? Przecież družbę sobie świadczym, jam zaś niewiasta...

— Cóż z tego? Niewiastą jesteście, ale inszego gatunku, niż się powszechnie spotyka...

Rzekomo nadąsała się Belinowa.

— Cudactwo ze mnie czynicie... Albow ja z inszego świata? Macie wiedzieć, że niewiasta każda o to, co sobie upodoba, zazdrośną jest.

— O to sporu niema, i wróblom ta osobliwość natury białogłowskiej znajoma. Baczcie jednak, że zazdrość tam się zrodzić może, gdzie upodobania trwałe, u was zaś: co godzina—nowina. Ja wam przypadłem do smaku, jak inni, mimochodem, na niedziel kilka, może kilkanaście. Rychło się wam uprzykrzę, bo wam na jednakej potrawie codziennie długo nie wyżyć...

— Dopóki się jednak nie uprzykrzycie, radabym, iżbyście o innych nie myśleli. Jak co posiadać, bodaj na krótko, to już całkowicie... Taką jestem, taką mnie znajcie. Dlatego, jeśli wam jakie lieczko w sercu ugrzęzło, wyżeńcie je, dopókiśmy sobie mili...

Przeciągnął się Skower i rzekł kwaśno:

— Co wam tak o moje serce chodzi? Nie życzę wam go dotykać, bo goryczy w niem po brzegi, a wy od wszelkich piółunów słusznie stronicie. O zazdrości też nie wspominajcie, daję wam, co mogę i taką samą miarą mi odplącacie... Zachowajcie zazdrość na inszy czas!

Powiedział to znacząco, z naciskiem pewnym, aż się zastanowiła wdowa.

— Jakto na inszy czas? — zapytała. — Co na myśli macie?

— To, że prędzej, czy później, przebierając w zabawie, traficie na taką, która wam istotnie zazdrości do serca napędzi.

Przecząco głową wstrząsnęła Belinowa i szybko podchwyciła:

— Z góry wam powiem — rzekła — iż zły z was prorok. Na takiego nie trafę, bo mam się na baczności, uważam pilnie i na wodzy trzymam porywy wszelkie. Doświadczenie naukę mi na całe życie dało...

— Jakie tam doświadczenie! — mruknął Skower.

— A pierwszy mąż?

— Belina? Narzucono go wam, z musu poszliście za niego; a to zgoła insza rzecz. Gdybyście się z nim związali przed ołtarzem z dobrej woli, z przekonania szczerego, i gdyby was spotkał zawód, wtedy mogliście o doświadczeniu rozpowiadać, a że się tak nie

stało... doświadczenie w ustach waszych próżnem jest słowem...

— Wszakżem cierpiała i co mąż poznałam?

— Mąż gwałtem narzucony i do tego stary... Z takim mogliście, złota nasza pani Piotrowo, naprzód odgadnąć, że słodyczy nie zaznacie, jeno ocet, jeno kwas, jeno ciernie kolące. O takiego męża wstrętliwego zazdrość jać się was nie mogła na żaden sposób; prosiliście Boga, żeby go jak najprędzej, jakimbądź sposobem zabrał. Teraz jesteście wolną, ręce rozwiązane macie, sami sobie wyszukacie miłego...

— Otóż nie wyszukam!—żywo zaprzeczyła.

Uśmiechnął się Skower smętnie.

— Tak się to mówi... A ja wam powiadam, że wyszukacie, bo inaczej nie może być. Bawicie się, rzucacie, aż przebierając, dnia pewnego uczujecie, że wam ktoś serce zabrał...

— Nie stanie się tak nigdy!—powtórnie, z mocą nawet zaprzeczyła wdowa.

— Stanie się, stanie, miłościwa nasza pani Belinowo, bo już taki porządek, że przez świat człek nie przejdzie, serca korowodów nie zaznawszy. Od woli waszej to nie zależy, jeno od przeznaczenia, ono rządzi losem człowieka, wszelkimi przygodami jego. I wy tedy (wspomnicie moje słowo!) przygód serdecznych posmakujecie i wtedy o zazdrości, o doświadczeniu, może być mowa, nie wcześniej...

Zasepiła się piękna wdowa.

— Całkiem mi się wasza wróżba nie uśmiecha...— rzekła, wargi odymając. — Ale przecież, chociażby się zdarzyć miało, żeby mi kto naprawdę serce wziął, to czy koniecznie zawód mam spotkać?

Przesunął Skower ręką po czole i odparł:

— Rodzimy się na ten świat częściej, żeby osty zbierać, niż kwiaty... a bywa, że w najpiękniejszym kwiecie robak się kryje jadowity... Ano, nie zaprzeczę, że innym szczęśliwie się uda wiek swój przeżyć, na to jednak trzeba nie takiej natury, jak wasza... Mówię, jako mi się zda, jak czuję, ale każdy się omylić może, zwłaszcza o przyszłości sądząc... Złego wam nie życzę, nie mam powodu—przeciwnie... radbym was zawdy widzieć w zadowoleniu. W każdym razie lepiej się spodziewać złego niż dobrego...

— Czemu?

— Bo zawód spodziewany mniej człeka boli...

Westchnął Skower, a wdowa, położywszy mu dłoń białą na ramieniu, rzekła poważnie i zwolna:

— Płochą każdemu wydać się muszę, o tem wiem, ale wy mnie tak nie sądzcie. Umiem ja myśleć rozsądnie i zdrowemi oczyma na rzeczy patrzeć. Podczas szłał mnie napada i poddaję mu się bez pomiarkowania, lecz wiem też, co to troska, co gorycz...

— Może... może...—mruknął, głową wąpiąco kiwając Skower—choć na taką nie wyglądacie. Ha! pozory w błąd wprowadzają. Co o tem mówić, po co sobie dni kwasić, kiedy one i tak kwasu pełne. Wybaczenie, że wam zabawę bez potrzeby zamać, ale bo samiście wywołali taką rozmowę do niczego.

Ręką machnął.

— Dziwnem stworzeniem jest oto człowiek... — dodał.—Gdyby w pamięci to tylko pozostawało, co mu miłe, do czego upodobanie go ciągnie, ale...

Wyprostował się, duszkiem kubek wychylił i jał krotchwilić, a chociaż znać było, że przymusza się do

wesołości ogólnej, niktby w nim nie poznał człowieka, który niedawno tak zgryźliwie i posepnie rozprawiał.

Zabawa szła w najlepsze, gdy w komnacie ukażał się Jaszko Rawita.

Nieodrazu go postrzeżono, on też zaraz od proga na Skowra skinął i w kąć ustronny go pociągnawszy, jął szeptać gorączkowo:

— Udało nam się! Jako żywego mnie tu widzisz, udało nad wszelkie spodziewanie... A myślelim, że trudniej pójdzie! Ba! od czego głowa... Skoro zaś początek dobry i koniec musi być również pomyślny. Ale nam się udało, jak nigdy...

Śmiał się i ręce zacierał, a oczy mu rozradowaniem jaśniały, lecz onem złowrogiem, posepnem i dzikiem, które nie pociąga, jeno wstręt budzi lub trwozę.

Dał mu się wygadać Skower, przez ten czas uważnie mu się i z pewnem lekceważeniem przypatrywał.

— Ty nie na to... Jakże? Słowo rzeknij przecie...—ozwał się wreszcie Jaszko.—Patrzysz milczący, jakby cię to wcale nie obchodziło...

Odparł wtedy Skower:

— Chyba o tem wiesz, że lada błahostka nie poruszy mnie, ani porwie. Przed czasem nie zwykłem jestem się cieszyć, żałować lub zapalać do czego. Zresztą nie wiem, o czem mówisz... Udało ci się, ale co? Wyraźnie praw.

— O czembym inszem mówić miał, jak nie o wrogu moim zapamiętałym, któremu zemstę poprzysięgłem i dokonać zaprzysiężenia muszę, chociażby mi na drodze piekło z wszystkimi szatanami stawało!—zawołał Rawita namiętnie, pięści ściskając. — Jeno zemstą dyszę

teraz i nie spocznę, spokoju nie zaznam, póki się jej do sytości nie napiję. Krew za krew! Słyszysz mnie, Skower? Krwi mi jego potrzeba, życia... Ze świata precz iść musi, a ona, Halszka, musi moją ostać...

Na wargach Skowra uśmiech zawisł szyderski, brodę trefioną jął palcami rozwodzić.

— Aha! — ozwał się — to o rywala twego, Jelitę z Oporowa, idzie?

— O kogożby? Do rodu tego dziedziczną nienawiść mamy... Ojciec jego z moim dziadem i ojcem zaczynał, on zaczął ze mną... Za poczęciem koniec dąży, niepodobna spraw takich na rozstajach ostawiać.

— Cóż tedy Jelita? Co ci się z nim udało? Z czegoś taki rad? — rozpytywał Skower.

Do ucha mu się nachyliwszy, Jaszko szeptał pośpiesznie:

— Uczyniliśmy, jak poradziłeś. Pojechalim go szukać i szczęśliwie w Ossolinie natrafilim, gdzie się do Halszki roztkliwiał, jakby już z nią był po stule. A! Skower... com czuł, widząc ich gruchanie... opowiedzieć tego nie umiem! Trza też wiedzieć, jak nas przyjął sam kasztelan i brat jego klecha; jak nam dogadywał Jelita i druhowie jego... Wszyscy patrzyli na nas, by na zapowietrzonych, wręcz odwracali się od nas z pogardą tak, że ledwie można się było od wydobycia miecza wstrzymać.

Uciał i pięściami w skronie uderzywszy, zębami zazgrzytał, jak gdyby był bolem wewnętrznym targany; to widząc Skower, przestrzegł go chłodno:

— Spokoju! Ochłoń! Nie daj się kadukowi porywać... Gotówes się na mnie rzucić i zamiast Jelicie, żyły otworzyć.

Rozśmiał się, Jaszko zaś podchwycił gorąco:

— Nie drwij, kiedy się ze mną coś złego dzieje!

— Bo co?—zapytał, tonu nie zmieniając Skower.

Zadygotał Jaszko, jęknął, rzucił się i mruknął:

— Ty do szaleństwa przyprowadzić możesz..

— Niewielki to zachód, boś zawdy w szaleństwie—rzekł Skower.—Ale praw jeno dalej... Wyzwałeś go? Wyzwanie przyjął?

— Opierał się, wymawiał, odradzano mu, aleśmy sposobu zażyli, zawdy wedle twojej rady. Na Smoczem uroczysku do trzech niedziel stanie, tam się rozprawim...

Po szczególe wyłożył, co w Ossolinie zaszło, Skower zaś słuchał w milczeniu, kiedy niekiedy się uśmiechając, lecz słowem nie przerywał.

— Trzy niedziele, Skowrze! Całe trzy niedziele!—dodał skończywszy. — Dla inszego krótki to czas, dla mnie wszelako wiekiem się wydawać będzie. No, ale też dogodzę mu!

— Taką już pewność przewagi swojej masz?

— Boć inaczej stać nie może, jeno, że on polegnie. Wszak i ty niemal ręczyłeś, że byle go na Smocze uroczysko zwabić, tam go dosięgniem...

Zamyślił się Skower.

— Słowo rzeknij — ozwał się Jaszko niecierpliwie, trocha onem milczeniem i zamyśleniem Skowra zdziwiony. — W zadumęś wpadł, jakby ci się nagle duch stłukł... A przecież sam plan osnułeś, więc kończ, coś zaczął...

Głowę podniósł Skower.

— Osnułem i dopomogę wam, ile mi stanie do-



wcipu. Uprzedzam cię wszakże, Jaszku, że na wszystko trza być gotowym...

— Jam zawdy gotów, a począwszy,—nie cofam się. Zwłaszcza, jeśli o Jelitę i o nią, kasztelankę, idzie, to na wszystko się ważyć jestem gotów, jako i moi...—zapewnił skwapliwie Jaszko, w piersi się uderzając.

-- Słyszałem o waszej odwadze i potrosze widziałem, jak się do rzeczy bierzecie... Tak, liczyć na was można...—mruknął Skower, coś rozważając — ale trza przyznać, że sprawę mamy do załatwienia trudną. Piętnaścioro świadków? Po co aż tyła narodu sprowadzać? Żle, żeście się na to zgodzili...

— Z naszej strony również piętnaścioro stanie...

— Z naszej strony! — powtarzał Skower, krzywiąc usta.—O nas tu mowy niema, o nich rzecz... Piętnaścioro chłopca, to już siła nie bylejaka i dlatego powiadam: nie trza było na to się godzić.

— Musieliśmy, bo o innych warunkach słuchać nie chcieli.

— Boście gadać nie umieli! — fuknął Skower, wciąż niezadowolony.—Już wy tacy jesteście: do miecza niczego, nawet jedyni ludzie, ale gdzie trzeba głową lub słowem czego dokonać, w błąd popadacie... Ano, skoro już tak się złożyło, nie odwrócić. Może się i przy takim składzie rzeczy radę da...

— Juści, miły mój Skowrze, myśl za nas, a wdzięczni ci będziem do zdechu. Ja osobliwie. Jeśli swego dopnę, ukoronuję cię. Jako żywo!

— A maszże na dorędziu koronę i szept?—zażartował Skower.—Ba! do koronacyi biskupów jeszcze trza, tronu i królestwa... Maszże, pytam, to wszystko?

— Najdzie się, najdzie, jeno szczerze dopomagaj. Słowo dałeś, ale jeszcze cię proszę...

— Nie trap się—odparł Skower, po ramieniu go uderzając.—Przyrzeczenia zawdy dotrzymuję, ufać mi można, jeno ślepego posłuszeństwa żądam.

— Jakże! Widzisz przecie, że czynim wszystko wedle twego wskazania—rzekł Jaszko.—I dalej na włos od tego, co powiesz, nie odstąpić.

Wstał Skower, wyprostował się, głową kiwnął.

— Jakoś to będzie...—ozwał się. — Pilnuj jeno swej gorącości, bo z taką, jak twoja natura, łącno zgubę należeć można. Serce do was mam, to i rad jestem z przysługą wam pośpieszyć, chociaż, nie taję, głowę się tu, nietylko sławę, nadstawia. Onych piętnaścioro świadków zgola bez potrzeby na Smoczem uroczysku się zjawi. Trudno. Szkoda, żem z wami w Ossolinie nie był. Inaczej pokierowałbym umową.

— Taki łebak, jak ty, zawdy pomyślnie się wykręci...—pochlebiał Jaszko.

— Najdzielniejszy łebak łeb ma na karku, a co na karku, to do zbycia. To sobie zapamiętaj, Jaszku. O wdzięczności mi prawisz, a co mi z wdzięczności waszej przyjdzie, jeśli bez głowy ostanę?

— Do tego nie przyjdzie!

— Przyjdzie, albo i nie przyjdzie. Na dwoje babka wróży. Czas to pokaże, a teraz trza przuć dalej, kiedy wątek w rękę. Napijmy się i pójdźmy.

— Gdzie mamy iść?—ociągał się Jaszko.—Pora spóźniona, a jam zdrożony, bom gnał do ciebie co tchu. Wypocząłbym tu, u Belinowej kąć się najdzie...

— Rzekłem, jako słuchać mnie macie, ty i twoi, we wszystkim, więc inaczej nie może być!—przerwał

zniecierpliwiony Skower. — Trzy niedziele migną, jak dzionek. W innym razie spory to kęs czasu, ale w tym razie całkiem go nie za wiele. Kto za takie sprawy się ima, ten na zdżożenie i niewywczas skarżyć się nie może. Zrozum to. Ano, pokrzep się miodem, czy małmazya i pójdź.

— Powiedz chociaź, gdzie?

— Obaczysz. Nie bądź nazbyt ciekawym, bo ciekawość zbytnia zdrowiu szkodzi.

Do stołu się przysunęli, aby na drogę trunkiem się pokrzepić, wtedy dopiero Jaszka Belinowa oraz inni biesiadnicy postrzegli. Wdowa pierwsza zawołała:

— A skądże się tu wziął, Rawito? Z pod ziemi wyrosłeś?

— Prawda!—powtórzyli inni.—Skądże się zjawił, Jaszku? Niby z deszczem spadłeś...

— Do mnie on tu przyjechał!—tłumaczył Rawitę Skower. — Sprawę mamy pilną, tak, że jeno przy zdrowie gospodyni nadobnej spełniwszy, odejść musim.

— Oho!—odezwał się jeden z gości.—Może znów idziecie do Petruchny, szczęścia probować? Zaniechaj tego, Jaszku: co się raz nie uda, psom najlepiej rzucić...

Rozśmieli się inni, a Jaszko zaczerwienił się ze wstydu i złości; odparł tedy, wedle zwyczaju swego, porywezo i szorstko:

— Wara tam z językiem!

Głośniejsza ta pogróżka wywołała śmiechy, a stary Mieszko Łuba, któren o przygodzie Jaszka nie wiedział, zapytał z podziwem:

— Jaszku, co się z tobą stało? Któż cię tak wyprostował? W boru szukać równie smagłej wierzby...

— Iście!— żartował inny. — Połamany i skrzywiony jak od złego wiatru...

— Bo też go zły wiatr ogarnął, gdy się za kuropatwą uganiał... - wtrącił Grzymała z Trzciany.

— Naści naukę, łowcze: nie uganiaj się za kuropatwą, kiedy zły wiatr na dworze...

Kasano Jaszka złośliwemi słowy, on zaś burzył się coraz bardziej, rzucał i groził, a byłoby pewnie przyszło do krwawego tumultu, bo już za mieczyk miał, gdyby Skower z jednej, Belinowa zaś z drugiej strony nie zażegnali burzy. Pierwszy dłoń Jaszкови na ramieniu położywszy, szepnął do ucha z naciskiem, niemal rozkazująco:

— Jużes pamięć stracił? Błahego żartu dość, by cię o wściekłość przyprawić... A toć zбайд się zapaleczywości i rozważnym się okaż. Co innego masz przecie na głowie, nie o lada krotochwilne słowo do oczu komu skakać...

Belinowa zaś do biesiadników rzekła:

— Nie krzywdźcież Rawity, nadto mu dogryzacie, a to się nie godzi. Chłopię całkiem niczego, przytem gość mój, tedy bronić go muszę. Jak każdy z was, miodu życia i on łaknie, a że go przy podbieraniu barci pszczoła ukąsiła, nie żaden jest srom...

— Pasiecznik to był, nie pszczoła... — zauważył Grzymała.

— Kto był, to był, ale wiedźcie, że pozna on i moje zęby— mruknał Jaszko ponuro.

— Ba! ba! kiwnął głową stary Łuba.— Wiadomo, że Rawici ostre mają zęby, a tyś ich nieodrodny. Czuję, że piękne wyprawisz gody pasiecznikowi onemu, któren ci miodu przeczył...

— Wyprawię! Jako żywo wyprawię! Jako mnie tu widzicie! — podchwycił gorąco Jaszko. — Na mary z nich wprost pójdzie, obaczycie!

— Nie nowina, żeś zawzięty i do poskromienia trudny—ozwał się przeciągle Grzymała—ale on pasiecznik to chłop na schwał. Jelita—dość rzec. Przyjaciół ma, a słyszę też, w wielkie łaski na dworze wpadł...

— I mnie dobrych towarzyszy nie braknie, a łaska królewska nic mu nie pomoże—odparł Jaszko. — On mnie nadkaślił, a ja go całkiem zgryzę...

— Będiesz się przechwalał po skutku — przerwał mu Skower.—Teraz pójdź. Przewdrowie gospodyni nadobnej spełnijmy, pokłon jej dajmy i w drogę...

Wyciągnął Jaszka z wesołego domu i pod ramię ująwszy, prowadził krętymi uliczkami, ku dzielnicy żydowskiej zmierzając. W drodze skarżył mu się Jaszko:

— Widzisz, gdzie się jeno pokażę, wstyd i upokorzenie przez Jelitę znosić muszę... Chociażby dla tego uprzątnąć go z drogi pragnę, bo inaczej spokoju mi nie dadzą.

— Uprzątniesz go, byleś nie szalał—na to Skower.—Bez pomiarkowania nie. Najlepszy łucznik chybi, strzałę w gorącości wypuszczając. Jeśli tego wciąż przed oczyma nie będziesz miał, zawodu doznasz, a winę sobie przypiszesz...

Stanęli wreszcie przed domostwem obszernem, wysoko ze wszech stron ogrodzonym, z bramą żelaznymi pasy okowaną, przy której widniała niska i wązka furta, również sztabami żelaznymi obwarowana. Sko-

wer do furty kołatką drewnianą, na łańcuchu wisząca, jął stukać.

Jaszko, rozmową zajęty, nie zwracał uwagi, gdzie go Skower prowadzi i dopiero gdy przed domostwem stanęli, rozglądać się począł bacznie.

— Gdzieżeś mnie zawłókł?—odezwał się.—Toćże tu Żydowin Ozer mieszka. Ani chybi, jego to przekłete legowisko...

— A jego—potaknął Skower.

— Czego my w tej norze smrodliwej szukamy?—dopytywał zaniepokojony Jaszko. — Ozer, wiesz przecie, czarownikiem jest, z czartem zbratan... W dzień do niego niedobrze zaglądać, a tu mamy noc...

Rozśmiał się Skower i szepnął:

—Strach ci?

— Ale bo jakże...—bąknął niepewnie Jaszko. — Z czarownikiem do czynienia mieć...

— Toć się nie bój, łba ci nie ukreći, duszy z ciała nie wypędzi ani opęta, bo nie wojować z nim przychodzim... Wiedzieć masz, że do sprawy z Jelitą nam potrzebny koniecznie, to niech cię ośmieli.

— Lepiej, gdyby można było obejść się bez niego.

— Właśnie, że obejść się nie mogę. Zrozumiej to i wszelkich baraszków zaniechaj. Wiem, co robię...

Powiedział to Skower szorstko i znów do furty jął kołatać, niecierpliwiać się, że tak długo mu nie otwierano.

Ozer, którego pomocy szukał, acz Żydowinem był, jednak go nietylko w Krakowie, gdzie od pradziadów zamieszkiwał, ale szeroko naokół znano. Złotnictwem się trudnił, więcej jednak pono mu przynosiła lichwa i kunszt lekarski, w którym równego sobie nie miał. Jeśli kto

chciał jaki osobliwie piękny przedmiot złotniczy nabyć, do niego na pewno się udawał, jak również, gdy szło o pieniądze lub odwrócenie śmierci. Skąpy był i niezmiernie twardy; darł, zwłaszcza, gdy pilną czuł potrzebę, bez litości; przytem czarnoksięstwem się zabawiał: mimo to ludzie się od niego jakoś nie odwracali.

Niezmierne bogactwa ze swoich umiejętności zebrał, dziwy opowiadano o jego w podziemiu ukrytym skarbcu, a także o piękności jego córki, Esterki, która mu miała w magiach czarnych dopomagać. Chrześcijan nie cierpiał i z tem się nie taił, stosunki z nimi dla zarobku utrzymywał, ale każdą przysługę na wagę złota opłacać sobie kazał. Pijawką go nazywano słusznie, bo kto w jego ręce się dostał, z tego niemal żyły wszystkie wyparał. Gdyby nie to, że siecią lichwiarską wiele zacnych rodów omotał, które go z tego powodu bronić w danym razie musiały, jużby z nim dawno koniec należy zrobiono; ale stosunki posiadając i potrzebnym będąc, skutecznie się z wszelkich zarzutów wykrećć umiał. Nie naciskano go też i z tego powodu, że się jego mocy czarodziejskiej bano. W kunszcie czarnej magii był pono biegłym niezwykle.

Ze wstrętem szedł do niego Jaszko, jako do czarodzieja i Żydowina, bo, jak wszyscy zresztą, do nasienia żydowskiego wstręt czuł. On szczep, niegdy łaską Bożą się cieszący, z biegiem czasu w rozproszenie i wielką poniewierkę popadł. Zdrożności się dopuszczał, a zwłaszcza ludokupstwem, czarami i lichwą się trudnił, to do niego odrazę wzbudzało. Również pamięć, że Żydowinowie, Pana Jezusa Chrystusa zamordowali, wiary, głoszonej przez Niego, nie uznawali, sprawiła, że chrześcijanie pogardzali nimi i praw wszyst-

kim innym ludziom przysługujących, im odmawiali. Pogarda w taką przeszła nienawiść, że prześladować ich zaczęto. Było tak, że w Niemczech odzierano ich do szeląga i mordowano bez litości. Gdy rycerstwo niemieckie do Ziemi Świętej, odebrać z rąk pogan Grób Zbawiciela, się wybierało, w samej Moguncyi w pień wycięto tysiąc kilkuset Żydowinów. Wówczas sami oni się zabijali: w Wormsie, Trewirze, matki dusiły dzieci swoje, aby je osłonić od chrztu świętego, do którego je przymuszano. W samej Bawaryi zginęło wtedy kilkanaście tysięcy Żydów.

Wszędzie prześladowani, znaleźli przytułek w Polsce, ale się za dobrodziejstwo złem wywdzięczali, bo już w XII stulecia nawet gawieź szkolna na nich z kamieniami napada, jako na występnych, lichwą kraj wyzyskujących. A dobrze im w Polsce się działo, opiekę naleźli ojcowską. Wszak na monetach swoich świadectwo tego wyrażali, bijąc na nich słowa: „Wesel się Abrahamie, Izaaku, Jakubie!"; również na monetach Mieszka III nazywali „błogosławionym i sprawiedliwym“. Książę wielkopolsko-kaliski, a potem Kaźmirz Wielki, prawami ich obdarowali, insi królowie i książęta sprzyjali im niemniej, ale naród, tuż o nich się ocierający, innemi oczyma na rzeczy patrzył i przekonać się do nich nie mógł.

Prawa żydowskie znaczne były. Widać z nich, że Żydzi do niczego więcej, jeno do pomnożenia dochodów skarbowych obowiązani byli, kto ich przeto na majątku krzywdził, ten krzywdził skarb. Starostowie, burgrafowie i insi urzędnicy czuwali nad tem, żeby w przestępstwach skarbowych, o sfalszowanie monety oskarżeni, nieinaczej jak w obecności urzędu monar-

269  
234



szego byli przez wojewodę sądzeni. Żydzi, słowem, stanowili wówczas gminę, posiadającą swoje prawa, swój rząd i sądy swoje. Na czele gminy onej stała starszyzna, sędzia i szkolny, opiekunem zaś jej był wojewoda, który nad tem czuwał, iżby członkowie gminy sędzię swego we wszystkim słuchali, pod karą funta pieprzu. Nadopiekunem gminy był sam król.

Zarząd gminy w szkole się mieścił, tam również odbywały się sądy. Miała ta szkoła nadzór własny i ubezpieczenie osobne. Kto ją znieważył, bądź kamieniem rzuciwszy, bądź w inszy sposób, wojewodzie dwa funty pieprzu płacić musiał. W szkole też każdy zapozwany stawić się był winien, chyba, że sprawa do wyższego sądu, do wojewody lub króla szła; wtedy na odprawienie sądu osobne wyznaczano miejsce.

Statuta książęce i królewskie dobrotliwą, jak się rzekło, otaczały Żydów opieką. Jeśli naprzykład, zdarzyła się sprawa pomiędzy Żydem a chrześcijaninem o zranienie lub pobicie, świadkowie, po dwóch z każdej strony, stawać musieli, a nigdy z jednej. Wedle statutu Bolesławowskiego, karę oznaczał wojewoda, prawa ziemskie za zasadę biorąc — nakazywał dać nakład na leki i wynagrodzić za trudy, przy pielęgnowaniu podjęte. Statut Kaźmirzowy znów polecał pilnie badać obrażenia wszelkie, dochodzić, czy istotnie były zadane, czy też skarżący sam ich sobie dla zysku nie zadał? Poszkodowany składał przysięgę na *koleze* (przykazania), następnie płacono mu za rany sine dziesięć grzywien, a krwawe połową dóbr ruchomych opłacał winowajca. Nawet za potarganie włosów była kara, tę jednak sędziowie oznaczali samowolnie, według uznania. Zabójstwo Żyda karano konfiskatą całego ma-

jątku, a zabór spadał w połowie na rodzinę zabitego, w połowie do skarboxy krajowej.

Statuta polskie dalej się jeszcze w dobrotności dla Żydów posunęły. Bolesławowski zapewnia im spokójność domową; uwalnia ich od obowiązku dawania gościny gońcom i każdemu, kto w sprawie rządowej jeździł; dozwala im dotykać chleba i wszelkiej żywności, bez względu, czy ją kupią, lub nie kupią; zakazuje naruszać ich cmentarzów; poleca dawać im pomoc w każdym razie. Statut Kaźmirzowy nadto zabezpiecza Żyda, gdy do domu chrześcijańskiego wstąpi; pozwala Żydom kąpać się w łaźniach miejskich, oraz wszelką rzeź niekoszerną odprzedawać chrześcijanom. Sędzia miejski nie był mocen wtrącać się do sporu między Żydem a chrześcijaninem, jeno sędzia żydowski wyrokował o nim. Spór, nawet przez wojewodę rozpatrywany, mógł Żyd do samego odwołać króla. Gdy szło o rzecz, wyrokował wojewoda, ale gdy o osobę, sam król wtedy sprawę sądził. Na żądanie Żyda, sprawa od wojewody do króla mogła być odwołana, a gdy osobliwsza zaszła potrzeba, sama starszyzna żydowska mogła rozpatrywać sprawy sądom wojewodzińskim podległe.

Chciano, z wszystkiego to przecież widać, Żydów za synów prawowitych kraju uważać, oni jednak wszelkie chęci dobre w niwecz obracali. Już za Leszka Białego odebrano im dzierżawy mennic, pobór podatków skarbowych i tym podobne zajęcia zyskowe, a to wskutek tego, że się zgubnych nadużyć dopuszczali... Zawdy do lekkiego chleba smak czuli, a zwłaszcza do takiego co to go obce ręce piekły. Do krwawicy na roli upodobania nie mieli, natomiast do kupiectwa i kramar-

stwa wszelkiego z gorącością się garnęli, wydzierając chrześcijanom sprawiedliwe zyski. I w tym razie statuta Żydom w pomoc przyszły, bo dozwolono im, byle cło zapłacili i myto, kupeczyć po całym kraju—po wsiach, miastach, a żaden zajmujący się handlem ojczyce, bądź też cudzoziemiec, nie mógł przeszkodzić im w kupczeniu pod utratą towaru na rzecz wojewody lub skarbu królewskiego \*). Tak dobrotliwą opiekę posiadając, Żydzi ani jej cenili, przekroczeń się dopuszczali haniebnych i dziw jest, że nawet wtedy mieli prawo za sobą. Oto, według przyjętego przez siebie zwyczaju, odległe od mieszkań swoich zakładali cmentarze, a do nich zbyt często dowożąc ciała nieboszczyków, dla złożenia ich w miejscu spoczynku wiecznego, przebywali liczne komory celne, bez żadnych opłat celnikom. Aliści chciwość ich sprawiła, że zamiast ciał zmarłych, przemycali towary. Gdy to się ujawniło, została na przemytników takich nałożona kara, zwana *wendel*. Wszelako statut Kaźmirza zastrzega, że jeśli celnik Żydowi winy rzeczzonej nie dowiedzie, mienie własne utraci.

Do lichwy upodobanie mieli Żydzi już jakoby we krwi. Mniemanie ówczesne tylko Żydom od pieniędzy pożyczanych zysk brać pozwalało. Żydzi tedy, pieniądze pożyczając, ubezpieczali się, biorąc od dłużnika pismo, bądź też dobra jego. Wierzytelności i procenta od nich nigdy Żydowi przepaść nie mogły, prawo wszelkich używało środków, aby mu odzyskanie pieniędzy zapewnić. Jeśli rozchodziło się o pięćdziesiąt grzywien, Żyd musiał na rodół przysiędź, że

---

\*) Maciejowski.

mu się tyle należy; na mniejsze należności przysięgał u drzwi szkoły, bez religijnych ceremonij. Dłużnik nietylko z kapitału ale i z procentu uścić się musiał. Zapłaciwszy pierwszy, a z drugiego nie uściwszy się, płacił co miesiąc procent od procentu.

Nie było można Żyda zmusić, by w szabas z długu kwitował. Pożyczając, ubezpieczał się Żyd biorąc w zastaw tylko dobra ruchome, zarówno żyjące, jak i nieżyjące, więc konie, sprzęty, szaty i t. p. Z tego wyłączały się sprzęty kościelne i przedmioty krwią zbroczone. Jeśli chrześcijanin zażądał zwrotu zastawu, którego nie dał, bądź też twierdził, że za mniej niż Żyd utrzymuje rzecz swoją zastawił, a obydwoj na to, co utrzymywali, dowodu nie mieli, wtedy przysięga spór rozstrzygała. Jeśli o to spór szedł, że Żyd wziął w zastaw konia kradzionego i właściciel konia tego upominał się o jego zwrot, Żyd winien był konia zwrócić, ale z zarzutu, że go sam ukradł, mógł się przysięgą oczyścić.

Statut Kaźmirza pozwalał ziemianinowi obdłużyć posiadłość swoją, ale tylko za zezwoleniem monarchy; posiadłość ziemską uważana była jako dziedzictwo panującego, ziemianin zaś był używalnikiem onej, dopóki obowiązki rycerskie pełnił. Dlatego, jeśli dług swój na piśmie zeznawał, winien był i podpis monarchy panującego okazać, stwierdzić go swoją i monarchy pieczęcią. Dopiero tak obwarowany dokument można było (ale za zezwoleniem króla) do aktów ziemskich, grodzkich, miejskich, wójtowskich i radzieckich wnieść. Żyd, pismem lub zastawem ubezpieczony, nie mógł brać procentu od grzywny większego nad grosz jeden tygodniowo. Grzywna czterdzieści ośm zawie-

rała groszy, więc on tygodniowo groszowy procent w ciągu roku całą wyczerpywał grzywnę.

Należności żydowskie, pismem do ksiąg zabezpieczone, wojewoda był obowiązany dopomagać odbierać, a ze spraw takich sam zysk otrzymywał. Prawo wszelkie zalecało sposoby, aby dług, zwłaszcza zastawem ubezpieczony, w czasie właściwym zwrócony został; w razie przeciwnym zastaw był sprzedawany lub przechodził na własność Żyda.

Wszelako zastaw przepaść dłużnikowi nie mógł. Jeśli tak się stało, a Żyd utrzymywał, że mu ów zastaw skradziono, wtedy nietylko suma zastawna mu przepadała, ale jeszcze karę na rzecz wojewody opłacał. Czy istotnie zastaw skradziony został, to rozpatrywał szkolnik ze swymi pomocnikami. Dłużnik miał nawet prawo dom wierzyciela przeszukać, położywszy na progu grzywnę złota, która mu przepadała, jeśli przedmiotu poszukiwanego nie znalazł. I było pozwalano Żydom brać na zastaw pieniędzy pożyczonych.

Takie prawa uzyskawszy, inowiercze plemię przybyszów żyło sobie w Polsce nie siejąc ani orząc, mimo to ciągnąc ze wszystkiego, z przemysłu i rolnictwa krajowego, zyski wielkie, na co naród coraz głośniej sarkał, tembardziej, że zarzucano Żydom, iż krom lichwy nieludzkiej i innych szpetnych występków, trudnili się jeszcze ludokupstwem, czarami, a do praktyk dyabelskich krwi z dzieci chrześcijańskich, ciał chrześcijan zmarłych i przedmiotów kościelnych, poświęcanych, używali. Wszakże Żydów sarkania, owe nie obchodziły, wiedzieli bowiem dobrze, jakimi drogami mogą sobie łaskę i obronę monarchów, i książąt zapewnić,—i o tem, że Polacy nie posiadają takiej, jak oni przebiegłości

i zdolności do matactw; dalecy są od oszczędności, która jedynie mogłaby ich z jarzma lichwy wyzwolić; nie lubią pracować i bez pośrednictwa się obchodzić; wreszcie, że mieszczanin polski myśli jeno o dużych zyskach, drobne lekceważąc, które przecież z biegiem czasu w bogactwa znaczne się zmieniają. O tej nieobrotności mieszczan polskich świadectwo daje ta okoliczność, że gdy w roku 1364 w Krakowie uniwersytet zakładano, król daremnie szukał pomiędzy nimi kampa-sora, to jest takiego, który zgodziłby się studentom pożyczać pieniądze na procent niższy od za prawny uważanego, natomiast znalazł Żyda, który na trzy razy mniejszy procent przystał.

Przewidywał Izraelita ów, że co dziś na uczącej się młodzieży straci, to z pewnością nieco później ze wzbogaconej hojnie odzyska.

Z powodu faworów, okazywanych Żydom, mieli królowie z narodem, osobliwie z mieszczanami, wiele kłopotów. Kaźmirzowi Wielkiemu naprzykład, zarzucono, iż nazywając Żydów wiernym swoim ludem, przenosi ich nad ojczyków ziemi polskiej; że przez dziwne ku nim upodobanie Polskę „wonią smrodliwą“ napelnił (co Długosz napisał nawet); że umiłowawszy Żydówicę, gubi naród, pozwalając go Żydom wyniszczać przez lichwę.

Bronić się usiłował Kaźmirz od tych zarzutów w Statucie Wiślickim, gdzie przyznał, że Żydzi istotne wyzyskują chrześcijan, ale ci ostatni sami do tego powody dają. „Gdy żydowskiej złości—opiewa Statut rzeczony \*)—w tem się zawdy zmysł obraca, aby chrze-

---

\*) Tłumaczenie z łaciny Stanisława z Wojcieszyna.

ścijany nietylko w wierze, ale też w bogactwie zawždy poniżyła i skaziła, słusznie ustanowić, aby żaden Żyd dalej któremu chrześcijaninowi, w królestwie naszym mieszkającemu, pieniędzy na listy zastawne nie pożyczal ani borgował, ale tylko na zastaw dostateczny pożyczyc może, podług obyczaju dawnego“.

To, że król, przez miłość dla Żydówki, jej spółplemiennikom łaskę okazuje, odparto rzekomemi dowodami, jako Kaźmirz jeno krewnych swej miłośnicy osobliwą darzy opieką; co zaś dotyczy zarzutu pozwalania Żydom wyzyskiwać chrześcijan przez lichwę, z tego się oczyścił Kaźmirz, pozwalając narodowi ograniczyć wyzysk lichwiarski Żydów przez taką ustawę, niecałkiem zresztą jasną: „Gdy w lichwnej przepaści jest nienasycona żądza, niektórzy w wyciąganiu pieniędzy końca nie kładąc, nakoniec z uciążeniem szkód wyciągają pieniądze, sromoty w oczu nie mając, dlatego ustawiła rycerzów naszych moc, aby Żydowie, wiary naszej nieprzyjaciele, chrześcijanom pieniędzy swych pożyczając, niewięcej za każdy tydzień wziąć mieli, niżli tylko jedną kwartę, to jest półgroszek z dziękowaniem. A gdy Żydowie przez nowe zdrady w lichwę od lichwy na zastawę pożyczają pieniędzy, ścierpią przez dwie lecie swego dłużnika o lichwę przyrosłą i istny dług, do sądu nie pozywając, tedy tym to uczynkiem lichwę przyrosłą dalej po dwu latach stracić mają, a tylko na iście a na lichwie w przyrzeczony czas już pomnożony mają dosyć mieć. Ani przez ten to list zastawny upominać, ani zastawca stać powinien bądź, ani im dzierżec swej zastawy albo ślubu“.

Słowa te tak uczony znawca praw dawnych i obyczajów objaśnia:

Z jednej lichwy niecni wierzyciele tworzą drugą, która staje się przez to nowym jakoby kapitałem, przez zakład ubezpieczonym piśmiennie. Lichwę taką, czyli procent od procentu, wolno było pobierać przez dwa tylko lata, a po upływie tego czasu pismo, zastaw ubezpieczające, traci moc swoją. Wierzyciel nie może upominać się na jego zasadzie o kapitał, bo dwuletnim procentem już go wybrał. Dłużnik zapozwany nie jest obowiązany wtedy stawić się w sądzie.

Urządzeń gminnych, sądów własnych i praw zażądali Żydom polskim chrześcijanie nawet w państwach Europy zachodniej, co wywarło wpływ i na stosunki w Polsce. Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, zważywszy, że prawa żydowskie niedostatecznie określają stosunek Żydów do duchowieństwa katolickiego, na mocy bulli papieża, zebrał w jedną całość ustawy dla Kościoła polskiego, gdzie też pomieścił przepisy o Żydach, przez siebie wydane. Według nich, grzechem było dla chrześcijanina jeść, pić z Żydami, uczestniczyć w ich zabawach, kupować od nich mięso (które może było zatrute), zbliżać się do lichwiarza, a nawet, pod grozą klątwy, stosunki z nimi utrzymywać. Król takiego traktowania Żydów naganiać chrześcijanom nie może. Prócz tego przepisy stanowiły, dla łatwiejszego już z daleka Żydów od chrześcijan odróżnienia, aby zarówno Żydzi, jak Żydówki, na zwierzchnich szatach z lewej strony mieli przszyty skrawek krągły sukna czerwonego. Żydzi, wyłamujący się z pod tego przepisu, tracili prawo utrzymywania z chrześcijanami stosunków, lub podlegali karze, przez władzę duchowną oznaczonej. Ponieważ Żydzi żadnych opłat na rzecz Kościoła nie wnosili, a przez



to proboszczowie tracili dochody parafialne z domów, przez Żydów zamieszkanych, nakazał arcybiskup straty owe obliczyć, przy pomocy biskupa dyecezyjalnego je sprawdzić i proboszczom wynagrodzić. Żydzi nadto, wedle ustawy Trąby, nie mogli uczęszczać do szynkowni i łaźni z chrześcijanami, trzymać służby chrześcijańskiej, osobliwie mamek, pełnić urzędów, zwłaszcza celnych. Któraśby Żyd z chrześcijanką lub chrześcijanin z Żydówką stosunki miłosne utrzymywał, podpadał karze dziesięciu grzywien i więzienia, niewiasta zaś była smagana publicznie i wyświecana z miejsca, gdzie się występku dopuściła.

Jagiello, który, jak Piastowie, dla Żydów łaskawym się okazywał (co i synowie jego przechowali), wbrew przepisom Trąby postępował i to jawnie. Tak tedy Żyda, faworyta swego, imieniem Wołczek, celnika lwowskiego, soltysem we wsi, do dóbr swoich należącej, uczynił, przeniósłszy ją z praw polskich na niemieckie. Nidosyć na tem: Wołczkowi onemu darował we wsi rzeczony grunt dożywociem, pozwalając mu się tam osiedlić. Tem się zaś Jagiello tłumaczył, iż dlatego to zrobił, aby Wołczek, wdzięczność uczuwszy, wiarę chrześcijańską przyjął.

W takim oto za Jagiellonów znajdowali się położeniu Żydzi: z jednej strony, monarszej, doznawali łask; z drugiej, po której stało duchowieństwo i naród — pogardy i wstrętu. Naród widział w nich pajaków i pijawki, krwawicę jego wysysające; duchowieństwo wrogów religii. Onego wstrętu nietylko Żydzi przełamać się nie starali, ale postępowaniem swoim rozżarzali go coraz bardziej. Słuszność przyznać każe, iż wiele przeciwko nim krążyło oskarżeń urojonych,

ale wiele też było prawdziwych. Wyodrębniali się, tworzyli naród w narodzie, co przy różności wyznania musiało do rozbratu doprowadzić. Ozer, do którego Jaszko ze Skowrem się udawali, wszystkich przywar żydowskich był uosobieniem, lecz możność, stosunki i obawa, że w danym razie czarów do pomocy mógł zażyć, bezpieczeństwo mu zapewniały. Wiedząc o tem, śmiało sobie poczynął, nawet jawnie prawom, spółwyznawców jego obowiązującym urągał. Pomiedzy swoimi zachowaniem się cieszył wielkiem, nietylko jako bogacz, ale jako mędrzec, w księgach uczonych biegły. Nikt pono z Żydów krakowskich nad niego przepisów religijnych nie znał, on też wszelkie wątpliwości w tej mierze rozstrzygał. Skuteczność jego leków w zdumienie wprawiała. Na wszystko miał sposób — powiadano, że potrafi metale nikczemne w złoto przemieniać; że eliksir taki przyrządza, któren odmładza, życie przedłuża i taki, któren miłowanie lub wstręt wzbudza. Przyjeżdżali do niego spółwyznawcy aż z po za granic Polski, rady szukając, lub aby hołd mądrości jego złożyć.

Jaszko już był wątpił, zali się do domu Ozera o tej porze spóźnionej dostaną, ale Skower nie ustępował, kołatał wciąż; wreszcie zjawił się wrotny, który ich wpuścił, nie bez trudności jednak. Musieli się opowiedzieć dokładnie, potem dopiero zazgrzytał klucz w zamku, brzęknęły zapory i furta się rozwarła.

— Warto ci grzbiet pomacać! — ofuknął Skower wrotnego, pięścią mu grożąc. — Tyli czas u drzwi nas trzymać, jako psów...

— Noc jest, proszę waszej dostojności—jąkał wrotny, z pod oka na grożącego mu rycerza oglądając.

— Co z tego, że noc? Alboż to ludzie potrzeb rozmaitych w nocy nie mają? Potrzeba zaś zachodzić musi nie małożnaczną, jeśli chrześcijanin po nocy do domu niewiernych puka. Prowadź żwawie do starego Oзера. Chyba nie śpi, boć wiadomo, że się czarnym kunsztem w nocy zazwyczaj bawi...

— Rabi oczekuje waszych dostojności — odparł krótko wrotny. — Proszę za mną, drogę wskażę.

Jakoż przodem idąc ze światłem, gości spóźnionych wprowadził do izby obszernej i tu ich zostawił samych na chwilę.

Była ta izba na sposób wschodni urządzona, oświetlały ją pochodnie jarzące, które, płonąc, dym wonny roztaczały dokoła, mile drażniący powonienie. Pod ścianami stały sofy niskie, miękko wyściełane, z wez-głowiami, kosztowną materyą ociągnięte; tu i owdzie lśniły przedmioty misterne, srebrne, złote, z bursztynu, klejnotami wysadzone, z których światło pochodni krze-sało blaski, oczy ślepiące. Przy sofach i na całej zre-szta podłodze leżały kobierce wzorzysto tkane, w ja-skrawe desenie i barwy — słowem, wszystko tu o bo-gactwie gospodarza świadczyło, o jego upodobaniu w wy-godzie i pięknie.

Jaszko, owe dowody możności wystawnej oglą-dając (czego gdzieindziej nie widywał, bo w zamkach rycerskich i dworach szlacheckich, jakkolwiek komory i skarbee były dobra wszelkiego pełne, mimo to w oby-czajach prostota panowała, skromnym zadawano się sprzętem i jeno podczas uroczystości rodzinnych z oka-załością występowano) — Jaszko tedy głową kręcił i dzi-wował się, od czasu do czasu żegnając się i spluwając od uroku. Na Skowra jednak, który z rozmaitych pie-

ców chleb pożywał, po świecie dużo się włóczył, dostatek Oзера wrażenia nie wywierał. Zresztą nie pierwszy raz do niego zachodził, znał się z nim dobrze oddawna.

— Na królewskim dworze takich porządków szukać... — mruknął Jaszko. — Słyszane rzeczy, iżby Żydowin plugawy w takich zbytkach życie pędził... U wojewodów nie naleźć czegoś podobnego...

— Bo widzisz—na to Skower—Żydowin kaźden taką dłoń ma, że czego dotknie, dostatek stąd dla niego wypływa. A jeszcze taki, jak Ozer. Na lichwie tyje, kunszta mu też różne zyski przynoszą. Słysząc, i to do prawdy podobne, że potrafi złoto z byle żelaziwa dobywać...

— Nie chybi, że i czarni na żądanie dostatki mu znoszą...—dodał Jaszko półgłosem.—W głowę zachodzę, po cośmy się tu przywlekli? Calem temu rad nie jest.

— Rzekłem ci już, że bez niewiernego Oзера przy rozprawie z Jelitą obejść się nam nie lża — ramięmi wzruszywszy, rzekł Skower. — Toć się zbadź trwożliwości, że mną jesteś, a ja ci krzywdy uczynić nie dam. Taki czarodziej niebezpieczny dla chrześcijanina bywa, gdy z nim zadrzeć, gdy go do złości pobudzić, a my Ozerowi korzyść przynosim, bo jeśli dopomóż nam się zgodzi, to nie bez zysku dla siebie.

— Zawdy lepiej nie budzić licha, kiedy śpi... — niepokoił się Jaszko.—Wszystko to jakoś za katy dziwne. Czujesz-li, jaka ono woń po izbie się rozechodzi? Kto wie, czy już w tem zdrady niema...

— Nie bądźże dzieciuchem! Masz wiedzieć, że ojczyzna Żydowinów na Wschodzie leży dalekim, a narody wschodnie, Saraceny, Persowie, Turczyny wszel-

kie, tedy i Żydowinowie, w wonnościach upodobanie mają, tak, że ich i w łaźni, i do zwykłego obmywania się, i do potraw zaprawy używają. Przyjdiesz w Turczèch, czy w Perskiej krainie, do jakiegobądź domu, to wnet obowie zrzucić musisz (taki obyczaj jest), a gospodarz sam, czy też słudzy jego, nogi ci wonnością maszcza... Ozer też obyczaju tamtejszego się trzyma i wonne pochodnie, gdy mu się gość trafi, gwoli uczczeniu jego spala. Nie żadna tedy zdrada w tem jest, jeno czci oznaka...

— W nosie kręcąca oznaka... — mruknął Jaszko — chętniebym się jej wyrzekł. Źle jest, że Żydowinowie pogańskie zgoła obyczaje chowają. Skoro tu, wśród nas, mieszkać im pozwalamy, nasz chleb jeść, z nas korzyść ciągnąć, powinni naszych obyczajów i wiary naszej się trzymać...

— Może do tego kiedy przyjdzie, ale tymczasem my świata nie przerobim... Ano, owo i stary kret wychodzi ze swej nory.

Opona jedna, drzwi zasłaniająca, podniosła się i do izby wszedł powoli sam Ozer.

Mocno podeszłego wieku był to człek, chodził na lasce hebanowej, srebrem okowanej, się wspierając, barki miał pochylone, broda śnieżnej białości na piersi mu spadała, a włosy, również zupełnie białe, aż na ramionach w pukle mu się układały. Pochylenie bark wzrostu mu ujęło, jakoby go skurczyło, niegdy bowiem postawę miał snąć wyniosłą; czas też, ona starość, tak dla każdego bez litości, wysuszyła go, istny skielet skórą pociągnięty z niego uczyniła. Z pod skóry tej, przezroczystej, niemal, kości przezierały wydatnie i pasma żył niebieskich, które na skroniach i rękach wydatną się

tworzyły. Twarz miał całą w zmarszczkach, czoło wysokie, nos wązki, w połowie zgięty gwałtownie, szpon kroguleczy przypominający kształtem, usta również wązkie, zgryźliwym uśmiechem wyłamane; mówił powoli, dobitnie, trocha chrapliwie, ostro, a mówiąc, towarzysza wzrokiem przenikliwym, jakieś szyderstwo wyrażającym, mierzył. Musiało wiele namiętności jeszcze spoczywać w tym człowieku, ale hamowała je i miarkowała wola silna, którą w słowach, ruchach i spojrzeniu można było odgadnąć.

Nosił Ozer szaty wschodniego kroju, — więc zawój barwny miał na głowie, żupan po za kolana, pasem jedwabnym ościśnięty i zwierzchnią suknię dłuższą, faldzistą, z lekkiej materyi, z rękawami tak szerokimi przy dłoniach, że aż do ziemi sięgały.

Wszedłszy, głowę nachylił, dłoń do czoła przyłożył, potem do piersi, i w te słowa się ozwał:

— Pokój wam! Ktokolwiek i o jakiegokolwiek gość nawiedzi dom ten godzinie w imię Pana, pokój mu i błogosławiony niech będzie... Nie spodziewam się, iżby miłości wasze zła wola tu, pod ubogą strzechę moją, sprowadziła, tedy jesteście pożądani. Niech Bóg Izraela opiekę dobroczynną nad wami roztoczyć raczy...

Kilka kroków postąpił i wskazując gościom sofę, znów powiedział:

— Spocząć raczcie. Wesele to dla serca mego i dla domu mego takich witać gości. Spocznijcie... Ozer wie, jak kogo przyjąć i co się komu należy...

Jaszko rozsiadać się w domu inowiercy ochoty nie miał, ale Skower usadowił się najwygodniej i jego też obok siebie pociągnawszy, rzekł:

— Łacniej do grodu warownego czasu wojny się dostać, niż do ciebie, stary nietoperzu. Zamykasz się, jak przed niebezpieczeństwem, a przecież żadne ci nie grozi.

— Nie grozi w tej chwili—odparł Ozer—ale któż zareczy, co się za godzinę lub dwie stać może? Na świecie nic trwałego niema, tak nas uczą mędry, tak uczy doświadczenie. Oto mówi Ekklesiasta, syn Dawidów, król jerozolimski:—Marność nad marnościami! Marność nad marnościami i wszystko marność! Rodzaj przemija i rodzaj nadchodzi. Słońce wschodzi, i zachodzi, i wraca do miejsca swego, i tam znowu wszedłszy, krąży przez południe, i skłania się ku północy. Przechodząc wszystko wokoło, idzie wiatr i nakłania się do okręgów swoich... Widziałem wszystko, co się dzieje pod słońcem, a oto wszystko marność i utrapienia ducha... Przewrotni z ciężkością bywają naprawiani, a głupich jest poczet niezliczony... Mądrego oczy są w głowie jego, głupi w ciemności chodzi, ale jednakie jest obu dokończenie... Jeśli zaś tak, cóż mi pomoże, iżem się więcej o mądrość starał? Rozmawiając z sercem swoim obaczyłem, jako i to jest marność. Nie będzie bowiem pamięci tak mądrego, jak i głupiego na wieki, potomne czasy zapomnieniem wszystko pokryją...

Tak, wszystko jest marność i utrapienie ducha, wszystko przemija! Wszystkie dni człowieka nędzy i boleści są pełne, ani w nocy sercem odpoczywa... Człowiekowi, który jest dobry, przed oczyma jego Bóg dał mądrość, i naukę, i wesele; grzesznemu dał frasunek i zbytnią pracę, aby przyczyniał się i zbierał,

a potem dał temu, który się Bogu upodobał. Wszakże i to jest marność, próżne myśli utrapienie...

Swym zamierzonym biegiem wszystko przemija pod słońcem: czas rodzenia i czas umierania; czas szczepienia i czas wrywania tego, co szczepione; czas zabijania i czas leczenia; czas rozwalania i czas budowania; czas płakania i czas śmiechu; czas narzekania i czas tańcowania; czas nabywania i czas utracania; czas mówienia i czas milczenia; czas miłowania i czas nienawidzenia; czas wojny i czas pokoju... Co było, to i teraz jest; co będzie, już było. Pan doświadczył ludzi i ukarał, że są bestyom podobne, przeto jednakie jest dokończenie człowieka i bydła, i równy stan obojga: jako umiera człowiek, tak i one umierają — i jednak otehną wszystkie, i nie zna człowiek nie więcej nad bydło. Wszystko podlega marności i wszystko idzie na jedno miejsce; z ziemi są uczynione i w ziemię się jednak obracają... Kto wie, jeśli duch synów adanowych wstępuje w górę, a jeśli duch bydłocy zstępuje na dół?

Ozer mówił z namaszczeniem, ożywiając się coraz bardziej, bo rad się był w rozpamiętywaniu ksiąg mędrców zatapiać, ale zapał jego ostygł, gdy usłyszał Skowra, który mu przerwał słowy:

— Ostaw syna Dawidowego a króla Jeruzalemu na boku, nie dla nas jego rady i nauki, zwłaszcza, że bluźni, równając człowieka z bestyami. Nie godzi się chrześcijaninowi takich rzeczy słuchać. Gdyby wszystko było marnością pod słońcem, to jeno powróż sobie założyć i na pierwszej lepszej gałęzi się obwiesić. Sam w to nie wierzysz, a innym głowę bałamucisz...



— Skąd wasza dostojność wie, że Ozer w słowa Ekklezyasty nie wierzy?—zapytał stary, oczy przymrużając.—Ozer wierzy we wszystko, co w księgach świętych stoi... Tam powiedziano: Błogosławiony maż, który nie chodzi w radzie bezbożnych, a na drodze gorszących nie stoi i na stolicy naśmiewców nie siedzi, lecz w zakonie Pańskim jest kochanie jego. Albowiem będzie jako drzewo, nad strumieniem wód osadzone, które owoc swój wydawa czasu swego, a liść jego nie opada, i wszystko, co czynić będzie, poszczęści się. Niezbożni zaś są jako plewa, którą wiatr rozmiata, przeto się na sądzie nie ostoja, ani grzesznicy w zgromadzeniu sprawiedliwych. Pan zna drogę sprawiedliwych, a droga niezbożnych zginie... Ozer zawsze ma to w pamięci i po ścieżkach przez Najwyższego wskazanych tylko chadza.

— Jeżeli jednak wszystko marnością ma być — podjął drwiąco Skower — to czemu z taką łapczywością pieniądz i dobro wszelkie gromadzisz? Czemu bogactw swoich i życia tak pilnie strzeżesz, że się ledwie dobieć do ciebie można? Rozłupże ten sęk...

Ozer, brodę pogładziwszy, rzekł tonem przestrogi:

— Wasza wielmożność krotochwile czynić raczy ze słów mędra Pańskiego? Aj! aj! Nie godzi się rzeczy świętych na pośmiewisko wystawiać... To całkiem niepięknie. Wasza wielmożność darować łaskawie raczy, że uwagę pokorną śmiem mu zwrócić, ale każdy broni tego, co czci, co kocha, w co wiarę pokłada...

— Wykręcasz się gołem słowem, inaczej nie mogąc!—rozśmiał się Skower.

— Bo i na co nam dysputa? Waszej wielmożności nie przekonam, iż w księgach mędrców naszych tkwi prawda, jak kryształ górski przejrzysta, a słuchać urągań przeciwko wierze mojej i ojców moich nie chcę. To serce krwawi...

Westchnął Ozer i dalej mówił:

— Ale na Izraela nastał zły czas: Pan rozproszył nasienie jego po obliczu ziemi, żyć mu kazał między obcymi, którzy wstręty mu czynią i naigrawają się z niego bez miłosierdzia, tak, że woła z płaczem:—Panie! namnożyło się nieprzyjaciół moich, wiele ich powstawa przeciwko mnie; wiele ich mówią o duszy mojej:—Nie ma ten ratunku od Boga!—Ale Ty, Panie, jesteś tarczą moją, chwałą moją i wywyższającym głowę moją... Nie ulękę się wielu tysięcy ludu, którzy się na mnie zewsząd nasadzili... Powstań, Panie, wybaw mnie, Boże mój, albowiem Ty uderzył w lice nieprzyjaciół moje, a zęby niezbożników pokruszyłeś. Od Pana jest wybawienie, a nad ludem wiernym błogosławieństwo Jego.

Do izby weszło dwóch służebnych, niosąc misę srebrną z wodą, ręczniki, barwnymi ścięgi wyszywane, kubki do wina i zastawę pełną daktyli, fig, oraz innych owoców słodkich, z dalekich krain przywiezionych. Wszystko to poustawiali na niskim stole przed sofami, na których siedzieli goście, ukłony przytem na sposób wschodni składając, a następnie usunęli się równie cicho, jak weszli. Z kolei ukazało się dziewczę przecudnej urody, z wielkim dzbanem złotym, arcydziełem kunsztu złotniczego, ptaka, gryfem zwanego, wyobrażenie mającym. Wszelkie kształty ptaka, wszelkie członki jego i pokrycie pierzaste — z drobiazgową

dokładnością były rylcem oddane, do podziwu... We łbie bajecznego stworzenia krwawiły się dwa rubiny nadzwyczajnej wielkości, dziób zakrzywiony się roz-wierał i za uchyleniem dzbaną — toczyły się z niego strumienie wina bursztynowej barwy, mocno korzenne-go zapachu.

Prześlicznym był dzban — również bogactwem i pięknnością zdumiewała zastawa, wniesiona przez słu-żebnych, ale obadwaj goście nie na to patrzyli, jeno na samo dziewczę, które im się jakimś niezemijskiem zjawiskiem wydało... Można je było przyrównać do pąka kwietnego, w majestacie rozkwitu. Kształty, twarzy śniadej rysy, i ruchy, i włos bujny, kruczy, połyskujący, i oczy czarne, płonące żywym, zda się, ogniem, do brylantów podobne, z których promienie słońca blaski wyiskrzają, i usta, by z koralu, rozkosznie w pół otworzone, trocha uśmiechnięte, jak gdyby do pocałunków wzywające, a obiecujące słodycze niewysłowione temu, kto ich dotknie—wszystko to składało się na piękność tak porywającą, że patrzącego dreszcz rozkoszny przebiegał.

Owe oczy przepaściste poglądały na ludzi śmiało, obejście również dziewczki świadczyło, że się obcych nie trwoży, ani się ich, jak inna, sroma. Czuła się pomiędzy gośćmi zupełnie swobodną, a nawet traktowała ich z góry, z pańska, z pewnem lekceważeniem, snąc pewną będąc, że uroda wyjątkowa prawo jej do tego daje. Często na twarzy dziewczki zjawiał się wyraz jakiś groźny, często brwi zsuwała i czoło wyniosłe marszczyła, a wtedy podobna była do złowrogiego bożyszczka, które gromy ciska po świecie, burze sprowadza

i nawałnice... Ale wyraz groźny szybko ustępował i twarz dziewczki znowu piękną pociągającą jaśniała.

Przybraną była ta czarodziejka, podobnie jak rodzic jej, na sposób wschodni, wszakże nie tak skromnie, lecz jaskrawie, lśniaco, bogato,—w najprzedniejsze, najdelikatniejsze materye, w ozdoby złote, drogiemi sadzone kamieniami, godne skarbców monarszych. Zapony, zausznicę, pierścienie — wartość nieocenioną posiadały. Lubowała się w pięknych i bogatych ozdobach Estera, zdało się, że wdziękom niedowierzając własnym, usiłowała sztucznie je wzmocnić, spotęgować...

Znalazłszy się przed gośćmi, baczny obrzuciła ich wzrokiem, na podziw śmiałym i, na rodzica swego uwagi nie zwracając, kubki winem napelniwszy, własnoręcznie im podawała...

— Pijcie z myślą dobrą — odezwała się, nibyto oczy spuszczać, a w rzeczy spojrzzeniami głębokimi, ognia pełnemi, gości przeszywając.—Dzielimy się z wami, czem Bóg dał... Nie odmawiajcie...

Skower, acz, jak się rzekło, z Ozerem dawno był znajomy i o piękności dziewczki jego słyszał, jednak oczyma własnymi jej nie oglądał. Najrzawszy, zdumiał się wprawdzie, ale głowy nie stracił. Jaszko natomiast w całym znaczeniu oczarowany został. Wyrażała to twarz jego, wzrok, ręk drżenie — zgoła postać cała.

— Nie odmawiajcie... — nagliła Estera, kubki podsuwając. — Zdrady w gościnie naszej niema, pewni bądźcie...

Ozer wiele Esterze pozwalał (jedynaczką była, oczkiem w głowie), ale to jej ukazanie się w tej chwili

rozniewało go. Z wymówką tedy dość szorstko wystąpił:

— A ty tu po co, Ester? Zaliś potrzebna? Zali przystojnie z łoża nocą się zrywać, ciekawości grzesznej gwoli? Źle jest, skarcić cię za to muszę. Odejdź! Ich wielmożności ze mną jeno do czynienia mają...

Nie stropiło to upomnienie Estery; zamiast kłopot okazać, albo zasromanie, rozśmiała się i ramionami wzruszyła.

— Nie złego nie uczyniłam, rebe, przecież ty w domu swoim gospodarzem jesteś, a ja... gospodynią— rzekła, łaszac się rodzicowi, niby rozpieszczona kotka.— Dobra córka winna rodzica we wszystkim wspierać, pomagać mu: ja dobrą córką chcę być...

— Jeno cię za to pochwalić można, Estero piękna! —zawołał Skower. — Ozer! ani mi się waź karcić surowem słowem chęci dobrych dziewczki, inaczej w jej obronie stanę. Słyszysz?

A zwracając się do Jaszka, dodał:

— Rawito... jest na co popatrzeć? He? Łania? A ślepiętami pali gorzej zarzewia. Spłonąć w takim uścisku nie żal...

Coś zamruczał Jaszko, Skower zaś, kubek powtórnie napełniony wznosząc, ozwał się:

— Na cześć twoja piję, Ester! Jeśli serce masz tak piękne, jak się z pozoru okazujesz, zaiste, wartaś szczęścia na tym świecie... Żyj bez troski! Niech ci się wszystko po myśli darzy...

— I wam, rycerzu! — odparła Estera, zalotnie przechylając główkę.

— A! krecie stary...—mówił Skower ożywiony— nietajno mi było, że skarby w swych murach prze-

chowujesz, alem nie przypuszczał, iżbyś takiego posiadaczem był... Juścić, rozumiem teraz, dlaczego, chociaż wszystko za marność poczytujesz, tak się przed ludźmi zamykasz. Ani słowa: jest czego strzedz.

— Ester, odejdz, zostaw nas samych—zamruczał znów Ozer pochmurny.—Tu nie dla ciebie miejsce. Ich wielmożności nie przyszli po to, by się w niewczesne zalecanki bawić, z czego by nie nie zyskali, jeno snąć w potrzebie ważnej. Do takich spraw nie twoja głowa. Odejdz, mówię...

— Uczynię, jak każecie, rebe...— odrzekła Estera rzekomo pokornie, a w rzeczy samej za nic surowe upomnienie rodzica uważając. — Bóg z wami, rycerze dostojni, rebe nie pozwala mi nawet na świat kiedy niekiedy popatrzeć... Taki mój los... Niewolnicą jestem...

Westchnęła, skłoniła się gościom i wyszła z izby, jeszcze ich z po za opony palącym przeszywając wzrokiem.

Gdy goście z Ozerem sami pozostali, Skower żartobliwie staremu Żydowinowi pogroził:

— Ozer... marucho ty! krecie! borsuku! Jasno mi teraz, powtarzam, czemu tak się w norze swojej obwarowywasz i ludzi nierad do niej wpuszczasz... Idzie ci o złoto, srebro, perły i insze skarby, których pono tyleś nagromadził (wieleby gadać, jaką drogą!), iż korcem ich nie przemierzyć; ale chyba najwięcej o ten skarb żywy z czarnemi ślepięty... Słusznie czynisz. Cheiwość do bogactw ludzi ciągnie; trafiają się tacy, co cześć i zbawienie duszne dla nich gubią; ale wdzięki niewieście jeszcze silniejszą mają ponętę. Spojrzy człek na takie oto liczko piękne, na taką brew sobo-

lą, na kształty toczone, jakie nieprzymierzając -Bóg czy szatan (bo niezawsze piękność od Boga pochodzi) dał twojej dziewczce—i już po nim! W jedno oka mignienie z kretesem przepada, a przynajmniej, jeśli nie całkiem, to przepada jego spokój, jego rozum, myśl swobodna... Prawda Jaszku? Ty coś o tem bodaj wiesz?

— Każdy o tem wie pewnie — zamruczał młody Rawita posepnie.—A już nie grzech przyznać — dodał wyraźniej, głową kręcąc i poglądając na oponę, za którą Estera zniknęła—żem się z pięknością podobną nie spodziewał tu spotkać... Raryt nad wszelki wyraz, malowanie, dziwożona! I powiedzieć, że taki obrazek ma rodzicem poganina, Chrystusowego zaprzańca, starca zgrzybiałego, któren ledwie tchnie... Nie do wiary. Co, Ozer... zali Estera w samej rzeczy córką twoją jest? U was, Żydowinów, jako i u inszych pogan, we zwyczaju bywa dzieci chrześcijańskie chwytać podstępem, chować je w wierze wszetecznej i przeto dusze ich gubić, za co wam szatan wdzięczność okazuje, pomoc dając na każde zażądanie...—może tedy i dziewczka, którą córką nazywasz, takim dziecięciem jest?

Oczy Oзера zamigotały złowrogo, dłonią kościastą silniej ścisnął łaskę hebanową, ale natychmiast poryw gniewny uśmierzył i odparł spokojnie, chociaż baczne ucho w tej jego odpowiedzi mogło usłyszeć oburzenie tłumione:

— Cieszy mnie, że wielmożnościom waszym zdrowie czerstwe służy, bo tylko przy zdrowiu czerstwem człowiek dobry humor ma... Tak! tak! Bodajto usposobienie wesole... bodaj pogoda w sercu: wtedy żarty chętnie się człowieka trzymają, a nawet nie czuje on, że podczas są one dla kogo inszego przykre, bardzo

przykre, pierś szarpiące i krwi wzburzenie wywołujące...

— O żartach mówisz? Jam cale nie żartował— podchwycił Jaszko.—Pytałem, co mi domysł podsunął. Wszak nie zaprzeczysz, że dzieje się między waszem plemieniem, jakom mówił? Frymarczyście wy nietylko dziatwą chrześcijan, ale i dorosłymi chrześcijanami. Oczywiście, dopuszczacie się tego kryjomo, bo kara za to wielka spada, ale wszyscy wiedzą, że tak jest...

Ozer śmiał się, a raczej śmiejącego się udawał, przytem kłaniał się gościowi, mówiąc:

— Wolne żarty, waszej wielmożności! Wolne żarty! Nu, czemu nie żartować, nie krotochwilić, nie swywolić, gdy się lat na grzbiecie nie czuje, ani trosk, a do tego, gdy kto tak możnego rodu jest, jak wasza wielmożność? Rawici... aj! aj! przesławny ród... głośno o nim w całej Polsce... Rawita może sobie drwić ze wszystkiego, ze świata bodaj, tembardziej z biednego Ozera... Tak! z Ozera drwić waszej wielmożności wolno. Kto on jest? Żyd, niktzemny, wstrętny Żyd, a przecież Żyd w oczach prawowiernego chrześcijanina to nie człowiek, to stworzenie zapowietrzane, fałszu, obłudy i wszelkich uczuć najgorszych pełne. Tylko chrześcijanin jest człowiekiem, tylko dla niego Bóg stworzył świat, niebo, słońce, księżyc, i gwiazdy, i kwiaty piękne, i morza bezdenne, i rzeki rybne, i rozkosze wszelkie... Żyd zakałem tej ziemi jest — można nim poniewierać, plwać na niego, psami szczwać, urągać mu, ile się zmieści... On serca nie ma, ani duszy nie ma...

— Otoś się rozgadał, stary... — przerwał Ozerowi mowę zgryźliwą Skower. — Jadowisz się, jak gdyby-



śmy cię czemkolwiek skrzywdzili... Jaszko przecież powtórzył to, o czem wszyscy mówią, nie miał jednak zamiaru ci uchybić.

— A chociażby nawet uchybił, niesposób byłoby mi ująć się za sobą, bom Żyd—wtrącił Ozer, tonu rzekomo pokornego nie zmieniając. — Taki już los synów Izraela, żeby mu chrześcijanie na każdym urągali kroku... Woli Boga oprzeć się, ani sarkać przeciwko niej nie lża,—więc modlim się tylko w sercu swem: „Przyjmij, Panie, w uszy Twoje skargi nasze, wspomnij dolegliwości nasze. Rano ślemy Ci modlitwę naszą i będziemy wyglądali pomocy...“ Zresztą—wam, chrześcijanom, wszystko wolno: wy tu ojczyce, wy panowie, siłę macie, praw ochronę, a myśmy nędzni przybysze, tułacze, których jeno z łaski cierpicie.

— No! no! stary, nie wyrzekaj — zauważył Skower.—Co tu w oczy tuman puszczać? Nie dzieje się wam tutaj źle... Zarówno jak my, chrześcijanie, i wy macie praw ochronę, pamiętają o was królowie, książęta i senatorowie, bo zawdy wziąć się do nich umiecie, z mańki zażyć, tak opętać, że ku temu się składają, o co kołaczecie.

— Drogo nas to kosztuje: wszystko na wagę złota kupować musim, darmo nie dostajemy nic... — szepnął Ozer z goryczą, jakby do siebie.

— Takie czasy nastały, że wszystko opłacać trza—na to Skower. — Brat z bratem się rachuje, nietylko obcy, a jeszcze inowierca... Wszelako ty, Ozerze, masz sposób zdobycia, czego byś zechciał, bez żadnej zapłaty...

— O takim sposobie ani wiem—mruknął Ozer.

Uśmiechnął się Skower.

— Z cichapek jesteś, udajesz, jakobyś trzech zli-

czyć nie umiał. Gracz z ciebie! Gracz! A Esterka? Ona ci wszystko wykołace ślepięty swemi... Daj cię katu! Ja przynajmniej niebym jej odmówić nie potrafił...

— Urocziwa poganka!—dodał Jaszko.

— Gracz! Gracz z ciebie, stary krecie! — powtórzył Skower. — Przed mojemu oczyma nawet utaić ją potrafiłeś... Ba! wiesz ty, co robisz, świadom jesteś, że takie specyały przed ludźmi kryć trzeba.

— I pomyśleć, że taki kasek w nieczyste ręce się dostanie...—przydał Jaszko.—Gdyby chrzest przyjęła, łącno na królewski bodaj dwór się dostanie...

Kręcił się stary Żyd na miejscu, zżymał, wreszcie na chrztu świętego wspomnienie — cierpliwość go opuściła.

— Ostawcie w pokoju, dostojni rycerze, wiarę moją i dziecko moje, ani jedna, ani drugie nie wam nie przeszkadzają—rzekł głos podnosząc. — Zaszczyciliście dom mój odwiedzinami, zaszczyt ten cenię należnie i przyjmuję was, czem chata bogata. Bądźcie sobie radzi, pożywajcie na zdrowie słodkie owoce krain dalekich i z dobrą myślą krzeczcie się sokiem z gron szlachetnych. A może też raczycie mi wytłumaczyć: czemu zaszczyt odwiedzin waszych przypisać mam...

Przenikliwym wzrokiem gości świdrował to mówiąc, znać było, że jak najprędzej pozbyć ich się chce.

Skower ze zwierzeniem się nie śpieszył—popijał wino i Jaszka, który do poczęstunku inowierczego wstąpił, zachęcał:

— Pij, Rawito mój, małmazya osobliwego smaku, nieczęsto z takim nektarem się spotkać. Myśl rozjaśnia, niby światło jarzące, a krew grzeje niegorzej

ślepiąt nadobnej Estery. Pij, za przykładem moim, śmiało. Ozer blekotu do przedziwnego trunku nie domieszał, już ja ci powiadam.

— Żydowinowi na przysięgę nawet wierzyć trudno...—mruknął Jaszko.

— Srodze wielmożność wasza na wiarę naszą zawzięty—zauważył dwuznacznie Ozer.—Ha! trudno z takim uprzedzeniem wojować. Wierzaj mi jednak, wasza wielmożność, że Ozer wtedy jeno niebezpieczny jest, kiedy mu kto dobodzie, lub jeśli kto przeciwko spokojowi jego złe myślenie poweźmie...

— Sam przyznajesz, że niebezpiecznym być możesz? — ozwał się Jaszko, nieprzyjemnem ogarnięty uczuciem, bo zdało mu się, że w słowach Żyda uczuł zwróconą ku sobie groźbę.

— Najnikczemniejsze stworzenie broni się od krzywdy, jako może — odparł starzec poważnie.—Ale możebym się wreszcie dowiedział: co wasze wielmożności sprowadziło o tak spóźnionej porze? Domyślam się, że coś pilnego...

Skower po czole ręką przesunął, rozejrzał się bacznie i głos niższy, zapytał Ozera:

— Zali możemy tu mówić swobodnie, pewni będąc, że nas kto ciekawy nie usłyszy? Na tem, o czem gadać będziemy, pieczęć tajemnicy musi być położona. Rozumiesz?

— Stanie się wedle woli waszej wielmożności — schylił głowę Ozer. — A skoro ja powiadam, tak będzie...

— Pamiętaj!—przestrzegł Skower. — Możem tedy mówić tu bezpiecznie?

— Tak znacznej wagi sprawa? — zapytał stary, mierząc Skowra baczno okiem.

— Spodziewam się! — odparł zapytany. — Dla igraszki po nocybym się inaczej nie tłukł, chyba pewnym będąc, że od Esterki co skorzystam...

— Przypiął się wasza wielmożność do Ester, jak oset do jagnięcego runa, a to przecież dziecko jeszcze...—skrzywił się stary.—Ojcem jestem, nie przystoi mi takich rzeczy o krwi mojej słuchać nawet w krotchwili i gdybym miłości waszej nie znał...

— To co?—rozśmiał się Skower. — Odjąłbyś mi mowę, albo w inszy sposób skarcił moją trefność? No! no! Nie burz się, nie kwaś, nie odgrażaj, puszczyku. Nietajno ci, że byle pogróżki się nie ulękne i gdybym co w pomyśleniu miał, to osiągnę, chociażby mi wszystkie piekła trza było przechodzić. Zjedliśmy przecież z sobą, jeśli nie beczkę, to kilka ćwierci przynajmniej soli.

— Tedy i miłości waszej też nietajno, że od złego przypadku ustrzedz się potrafię—mruknął oschle Ozer.

— Zgodą! zgodą!—łagodził go Skower.—Dziewka obu nam się, mnie i Rawicie, setnie udała, nie osobliwego, że podczas obu nam przed oczy się nasuwa. Rad z tego być winienes...

— Mówmy lepiej o tem, co miłości wasze sprowadza — przerwał Ozer. — Uszy moje na usługi są wasze...

— W zaufaniu przychodzim do ciebie — począł Skower—i z tą pewnością, że nam wygodzenia nie odmówisz. Wszak zawodu nie doznamy...

— Z góry przyrzekać trudno...—bąknął Żyd uwa-

gę skupiając.—A może miłość wasza siły moje przecenia? Cłowiekiem jestem mizernym, bardzo niewiele mogę...

— Wiem ja, co możesz!—po ramieniu go poklepał Skower.—Zbierz myśli, rozważ, co usłyszysz...

Nachylił się do samego ucha Ozera i szeptał:

— Trza nam zaprawy do oreża takiej, żeby od najmniejszego draśnięcia śmierć zadała. Od draśnięcia, rozumiesz?

— Truczna?—powtórzył Żyd, na którego twarzy uśmiech pogardliwy zaigrał.

— Działać musi szybko i niewątpliwie, taką być, iżby od niej żadnego ratunku nie należć...

Ozer głową potrzasał.

— Strasznej rzeczy miłościom waszym potrza...— rzekł po chwili.—Truczna? Żle wasze dostojnoście się wybrali... Ozer do takiej sprawy ręki nie przyłoży.

— Nie pleć ladaczego!—rozśmiał się Skower. — Darmo przecież nie żądamy... Zapłatę weźmiesz, jaką sam naznaczysz.

Staremu lichwiarzowi oczy zapłonęły.

— Nie naznaczę nic, nie chcę nic—odparł.—Ozer z czystem sumieniem do grobu pójsć pragnie... W czem inszem chętnie waszym miłościom usłużę, ale w takiej sprawie... jako żywo nigdy. Słyszeć nawet o tem nie chcę...

— Nie droż się! Nie wykręcaj! Wiesz, z kim do czynienia masz...

Stary wciąż głową wstrząsał i rzekomo oburzenie okazywał.

— Wasza miłość niepodobienstwa ode mnie wymaga—mówił.—To prawda, że na ziołach i inszych le-

kach się znam, ale jeno na takich, co zdrowie przywracają. Trucicielstwo nie Ozera rzemiosło jest. Aj! aj! Jak wasza wielmożność mógł czegoś podobnego od Ozera zażądać?!

— Ile chcesz?

— Nic nie chcę! — trzepiąc obiema dłońmi opierał się stary.—Krzywdę wielką mi dostojności wasze czynią już samem posądzeniem, żem do takiej sprawy zdolny jest... Tego się na stare lata nie spodziewałem.

— Ile chcesz?—nie ustępował Skower, trzymając go za barki i w oczy patrząc bystro.

— Niech wielmożność wasza do kogo innego się zwróci. Ozer się w takie sprawy za nic w świecie nie wda. To brzydkie, straszne rzeczy są. Truczizna? Nu... wiem, że można jej dostać, ale nie u mnie... To gorzej niż morderstwo! Za taką zbrodnię Bóg ciężko karze, a i na świecie z trucicielami nie żartują...

— Z Bogiem sam się porachujesz — przerwał drwiąco Skower — a o to, żebyś tu, przed ludźmi odpowiadać miał, nie troszcz się. Żywa dusza wiedzieć nie będzie, żeś nam wygodę uczynił... Moją porękę ci daję, pewniejszej żądać nie możesz...

Ozer jeszcze przeczył, wymawiał się, oburzał i zaklinał, że trucizny żadnej nie posiada, a nawet pojęcia nie ma, jak się śmierć zadające dryakwie przyrządzają, co wreszcie Skowra do niecierpliwości przywiodło. Więc ozwał się stanowczo i groźnie:

— Słuchaj-no, stary, kogo ty oćmić chcesz? Po co te bałamuctwa? Masz, czego żądam, dać i tak się stanie. Ze mną nie przelewki!

Żyd oczyma wskazał Jaszka, jak gdyby powie-

dzieć chciał, że mu ten świadek niewczesny zawadza, Skower zaś, zrozumiałwszy, rzekł:

— O Rawitę bądź spokojny; ze mną jest, to dość. Zresztą, nie dla siebie, lecz dla niego żądam zaprawy jadowitej. Widzisz, żem szczerzy i ty zatem Bogu ducha winnego nie udawaj.

Jaszko, który zdumionemi oczyma to na Żyda, to na Skowra patrzył, ozwał się:

— Nie rozumiem zgoła, coś sobie w głowie ułożył... Dla mnie zaprawy śmierć niosącej żądasz? Na co mi ona?

— W swoim czasie zrozumiesz! — oburknał go Skower, a zwracając się do Oзера, dodał: — Nie przetrzymuj nas, dawaj, czego chcemy.

Żyd obłudę porzucił, odchrząknął, brodę pogładził.

— Nu, z waszą miłością trudno inaczej, jeno słuchać trza... Nu, ja dla miłości waszej gotówem uczynić wszystko, choćbym się narazić miał—tak waszą miłość szanuję... Ale proszę rozważyć, że to bardzo ślizga, bardzo niebezpieczna rzecz...

— Dobądź trzosa, Jaszku, zaraz mu śmiałości przybędzie — rozśmiał się Skower — A! bezecniku ty, nawet swego Mojżesza ze skórybyś obdarł, gdybyś mógł. Taka to już krew w nasieniu żydowińskim płynie...

— Każdy żyć musi — szepnął chytrze Ozer — a że my, Żydowie, o dostatki się staramy, w tem nie dziwnego niema: Żyd z pełną garścią jako tako na świecie biedować może, inaczej godziny niepewien. Wasza miłość dobrze to rozumie...

— Rozumiem, że pod słońcem nie należą duszy

równie tobie chciwej — przerwał mu Skower, a ciskając na stół trzos dobrze wypehany, który mu Jaszko podał, z pod kaftana go odpasawszy, dorzucił:—Naści! Chyba dosyć mieć będziesz za jakąś tam marną dryakew czy wywar... Ale pamiętaj, że ma być nieomylnie skuteczna, rażąca piorunowo i bez ratunku...

Ozer podniósł trzos, zawartość z niego wysypał, a chociaż poważną była, bo Jaszko zawdy przy sobie grosza sporo mieć lubił, jął się krzywić, po czole skrobać i wzdychać, co mu nie przeszkadzało każdą monetę wprawnem opatrywać okiem.

Znowu się kwasisz? — zgromił go Skower. — Bierz i podziękuj twemu rogatemu kmotrowi, że ci, ni stąd, ni zowąd, taką zdarzył gratkę.

— Wasza miłość raczył wspominać o zapłacie sowitej, a tu, jak widzę, bardzo mizerna...—bąkał Żyd. — Za taką przysługę słusznie się więcej należy... Zaprawa moja będzie pewna, nie zawiedzie...

-- Jeszcze się targujesz? -- zgromił go pogardliwie Skower.

— Muszę. Niech wielmożność wasza raczy wierzyć, że szczerze mówię. Zaprawa taka drogo kosztuje, bardzo drogo! Z rzadkich niezmiernie ziół, w dalekich, po za morzami, krainach rosnących, przyrządzona jest... Przytem, niech wielmożność wasza pamięta, że ja bezpieczeństwo własne ważę i... sumienie narażam. Dla nikogo nie uczyniłbym tego, jeno dla waszej miłości...

— Judaszowa w tobie krew płynie, łotrze, onego zdradliwego apostoła, co Mistrza swego i Boga zaprzędał... — ofuknął chciwca Skower. — Ano Jaszku: do-



rzuć mu tam co, albo przyrzeknij, bo z takim zatra-  
ceńcem inaczej ładu nie dojdziem.

— Wziąłeś, com miał, chociaż przeniknąć nie mo-  
gę jeszcze, na jaki pożytek... — rzekł niechętnie Ja-  
szko.

— Skarciłbym cię za nieufność winien i własne-  
mu twemu przemysłowi załatwienie się z kłopotem,  
któren ci tak doskwiera, zostawić — upomniał go Sko-  
wer. — Albo mi nie przecz w niczem, albo ręce od  
wszystkiego umywam. Masz wóz i przewóz.

— Ale bo każesz ręce Żydowinowi napychać  
z pustego już trzosa, jakże to może być?

— Słowo miłości waszej i cyrograf (dla pamięci  
tylko!) zupełnie mi wystarczą — podszepnął Ozer. —  
Jeżeli zaś miłość wasza życzy na czysto ze mną być,  
zadowolę się dodatkiem bodajby tego drobiazgu...

Wskazał na łańcuch złoty, który Jaszko, w ozdo-  
bach lśniących się miłujący, na piersiach nosił.

Ociągał się Jaszko, bo łańcuch nietylko był ko-  
sztowny, ale pamiątkę stanowił w rodzinie Rawitów—  
ostatecznie zgodził się w zastaw go dać, na dobrą  
oczywiście lichwę. Potem dopiero Żyd, nie przestając  
stękać i wzdychać, jak gdyby mu się krzywda wielka  
działa, po ową zaprawę zbójcecką się udał, a przyniósł-  
szy ją, wręczył Skowrowi, objaśniając go, jak z tem  
postępować należy.

— Ostrożność jak największą zalecam — dodał —  
taka bowiem moc w zaprawie utajona jest, że źdźbło  
jej najmniejsze, do krwi nietylko człowieka, ale każde-  
go stworzenia żywiącego wprowadzone, śmierć zadaje.

— O to właśnie idzie... — rzekł Skower, cho-  
wając przedmiot otrzymany, któren płynem był gęstym,

oleistym, brunatnej barwy, w kamiennej bańce, z szyjką woskiem zalepioną. — A pamiętaj, gdyby się okazało, żeś nas odrwił, lada czem zbywając, nie darowałbym ci tego.

— Ozer uczciwy człowiek — zapewniał Żyd — co powie, temu wierzyć można. Z każdym postępuje sprawiedliwie, wedle sumienia, tembardziej z takimi osobami, jak wasze wielmożności. Zapłatę wziąć musiałem, wszak samiście powiedzieli: dziś na świecie nic darmo... co jednak znaczy pieniądz wobec tego, że życie waże? Słowo waszych miłości mam, jako mnie nie zdradzicie; ale chociaż słowo rycerskie rzecz święta, przysiędze się równająca, zdarzyć się może, iż sprawa wyjdzie na jaw... Strach pomyśleć, coby wtedy było: zginąłbym bez ratunku!

— Dałbyś sobie radę, gdyby nawet się ujawniło, żeś nam jadu dostarczył... — rozśmiał się Skower.

— Aj! Aj! Niech wasza wielmożność o tem nie wspomina... — wzdrygnął się Żyd. — Na okrutne męki byłbym skazany niechybnie, a mienie, w krwawym czoła pocie zebrane, zagrabiliby sędziowie, jak swoje. Jedynaczka moja ostałaby sierotą i do tego w nędzy.

— Otrzymałbyś, co ci się z dawna należy — rzekł Skower. — A Ester... bądź pewny, że naleźliby się tacy, którzyby ją w sieroctwie rychle pocieszyli. Ja bym się tego z wszelką ochotą podjął najpierwszy...

— Ja też — dorzucił Jaszko.

Ozer usta zaciął i głowę zwiesił, by wyraz ukryć, jaki na twarzy mu się w tej chwili ukazał, goście zaś pobaraszkowali jeszcze nieco, wreszcie opuścili go, samego zostawiając.

Wtedy Żyd plunął za nimi po trzykroć i grożąc pięścią, rzekł nienawistnie:

— Oto ile was ważę, synowie Baala! naczynia pełne nieczystości! Gardzę wami, plwam na was i na całe pokolenie wasze! Bądźcie przeklęci, jako Kain bratobójca! jako Ananjasz i Zafira! Niech was ogień niebieski spali, jako spalił Sodomitów! Niech was trąd stoczy! Bodaj wam wnętrzości wypłynęły! Bodaj was ziemia pożarła, jako pożarła Abirona i Datana! Niech zgniją wszystkie członki wasze, od wierzchu głowy waszej aż do podnóża stóp waszych! Niech ciało wasze robactwo stoczy! Przeklinam was, a klątwa moja niech przywrze do was i wszystkich, do końca świata, pokoleń waszych, jak ta ślina moja przywiera do ziemi, po której stąpaliście! Tfu! Tfu! Tfu!

Wypowiedziawszy klątwę straszliwą, zgarnął ze stołu pieniądze i łańcuch od Jaszka otrzymany, następnie sunął zwolna do izby, w której zwykł rozmyślać i pracować, a znalazłszy się tam, jął na szalach wazyć złoto i tajemnymi sposobami czystość jego sprawdzać. Zajęcie przerwała mu córka.

— Rebe...—zapytała, wemknawszy do izby lekko, jak gazella, i dłoń białą na ramieniu ojcowskiem kładąc—co to za rycerze u ciebie byli i czego żądali? Rebe... dlaczego ty mnie przed ludźmi kryjesz i widokiem świata cieszyć się nie pozwalasz? Rebe... czyby mi się krzywda jaka stała, gdybym ja oczy moje widokiem rycerzy urodziwych napasła?

Ozer w pierwszej chwili brwi ściągnął i już miał słowa karzące na uściech, lecz gdy spojrzął na jedy-naczkę, gniew jego stopniał, jak topnieje wosk, pod

promieniami słonecznymi. Rozjaśnił tedy oblicze i rzekł łagodnie:

— Ester, dziecię moje ukochane, czynisz nierozsądnie, z takim uporem do świata się rwąc. Świat był bezpieczny dla córek Izraela, póki Izrael był jego władcą. Odkąd Pan rozgniewał się na lud Swój i czas pokuty wyznaczył, przez który to czas jarzmo wrogów znosić musim, świat bezpiecznym dla córek Izraela być przestał. Kryjąc cię przed nim—chronię od nieszczęścia, od hańby. Dokoła nas wrogowie, którzy na zgubę naszą, na krzywdę naszą, na pohańbienie nasze dybia. Niech ci to za odpowiedź wystarczy...

— Wrogami naszymi są chrześcijanie?—znów zagabnęła Estera, siadając u nóg ojca i kolana jego obejmując.—Czy wszyscy i dlaczego?

— Tak, oni są wrogami naszymi najzawziętymi—podjął Ozer zapalając się. — Oni i każdy, kto do rodu Izraela się nie zalicza lub zakonu jego nie wyznawa. Myśmy jeno ludem wybranym i ukochanym przez Pana, do nas winno, jak ongi, panowanie nad światem całym należeć i należeć będzie, gdy czas kary się wypełni, gdy zwyciężymy wrogów i stopę naszą na ich karkach postawim... Ta chwila nadejdzie — lecz aby nadeszła, trzeba w zakonie trwać i walczyć...

— Więc chrześcijan nawidzieć nie można?

— Żadną miarą! Nigdy! A jeśli nienawiści jawnie im okazać niepodobna, w sercu trzeba ją nosić. Jakże inaczej? Czy w walce zwycięża się przez miłość? Oko za oko! Krew za krew! Zab za ząb! Tak uczy zakon... Gdy przy tem trwać będziemy, dzień tryumfu nadejdzie...

Umilkł fanatyk i po chwili, rozechmurzając się, prawił:

— A! Był ci już Izrael blizki wyzwolenia swego, ale nie wytrwał. Działo się to, gdy w Susan panował Asswerus. Wówczas Izrael też wielkie ucieszenie cierpiał...

I zdarzyło się, iż w Susan mieszkał Żyd pobożny, imieniem Mardocheusz, z pokolenia Benjamina, co miał przy sobie synowicę, imieniem Ester, którą w bojaźni Bożej i znajomości zakonu Mojżesza wychował...

— Ester... to jak ja...—szepnęła dziewczyna.

— Jak ty, dziecko — potwierdził Ozer i mówił dalej: — Otóż... Ester Mardocheuszową wybrał Pan dla wyswobodzenia Izraela z pod jarzma wrogów, sprawił, że Asswerus, upodobawszy ją sobie, za żonę pojął i we wszystkim jej słuchał. Wrogowie nasi wtedy właśnie postanowili wytepić ród Izraela ze szczętem, pierwszy zaś miał zginać Mardocheusz. Asswerus dekret taki podpisał, lecz Ester, dowiedziawszy się o tem, zdołała go uprosić, iżby zgoła co innego przedsięwzięła... A naprzód namówiła go, by Mardocheusza kanclerzem swoim uczynił, co gdy się stało, namówiła go znów, by pozwolił Żydom zemścić się na wrogach.

I odpowiedział Asswerus Esterze królowej oraz Mardocheuszowi Żydowi:

— Napiszcie Żydom, co się wam podoba, imieniem mojem królewskiem, zapieczętowawszy list sygnetem moim.

I zawoławszy pisarzów i podpisków królewskich (a był czas miesiąca trzeciego, który zową Syban), napisano listy, jako był chciał Mardocheusz, do Żydów i do książąt, i do ekonomów, i sędziów, którzy byli przełożeni we stu i dwudziestu i siedmiu ziemiach, od Indyjczyj aż do Etyopiej — krainie i krainie, narodowi

i narodowi, wedle języków i pisem ich. Stało zaś w tych listach, żeby Żydzi wszędzie się gromadzili i zastawiali za dusze swe, a wszystkie swe nieprzyjacioły, z żonami, dziećmi, ze wszystkimi domy—pobili, wygładzili i korzyści z nich pobrali. A naznaczon był po wszystkich ziemiach jeden dzień pomsty: trzynasty, miesiąca dwunastego Adar...

Bieżeli podwodnicy prędcy, poselstwa niosąc, zaraz też wyrok królewski ogłoszono w Susan. Mardochesz zaś, wychodząc z pałacu, z przed oczu królewskich, jaśniał w szatach hyacyntowych i białych, na głowie miał koronę, na barkach płaszcz jedwabny, szkarłatowy, co zastępcę monarchy oznaczało.

Wszystko Susan weseliło się i radowało, Żydom nowa światłość zdała się wschodzić... I wszędzie, gdziekolwiek rozkazanie króla przychodziło, weselono się i rozgłośnie radowano; biesiady, uczty, tańce wyprawiano, a mnodzy innego narodu i sekty wiarę i ceremonię żydowską przyjmowali, bo przez tak jawną łaskę królewską na wszystkich padł wielki strach imienia żydowskiego...

Słuchasz-li mnie, Ester, i rozumiesz?

— Słucham i rozumiem, rebe — odparła córka, która istotnie z taką słuchała bacznością, iż zdawało się, jakoby oczy na uściech jego miała zawieszzone.

— Słuchaj tedy, dziecko, a przekonasz się, że wedle słów mędrca Pańskiego: „Pan przed zginieniem uprzędza pychę, a przed upadkiem duch się podnosi“—rzekł Ozer i tak rozpowiadał dalej:

— Dwunastego przeto miesiąca Adar, a trzynastego dnia, kiedy wszystkim Żydom zatracenie gotowano, bo nieprzyjaciele krwi ich pragnęli, za odmianą szczęścia,

Żydowie poczęli brać górę i mścić się nad wrogami swymi. I zebrali się po wszystkich miastach, miasteczkach i miejscach, by wyciągnąć rękę przeciwko nim, a nikt się im nie śmiał przeciwić, bo strach wielkości ich przeraził wszystkie narody. Sędziowie krain, książęta, ekonomowie, dygnitarze, którzy nad każdym miejscem i sprawą przełożeni byli, wywyższali Żydów, bojąc się Mardocheusza, o którym dowiedzieli się, że był najpierwszym u króla i wiele mógł. Sława też imienia jego codzień rosła i było jej pełno w uściach wszystkich ludzi.

Jakoż pobili Żydowie wrogów swoich porażką wielką, pozabijali ich, oddawając to, co oni im zamierzali uczynić. Powstała rzeź sroga: w samym Susan padło pięćset mężów, krom dziesięciu synów Amana Agadejczyka, głównego nieprzyjaciela ludu izraelskiego. Kiedy liczbę zabitych w Susan do króla przyniesiono, ten zapytał królowej Estery:

— Oto w mieście Susan zabili Żydowie pięćset mężów i dziesięciu synów Amanowych—czego więcej prosisz i co chcesz, abym kazał uczynić?

Na to królowa Ester:

— Panie mój, jeśli podoba się tobie, niech mają moc Żydzi uczynić to wszędzie, jak dziś uczynili w Susan. A ciała dziesięciu synów Amanowych niechaj zawieszają na szubienicach, gwoli pohańbienia ich pamięci.

Rozkazał król, aby się tak stało.

Gdy się zebrali Żydzi czternastego dnia miesiąca Adar, zabili w Susan trzystu mężów. Także po wszystkich ziemiach, które były pod mocą króla Asswerusa, zastawowali się Żydowie za dusze swoje, bili wrogów—prześladowców swoich, że padło siedmdziesiąt pięć ty-

sięcy mężów. A gdy przestali zabijać, postanowili, by dni zabijania były uroczyste, by w ich rocznicę zawdy na potem sprawować biesiady, uczyty, tańcowanie, wesele. Mardocheusz też porozysłał do wszystkich Żydów, zarówno do tych, którzy w krajach blizkich, jako i w odległych mieszkali, pisma, wskazując im dni czternasty i piętnasty miesiąca Adar za święte uważać i z czcią uroczystą obchodzić, iż w te dni pomścił się Izrael nad nieprzyjacioły swymi, a płacz i smutek obróciły się im w radość i wesele.

Tedy przyjęli Żydowie wszystko, co im był Mardocheusz nakazał. Od onego czasu dni te zowają się *Phurim*, to jest *Dni Losów*, a wszystko, co się wówczas działo, Mardocheusz spisał po chaldejsku i zamknął w księdze, co nosi miano Ester...

Co ucierpieli i co na potem odmieniono, przyjęli synowie Izraela na siebie, i na nasienie swoje, i na wszystkie, którzy na wiarę ich przystać chcieli, aby się żadnemu nie godziło bez święcenia strawić dni dwu pamiętnych, o których pismo Mardocheusza świadczy.

Teć są dni, których zapamiętanie żadne nie zagłodzi, i w każdym wieku, wszystkie krainy, po wszem świecie, obchodzić je będą. Nie masz zakątka ziemi, gdzieby dni Phurim nie były święcone od Żydów i od ich potomków, którzy do tego obowiązani są pod karą wielkiego grzechu...

Umilkł Ozer i palec wyprostowany do góry wzniosłszy, jakby oznaczając, że stamtąd na niedopełniających obowiązku przechowywania drogiej dla Izraela tradycyi kara spłynie, poglądał w zapatrzone w niego wielkie, czarne oczy jedynaczki, która z pożądlivością słowa jego pochłaniała.



— Uważnie-li słuchałaś, dziecię moje?—zapytał.— Będziesz pamiętała, na jaką pamiątkę prawowierni synowie Izraela dni Phurim święcą i czy rozumiesz, dlaczego ci o tem rozpowiedziałem?

— Każda twoja nauka, słowo każde, rebe, głęboko w pamięć moją wpada i trwale tam się przechowuje — odparła Estera. — Miód mądrości zawsze z ust twoich płynie a słodycz jego taka jest, że do każdego serca prawowierne go wsiąka. Zresztą jam przecież krew twoja i ciało twoje, jakżebym pomyslenia twego rozumieć nie miała?

Na posępnej twarzy starego chciwca wyraz roztkliwienia się ukazał, włosy krucze jedynaczki dłonią pogładził i czoła jej usty blademi dotknawszy, rzekł:

— Zaiste, tyś kwiat z posiewu mego serca, w tobie złożyłem promienie duszy mojej, one grzeją wysuszone przez lata kości moje i życie w mdłym już ciele utrzymują. Słusznie powiedzieli, Rawita i ów jego towarzysz, żeś najdroższym na świecie skarbem. Skarbem, pociechą i nadzieją... To też strzegę, iżby zły wiatr cię nie owionął, nie zwarzył serca twego, jak mróz warzy roślinki wątłe. A ty, dziecino, nie zawsze ojca swego słuchasz i do tego świata, przepelnionego wrogami Izraela, pociąg czujesz... Unikać go należy, stronić od niego—pamiętaj o tem...

Estera zamyśliła się.

— Rebe—zapytała po chwili - jak można od świata się odgradzić, kiedy żyć na nim musimy? Jak prowadzić walkę, na uboczu pozostając? Tego rozumieć nie mogę...

A Ozer na to:

— Światem dla matek i córek Izraela winna być rodzina, ognisko domowe, tam tylko od krzywdy i zakusów wrogów mogą być bezpieczne. Do walki przeznaczeni są mężowie i oni też ją prowadzą...

— I to dla mnie ciemne, rebe. Chrześcijanie władzę nad światem zagarnęli, w ich rękach wszystko, panami naszymi są, którym ulegać musim. Powiadasz: mężowie nasi walczą? Ja tego nie widzę. Wszak walka orężem się prowadzi, a my orężnie przeciwko chrześcijanom stanąć nie możemy. W jednej chwili wycięliby nas, wytępili tak, że śladu z Izraela na obliczu ziemi by nie zostało...

Ojciec gestem jej przerwał, oczy mu zapłonęły i namiętnie mówić począł:

— Mało masz wiary, a raczej rozum twój jeszcze nie dojrzał! Pan nie dopuści zagłady ludu wybranego, zapowiedział nam zwycięstwo, obrońcę, wybawiciela. Zjawi się Mesyas, a wtedy wrogi nasze w prochu przed nami tarzać się będą. Tak zgodnie mówią prooetwa. A co do walki... — tu oczy fanatyka żywiej błyszczeć poczęły — co do walki... tę można prowadzić nietylko orężem. Istnieją sposoby równie skuteczne, ale trzeba ich zażywać z węzową przebiegłością...

— Jakież to sposoby?

— Przedewszystkiem trzymać się w gromadzie, pamiętać każdemu nie o sobie jeno, lecz o wszystkich swoich; być uległym, pokornym, dobrodusznym, giąć się i kłaniać, a w sercu—nienawidzieć.

— Więc kłamstwo, fałsz?... — powtórzyła Estera w zamyśleniu.

— Inaczej być nie może. Z wrogiem każda broń dobra, co do celu prowadzi. A jeszcze trza wszelkie-

mi sposoby starać się o zagarnięcie dostatków świata. Bogactwo — to moc, to oręż najdzielniejszy i najpewniejszy. Winniśmy je posiadać, odebrać je wrogom, tą drogą wytrącimy im z rąk możność obrony, przyprowadzimy ich do bezsilności... Tak uczy i nakazuje zakon.

Estera nie zdawała się być jeszcze zupełnie przekonana.

— Wybacz, rebe, zawsze przed mądrością twoją głowę schylam, ale przecież i córki Izraela mogą coś zaważyć w walce — rzekła... — Sam mi opowiadałeś o Judyt, pobożnej i mężnej wdowie, córce Merasa, z pokolenia Symeona, która zmogła hetmana Assyryjczyków... Przed chwilą znów mówiłeś o Ester, a często wspominasz, jakie dobrodziejstwa, już za naszych czasów, spadły na lud nasz, w tym mieszkający kraju, także przez Izraelitkę, którą sobie król Kaźmirz upodobał... Gdyby tedy córom Izraela wolno było obcować z chrześcijanami...

Ozer nie dał jej kończyć — gwałtownie rękoma wstrząsnął i niemal gniewnie przerwał:

— Dosyć! Ani słowa więcej! Błuznierstwa z ust twoich płyną, pożądania grzeszne... Zdarza się istotnie, że przez niewiasty spływa na Izraela odrobina ulgi lub cień wolności, ale niewiasty owe sam Pan powołuje, technieniem swoim je obdarza... Niepowołane — giną marnie w sromotnem pohańbieniu... Pewniejszą jest walka podsycana nienawiścią, prowadzona tajemnie i podstępem. Żebrok nie podniesie ręki na możnego. Odbierzmy chrześcijanom tę moc, jaką daje dostatek, a wygrana będzie po naszej stronie... Wybij sobie z głowy, iżby lud wybrany mógł obcować z nimi. Nieczyści są: niema dla nich w sercach naszych kątki...

Odprowadził córkę fanatyk, gdy zaś odeszła, głową pokręcił i szepnął do siebie:

— Dziecko jeszcze, kusi ją świat, nęci życie... Szczęście, że oczy mam dobre i czuwam. Nie! nie! Krew moja nie ulegnie pokusom, do domu mego nie wtargnię hańba...

Uspokojony, znów się wziął do rozpatrywania otrzymanych pieniędzy za pomoc zbrodniczą, w której jednak nietylko nie grzesznego nie spostrzegął, ale był przekonania, że pomagając chrześcijaninowi do złego, spełnia obowiązek prawowiernego syna Izraela.

Nienawiść, od wieków podsycana, wytworzyć musiała stosunki potworne.

Ester zaś długo zasnąć nie mogła. Ojciec wciąż uważał ją za dziecko, lecz mylił się: grały już w niej uczucia i pożądliwości dojrzałej niewiasty. Gorąca krew Wschodu dojrzewa wcześniej. Ozer otaczał jedy-naczkę zbytkiem nawet, opływała we wszystko, zdało się, że jej chyba mleka ptasiego, jak mówią, braknie: ale duszno i ciężko jej było w ponurym świecie izraelskim, gdzie smutek panował, żal, rozdrażnienie i nienawiść do wszystkiego, co izraelskiem nie jest. Nęcił ją istotnie, i bardzo nawet, ów świat szeroki, gdzie panowała wesołość, gdzie ludzie bawili się, śmieli, kochali otwarcie, bez mściwości, bez nienawiści. Z zachwytem przysłuchiwała się opowieściom rówieśnic i zaufanych służebnych o dworach, na których piękne królowały panie, otoczone rojem niemniej urodziwych wielbicieli, którzy dla pozyskania ich serca kopje w szrankach kruszyli, a miłość wyznawali w rozkosznych, słodczy pełnych pieśniach. I kiedy w wyobraźni przed-

stawiała sobie to życie rozkoszne, promienne, wesołe, doznawała jakoby miłego omdlenia, dusza jej radaby na skrzydłach lecieć do tego ponętnego świata, rzucić się w jego wiry i na równi z córami chrześcijańskimi kosztować zakazanego dla niej szczęścia. Wtedy czuła żal do ojca, że ją tak pilnie strzeże, a Bóg Izraela, nakazujący nienawiść i zemstę, wydawał jej się strasznym i niesprawiedliwym; wtedy zapytywała siebie—długo jeszcze trwać będą na świecie tak okrutne stosunki, które jednych obdarzają wszystkim, a drugim cierpieć każą.

Duch jej buntował się — lecz nie zwierzała się z tem przed ojcem.

---

## II.

Korciła Jaszka ciekawość — więc skoro ze Skowrem domostwo Oзера opuścili, znów druba pytkami zaskoczył: jaki związek drogo opłaconą zaprawa z nim ma. Skower zaś i tym razem odpowiedź mu dał mglistą. Rzekł:

— Albo mi dufaj, albo wszystkiego poniecham i sam sobie z Jelitą radź, jakom ci już zapowiedział. Związek mieć musi, bo przecież nie wypróżniałbym ci trzosa po to, żeby żydowiński napchać. Rozum miej.

I zmieniając wątek rozmowy, dodał:

— Ale psiajucha stary dziewczki się doczekał caceanej. Ślina do gęby idzie, gdy się na nią patrzy! Taka i świętego na pokuszenie zawiedzie...

— Urodziwa bo urodziwa, ale nie dla nas... — mruknął Jaszko.

— Czemu? Dla nas wszystko uległe się zda. Mówisz inaczej, a inak myślisz. Oczymaś ją jadł i denarabym złamanego nie dał, że ci po głowie czmera. Przyznaj się? No, bo niepodobna, żebyś dla Halszki czystość ślubował. Temu nikt wiary nie da. Znają cię ptaku z chutności do dziewczek...

Jaszko nietylko się lubieżności nie wstydził, ale się nią chlubił, jak każdy, do czyjzego serca zgnilizna się dostała; tedy w tył rzucił przekrzywioną głowę i odparł:

— Halszka swoją drogą, a swoją każda insza. Jeśli mi się uda Jelicie ją odebrać i poślubić (a stać się to musi nieodmiennie i czuję, że się tak stanie), ani myślę przy niej warować jednej. Nibyto nie wiadomo, co ślubowanie znaczy? Wszakci królowie ślubują wierność małżonkom, a czy który z nich długo dotrwa? Jenó, widzisz, Skowrze, ta Ester, chociaż specyał jest i okrutnie mi się udała, nie będę o niej myślał. Plugawa w niej krew.

Skower zaczął się śmiać.

— Jakieżś ty! — zawołał. — Co z tego, że Żydowinka? Tu przecież nie o krew chodzi, ale o zabawę, do której krew nie ma.

— Zawdy to wstręt...

— Dla głupich. Wszakci królowie za miłośnice Żydowinki trzymali i korona im z głowy nie spadła? Na Kaźmirza wspomnij. On też Esterkę miał, a mimo, że krzyczano na niego za to, włos mu nie spadł, jeszcze Wielkim ostał...

— A prawda! — mruknął Jaszko, myślą uderzony.

— Widzisz—podszeptywał, jak zły duch, Skower. — Za żonę Żydowinkę pojąć... to insza rzecz: nie godzi się i srom dla rodu; ale gwoli uciechy znajomość z nią zabrać każdemu przystoi. Jeno, że z ową dziewczką Ozerową byłoby trudno. Stary ją pilnuje, dostępu do niej nie daje...

— Uwziąwszy się, można sposób na starego znaleźć—rzekł Jaszko, któremu coś po głowie chodzić zaczęło.

— Juścić w ostateczności można — przybąknął Skower—w każdym razie dużo byłoby z nim zachodu. Twarda bestya strasznie. Z dziewczką mniejsza. Z dziewczką, byle ją dostać w ręce, rada się najdzie...

— Tak uważam — bąknął Jaszko — że starego Oзера złotem skusić można. Cheiwy jest niezmiernie, co już w naturze żydowińskiej leży. Zapłacić mu dobrze, a krwi własnej sprzedać się nie zawaha...

— No, to spróbuj—rozśmiał się Skower. — Ester zachodu warta. Tylko, że ty, mizeraku, szczęścia nie masz do dziewczek. Nie mówiąc już o Halszce, ta możnego rodu jest, wysoko patrzy, zresztą swego ma: ale tobie nawet z prostą koniuchówną się nie wiedzie. Przysunąłeś się do Petruchny i cóżeś zyskał? Po skórześ oberwał i sromu najadł. Tylebyś pewnie i u Ozerówny wykukał...

Zaperzył się Jaszko srodze.

— Ino mi nie przytykaj i oczu przekłętą Petruchną nie wykałaj... Sięgnę ją jeszcze. A co się tyczy Ester... gdy zechcę—i ją dostanę.

— Ja ci przeszkadzać nie będę, ale w wątpliwość to podaję. Mówię: szczęścia nie masz i... do rzeczy się nie umiesz brać.

— Umiem albo i nie umiem, to się pokaże... —  
mruknął Jaszko.

— Oho! może naprawdę w głowie ci utkwiała?

— Może...

— No, to szczęścia ci życzę. Dopierobyś Oze-  
rowi figla wyplatał, a jeszcze, żeby mu tak wnuka  
ochrzcić... Ha! ha! Jaszku, co? Wściekłyby się stary!

Aż się pod boki wziął ze śmiechu, lecz po chwili  
zaprzestał żartów i ozwał się poważniej:

— Jak będzie: czy z twoich przechwałek korzyść  
dla siebie wyciągniesz, czy też pokrzywę z niej wyro-  
sną, które ci znów pęcherzy na skórze przysporzą, to  
się obaczy. Na później trza to ostawić, bo teraz co  
inszego jest do roboty. Halszka—z nią skończyć na-  
przód musisz, inaczej cię Jelita ubiegnie.

— Eh! dla dobrego kuchty odrazu dwie piecze-  
nie upiec nie sztuka!—buńczuczyl się Jaszko. — Trzy  
niedziele mamy przecież...

— Przemkną one w oka mignieniu, bo przygoto-  
wać się trza należnie. Prawda, że w tem ja najwię-  
cej głowy sobie nałamię, ale i ty coś swego dołożyć  
musisz.

Szli czas jakiś milcząc, wreszcie Jaszko zapytał:

— Mój Skowrze, wierzę ja w ciebie, polegam  
jako na prawicy własnej, jeno nie mogę w rozumie  
swoim dojść, jak ty to wszystko uładzisz? Żebyś cho-  
ciaż słowo rzekł, a tak - ciemny jestem...

— Więc powiem—odparł Skower.—Przedewszyst-  
kiem Jelity zbyć się trza. To uczyniwszy i krzywdę  
powetujesz, i drogę sobie do Halszki otworzysz. Do  
pozbycia się Zbigniewa zaprawa Oзера nam pomoże,



a jak z Halszką będzie... jeszcze nie wiem. Byleś ją posiadał i dość.

U Belinowej, dokąd po konie wrócić musieli, mimo że już dniało niemal, w najlepsze jeszcze się zabawiano. Wszystkim biesiadnikom dobrze w czuprynach czmerało, a ten i ów chrapał, to o stół łokciami wsparty, to gdzieś pod ławą. Skower pachołkom do drogi przygotować się kazawszy, szedł gospodynię pożegnać, która z żalem tę wiadomość przyjęła i zatrzymać go chciała.

— Jakże? Już jedziesz? Co takiego się stało? — rzekła. — Rawito! niepocziwe chłopię, twoja to sprawa... W zachowaniu mam cię i zawdy po twojej stronie staję, gdy się na ciebie cipają, a ty mi za to odbieraniem gości miłych się odpłacasz? Takiś przewrotny! Takiś wdzięczny! Zapamiętam to sobie. Nie puszczę Skowra, ani ciebie, żebyście wiedzieli. Bramę zamknąć każę. Słyszał kto, po nocy się tłuc? Nie puszczył!

Piąstką drobną o stół uderzała, w oczy Skowra patrząc zalotnie i powtarzając:

— Nie puszczył!

— Nie będziecie tak sroga, Belinowo nadobna — na to Skower. — Wypadło nam tak, że jechać musim. Na to rady niema. W tak miłej gościnie człek siedziałby do zdechu, ale... niezawsze można chceniu swemu dogodzić. Zresztą nie na kraj świata jedziem. Jeszcze się wam tak uprzykrzym, że nas gwałtem wypraszać będziecie musieli...

— Czynię to z gośćmi, gdy mi dojedzą, wyście zaś mi dziś nie dojedli. Zabawę psowacie wyjazdem, ja właśnie bawić się chcę...

— Macie tu innych podostatkiem... — uśmiechnął się Skower.

— Dobrzy inni, ale z wami różnie będzie. Ostańcie. Bo i co was stąd wypędza?

— To już pomiędzy nami przechować się musi. Skrzywiła usta piękna Barbarka.

— Patrzajcie! Tajemnice... — rzekła uszczypliwie. — Może Rawita znowu jaką Petruczynę upatrzył?

— Do tego niepodobny — rozśmiał się Łuba.

— Każdy z nas podobny do tego — zauważył Grzymała z Trzciany — krew każdy ma w żyłach, nie wodę. Bywa przecież, że od niewiast szaleństwo na najmędrsze głowy spada...

— Słaba taka głowa musi być — rzekł Skower.

— Niezawsze — zaprzeczył Grzymała. — Dowód mamy najlepszy na Świdwie Wężu...

— Aha! O tym z Rokitnicy mówicie, co to świat cały pono zjeździł? — zapytała Belinowa.

— O nim — potaknął Grzymała. — Jeździł on po świecie, aż sobie szaleństwo wyjeździł, chociaż rozum ma całę niesłaby, bo co do mądrości — z biskupem bodaj Zbyszkiem może na wyprzódki iść. A bieda spadła na niego przez niewiastę...

Belinowa poruszyła się i żwawo zapytała, widocznie zaciekawiona:

— Doprawdy? Przez niewiastę? Rozpowiedźcież Grzymało, warto chyba tego posłuchać.

— Nie to osobliwego — wtrącił Skower — takich szaleńców spotkać można co krok; póki niewiast na świecie, póty też ich nie braknie.

— Skorośmy takie, po co do nas ciągnięcie? — nadała się rzekomo wdowa.

— Nie ciągnęlibyśmy, gdybyście nas nie kusiły. Od czarnego anioła, w rajskim ogróju, Ewa pożądliwość kuszenia przejęła i całemu rodowi białogłowskiemu przekazała. Dobrze wam z tem, ale nam, ale całemu światu—bieda...

— Nie trafiłeś Skowrze — zauważył Łuba—bo przecież bywa, że i niewiasty z miłowania w szaleństwo zapadają. Nie rybia w nich krew!

— Nie rybia, ale żadna z nas tyle chuci jurnej nie ma, ile wy—przerwała Belinowa. — Ten was kupi za jagnięta niewinne, kto was nie zna, jeno nie ja... Ale poniechajcie przeciwnia, niech Grzymała o tym Świdwie gada. Jakże z nim było?

— To całkiem człek cudaczny—począł Grzymała.—Złego mu zarzucić nie nie można, bo z rodu przeznaczego idzie, pocziw jest, słuszności zawdy się trzyma, o Bogu pamięta, w dostatki opływa i rycerz z niego nielada, ale... nadto mu się mądrym być zachciało, stąd głównie nieszczęście na niego spłynęło. Od małości w księgach ślęczał, jak gdyby na mnicha się kierując i mniemano, że bodaj biskupem ostanie. Ale on o tem nie myślał. Naczytawszy się wszelakości różnych, w obce kraje pojechał. Tam rycerską sławę zyskał, ale rozum stracił, bo najrzawszy gdzieś jakoweś liczko — na zabój się rozmiłował, nie wiedząc nawet w kim. Jeno raz jedyny widział oną piękność, daremnie potem jej szukał. Inszy splunąłby i zaniechał — on nie. Oko jedno złota kawalcem sobie zasłonił i ślubował, że póty go nie odstłoni, póki umiłowanej nie najdzie. Szukał jej po całym świecie i szuka po dziś dzień—nie z tego. Do pogan zajechał — i to daremnie. Lutnistę z sobą cudzoziemskiego wozi, który mu pie-

śni tkliwe dniem i nocą o miłowaniu zawodzi, a on słucha, wzdycha i płacze. Taki z niego. Zresztą mąż całkiem k'rzeczy, wiele dobrego czyni.

Belinowa słuchała z zaciekawieniem, gdy zaś Grzymała skończył, spytała:

— Patrzajcież! I oko wciąż ma zasłonięte?

— Od lat wielu go nie odsłania.

— Cudak iście, prawda!—dziwiła się Belinowa.— Radabym go obaczyć kiedy...

— Nietrudno o to — rzekł Grzymała. — Teraz w Krakowcu siedzi, bo się do pocztów królewskich zaciągnął... Przy sposobności wskażę go wam chętnie..

— Znacie się z nim?

— Oddawna.

Zamyśliła się Belinowa i po chwili znów rzekła:

— Bardzom rada tego cudaka poznać... I taki twardy, że na żadną nie pojrzy, jeno swojej szuka?

— A tak. Wybyście go nawet, Belinowo nadobna, na pokuszenie przywieść nie zdołali, tak mu tamta głębooko w sercu utkwiała...

Uśmiechnęła się wdowa znacząco i przeciągając się wabnie, jak kotka, rzuciła:

— Myślicie? Opartłby się pokuszeniu?

— Pewnie.

— No, to postarajcie się tu go kiedy przyprowadzić, a spróbuję jego twardości—rzekła półzartem.— Odmiana będzie w zabawie.

— I wstyd, jeśli nie nie wskóracie — dodał szyderczo Skower. — Radzę wam, lepiej próbowania poniechać.

— Nie twoja głowa—rozśmiała się Belinowa. — Ino niech Grzymała go sprowadzi.

— Postaram się i może sprowadzę, bo od ludzi nie stroni.

Uczepiła się myśli zbałamucenia Świdwy kapryśna niewiasta i wciąż o niego rozpytywała: a jaki oby-  
czaj ma? a co lubi? a do czego nawykł? — to zaś jej  
zaciekawienie pozwoliło Skowrowi wymknąć się z Jasz-  
kiem swobodnie.

W drodze do Słupcy, włości ojca Jaszkowego, mało z sobą gadali. Rawita jeno kilkakroć Skowra zapewniał o swojej wdzięczności, jeśli mu pomoże do pomsty nad Zbigniewem i dostania Halszki; Skower zaś odpowiadał, iż wdzięczności nie żąda, bo z przy-  
jaźni to uczynić postanowił.

Tak powiadał w głos, a w duchu drwiąco mówił:

— Wierz w to, a zbawion będziesz! Głupcze...  
myślisz, że dla twoich pięknych ślepiów będę się do  
czego brał? Jeszcze mi się we łbie nie pokiełbiło...  
Dobrze mi zapłacić musicie!

Bowiem przemyślna była z onego Skowra sztuka. Włócząc się po krainie polskiej, do Rawitów przyl-  
gnął nie bez ważniejszego powodu. Był, jak się rze-  
kło, obieżyświatem, z dnia na dzień żyjącym, a wygo-  
dy lubił. Poznawszy Rawitów i w ich stosunkach się  
rozejrzawszy, tego przekonania nabrał, że z nich ko-  
rzyść znaczną wyciągnąć można. Dlatego starał się  
ich ująć, stać się im potrzebnym, czego też wkrótce,  
pomagając im w grabieżach i inszych nieuczciwych spra-  
wach, dopiął. Ufność zyskawszy nieograniczoną, był  
u nich, jak w domu własnym, a przytem część z zy-  
sków nieuczciwych na niego, jako na pomocnika, spa-  
dała. Inny na tem poprzestałby, Skower jednak da-  
lej sięgał.

Miał Łukasz, ojciec Jaszków, siostrę Kingę, której Grot włości znaczne, klejnoty nader kosztowne i wiele dobra wszelakiego przeznaczył, w dniu kiedyby zamąż szła. Trzydzieści lat minęło Kindze, a jakoś nikt się do jej ręki nie kwapił, chociaż cała była gładka, a to z przyczyny, że ojciec, brat i siostrzan ludzi od gniazda i rodu swego odstręczali. Owóż Skower umyślił ją za małżonkę pojąć i tym sposobem możność życia dostatniego, bez troski, sobie zapewnić. Zadanie wszakże było niełatwe: Rawici go upodobali, przypadł do ich natury, poddawali się jego wpływowi, rad słuchali, nawet w domu gospodarzyć pozwalali jako chciał, ale gdy, tem ośmielony, napomknął żartobliwie, dla próby, o zamiarze—w oczy mu się rozśmieli. Ozwał się wówczas Łukasz:

— Co ci w głowie? Po kaduka masz się w jarzmo wprzęgać? Teraz wolny jesteś, by ptak i opływasz we wszystko... Jeżeli zaś chcesz koniecznie swobody się zbawić — indziej żony szukaj, my Kingi tobie nie damy... Chłop jesteś na schwał, ani słowa, serce do ciebie mamy, ale nie wiemy, skądęś się na świecie wziął. Rawici do związków—rodowi swemu krwi odpowiedniej potrzebują! Siedz u nas do zdechu bodaj, jako druh, kąta ani chleba ci nie żałujem, ale w pokrewność z tobą wchodzić nam nie lża, chyba, że ród swój i dostatek wykażesz.

Taką odprawę otrzymawszy, Skower już więcej Łukasza nie zaczepiał, ale zamiaru nie poniechał.

— Czekaście! Z innej zajadę was strony, wtedy Kingę mi z pocałowaniem ręki dacie.

Jakoż nad tego zamiaru urzeczywistnieniem usilnie pracować począł.

Ułożył zaś sobie, żeby wszelkich spraw Rawitów tajemnicę posiąść, oplatać ich zewsząd mocą swego wpływu, w taką matnię wprowadzić, z którejby bez jego pomocy wydostać się nie mogli—słowem, tak nad nimi zapanować, iżby od słowa jego ich zguba zawisła.

— W garści, jak trznadli, trzymając pyszałków żądanie ponowie, wówczas na swoim postawie — obiecywał sobie i pewnośc miał, że się nie łudzi, jako zamysłów dokona pomyślnie.

Będąc silną obdarzony wola, przytem umysł posiadając bystry, przenikliwość nadzwyczajną i jeszcze potrafiąc milczeć, a mówić tylko kiedy potrzeba i jak potrzeba, Skower z dniem każdym do celu się zbliżał, niepodejrzewany przez Rawitów. Owszem, coraz większe zaufanie ich zyskiwał, wierzyli mu na ślepo i tak do niego przywykli, że gdy mu wypadło gdzie jechać, ledwie go puszczaali od siebie.

Trza zaś dodać, że wyjeżdżał często, przesiadywał dłużej lub krócej, nigdy nie zwierzając się, gdzie dąży. Zapytywany, byle czem zbywał, łącno wszakże można było się domyśleć, że jakieś pokątne sprawy ma, bo przyjeżdżali do niego ludzie podejrzeni, często w nocy, z którymi się zamykał i w największej skrytości narady prowadził...

Jakkolwiek tajemnicą się osłaniał ścisła, Rawici się do niego nie zrażali i dziw, że tak mu ufali. Wiedział tedy o ich związku z Melsztyńskim, o uwięzieniu Hocza, o zamysłach co do Halszki i Zbigniewa. W tej ostatniej sprawie spodziewał się znaleźć sposób zupełnego owładnięcia Rawitami, przymuszenia ich do oddania mu Kingi z całkowitą jej oprawą.

Jak piękna Ozerówna w głowie Jaszkowej utkwi-

ła, mimo, że na karku miał sprawę załatwienia się ze Zbigniewem, tak też w głowie Belinowej utkwił niewzruszony w uczuciach dla jakowejś nieznanym Świdwa Wąż. Wciąż domagała się od Grzymały, żeby obietnicy dopełnił i z tym osobliwym rycerzem ją zapoznał. Grzymała rad był wdowie się zasłużyć, ale w danym razie żądaniu jej zadość uczynić nie mógł, bo Świdwa czas dłuższy z towarzyszami w Ossolinie się zatrzymał, sprowadzać go zaś stamtąd przez gwałt, jakby dla nadzwyczaj ważnej potrzeby, żadną miarą nie wypadało. Zatem tłumaczył się, wymawiał, jak mógł, nadmieniając żartobliwie:

— Toć na cierpliwość się zdobądźcie. Węza teraz, powiadałem to wam, w Krakowie niema, ale skoro wróci, przyprowadzę go wam, bodajby przyszło za grzbiet go ciągnąć.

A na to wdowa kwaśno i z dąsem:

— Jam do cierpliwego wyczekiwania nie stworzona; taką jestem, że co sobie upodobam, w oka mignieniu muszę mieć...

— Niewszystko od woli człeka zależy, niekażde pożądanie zadowolić można. Chyba wierzycie, że kto-jak kto, ale ja radbym wam z całej duszy służyć... Cóż kiedy możność dobrym chęciom nie wystarcza...

— Bo takie to są dobre chęci! — przerwała mu Belinowa szparko. — Do obietnic wszyscyście jedyni, ale gdy przyjdzie je spełniać, jużci was niema. Chwacie wtedy piękne słowa, jak ślimak w skorupę rogi. To nie nowina...

— Ejże, Barbaro nadobna, nie sroźcie się bez słuszności. Zawdy na słowie staję i tym razem dotrzymam. Przekonacie się—zapewniał Grzymała. — Ale



też dziwuję się — dodał z uśmiechem—że was ciekawość tak przyparła! Pełna gorącości z was niewiasta, to prawda, wszelako do nieznanego chęć taką powziąć, to mi się w głowie pomieścić nie może... Miarkuję, że chyba go znacie i jeno znajomość odświeżyć pragniecie...

Oburzyła się Belinowa.

— Otóż nie trafiliście—odparła.—Gdybym go znała, nie potrzebowałabym go przez was do siebie sprowadzać, bo samby przyszedł. Tem się pochwalić mogę, że ludzie ode mnie się nie odwracają.

— Juści! Juści! — przytaknął Grzymała, chociaż w duchu co innego pomyślał.—Chyba ślepy albo zgola szalony do was nie ciągnąłby, raz poznavszy. Lep macie w sobie miodowy, wabia jakiegoś, że człowiek rozum traci...

Tu westchnął, dłonią machnął, głową potrząsł i po chwili rzekł:

— Przyrzekłem wam onego Świdwę sprowadzić, więc słowa dotrzymam, wszakci zda mi się, żem przyrzekając — głupstwo zmalował...

— O! o! już się wykręcacie...—nasrożyła się znów wdowa.—Ino popróbujecie obietnicą mnie zbyć, mielibyście się z pyszna. Na oczy widziećbym was nie chciała. Rozumiecie: rozbrat wówczas z nami i wojna na wieczne czasy!

Pogroziła mu cale bez żartów.

— Oho!—rozśmiał się Grzymała. — Okrutnieście się na Węża zawzięli... Ano... niechaj będzie Wąż. Pomyślenia nawet nie miałem od przyrzeczenia odbiegać: słowo się rzekło. Jeślim napomknął, żem głupstwo zmalował, to dlatego, że kalkuluję sobie: czy

wszystkich faworów na onego Węża nie zwrócić, ze szkodą nas, dawnych druhów? Przypuszczać to można, bo, wybaczcie, w upodobaniach okrutnie jesteście zmienną. Dziś na człeka patrzycie tak słodko, że serce taje, niby lud od słońca, a jutro już wiatr z inszej wieje strony...

Belinowa ząbki pokazała białe w uśmiechu wabnym i przesywając Grzymałę wzrokiem palącym, rzekła:

— Słyszac was tak mówiacym, myślałby kto, że mocno wam o moje łaski idzie...

— A któremu z mężczyzn o łaski białogłowy nadobernej nie idzie? Jeszcze się taki nie urodził na świat. Macie Łubę: łeb mu się ze starości trzęsie, a przed wami, o latach zapomniawszy, tańcuje... Jam od innych nie odbiegł, tedy niemile mi pomyśleć, że taki Wąż niepodzielnie was zabrać dla siebie może... Tem się tylko pocieszam, że Wąż w postanowieniach swoich stały jest i nawet najwdzięczniejsza pokusa do złamania ślubu go nie przywiedzie.

Ujęła się Belinowa pod boki i patrząc na mówiącego drwiąco, zapytała:

— Alebyście za niego poręki nie dali?

— Dałbym—odparł z przekonaniem Grzymała — dałbym z dwóch przyczyn. Raz, że znam Świdwę, jako u niego słowo murowane, na którym, niby na opoce, polegać można; a powtóre, że tu mielibyście nie ze zwykłym słowem do czynienia (choć człowiek prawy i rozumny miarkuje, co z ust wypuszcza, a wypuściwszy, waruje pilnie, żeby w tem dotrwać), lecz mielibyście do czynienia ze ślubem rycerskim, którego

złamanie sromotę przeniewiercy na całe życie przynosi. Oto w czym rzecz.

Wdowa na ławie kołysać się zaczęła.

— Takżeś powiedział!—rzuciła mu z lekceważeniem, usta sznurując. — Przed ołtarzem ludzie śluby składają, a przecież niezawdy dotrzymują...

— Człowiek człowiekowi nie miara: jeden Bogu, a inszy dyabłu świeczkę pali...

— Nieboszczyk król temu i tamtemu palił i... dobrze mu z tem było...

Rozśmieli się oboje, na przypomnienie zabobonu zmarłego pana, Belinowa zaś podjęła:

— Ale tak prawisz, jak gdybym się na cnotliwość onego Węża bez zmiłowania zawzięła...

— Bo chyba nieinaczej, jeśli się go tak usilnie domagacie.

— Właśnie, że inaczej — zaprzeczyła z uporem wdowa.—Domagam się go i poznać chcę, dziwy o nim takie słysząc. Wszyscyście się mi, których znam, przejedli, boście jeden w drugiego na to samo kopyto: suszydzbany, kostery, pochlebcy, fałszywcy.

— Nawet Skower? — wtrącił nie bez złościwości Grzymała.

Rączkami zatrzepała wdowa.

— Skower... Skower...—powtórzyła.—W tym katwie, co siedzi. Tak się zakrywa, jakby się bał, żeby nie dojrzeć, co za kołnierzem nosi. Zresztą i jego mam dość, radam coś nowego naleźć, a właśnie przeczuwam, że Wąż nowością dla mnie będzie. Okrutne teraz na prawdziwych mężów bezrybie.

— Nie grzeszcie, Belinowo nadobna! Taką mową odstręczyć sobie ludzi łącno...

— Oj! oj! Powszedniego towaru na lada rynku nie zbraknie...

— Kąsacie, by osa—westchnął Grzymała.

-- Niechaj osą będę, a wy mi Węża najprędzej dajcie. Przyrzekliście — dotrzymajcie, inaczej kwita z drużby.

— Przyrzekłem i dotrzymam, ale baczcie, żebyście się nie sparzyli...—przestrzegł Grzymała.

— Wy na moją sparzeliznę dmuchać nie będziecie—odcięła się wdowa ostro.

Mężczyła Belinowa Grzymałę przez dwie niemal niedziele o przyprowadzenie Świdwy, na co Grzymała jeno zalecaniem cierpliwości mógł odpowiadać, bo pożądaný rycerz zasiedział się był z towarzyszami w Ossolinie i dopiero po dwóch niedzielach do Krakowa wrócił. Skoro jeno przyjechał, Grzymała, ustawicznym nagabywaniem trapiony, niezwłocznie się do niego przysunął, chwilę właściwą upatrzawszy.

— Mój Świdwo—rzekł frasunek udając (bo usposobienia był krotochwilnego)—za jakie grzechy biedęś mi na kark sprowadził? Zalim ci w czem winowaty? I do tego sprowadziłeś, a sam pojechałeś bując gdzieś po świecie. Przyznaj, że się tak nie godzi z druhem i broni towarzyszem postępować...

— Coś nowego Grzymała wymyślił — zauważył Zbigniew.

— U Grzymały nie osobliwego coraz nowe wymysły — uśmiechnął się Świdwa. — Zdarz Panie Boże każdego taką głową bez troski i do wesołości pochopną.

— Ale ba! do wesołości—powtórzył Grzymała krzywiąc się uciesznie. — Właśnie mi teraz wesołość w głowie... Zmora mnie przez ciebie, Świdwo, od dwóch niedziel

trapi, a ty w żart to obracasz, zamiast się uzalić i pomóż od niej uwolnić, chociaż twoje to prawo, kiedyś ją nasłał...

— Snać miód i wino w Krakowie nie straciły swej mocy w czasie naszej nieobecności—wtrącił Sulima. Poprawił się Grzymała na ławie.

— Co tam miód i wino, tu o gorszą rzecz idzie, bo o białogłowę...

Śmiać się zaczęli obecni.

— Zaś!—ozwał się Zbigniew.—Czyby i na ciebie przyszła kreska? Należało ci się oddawna, boś, zwodniku, siła nabroił.

— Jaki ja tam zwodnik! Tylem grzeszny, ile nowonarodzone dziecko. Jeśli komu zwodnika miano przystoi, to Świdwie. Nie darmo *węża* ma w powołaniu...

— Coś z daleka zachodzisz i nadto ostrożnie stąpasz — rzekł Świdwa zwykłym swoim pieściwym głosem — a przecież kto oskarżenie rzuca, świadectwo winien dać...

— Słusznie — powtórzyli Zbigniew i Sulima — świadectwo dawaj, inaczej musisz, jak każdy fałszywiec, oskarżenie z pod ławy odszczekać...

— Jako żywo do tego nie przyjdzie!—pochwyił Grzymała. — Macie świadectwo, że Wąż zwodnik, niezbite, jeśli nawet Barbarze z Tokarzewa, wdowie po Petrku Belinie, głowę zaprzatnął...

Nowym śmiechu wybuchem przyjęto owo świadectwo rzekome, a Sulima ozwał się:

— Nie udała się krotochwila mój Grzymało! Świdwa i Belinowa? Toć jak kwiat do kożucha przypiął..

— I skądeś się na coś podobnego zdobył? Ską-

deś taką nowinę wykopał? — dodał Zbigniew. — Wiadomo, że częstym gościem u onej gładkiej wdowy bywasz, ale przecież Świdwy noga w jej domu nie pozostała...

— Sprawiedliwieś powiedział, Zbigniewie: nie pozostała i nie postanie — potwierdził Świdwa. — Wstręt czuję do niewiast, które życie sromotne pędzą. A toż u Belinowej, słyszę, takie rzeczy się dzieją, że wstyd powtarzać...

— I ja nie chwale ci tego, Grzymało — wtrącił Sulima — że z nią przestajesz. Niechby się gubił, kto nie do stracenia nie ma, ale ciebie szkoda. Pocziw jesteś, ino nadto miękkie serce na ponęty niewieście masz, to cię na manowce pchnąć może.

— Et! Był wilk w sieci i przed siecią! — odparł, junacko głową wstrząsając, Grzymała, — Żyje się nie za piecem a między ludźmi, pomiarkowanie jest, tedy niełaeno się dam, choćby w zastawione sidła złowić.

— Mów wilku pacierz, a on: „Owca, baran! Baran, owca!“ Tak i ty. Ja ci wszelako dobrze radzę, iżbyś z takimi, jak Belinowa, się nie wdawał.

— Co mi się przez to może stać? Co stracę?

— W oczach ludzi stracisz. Bo to widzisz: smak potrawę, a obyczaj człeka pokazać ma.

Na to Grzymała, czuprynę rozwichrzoną poprawiwszy, rzecze dobrodusznie:

— Mili towarzysze, o Belinowej więcej gadają, niż jest. Gadka niesie: kiedy się stary z młodą ożeni, bywa jakoby do starego wozu szalone konie założył. Belinowę też za starego Petrka wydali musem, chociaż się modliła, aby tego nie czyniono, bo woli do niego żadną miarą nie mogła powziąć, jako zaś młoda,

pragnęła świat z jego uciechami poznać. Petrek obchodził się z nią... żał się Boże jak—i stało prawdziwie było jakoby starym wozem w szalone zaprzężonym konie, o co Barbarki obwiniać nie lża. A że zbywszy się starego, lata przy nim stracone chce sobie nagrodzić i życia kosztuje,—w tem również nic dziwnego ani zbrodni nie widzę. Należy jej się to, w kwiecie wieku jest i ma z czego używać...

— I używa! Używa zgorszenie szerząc! — mruknął zgryźliwie Sulima.

— Tak oną wdowę bronisz, jak gdybyś się w niej bez pamięci rozmiłował—zauważył Zbigniew.—A może?

Szczerze wam powiem: smaczny kąsek, aż ślina idzie. Wszelako, jeśli do niej zachodzę, to jeno dlatego, że zabawić się tam można, jak nigdzie.

— Piękna zabawa: od jednego do drugiego dnia kosterstwo, pijatyka, słowa sprośne, a sama jejmość gospocha... — tu Sulima wstrząsnął się i dłonią zamachał.

— Wszystko to dobrze, Grzymało mój — przerwał Świdwa—ale nie rozumiem, z jakiego powodu jam został do Belinowej przyczepiony? W życiu swoim na oczy jej nie widziałem.

— Ano... zabawialiśmy się u niej dnia pewnego, był z nami Łuba stary, Jaszko Rawita ze Słupcy, która przyjechał ze Skowrem (znać Skowra chyba musicie, chociażby ze słyszenia)...

— Godni Belinowej kompanowie, osobliwie Skowrer—wtrącił Sulima.

— Rawitów zauszniak, nie może mieć tedy inszej natury niż oni—dodał Zbigniew.

— Takby się zdawało, a przecież...—począł Sulima i urwawszy, zapytał:

— Praw dalej, Grzymało, skądęście w tak zanem gronie wytrząsnęli Świdwę?

— Nie pomnę jak, ale zgadało się o nim; Belinowa zaś, dowiedziawszy się, jaki z niego bywalec, uparła się koniecznie go poznać.

— To daje świadectwo, że niepowściągliwie ciekawa z niej niewiasta, ale nie tego, iżbym jej głowę zaprzął—ozwał się Świdwa.

— Zaprząłnałeś, że nie można więcej! Tobą jeno odtąd zajęta, o tobie myśli i gada.

— Musieliście go jako dziwo zamorskie wyobrazić—rozśmiał się Zbigniew.

— Wiem-ci sam, że ludzie cuda niestworzone o mnie prawią—również ze śmiechem podjął Świdwa—ale przecież skrzydeł latoperzych nie mam, ni chwost mi się, by u dzikiej bestyi, z tyłu merda, ni ogniem zionę. Zatem kaprys to niewieści, faramuszką, alboście istotnie za dziwo mnie przedstawili. Jeśli tak, przysługę wyrządziliście mi niedźwiedzią, wszelako i w takim razie niewiele robiłbym sobie z tego. Ludzkie języki niektóre od tego są, aby lada co pleść.

Grzymała zaprzeczyć pośpieszył:

— Przynajmniej o mnie nie myśl źle... Wszak tam byłem i nie ścierpiałbym, żeby cię kto słowem miał skrzywdzić. Gadaliśmy żartobliwie, jak zazwyczaj przy dzbanie, ale bez urazy czci twojej i powagi.

Zawahał się nieco, wreszcie dodał:

— To już powiem, czem się tak Belinowa zaciekawiała... Tem, żeś się piorunowo rozmiłował; żeś się jednookim z dobra-woli uczynił; że piękności nie-



znajomej po całym świecie od tak dawna szukasz, wciąż przy ślubie tak niezłomnie trwając. Wszystko wydało się jej nader niezwykłym (i takim jest, jak sam przyznasz), więc rzekła: „— Skoro Wąż do nadzwyczajnych rzeczy zdolny, pewnie też niezwykajny z niego człowiek. Poznać go muszę, bo jeśli taki, to w nim nowe zabawienie najdę. Wyście (to już do nas było mierzone) dojedli mi powszedniością, nijakiej z wami uciechy—“. Widzisz tedy, Wężu, że całkiem rozumnie prawiała...

— Prawiała bałamutnie, czemu się nie dziwię, bo od takiej niewiasty jeno płochości spodziewać się można— odparł Świdwa łagodnie.— Was za wesółków uważa, że zaś jużście się jej znudzili, nowego we mnie chce naleźć... I żaden jej jako należy nie przyciął?

— Fałszywie sobie jej słowa wykładasz... Ona to całkiem bez krotchwili powiedziała, pragnie cię poznać naprawdę, a taka jest, że gdy jej się czego zażąda—nie ustąpi!

— Daj katu! jaki mi Tatarzyn straszny... - uśmiechnął się Świdwa.— I ty mi może radzisz żądaniu Barbarki nadobnej uczynić zadość?

— Radzę, bo tak należy. Niewiastą jest, a do obowiązków rycerskich zalicza się powolność dla płci białogłowskiej...

Popatrzył na mówiącego Świdwa z politowaniem i głową kiwając, powiedział:

— Grzymało miły, ja na to rzekę, że ci olej w głowie wysechł! Wolno tobie gościć u Petrkowej ile chcesz, ale mnie u siebie nie obaczy.

Zafrasował się Grzymała, z pewnem niedowierzaniem na Węża pojrzał.

— Nie obaczy?—powtórzył.—Jakże to może być, kiedym jej przyrzekł, że cię przyprowadzę?

Trzej przyjaciele śmiechu szczerego wstrzymać nie mogli, co więcej jeszcze biednego Grzymałę stropiło.

— Powiadam wam, żem przyrzekł Świdwę przyprowadzić! - bąknął niewyraźnie. — Bez niego pokazać się nie mogę...

— Takiż to z wdówki gospodyn? Niezgorzej wami obraca, ani słowa...—ozwał się Sulima.

— Zaiste! nielada srogi z niej wojewoda musi być, kiedy na samą myśl, że ci się jej rozkazu wypełnić nie uda, sowiejesz, niby gromem porażony... — dorzucił Zbigniew.

Dworować sobie zaczęli z Grzymałą, który coraz bardziej głowę tracił, nie przewidywał bowiem, żeby go odmowa ze strony Świdwy spotkać miała. Stał tedy przed towarzyszami z miną taką, jakby co haniebnie szpetnego przełknął, wreszcie ozwał się z wymówką:

— Dostyc już chyba ze mnie mieliście uciechy... W głowę zachodzę, z czego tacyście radzi.. Świdwa odmówić mi nie może, bo coby o mnie Belinowa powiedziała? coby pomyślała? Ano Wężu, jakże? Wystrychnąłbyś mnie gorzej, niż na żaka...

Daremnie jednak molestował i na wymowę się siłił, Świdwa głową trząsał, odpowiadając jedno:

— Nic z tego nie będzie!

Wyczerpawszy wszelkiego rodzaju przedstawienia, Grzymała pięścią o ławę grzmotnął, brwi nastroszył i sapiąc mocno, pomruknął gniewnie:

— Z turem się łatwiej uporać, niż z tobą! Na

twojem miejscu będąc, chociażbym do czego wstręt czuł, proście druha i broni towarzysza nie odmówiłbym. Omyliłem się na tobie i żal mieć będę. Wolałbym biesowi w same ślepie zajrzeć, niż słowa nie dotrzymać. Anim się spodział, żebym na tobie zawodu doznał... Gdyby jeszcze przyczyna była...

Świdwa dłoń na jego ramieniu wsparł i rzekł:

— Trudno, Grzymało miły, inaczej patrzą na świat i sprawy jego ci, inaczej tamei. Ty smakujesz w gościnie u Belinowej i nie w jej uczynkach zdrowego nie widzisz; ja z ust wiarogodnych słysząc, jaką jest i co się u niej wyprawia, surowo ją sądzę. Nie stronię od zabawy wesołej, podczas i do dzbana głębiej zajrzę — ale nie siadę tam, gdzie się pobrukać mogę. Jako rycerz, gotów jestem niewiastom służyć i czci ich bronić — ale do niewiasty, co o przystojności zapomina, nie zbliżę się, bo bym spółnikiem niecnotyostał. I nie ja jeden tak myślę, bo tu zaraz oto masz dwóch podobnych.

Na Sulimę i Zbigniewa wskazał.

Czuł Grzymała, że Świdwa mówi sprawiedliwie, nawet trocha się zasromał, lecz nie okazał tego po sobie; patrzył chmurnie, zżymał się, burcząc pod nosem:

— Ja tam was nie rozumiem jacyście. Belinowa tyle jeno ma w sobie grzechu, że ludzie dla niej głowy tracą i że wesoła. Krzywdy nie wyrządza nikomu... Przecież świat nie klasztor, a ludzie nie mnichy...

Naburczawszy się wstał i na pożegnanie to powiedział do Świdwy:

— Sójkę w bok mi wsunałeś! Ani chybi, łaźnię mi Barbarka sprawi, żeby ją tylko wytrzymać. Ale nie sądz, Świdwo, żeby ją twoja odmowa zraziła. Oho! nie

taka ona... Ułożyła sobie, że cię pozna, to i pozna. Chociażes ty Wąż, da sobie z tobą radę i do siebie przyciągnie...

— Obaczmy!—uśmiechnął się Świdwa.

— A obaczysz. Upór w niej żelazny, przeciwnieństw nie zna, na swoim zawdy postawi...

Paluch, któren w ezasie rozmowy panów po izbie się krzątał, nakuliwając trocha, bo mu gościniec Rawitów jeszcze dolegał, tedy usłyszał o co Grzymała na Świdwę napierał i, jak to on, nie nie miał do roboty pilniejszego, jeno się nowiną ze Srokaczem podzielić.

— Widzi mi się—rzekł do niego—że rychło twój pan plastr złoty z oka zdejmie, lutniście swemu skocznego przygrywać każe, a sam się w tany puści...

— Albo znalazł swoją?—zapytał Srokacz ziewając.

— Tegom nieświadom, ale wiem, że znalazła się niewiasta, co go do siebie gwałtem ciągnie...

— Nie podola!

— Powiedział, co wiedział: nie podola! A ja ci mówię, że podola. Prawda, że pan twój, Wężem będąc, zrazu się wyśliznął i srodze zarzeka, jako na nią nie pojrzy. Nic z tego zarzekania. Weźmie się do niego swojemi rękoma, a białe ma i pulchne... Niemi, gdy jaką męską duszę ucapie, to już po niej. Tedy się ciesz, Srokaczu, pan twój zaprzestanie jęczeć a wzdychać, i tobie przeto będzie weselej. Sama Belinowa niby bakalia tak smakowita, no i służebne trzyma takie, że niczem szperka w grochu. Ona pana Świdwę sobie weźmie, a tobie (jasna rzecz) panine zauszniczki się dostaną. Będziesz miał w czem wybierać, że i o Petruchnie zabaczysz... Muszę nawet niebodze

to powiedzieć, jako cię wiatr w inszą stronę unosi, niech sobie inszego gawrona szuka.

Mówił grubas wiedząc, że Srokacza przypomnieniem Petruchny podrażni, bo pana Świdwy pacholek, acz się z tem nie wyznawał, można było przecież zauważyć, że coraz tkliwiej na wnukę Skąły pozierał, czemu dziewczka weale była rada. Jakoż Srokacz namarszczył się i szparko mu odciał:

— Pan Świdwa robi, co mu się podoba, bo on pan; nam, służbie, do jego spraw ani pomysłów się nie wtrącać. Radzę ci też po dobremu zębów sobie Petruchną nie wycierać i całkiem ją poniechać... Jeśli ma ona jakiego gawrona, to z tak silnym dziobem, że może ci przyskwarzone pięty podziobać i jeszcze do grzbietu się dobrać.

— Poznać barana! Trząchnij go by najlżej za runo, a zaraz ci beknie. Z dobrego serca cię przestrzegam, a ty rozumnej rady nie słuchasz. Toć uważ: Belinowa (ta, z kamienicy murowanej) na twego pana poluje i może się zdarzyć, że go trafi, jeśli sobie wdowienstwo naprzykrzyła, bo baba szpak, a twój pan co się zowie dostatni, że mógłby się w złocie i srebrze kapać. Otóż—jeśli go upoluje, a ty zdążysz pojąć Petruchnę (z oczu twoich widać, żeś do takiego bisurmaństwa zdolny), Petruchna przy pani Barbarze służebną ostanie, czego ci nie życzę, chociaż nawiści do ciebie nie czuję. Przy pani Barbarze zła dla służebniczkoła: Petruchna za nią gadałaby pacierz, a tybyś, nieboraku, kołpaka na łeb nie mógł nasadzić. Nie miłego, gdy kogo żonka strojem rogacza obdarzy...

— Że ci się kiedy od bajania w rozumie nie po-

mąci—na to Srokacz.—Ale prawda, tobie sadło zdrowy watek zalało, więc zawdy od rzeczy pleciesz...

Tymczasem Grzymała, dostawszy od Świdwy tak stanowczą odprawę, przemyślał—jak ma o tem Belinowej oznajmić. Miał przecież z góry zapowiedzianą, w razie niedotrzymania obietnicy, nielaskę, a wcale sobie nie życzył w nią wpaść, ile że się w pięknej wdówce zadurzył. Wyszedł tedy na ulicę i chodził po mieście długo, głowiąc się nad tym sękiem nielada, ale dopiero gdy do gospody wstąpił i tam setnie miodem korzeniami zaprawionym się pokrzepił, otuchę uczuł.

— Jakoś to będzie—rzekł w duchu.—W najgorszym razie... pogniewa się, pokrzywi i przestanie. Robilem—com mógł.

Z dobrą miną przestąpił progi domu Belinowej, a otucha w nim bardziej jeszcze się wzmogła gdy obaczył, że gospodyni w najlepszym jest usposobieniu. Siedziała, jak zwykle, wśród wrzawy rozbawionych gachów, wchodzącemu Grzymale wabny uśmiech zaraz posłała, rozmawiać z nim poczęła, nie jakoś nie wspominając o Świdwie.

— Może też jej z głowy wywietrzał i daj Boże, żeby się tak stało—pomyślał.

Ale nadzieja go omyliła, bo niebawem zwróciła się do niego z zapytaniem:

— Sami przychodzicie? A przyrzeczenie? Świdwa już w Krakowie, o tem wiem...

Wstrząsnął się biedny Grzymała, jak gdyby mu kto znienacka wiadro wody zimnej na czub wylał.

— Cóżście tak na mnie pojrzeli? Minę macie, jakbyście strzygę obaczyli lub inszą jaką marę straszną...

Grzymała oczy spuścił, nie nie odpowiadając.

— Grzymało! tyś w samej rzeczy jakby uroczony?—ozwał się stary Łuba.—Zawdy chwatał najpierwszy między drużyną, a teraz oto sową pozierasz. Toćże się rozchmurz. Gospodyni miłościwa nie lubi na kwaśne twarze patrzeć...

— Musieli go gdzie drożdżami zamiast piwa utraktować...—zażartował ktoś inny.

— A może go Żydowiny o pieniądze przyciskają, bo on z tymi szelmami częsty doczynek ma...

— Jakże, Grzymało—nagliła wdowa -- nie odpowiadacie na moje pytanie? Jam się dziś onego cudaczego Świdwy z wszelką pewnością spodziewała...

Odchrząknawszy, zdobył się Grzymała na odpowiedź, ale niewyraźną. Głowę w ramiona wtuliwszy, odparł niechętnie:

— Z tego Świdwy to zatracony człek! Nie wam po nim, Barbaro nasza nadobna i... lepiej o niego nie dopytujcie.

— Będę dopytywała, a wy mi odpowiadać jasno macie, nie półgębkiem zbywać. Czemuście go nie przywieźli? Gdzie słowo?

— Świdwa cudak nad cudaki i tyle. Proszę was zaniechajcie go. Nie wart jest, żeby tak wdzięczna niewiasta myśli sobie nim zajmowała.

Twarz Belinowej przeciągnęła się, brwi zsuwać się poczęły, a pomiędzy niemi bruzda podłużna silnie się zarysowała.

— Jak wy dziś gadacie?—rzekła.—Możecie się z nim poswarzyli? Niechże wiem...

— Omal, że do tego nie przyszło—bąknął naga-bywany gaszek.

— Wzywaliście go?

— Wzywałem.

— W mojem imieniu?

— A ino.

— A on? Cóż on?

— Trzy po trzy plótk...

— Rozpowiedźcie wszystko!—z naciskiem domagała się Belinowa.— *Wszystko*, rozumiecie?

— Co tu wiele gadać—rzekł do muru przyparty Grzymała—powiedział, żebyście się go nie spodziewali.

To rzekłszy, tchnął pełną piersią i ulgę niejaką uczuł, mniemając, że się kłopotu z głowy pozbył. Lecz Belinowa wpiła w niego wzrok groźnie płonący i trzykrotnie powtórzyła:

— Czemu? Czemu? Czemu?

Biedny gach znów zamróz pod skórą uczuł, na szerokiem jego czole potu krople się zaperliły, spojrział błagalnie na wdowę, ale milczał — ona przecież tej niemej prośby wysłuchać nie chciała, nie spuszczać z niego oczu, raz jeszcze powtórzyła z zawziętością niezłomną:

— Musicie mi powiedzieć wszystko! Musicie!

— Ano Grzymało—poparł ją Łuba — toć spełnij rozkaz... Posłem jeno byłeś do tego tam Węża, czy padalca i z poselstwa wracasz, a takich nie wieszają, ni ścinają, chociażby rzecz przykrą nieśli.

— Powiadaj, Grzymało, bo i myśmy ciekawi! — dodał inszy biesiadnik.

— Wąż kąsająca to gadzina, pewnie też naszej pani Belinowej nie oszczędził...

— Powiadaj Grzymało! Do karceresu cię gospo-



sia nadobna nie zamknie, jak owo czynią w szkole z żaczkiem, którego obiecała przepomniał...

A Grzymała, którego te podrwiwania w pasyę wprowadziły, tupnął nogą, że omal trzaski z podłogi nie poszły i zakrzyknął niecierpliwie:

— Cicho tam! Wara od tego, co z panią Barbarą między sobą mamy. Nasza to rzecz...

Następnie, do wdowy zwrócony, przemówił z perswazyą:

— Pani moja miłościwa, uszu waszych obrażać nie chcę, powtarzając duby onego cudaka. Jemu mni-chem być, bo na ten świat patrzy, jak z klasztoru. Prawdziwie. Machnijcie rączką i poniechajcie go. Nie wart, żebyście się o niego troskali...

— Wart, czy nie wart, a wiedzieć chcę, jaką dał odpowiedź—nie ustępowała wdowa.—Nie wypuszczę was, dopóki mi nie rozpowiecie poszczególnie wszystkiego. Czekam.

Kręcił się Grzymała, jakby mu kto pod stopy żaru nasypał, bąkał, pot z czoła i karku ocierał, po czubie drapał, wreszcie wykrztusił:

— Ano... powiedział, że tu u was za wesolo... Wiecie... ludzie głupi niestworzone baśni o was rozpuszczają, zazdroszcząc wam urody, dostatków i przyjaciół, tedy snąc i Świdwa został przez takich obalamucony. „Noga moja—prawił—nie postanie u Belinowej“. Tyle wam powtórzyć mogę, więcej ode mnie nie żądajcie...

Zmarszczka na czole wdowy pogłębiła się, brwi jeszcze bardziej zsunęły, oczy ciskały istne błyskawice, nozdrza rozdeły się gwałtownie, a policzki szkarłatem oblały. Przez chwilę milczała, dysząc ciężko, aż

ozwała się głosem stłumionym, do syku rozdrażnionej żmii podobnym;

— Więc to tak? Taki jest on Świdwa? Taki jest on rycerz układny? Domyślam się, że ludzie mnie przed nim oplugawili jak ostatnią, a on wam to wszystko powtórzył... Ha! ha! Od ludzi nie innego spodziewać się nie mogę, jeno urągowiska, jeno potwarzy... Pewna jestem, że pomiędzy tymi, którzy mi tu, pod moim dachem i przy moim stole, gładkie słowa prawią, najdują się tacy, co po za oczy błotem na mnie ciskają... Przyjaciele! Ha! ha! Przyjaciele!

Śmiała się dziko, namiętnie, wzrokiem złowrogim tocząc po obecnych. Ci poglądali na siebie znacząco, łokciami się tręcali, ten i ów ku drzwiom się miał, bo wiedzieli, że gdy piękną wdowę jaki giez ukąsi, gdy ją co o szal przyprawi, nikogo nie oszczędza i niemal z pięściami na każdego się rzuca, kto jej się z brzegu nawinie. Stary Łuba, najdawniej znający Belinowę, próbował ją uspokoić. Począł:

— Gospochno nadobna, za winnego do ciemnicy niewinnych nie wtrącaj. Na Świdwę pluń i niech go tam psi jedzą! niech go siódma skóra zaboli! Myśmy tu wszyscy, jako nas widzisz, słudzy twoi i podnóżki, w ogień, w wodę, w otchłań gotowiśmy się rzucić na jedno twoje skinienie. Ty królową naszą jesteś, niech się pierwszym kubkiem miodu zachłysnę, jeśli kłamię! Co Świdwa? Cudak! Poświetnik! Półgłówek! Gardzi tobą, nasza wdzięczna pani—i ty nim gardź! Powiadają, że wszystkie rozumy pozjadał, a okazuje się, że ciele od niego mądrzejsze...

— Zaprzestań bredni, Mieszku! Nie wysilaj się na słowa. Takiś ty, jak wszyscy inni: w oczy głasz-

czes z i jedwabiem otulasz, a odwróciwszy się... psy wieszasz! Znam was! Wszyscyście po jednej cenie!— przerwała wdowa gwałtownie, a wargi jej drżały i całe zresztą jej ciało dreszcz namiętny przebiegał.— Wszyscyście jednacy... Taki Grzymała... Ręce składa, na kolana pada, modli się, jak do obrazu, a gdy Świdwa pogardliwe słowa na mnie miotał, gdy mi uragał — on mu łba nie roztrzaskał, miecza do gardzieli nie wpechnął... Srom na takich przyjaciół! Hańba!

— Na Boga! pohamujcie się Belinowo...—szepnął Grzymała — nie zasłużyłem na wyrzuty z waszej strony... Jam was bronił, jakim mógł...

— Językiem!—rozśmiała się wdowa szyderczo.— Na to was jeno stać! Do tego jeno zdolni jesteście, wy... przyjaciele!! O! ja was znam, jak dłoń własną — i należnie cenię! Przyjaciele... ha! ha! Śmiech pusty bierze na taką przyjaźń... Słucham waszych zalecanek i zapewnień jednym uchem, by natychmiast drugim wypuścić... Przyjaciele! Kłamcy jesteście bezeeni, darmozjady, gardziele wiecznie łaknące, brzuchy nienasycone! Cierpię was u siebie, boście mi dla uciechy potrzebni! Inszy trzyma przyłazzonego maruchę, inszy borsuka, inszy krogulca, psa lub karła — ja was tak trzymam. Ale uważać was za przyjaciół, ale wierzyć wam... jeszczem rozumu nie postradała...

— Ostre słowa, Barbaro nadobna! Nadto ostre słowa!—mruknął Łuba.

— Koncerzem inszy tak nie dobodzie, jak wy językiem...

— I to wszystko przez Świdwę...

— Gdybyście nie byli niewiastą...

— To co?!—przerwała Belinowa, stając w posta-

wie groźnej, z piersią naprzód podaną i do góry wzniesioną głową.—Wyzwalibyście mnie do sprawy? Chyba na obmierzłe krotochwile, albo na kubki! Wyście mężowie? Wy? Zajęcze skórki wam wszystkim, a naprzód Grzymale, któren pozwolił bezkarnie bezcześcić niewiastę... Bo Świdwa nici uczciwej na mnie nie pozostawił, przeczuwam to... Radzicie, żebym plwała na niego? Ja na was plwam! na was, gaszkowie do misy i dzbana! Precz mi stąd i żeby mi noga wasza u mnie postać się nie ważyła! Słyszycie? Precz! niech na wasze fałszywe twarze nie patrzę... z oczu mi zjedźcie w oka mignieniu! Natychmiast!

Mówiąc to, nogą o posadzkę uderzała i rękę wyciągnęła, drzwi wskazując...

— Wściekła się!—mruknął Łuba, kołpaka szukając i sapiąc, by miech kowalski.—Nie innego, jeno się wściekła.

— Udobrucha się do jutra...—pocieszał się inny gach.—Alboż nowina u niej takie szaleństwo...

— Oj! gdyby nie była niewiastą, nauczyłbym ją rozumu—odgrażał się trzeci.

— Z pozwoleniem... potraktowała nas, jak... nieprzymierzając, kundłów...

Jeden za drugim wynosili się gaszkowie, bez pożegnania, mrużąc i naszeptując; żaden głośno sarknąć nie śmiał—znali bowiem gwałtowne usposobienie wdowy, wiedzieli tedy, że gdy w taki stan wpadnie, najdrobniejsze przeczenie więcej ją jeszcze drażni. Ona zaś patrzyła na nich z brwią zsuniętą, namarszczoną, z pogardliwym na ustach uśmiechem, stojąc bez ruchu, z wyciągniętą ku drzwiom ręką—a w tej groźnej postawie, cała wrząca i wstrząsana gniewem, była podo-

bną do jakiejś bogini piekielnej, pioruny na śmiertelnych ciskającej.

Już wszyscy wyszli, tylko Grzymała pozostał. Stał naprzeciwko wdowy z głową nieco pochyloną, wsparty o stół, a oczyma pożerał ją, bo w tej chwili więcej niż kiedykolwiek mu się podobała.

— Czego czekacie?—ozwała się szorstko. — Słyszeliście, com powiedziała? Precz!

Grzymała ręce złożył.

— Królowo moja! Pani miłościwa!—jęknął niesmieje, kornie, głowę niżej skłaniając. — I mnie wypędzacie? Mnie?

— Was przed innymi!—odparła. — Z góry was uprzedziłam: zali nie dotrzymacie przyrzeczenia... rozbrat z nami i wojna na wieczne czasy. Tylko powtórzyć to mogę!

— Com winien?! Ulitujcie się Belinowo... Jabym dla was nie wiem co! Jabym — życia nie szczędził! Wejrzyjcie w moje serce...

Suchy, urywany śmiech wdowy przerwał mu wyrzeka.

— Teraz, w tej chwili życie ofiarujecie, a gdy mnie Świdwa poniewierał, nie zdobyliście się na słowo za mną!—rzekła zgryźliwie.—Fałsz! Zawsze i wszędzie fałsz! Precz idźcie... Z nami skończone... Wszystkich was mam dosyć! Po uszy!

Otrząsnęła się ze wstrętem.

— Jako żywo, broniłem was—szepnął Grzymała lękliwie — w tem mi aby nie przeczcie. Powiadacie, że trza mu było łeb rozwalić?... Ano! słowa łatwo z gęby pomykają, lecz co inszego do rzeczy się wziąć... Bójka, a bodaj zwada pod bokiem króla, gardłem pa-

chnie; zważcie przytem, że Wąż u naszego pana osobliwe zachowanie ma. I na to trza baczenie zwrócić, żeśmy z Wężem z dawien dawna w porozumieniu dobrem... Często mi wygadzał, gdy mi potrzeba dojadła, jakżem się tedy na niego porywać miał?

— Tedy ostawajcie w porozumieniu z nim, skoro wam tak serdeczny, a ze mną kwita! Inaczej nie może na żaden sposób być. Ja na przyjaźń nie takimi oczyma, jak wy, patrzę, u mnie ten się druhem zowie, kto wszystko, życie nawet dla serdecznego położyć gotów. Rozumiecie? A wy co? W oczy mi świadczyacie druźbę, nie z inszej pewnie przyczyny, jeno z tej, że wam u mnie wesoło, ciepło i syto... Psia druźba więcej niż wasza warta, bo pies za miejsce pod stołem, za lada kość, lada ochłap, lada pogłaskanie, tak się do człowieka przywiązuje, że broni pazurami i zębami, jeśli pana jego kto targnie, bądź się na niego zmarszczy.

Ręce łamał Grzymała i głową kręcąc, powtarzał zafrasowany:

— Srodze, srodze wszystkich krzywdzicie, pani miłościwa, a już mnie najbardziej! Bywają tacy, co za łyżkę barszczu i miodu łyk plackiem gotowi upaść i duby słodkie prawić, ale to się po mnie nigdy nie pokaże. Kark mam twardy, swego dobra mi starczy, a chociażby nie starczyło — orężem, na poganach lub inszych wrogach tej polskiej krainy, go dobędę... Do was nic inszego mnie nie pociąga, jeno wy sami, wasza uroda. O tem wiecie najlepiej...

Rozśmiała mu się wdowa szyderczo w oczy.

— Aha! Zachowanie się z Wężem o tem zaświadczyło. Już nie wysilajcie się na uniewinnienia,

poniechajcie ich i drzwi najdźcie rychło, a znalazłszy, nie próbujcie do nich wracać... Powiedziałam już, uszy chyba macie. No... kłaniam uniżenie!

Wyszła do izby sąsiedniej i drzwi za sobą z łoskotem zatrzasnęła, a Grzymała patrzył za nią przez chwilę, wreszcie dłonią machnął, kołpak na oczy nasunął, nosem czmychnął i opuścił dom szparkiej niewiasty, mruczając do siebie:

— Bodaj psi jedli taką przygodę! Anim się spodziewał, żeby tak do serca wzięła odmowę onego cudaka... Ale bo i ten Wąż ze swojemi racyami... Myślałby kto, że święty. Taki on święty... Juścić trocha słuszności miał: nasza Barbarka doprawdy podczas za wiele sobie pozwala, nawet bardzo za wiele... Bał gorsze od niej bywają... „Smak potrawę, a obyczaj człowieka pokazać ma“ — rzekł Sulima. Tak gadka niesie stara, wszelako... niechby mi Barbarka rękę dała, plunąłbym na wszystko i do ołtarza. Potem dałbym sobie z nią radę. Insza rzecz stary Petrko Belina, a insza ja. Różnica między nami jest...

Grzymała istotnie o połączeniu się z Belinową węzłem małżeńskim myślał, chociaż się z tem nie wyznawał, często ją nawet o to zagadywał, ale wdówka w żart jego zamysły obracała, zawdy słyszał od niej:

— Mam czas! Do jarzma nikomu niepilno, osobliwie temu, kto go pokosztował...

To znowu mówiła:

— Dobrze mi ze swobodą, poczynam, jak mi się żywnie podoba i dość. Gdyby jeszcze wola się odezwiała, możebym się na próbę odważyła, ale jakoś serce milczy. Czy to nie lepiej módz dziś do tego się

przymilić, jutro do tamtego? Wciąż na jednego pozierać—zmierznie.

Grzymała przecież nie tracił nadziei, że się kiedyś wdowie takie życie szalone sprzykrzy, że wierne jego służby nagrodzone zostaną. I nie tylko on taką nadzieją się łudził, było takich wielu, których pociągała uroda Belinowej, spojrzenia ogniste, a bardziej jeszcze—dostatki.

Gniew wdowy frasunkiem nabawił Grzymałę, lecz po rozwadze do tego przekonania przyszedł, że długo nie potrwa. Znając ją, wiedział, że kaprysy i dziwactwa u niej do osobliwości nie należą. Zdarzało się już nieraz, że gaszków od siebie gnała precz, że ich szpetnymi łajała słowy i zamykała się oznajmiając, iż nieomylnie, ze światem zerwawszy, do klasztoru wstąpi — ale od słów do czynu nie przychodziło i kończyło się na tem, że znów odtrąconych do łaski przywracała.

— Tak będzie i teraz—pocieszał się Grzymała.— Wyburzy się, wyjadowi, potem udobrucha i sama przeprosi. Prawda, że jej w tak srogim gniewie jeszcze nie widział, ale nietajno nikomu, że z wielkich chmur małych dżdże spadają, że im kto większą gwałtowność okazuje, tem rychlej do łagodności przychodzi. Byłoby najlepiej, aby Świdwę jakim sposobem do niej sprowadzić... Hm! szczuka z niego oścista i zębata, zawdy jedno ma słowo. Kto wie, czyby go zresztą Barbarka sama nie wysforowała, bo wszakże jej dogryzł nieżartem. Na cierpliwość trza wziąć i czekać, co Bóg da. Jedyna rada.

Zaś Belinowa zamiaru poznania Świdwy się nie wyrzekła; pozbywszy się z domu gachów, długo ze



wzburzenia ochłonąć nie mogła. Upór Świdwy podrażnił ją i pragnienie zadowolenia kaprysu wzmocnił. Po namyśle, zaufaną służebną, Bietkę, przywołała, i dalejże się przed nią wywnętrzać, a żalić:

— Bietko moja...—tak poczęła—żebyś wiedziała, co mnie spotkało!

— Pewnie to, co już nieraz, pani złocista... — szepnęła z przymileniem pochlebnieca.—Uprzykrzyli się darmożjady i odprawę na czas niejaki dostali. Ano, tem-ci lepiej. Dobrze jest [człowiekowi zabawić się, dobrze pośmiać, pobaraszkować i pokrotochwilić, ale też nieco spokoju się przyda. Miodem samym żyć, chociaż korzenny i słodki, omierźnie...

— Omierźli mi też! Omierźli strach jak!—przerwała wdowa gniewnie.—Wiedz, że dałam im odprawę nie na czas jakiś, lecz raz na zawsze. Noga ich tu nie postanie. Jeśli się który pokaże, psy wypuść, na cztery wiatry gnaj... Hołota nic inszego nie warta...

Uśmiechnęła się Bietka, lekce sobie bowiem te pogrożki ważyła.

— Któż przewinił dzisiaj?—zagadnęła.

— Kto? — podchwyciła Belinowa, pięści zaciskając.—Ano ten... ten Grzymała! Przyrzekał, obiecywał, słowo dał i zamiast dotrzymać, z obelgą, nie z dopełnieniem przyrzeczenia, wrócił. To też za swoje dostał, a waży-li się próg mój przestąpić!— bodaj warem mu głowę skropię!

Bietka oczy zdziwione na panią podniosła.

— Grzymała? Coś osobliwego, pani moja złocista!—rzekła.—On przecie z pomiędzy wszystkich najgorliwiej o łaski wasze zabiega...

— Pięknie zabiega! Pięknie się zasługuje! —

rozśmiała się wdowa ze złością, rękawy sukni jedwabnej szarpiąc.—Wieszże, co uczynił? Kazałam mu tu, do siebie, sprowadzić Świdwę Węża, któren ma być cudakiem nad cudaki...

— Wiem! Tego, co złotą zasłonę na oku nosi...— wtrąciła Bietka.

— Tego samego. Owo tedy on przyrzekł solennie i...

Tu Belinowa palce z gniewu wyłamywać zaczęła.

— I nietylko, że Węża nie przyprowadził, ale mi od niego słowa takie przyniósł, że krew we mnie zawrzała. Myślałam, iż rozum stracę... Taki Grzymała jest!

Bietka słowo po słowie wyciągając, dowiedziała się wreszcie, jak się rzecz miała; pragnąc zaś panią uspokoić, zaczęła się za Grzymałą wstawiać. Ale wdowa obronę jej przerwała, tupiąc nogą i wołając:

— Ani słowa za nim, bo i tobie co się oberwie! Z Grzymałą i ze wszystkimi jemu podobnymi wesółkami rozbrat. Słuchał, jak Wąż na mnie wydziwił i słowa nie rzekł... Darować mu tego nie mogę! nie mogę!

— Najwięcej tu zawinił pan Świdwa...—zauważyła Bietka chytrze.

— Oczywiście! Jemu też nie będzie darowane... Niewiastą jestem, ale potrafię w przypadku radę sobie dać... Bez niczyjej pomocy się obejdę... A! ten Wąż! Poczekaj: swoje weźmiesz! Poznasz, co to Belinowa! Wzbranasz się na zaproszenie moje stawić? Uragasz mi? Zohydzasz? Zapłacę ci za to z czubem! z nasyphem!

Przerwała pogroźki i do Bietki przystąpiwszy, w oczy jej znacząco patrząc, rzekła:

— Wierną mi się opowiadasz i za taką cię uważam. Sposobność się nadarza, abyś mi tego świadectwo dała...

— Pani złocista!—zapewniać poczęła sługa—jeno rozkaż, a przekonasz się, że wszystko dla ciebie uczynię...

Wartki potok słów pochlebnych gestem niechętnym wstrzymała Belinowa.

— Mówisz, jak gdybyś Grzymale, albo godnych towarzyszków jego podsłuchała. Nie przywódź mi ich na pamięć, nie naśladuj, bom gotowa pomyśleć, żeś, równie z nimi, tylko do obietnic zdolna, tylko do słów pustych...

Bietka wargi zakąsiła i rzekła, skromną ułożywszy minkę:

— Tedy nic nie powiem, aż po uczynku. Rozkazu, pani moja...

W zadumę wpadła wdowa, milczącą zostawała czas niejaki, potem na usta palec położywszy, w ten kształt się ozwała:

— Nikt tego wiedzieć niema, co pomiędzy sobą uradzim. Wiesz, że gorliwość i posłuszeństwo nagradzam, ale krnąbrność surowo karcić potrafię!

— Tyli czas w usługach pani złocistej będąc, wiedzieć o tem muszę...

— Nie przerywaj, bo mi się myśli mąca!—przestrzegła ją Belinowa niecierpliwie. — Cóżem to ja mówić miała? A! Przed chwilą zda się powiadałaś, że Świdwę Węża znasz?

— Pokazywano mi go z daleka i opowiadano też o nim...

— To za mało. Musisz jakimś sposobem poznać go lepiej, wymiarkować, do czego upodobanie ma, jakiej natury jest, jakimi zwyczajami się rządzi...

— Stać się tak musi, gdy wola wasza, pani...

— Potem trza wymyślić sposób na zwabienie go tu, do domu mego... Rozumiesz? Twardy ma być niby krzemień, ale twoja głowa, by niezłomność jego przemódz... Rady ci nie daję, sama jej poszukaj. Chyba zręczniejsię do rzeczy wziąć potrafisz niż Grzymała...

— A gdy się stanie podług rozkazania pani złościej?—odważyła się na pytanie powiernica.

Belinowa dumnie głowę podniosła, rozśmiała się szyderczo i odparła:

— Gdy to się stanie, już ja onego rycerza niezłomnego tak ugłaszczę, że będzie mi się zasługiwał gorliwiej niż wszyscy Grzymałowie razem wzięci...

— Czy aby pan Świdwa tyle zachodu warta? — szepnęła Bietka nieśmiało.

Oburzyła się na nią pani.

— Tobie woli mojej nie rozważać, jeno ją pełnić ślepo! Czy tyle zachodu warta? Głupia dziewczko! Musi wartać, jeśli o nim myślę... Nie znam go, coś-nie-coś o cudactwach jego zasłyszawszy, zabawić się nim chcę, bo mi się ona codzienna sfera piecuchów cknę. Gdyby się Grzymała w inny wymówił sposób... at! dłoniąbym machnęła i zapomniała o nim; ale on pogardliwemi słowy mnie i dom mój obrzucił, wojnę niemal wypowiedział... Grzymała wszystkiego, co Wąż mówił, powtórzyć mi nie śmiał, z tego samego domyśleć się łatwo, że w słowach nie przebierał... Zrozumiej dziewczko, że ja, wdowa po Belinie, z Melsztyni-

skim w pokrewności będąca; ja, w której krew płynię Bogoryów, rodu tak znacznego: pozwolić nie mogę, aby mi w oczy hańbę rzucono... Wiem, że ludzie baśni o mnie plotą, z języków nie spuszczaają, ale czynią to inaczej... Ja też ich brednie puszczaam mimo uszu, udając, jakobym o niczem nie wiedziała. Co mi tam! Po za plecami niech szczekają, ile chcą, byle mi w twarz obelgami nie plwali... Tak właśnie uczynił Świdwa i karę ponieść musi!

Umilkła na chwilę, by tehu zaczerpnąć, z czego korzystając, Bietka o spoczynku przypomniła; sądziła, że noc panią uspokoi, kaprys, jak nagle przyszedł, tak przejdzie. Belinowa jednak nadto była podrażniona, myśl upokorzenia Świdwy przyczepiła się do niej, jak zmora, radaby w jednej chwili zamiaru dokonać. Tymczasem chociaż wyburzyć się musiała—więc długo jeszcze powiernicę przetrzymała, z góry się ciesząc pogro mem zuchwałego rycerza.

— Obaczy, jaka to ze mną wojna! — powtarzała ściskając skronie dłońmi. — Zwabię go, przywiążę do siebie, miodowemi słowy upoję, a gdy swego dopnę, gdy mi do nóg upadnie, gdy go do szaleństwa przyprowadzę — odepehnę, jak psa! Tak z nim uczynię! Odepehnę i na pośmiewisko ludzi, na ich urąganie go oddam...

Odprawiając Bietkę, jeszcze jej rozkaz przypominała, a dla zachęty, pierścien jej kosztowny dała, z temi słowy:

— Naści zadatek. Sprawisz-li się jak życzę, nie pożałujesz zabiegów. On Wąż z myśli mi nie scho dzi, ale pewną jestem, że się wojna, ze mną stoczona, chwalić nie będzie.

Pierwszy to bodaj raz krew rodu możnego w żyłach wdowy taką burzą zawrzała. Staczała ona już walki zacięte z nieboszczykiem mężem, z jego i swoją rodziną, lecz były to sprawy domowe, a takie pomiędzy rodami możnowładców do rzadkości nie należały, nie drażniły one tak namiętności, nie wywoływały szału. I to jej nie oburzało nazbyt, jak przed Bietką się zwierzyła, że ludzie obcy karzą jej sposób życia, że wielu z nich od niej odwraca się (choć, prawdę rzekłszy, zupełnie obojętną na ich karcenie nie była), gdyż nie zwracano tego wprost do niej. Ale Świdwa postąpił inaczej. Wszak Grzymała był przez nią do niego posłany, tedy urągając jej przed nim, jakoby prosto w oczy ją samą zobelżył, wystąpił jako wróg, pierwszy zaczepił... — taka zniewaga do żywego ubodła panią Barbarę.

Ani chwili nie wątpiła, że zuchwalec ciężko postępku żałować będzie. Tylu przecież zwyciężyły jej wdzięki, miałżeby on jeden na ich urok pozostać nieczułym?

— Niech tylko go do rąk dostanę! Niech tylko z nim zacznę po swojemu! — obiecywała sobie marząc i z tą błogą nadzieją powieki zamknęła.

Bietka przekonawszy się, że Świdwa nie był kaprysem przelotnym w zmiennym umyśle jej pani, szczerze się do wypełnienia poleceń zabrała, a posiadając rzadką przebiegłość, już nazajutrz wieczorem przyniosła całą gromadę wiadomości, dotyczących zuchwałego rycerza. Dostarczyła ich przy pomocy Srokacza Petruchna, z którą się znały od dosyć dawna i w zażyłości pozostawały, chociaż stary Skąła mocno się na zażyłość ową krzywił.

— A! pani złocista... — szeptała uradowana, kłę-

cząc przed wdową i zdobył jej swoją powierzając — juścić chyba z panem Wężem tak wiele kłopotu nie będzie. Cudak jest, to prawda, podczas zamyka się z lutnistą, który mu gra i śpiewa, a on sam wzdycha, nawet czasem poplakuje (wciąż za nią nieznaną, co to dla niej jednoocznym się z dobra woli uczynił, na śmiech chyba doprawdy), ale zresztą rycerz jak się patrzy. I na łowy jeździ, i do biesiady rad zasiada, i nie od tego, żeby w ładne oczy zerknąć. Junak z niego ma być rzadkiej waleczności, a człek miłosierny i ludzki. Służbę i biednych obdarza hojnie, żadnego gościa bez znacznego podarunku od siebie nie puści. Ma zaś obdarzać z czego, można jest bardzo...

— Do biesiad, powiadasz, rad zasiada i od niewiast nie stroni? - powtórzyła Belinowa.

— Tak jest, pani złocista...

Zasępiła się wdowa: ten zuchwalec zatem na równi z innymi słabostki posiada, a przecież jej znać nie chce, a przecież wezwanie obelżywie odrzucił? To winę jego w tysiąckroć zwiększało. Wszakże ona, Belinowa, miała się za tak urodziwą, że chyba poznać ją przez samą ciekawość choćby warto; uczuła się przeto w miłości własnej bardziej jeszcze dotkniętą i naraz przez myśl jej przeszło:

— A nuż Grzymała, widząc to jej zajęcie się Świdwą, umyślnie baśń splótł? Ha... jeżeli tak jest, tem łatwiej przyjdzie jej się z cudacznym rycerzem zapoznać.

Rzekła tedy do Bietki:

— Dobry zrobiłaś początek. Skoro wiemy, jaki jest, nietrudno go będzie można okiełznać. Myśl o tem, jakby go tu ściągnąć?

Z tem powiernica więcej miała zachodu, ale radę znalazła. Badając Petruchnę po raz wtóry, dowiedziała się, co prawdą było, że Świdwa z upodobaniem gromadzi nadzwyczajne osobliwości, a nawet je na wagę złota, gdy inaczej dostać nie może, opłaca. Owoż mieszkał w Krakowie niejaki Elbich, Niemiec, z Gdańska rodem, którego przedziwne cacka z kruszców, a zwłaszcza z bursztynu, wyrabiał, że nikt się z nim w tym kunszcie równać nie mógł. Człowiek to był niemłody, jak każdy Niemiec na pieniądź łakomy, przytem znano go, że język za zębami w razie potrzeby trzymać umiał. Umyśliła tedy Bietka, aby do onego meystra Elbicha Świdwę zwabić, za przynętę jakiej przedziwności kunsztmistrzowskiej używszy, gdyby się to zaś udało, Belinowa miała się tam naleźć, rzekomo z przypadku, niechcący, a takim ładem go poznavszy, czynić następnie, co sama uznałaby za właściwe.

— Panu Świdwie podstęp ani do głowy przyjdzie — mówiła szczwana dziewczyna, myśl swoją pani wyluszczywszy — na przedziwność da się wziąć, jak ryba na glistę. Niemiec uczyni, co mu królowa moja rozkaże, byle mu garści denarami natkać, — a żeby nas zdradził... bać się nie trza. O skórę mu będzie szło. Zresztą życzyć nam powinien dobrze: pani złocista tyle mu zarabiać daje. Nasz człowiek, można rzec...

Belinowej plan powiernicy wydał się doskonałym i tak się podobał, że aż w ręce plasnęła, wołając z ożywieniem:

— Głowę masz, nie makówkę, na karku dziewczko! Chwackoś ułożyła: takiej obieży nie postrzeże, choćby od liszki był chytrzejszy. Biegaj żwawie do Niemca... Żelazo kować trza póki gorące.



Meyster Elbich, ówik nie w ciemię bity, odrazu pismo nosem zwąchał, ale z umysłu ciemnego udawał i w łeb się drapał, wzdraganie okazując, co czynił nie z inszej przyczyny, jeno by ile można z gratki najwięcej dla siebie korzyści wyciągnąć. Mówił:

— Prosty ze mnie chłop, swego porządku pilnuję, a czego nie rozumiem, stronię od tego, by myta nie płacić za zbliżenie się niewczesne. Warstat, kruszce, bernsztajn — to moja rzecz, pani miłościwa, ale w niepojęte sprawy się wdawać strach bierze. Na to śmielszego trza i rzutniejszego.

Belinowa, o co idzie wymiarkowawszy, obawy Niemca rozproszyła, nagrodę mu zapowiadając, a to podziałało na Elbicha iście cudownie: znalazł śmiałość, zgodził się na wszystko i niezwłocznie do Świdwy poszedł, który mu obcym nie był.

— Dowiedziałem się, że wasza cześć w Krakowie — tym kształtem odwiedziny swoje tłumaczył — więc przypomnieć się obowiązek czuję i służby polecić. Dawno szczęścia nie miałem oblicza waszej cześci oglądać...

Uśmiechnął się rycerz.

— Powiedz raczej, żeś dawno trzosa mego nie oglądał — rzekł.

— Ano — odparł Niemiec dobrodusznie — jedno z drugim... Życ trzeba, a bez zabiegów i starunku o sobie, nic zyskać nie można. Kluska sama do gęby nie wpadnie, garść ją tam wetknąć musi.

— Kluską dla ciebie mam być? Jakże to: połknąć mnie chcesz? Toś się źle wybrał, mój meystrze — żartował Świdwa.

Niemiec ręce do góry obie wznosił.

— Skąd znowu! Ot... połknęłoby się nieco z worka waszej cześci, a tuszę, iż byłoby to całkiem dobrze dla nas obu. Wasza cześć doznałby ulgi, a ja...

— A tybyś w sadło porósł więcej. Cheiwcze — nosisz go przecież na sobie dość...

— Od takiego przybytku głowa nie zaboli — zatarł ręce pulchne Niemiec.

— Czy lichy targ masz, że aż musisz do kramnicy swojej nawoływać?

— Kupiecka to rzecz, życzliwość sobie jednaki do pamięci ludzi pukać. Nie poskarżę ja się, żeby ludzie o mnie zapominali, jakoś Bóg łaskaw, — ale prawdę rzekłszy... nierozkoszne mamy czasy... — westchnął Elbich. — Ścisk wszędy, przez one utrapione wojny bardziej zaś przez łotrzyków, których się namnożyło by robactwa w gnoju...

— Znoszą też insze krainy tę plagę, nietylko my — zauważył Świdwa.

— Wola Boża! — skłonił głowę Niemiec i po chwili dodał. — Ano... nie będę waszej miłości wstrętu osobą moją czynił. Spodziewanie mam, że mnie nawiedzić racycie, po starej znajomości. Rarytnych, oczu wartających rzeczy mam dużo. Niech wasza miłość, choćby dla ich obejrzenia, kramnicę moją najrzy. Wasza miłość żałować nie będzie, a ja się nie powstydzę.

— Koniecznie się do worka przymawiasz?

— Co robić... na to kokosz grzebie, żeby co znalazła. Każdy o sobie pamiętać musi, inaczej w palce będzie chuchał. Radbym od miłości waszej co uszczknąć, do tego się przyznaję, boć to nie grzech, ale też radbym się pochwalić robotą, przed na rzeczy się znającym okiem. Dla meystra ucziwego wiele stano-

wi, jeśli dobre słowo od takiego znajka, jak miłość wasza, usłyszy.

— To ty i kadzidłem dla zysku frymarczysz, kręta-  
tacz? — pogroził mu Świdwa, którego jednak mile sło-  
wa układnego Niemca polechtały.

— Boże mnie od nieszczerości zachowaj i broń!  
— w piersi się uderzył Elbich. — Mówię, jak w rzeczy  
samej jest. Każdemu wiadomo, że nikt równie waszej  
miłości roboty misternej nie oceni. Wasza miłość tyle  
świata zwiedził, tyle piękności w skarbeach przeróż-  
nych i królów, i książąt, i grabiów oglądał, że nietyl-  
ko się poznać umie, ale w razie czego radę meystro-  
wi da...

Przyobiecał Świdwa, że prośbie zadość uczyni i dnia  
którego do kramu Niemca się wybierze, co też wkrótce  
spelniał. Elbich pożądanego gościa spostrzegłszy, natych-  
miast o nim dał wiadomość Belinowej, a tymczasem sta-  
rał się go zabawiać, bogactwa swoje mu pokazując.

Miał on kramnicę na dole, ale tam nagroma-  
dzone były przedmioty pospolitsze, mniejszej wartości;  
osobliwości przechowywał w pomieszkaniu górnem, do-  
brze obwarowanym, w skrzyniach i szafach dębowych,  
przezornie zamkniętych ryglami, które odsuwać on sam  
jeno potrafił. Mieściły się tam istotnie dziwa, godne  
skarbeca królewskiego. Więc kielichy mszalne, reli-  
kwiarze, krzyże, pateny, monstrancye, puginały, miecze  
długie i krótsze, łańcuchy, pierścienie, naramiennice,  
hełny, tarcze, blachy na piersi, zausznicie — wszystko  
ze złota lub srebra, wszystko wysadzane kamieniami,  
od których blaski aż biły. Robota każdej sztuki była  
tak kunsztowna, tak w szczegółach dokładna, że nie-  
podobna było jej nie pochwalić. To też Świdwa słów

pochwały nie skąpił, szczerze się wytworami pięknymi zachwycając. A gdy z kolei do bursztynów przyszedł — uderzył Elbicha po ramieniu i rzekł:

— Meyster z ciebie całą gębą, to przyznać trzeba! Skądże takie cudne wzory bierzesz? Nigdzie równie pięknych nie zdarzyło mi się widzieć...

A co? A co? — śmiał się Niemiec, ręce zacierając, aż mu się zwiśłe podbródki i brzuch wydatny trzęsły. — Stara się człowiek i tyle... Od starunku wszystko zależy. A wzory skąd? Oto gdzie siedzą!

Po czole palcami stuknął.

— Piękne rzeczy! Cudne rzeczy, mój meystrze — chwalił Świdwa, rozpatrując się w osobliwościach — jeno że tylko na nie patrzeć można, bo o cenę zapytać strach... Chcąc coś stąd wynieść, skórę pewnie zostawić trza. Znanyś z tego, że trzosa wyprawiać potrafisz, niezem garbarz...

— Gdzie zaś! skromnym się zadawałam zyskiem, a dla waszej miłości gotowem stracić.

— Pacholę ci zawierzy, ale ja cię przecież znam! Nie taki z ciebie dobrodziej, żeby na skromnym poprzestawać zysku...

Upodobał sobie Świdwa relikwiarz z jednej sztuki bursztynu, w srebro osadzony, kształtu krzyża, którego przy zbiegu ramion się rozwierał i tam miejsce było, szczerozłotą powłoką wysłane, dla złożenia bądź okruców drzewa z prawdziwej Męki Chrystusa Pana, bądź innych świętości. W drzwiczkach, od przodu, rubin jaśniał, do krwawego oka podobny, a u szczytu krzyża wyobrażone było słońce z brylantów. Ten owo krzyż odłożył Świdwa na bok, zamysławiając go mistrzowi Grzegorzowi z Sanoka w darze ofiarować (powziął

bowiem do tego męża uczonego osobliwą skłonność, ile że mistrz Grzegorz na poetach się znał, sam nawet rytmy układał, a wszystko, co z Parnasem związek miało, i dla Węża posiadało urok) — odłożywszy zaś, łańcucha zażądał złotego, do zawieszenia relikwiarza. Wynalazł mu Niemiec istne cacko. Był ten łańcuch utworzony z ogniwi, wyobrażających sploty liści laurowych, na których tu i owdzie błyszczwały perły mleczne, niby rosa. Świdwa tak się zajął klejnotem, że nie słyszał, jak się drzwi otworzyły i przez nie weszła Belinowa.

Wdowa całego zasobu zalotności użyła, aby swą urodę podnieść, uczynić z niej oręż, serca męskie podbijający. Nie miała w tej mierze trudności, bo przecież natura sama hojnie ją uposażyła—więc też podobną była do onych wrózek, co to, jak baśni prawia, w krainach czarodziejskich zamieszkują, gdzie wieczne słońce, wiosna wiekuista i szczęście jeno panują. Przechuciem wiedziona, twarzy wyraz skromności i godności nadała, poruszała się wabnie, imponująco, jak królowa, a przemawiała głosem niby jedwab miękkim, w którym jednak srebro dźwięczało. Niktby w niej nie poznał onej niewiasty wyzywającej, nawykłej spędzać czas przy biesiadach, wśród grona mężczyzn, lubujących się w śmiałych spojrzeniach i krotocwilach.

Elbich ławę wyściełaną z uniżonością jej podsunął i, na żądanie, przedmioty kosztowne rozkładać począł, które ona rzekomo oglądała, z pod rżęs na Świdwę strzelając. Świdwa atoli wciąż się łańcuchem zachwycał, jak prawdziwy miłośnik wszystkiego, co piękne i misterne, więc z razu nie postrzegł pani Barbary; dopiero, gdy głośniejsze sprzeczać się o cenę z Elbichem zaczęła, podniósł głowę i oczy ku niej zwrócił.

Izba, w której się znajdowali, była obszerna, przytem wdowa tyłem do Świdwy zwrócona siedziała, oblicza jej tedy widzieć nie mógł. Wzrokiem obojętnym postać jej ogarnął i znów się nad łańcuchem pochylił, usiłując do niego relikwiarz bursztynowy przymocować. Belinowa tymczasem coraz głośniejszą się z Elbichem targowała, niby oburzona, że tak wysoko swój towar szacuje, wreszcie, odwróciła się i Świdwę temi zaczęła słowa:

— Wybaczcie, że was, chociaż nieznajoma, zaniepokoję i pomocy zażądam. On meyster niepoczciwy na krzywdę moją się śnać zawziął, bo widząc, że mi pierścień z zielonym kamieniem do upodobania przypadł, niesłychaną cenę naznaczył... To się przecież nie godzi. Powiedzcie mu, może prędzej go przekonacie, a wdzięczną wam będę...

Mówiąc to, wstała i zbliżała się powoli ku Świdwie, pierścień w ręczce białej trzymając, a przemyślny Niemiec na bok się usunął, chytrze przytem oczyma mrugał i nosem czmychał, obliczając, ile też korzyści ta dziwna zacheianka wdowy mu przyniesie.

— Oto pierścień—mówiła Belinowa—piękny, ani słowa, wszakże grzechem jest więcej cenić niż wart. Rzućcie tylko okiem i osądźcie raczcie...

Stała przed Świdwą w południowego słońca promieniach, które przez odsunięte okno wpadały, rozjaśniały jej twarz, blask oczu zwiększały, a dokoła kształtnej głowy tworzyły jakby obręcz złotą. Świdwa na wezwanie pośpieszył skwapliwie, z wytwornością dworaka, nawykłego do obcowania z niewiastami zanego rodu, skłonił się, jedną rękę, zwyczajem owczesnym, do piersi przykładając (któren zwyczaj miał ozna-

cząc, że rycerz całym sercem rozkazom gwoli damy pozostaje) i począł mówić swobodnie:

— Dzięki wam, miłościwa pani za ufność, z jaką się do nieznanego zwracacie, ale nie wiem, czy tej ufności odpo...

Niedokończył, głos mu uwiązał w gardle, cofnął się, i oko szeroko rozwarłszy, stał niby skamieniały, ze zdumieniem patrząc na Belinowę.

Ta w pierwszej chwili nie wiedziała, co to ma znaczyć i sama się ździwiła, ale wnet wytłumaczyła to sobie:

— Aha! Wpadł w sidła... Uroda moja odjęła mu mowę... Juści po tobie, biedny Wężu! Juści przepadłeś!

Omali się nie rozśmiała z uciechy, lecz zdołała się wstrzymać i udając, że osłupienia Świdwy nie postrzeżga, uparcie mu pierścień podsuwała.

— Weźcie do rąk i sąd wydajcie, zali tyle można za to dać, ile żąda Elbich. No, bierzcież...

Ze Świdwą coś dziwnego się działo... Cofnął się jeszcze bardziej, tchnął głęboko, rękę do czoła podniósł, a oczu z twarzy Belinowej nie spuszczał. Zdawało się, że go przytomność odbiegła, bo ustami poruszał, coś naszeptując.

— Weźcież pierścień—raz trzeci powtórzyła wdowa — chyba mi nie odmówicie przysługi. We dwoje rychlej niepocziwego meystra zmożem, ja sama mu nie podołam. Proszę was...

Ujął klejnot Świdwa i drżącym głosem wyjąkał:

— Pani miłościwa... ten pierścień... prawda, pierścień jest... Gotówem służyć... żądajcie, czego wam się żywnie podoba...

Znów czoło jął trzeć, znów tchnął głęboko, a zamiast na pierścień, na twarz wdowy pozierając, szepnął:

— Nie może być! Niepodobna! Śnię chyba!

— Ten pierścień zatem ile wedle was może warteć?—naglila wdowa.—Kamień cudny wprawdzie, blaski z niego idą wspaniale...

— Gasną one przy blasku urody waszej!—odparł Świdwa, jawnie wzruszony.

— Ależ ja was o klejnot zapytuję, wy zaś o czym innym mówicie...—rozśmiała się pani Barbara.

— O klejnocie mówię, bo nikt mi nie zaprzeczy, że klejnot się w osobie waszej mieści.

— Dobrej rady u was szukałam, nie słów gładkich...

— Szczere to słowa, wierzajcie. Do tych ludzi należę, którzy, jeżeli grzeszą, to zbytkiem szczerości.

— Jeżeli zawdy tak szczerem, jak ze mną, jesteście, to nie kupowałabym u was szczerości onej za dobrą monetę...

— Czemu?

— Bo za dobry pieniądz obłudę wymuskanąbym dostała.

— Skromność waszemi usty przemawia. Nazbyt jesteście surową dla siebie samej, pani miłościwa. Ja stoję przy tem, com raz rzekł. Jedno mam słowo zawdy...

— Wróćmy do pierścienia lepiej—przerwała Belinowa.—Jakże wam się zda? Meyster Elbich go przecenił, prawda? Upewniam go, że nikt mu, ile on żąda, nie zapłaci, ale co z nim gadać. Wy mu słowo prawdy rzeknijcie...



— Rozkazujecie?

— Proszę jeno.

Skinął na meystra Świdwa, a gdy ten z kąta się wysunął i zbliżył, Wąż gromić go począł za drożenie się i do obniżenia ceny za pierścień skłaniał. Belinowa podówczas przypatrywała się uprzejmemu rycerzowi nie bez upodobania, mówiąc w duchu:

— Cale niczego chłop! Gdzie do niego Grzymale, Łubie i wszystkim, co się około mnie kręca... Inszy jest, miło z nim pogadać... Odrazum go zawojowała, a miarkowałam, że zachodu z nim będę miała wiele. Gładki i całkiem k'rzeczy. Nie to—odpokutować winę musi, jakom postanowiła. Darować mu przecież nie mogę. Będzie wiedział, że język na wodzy trzymać należy, gdy się o niewiastach gada. Sam piwa nawarzył, wypić tę warzę musi... Śmiech pusty mnie ima gdy pomyślę, że wojnę mi wypowiedział, a od jednego spojrzenia w baranka się zmienił. I nici do prowadzenia takiego nie potrzebuję, nietylko powroza.

Pod naciskiem Świdwy, Elbich z ceny spuścił, Belinowa pierścień zabrała i podziękowawszy uprzejmemu rycerzowi grzecznie, pożegnała go, lecz nie opowiedziała mu się z rodu ani zamieszkania. Zachowywała się przez czas rozmowy układnie i z godnością, baczyła na ruch każdy i gest, a słowa z taką prostotą wypowiadała, że niepodobna ją było o udawanie posądzić. Okazała się światową i wesolą, lecz w mierze właściwej, a mówiąc o tem i owem, znalazła sposobność westchnąć, zasępić się, takie coś wtrącić, co dawało poznać, że chociaż z troską się nie zdradza, jednak bez niej nie jest. Oczy jeno czasem zapłonęły

ogniem zbyt namiętym, strzeliły zbyt wyzywającą zalotnością, ale i z tem się miarkowała.

Gdy wyszła, Świdwa ręce na piersiach skrzyżował i w zadumę wpadł tak głęboką, że mu jej Elbich nie śmiał przerywać. Powieki przywarł, na twarzy jego rozrzewnienie się malowało, głową wstrząsał i jakby z samym sobą się sprzecząc, powtarzał półgłosem:

— Nie może być! To oman! Mara! Przywidzenie!

Niemiec kosztowności, powydobywane dla okazania Belinowej, do skrzyń i innych kryjówek chował, z pod oka na zamyślonego rycerza rzucając i sam też domysły snując, jaki cel miała piękna wdowa w związaniu znajomości ze Świdwą i to w sposób tak podstępny; ale chociaż go ciekawość paliła, ani myślał się dopytywać, przewidywał bowiem, że się tym sposobem narazić może.

— Dopytując — rozważał w duchu — mogłoby mi się jakie słowo wymknąć, mógłbym zdradzić panią Belinową... Nie mi zresztą do tego. Uczyniłem, co chciała i co było w możności. Złego w tem nie widzę. Zażąda-li jeszcze usług? Nie odmówię, jeśli mi się opłacą i jeśli w nich biedy dla swego grzbietu nie dostrzegę. A na to oczu mi przecież starczy!

Ocknął się i Świdwa z zadumy, westchnął, dookoła rozejrzał, jak gdyby czego szukając.

— Szczęściem ci sprowadził — rzekł do Elbicha, na uśmiech się siląc — owo wnet za mną ta gładka pani pociągnęła i dobrześ na niej skorzystał.

— Skorzystałoby się więcej, gdyby wasza cześć do ustępstwa mnie nie był naparł — na to Niemiec. — Handluję z panią ową nie od dzisiaj. Lubi kupować

(w naturze to niewieściej leży) a do targu cierpliwości nie ma.

— Sam się do ździerstwa przyznajesz... Okazuje się, żeś nietylko w kunszcie swoim meyster, ale i w podstępach.

Zaniepokoił się trocha Niemiec.

— Co też wasza cześć mówi!— zawołał, ręce pokornie składając.—Ja i podstęp, to jak woda i ogień! Całe życie prostemi ścieżkami chadzam i...

— I zamiast odrazu powiedzieć, co któren przedmiot warta, kołujesz macając, zali się oćmić kupującego nie da—dokończył Świdwa. — Podstęp to oczywisty, mój meystrzel!

— Żaden podstęp, proszę waszej miłości, jeno obyczaj kupiecki. Bez targu handlu niema. Z dawnych wieków tak idzie, że kupiec z towarem się droży. Alboż to co dziwnego? Każdemu korzyść na myśli, każdy trzosa swego baczy.

— Przynajmniej dla znajomych winienesz szczerym być—od niechcienia rzucił Świdwa. — Z pierścieniem, na ten przykład... Zaceniłeś nieomal dwa razy nad wartość, a przecież ową panią znasz, jak mówisz, nie od dziś... Znajomość obowiązki nakłada...

— Ale nie takie, żeby meystrowie bez zysku pracę swoją przedawali—bronił się Niemiec.—Na świecie jeden z drugiego żyje, to trudno.

— Nie przeczę. Wszelako insza rzecz zysk godziwy, a insza siódmej skóry ściąganie; ty zaś, meystrze, dwudziestąbyś zdarł, gdyby możność się zdarzyła. Odtąd więcej z tobą ostrożnym będę.

Świdwa to rzekłszy, pogroził Elbichowi palcem, potem o cenę relikwiarza i łańcucha umawiać się po-

czął, gdy zaś się wreszcie zgodzili ostatecznie, zagabnął rzekomo obojętnie:

— Jakże się zowie pani owa, co pierścień kupiła? Widzi mi się można jakaś...

Niemiec oczy i ręce do góry wznosił.

— Jeszcze jak!—odparł ustami cmokając.—Włości ma i po rodzicach, i po mężu, przytem sama, dziecka ani kawałka... Smaczny z niej kasek. To też niejednen koło niej się kręci, ale daremnie, bo się powtórnie wydać zamąż nie śpieszy.

— Wdowa?

— Wdowa, ale, jak wasza cześć widział, za dziewczkę można ją wziąć, tak młoda i hoża. Należć urody równej trudno... Ho! ho!

— Prawda, że gładka, jak rzadko—mówił powoli Świdwa. — Ze światem i ludźmi też obyta być musi, z rozmowy to poznać łatwo. O wszystkim dorzecznie powiedzieć umie... Jak się tedy zowie? Pytałem już, a jeszcześ mnie oświadomić nie raczył.

— Bo się o czem innem zagadało. Wasza miłość musiał chyba o niej co słyszeć—toćże to pani z Tokarzewa.

Porwał się z ławy na równe nogi Świdwa, jakby go kto ukropem sparzył.

— Co pleciesz, Niemcze! Pani z Tokarzewa? Wdowa po Petрку Belinie? To żadną miarą być nie może!!—zawołał gwałtownie.

— Ale!—rozśmiał się meyster. — Jakże nie może być, kiedy jest.

— Ona! ona wdową po Petрку? Ta sama, co to ją „piękną Barbarką“ zowią?

— Juści—potaknął Elbich, nie mogąc pojąć, dlaczego ta wiadomość tak wzburzyła rycerza.

A Świdwa ręce załamał i stał przez chwilę niemy, błądy, osłupiały, jak gdyby cios dotkliwy nagle spadł na niego.

— Co waszej miłości? — zapytał Elbich nieco strwożony, bo na myśl mu przyszło, że może źle uczynił, nazwisko wdowy wymieniając. Rychle jednak niepokoję się pozbył: Belinowa zatajenia nazwiska wcale mu nie nakazywała, nawet o tem nie napomknęła.

Świdwa otrząsnął się z wrażenia, przeszedł po izbie kilka razy i więcej o wdowę nie dopytując, opuścił dom Elbicha, ale jakiś kwaśny i nasepiony.

— W oman wpadłem — mruczał, idąc zwolna po ulicy.—Niepodobna, żeby tamta Belinową była... Skądżeby się tu wzięła? A w pierwszej chwili przysięgłbym, że to ona... Że też człowiek oczom własnym do wierzać nie może...

---

### III.

Przygotowania do onej walnej rozprawy rycerskiej, co to na Smoczem uroczysku, pomiędzy Zbigniewem z Oporowa, a Rawitą młodym, odbyć się miała, czynili Rawici w Słupcy, ile, że tam Skower chętniej niż w Konarach przesiadywał, a on przecie miał niezawodny sposób wymądrzyć, aby w spotkaniu tem Jelita zgubę znalazł. Jaki to był sposób — z tem się wciąż, do ostatniej chwili, ukrywał; wiedzieli tylko Ra-

wici, że zaprawa jadowita do tej gry występnej wchodziła.

Ku Słupcy zaś ciągnęła Skowra Kunda Grotówna, która tam się trzymała, przenosząc tę włość nad ojcowskie zameczysko, posępne niby grób. Miała też w Słupcy towarzystwo z małżonki brata swego, Zbigniewy, córki Mikołaja z Brzezia. Ta, acz starsza od niej o jaki lat dziesiątek, zgadzała się z nią usposobieniem, przypadły jakoś wzajem do siebie i pasowały. Obiedwie były małomówne, w sobie zamknięte, dumne, uparte, a choć do rodu przywiązane, nie pochwalały postępów i obyczaju Grota, jego syna i wnuka. Zdarzało się, że podczas jedna i druga słowo gorzkiej przestrogi któremu z nich rzuciła, za co je spotykało szyderstwo, bądź groźba surowa, bowiem Rawici nawet od swoich napomnień żadnych nie cierpieli.

O tem, że Skower na Kundę kroi, wiedziała i sama Grotówna, i Zbigniewa, gdyż takie zamysły przed oczyma białogłowskiemi się nie utajają; zresztą Skower od czasu do czasu o zamysłach swoich uparcie powtarzał, mimo, że z miejsca dostał odprawę. Rzekła mu Kunda przy pierwszej zaraz sposobności:

— W głowie się wam chyba pokielbiło! Ani ja dla was, ani wy dla mnie.

— Czemu?—zapytał. Mąż i żona mogą z nas być najlepsi: lata mamy odpowiednie, na straszdyło nie patrzę, w naturze i obyczaju też zgodność może się nawiązać, bo ta z czasem przychodzi...

— Próżne gadanie! — głową potrząsając odparła. — Chleba z tej mąki jako żywo nie będzie. Wy, na ten przykład, nie macie zwyczaju nigdzie miejsca zagrze-

wać: dziś tu — jutro tam; ja znowu w gnieździe swoim siedzieć lubię.

Zrozumiał Skower, że Kunda temi słowy zagadkowe pochodzenie i niemożność mu wyrzuciła, zawrzał w duszy, lecz nie okazał urazy. Mruknął jeno:

— Po ożenku upodobania się zmieniają, możebym tedy i ja do siedzenia w gnieździe nawykł..

— Lepiej sobie tem głowy nie zaprztać, z czego skuteczność nijaka nie wypłynie. Nasze drogi się nie zbiegną, to darmo — tyle mu powiedziała na to spodziewanie i z oczu mu zesła.

Pomiarkowawszy, że jej rodzeni coś niedobrego przeciwko Jelicie knują, chwilę upatrzyła, na uboczu Skowra przydybała i zagabnęła, w oczy mu bystro patrząc:

— Na łowy się sposobicie?

— Ani o tem wiem — odparł tamten, zrazu nie domyśliwszy się, do czego Grotówna zmierza.

— Jakże to może być? — rozśmiała się. — Ono potykanie się z Jelitą, zali podobności do łowów nie ma? Wiedzieć o niem musicie, bo z waszej głowy zamysł wyszedł.

— W druźbie z waszymi rodzonymi żyję, więc im się pomoc należy w potrzebie... — tłumaczył się Skower.

— Pomoc w druźbie chwali się, jako uczynek piękny, z obowiązku płynący; ale tu całę insza rzecz się snuje. Myślicie, że oczu nie mam? Igrał Jaszko, aż się doigrał sprawiedliwie, a wy, zamiast mu radzić, aby szaleństw poprzestał, do nowych go pchacie...

— Sam się do zapłacenia krzywdy w swojej

sprawie rwie, w czem mu przeszkadzać nie można, bo słusność po jego stronie...

— Owa krzywda bałamuctwem jest i słusność równie—ramionami poruszyła Kunda.—Halszka w tem tkwi, dobrze wiem. Ale czy tym sposobem ją pozyska, chociażby mu się udało Jelitę zmódz? Że nie, to nie.

— Za jutrzejszy dzionek nikt poręki dać nie może...

— To, o czem mówię, przewidzieć łatwo. A nuż Jaszkwowi znów się noga powinie?

— Czemu ma się powinąć? Zali Jelita ze szczęściem ślub w kościele wziął?

— Od Boga szczęście i nieszczęście idzie, pamiętać też trza, że przy sprawiedliwości opieka Boża stoi...

— Tak mówicie — bąknął Skower zniecierpliwiony—jakbyście siostrzanowi nie życzyli...

— Życzę mu jaknajlepiej, przede wszystkim, żeby go raz złe pomyslenia odbiegły. A wam życzę na ogień nie dmuchać. Niegodna to rycerza robota, przytem do bezpiecznych nie należy.

Oczywista, że upomnienie tyle skutku na Skowrze wywarło, ile rzucanie grochu o ścianę. Zastanowiły go jeno słowa ostatnie Kundy, w których jakby pogróżka brzmiała. Ale długo sobie głowy niemi nie zajmował, bo wiedział do czego dąży i w połowie drogi zawracać nie myślał. Rzekł tedy w duchu:

— Gadaj sobie, co żywnie chcesz, a ja swoje robić będę. Dla głupiej sprawiedliwości ptaka z garści się nie wypuszcza. Zresztą ten na świecie mądry, kto sprawiedliwość w korzyści widzi, któren zasię inaczej myśli, zawdy cienko śpiewa...



Na dni kilka przed spotkaniem, posłali Rawici Zbigniewowi Jelicie do Krakowa zapis, ułożony wspólnie ze Skowrem, w którym to zapisie warunki boju stały wyrażone — jak się mają szermierze zachować, oraz zgoła wszystko, co zbroi, broni, koni, miejsca, dnia i godziny walki dotyczyło. Żądali, aby przeciwnicy mieli na sobie płachy (blachy, zbroje): przednią, zadnią, także na rękach i na nogach do kolan; a od kolan na dół, aż do podeszwy, żadnej plechowej, ani pancerzowej rzeczy, jedno nogawice proste, sukienne, obuwie skórzane i ostrogi. Głowy, karki i szyje wolno każdemu z nich było opatrzyć plechę z bernieniem, jako który najlepiej mózdz i umieć będzie. Co do broni — w zapisie wymienione były: drzewo (kopia), miecz, tarcz, nie więcej, bądź małej, bądź wielkiej rzeczy. Konie miały być uzdą osadzone, siodłem osiodłane, bez żadnych przypraw, które mogłyby szkodę albo walczącym, albo samym koniom przynieść \*).

Nie zawierało się w tych żądaniach nic nadzwyczajnego, w takich warunkach zwykle mężowie rycerscy waśni pomiędzy sobą załatwiali, tedy Raróg rychło do Słupcy wrócił, przywożąc ze strony wyzwanego zgodę. Wrócił nie sam — z nim zjawił się człek wzrostu dobrego, tak suchy, jak gdyby nie nie jadał, ruchliwy, z wesołą, uśmiechniętą twarzą, z bystremi, z kąta w kąt biegającymi oczkami, które mrużył co chwila, jakby go

---

\*) Warunki rozprawy rycerskiej wyjęliśmy z cennego dokumentu, pochodzącego z r. 1511, znajdującego się w Metr. Koron. Księga R. R. od 26—62. Nosi on intytlucyę: „Czeduła czyli zapyss na Sądy Boże, między szlachetnymi Mikołajem Turskim a Mikołajem Smolikowskim.

blaski nagle raziły. Odziany był z cudzoziemska, na dworzanina dostatniego dworu wyglądał. W Słupcy znało go już, bo do Skowra czasem przyjeżdżał, opowiadając się jego przyjacielem od lat wielu. W jakimś mieście zagranicznym, bodaj na Śląsku, się spotkali, a raz się zapoznawszy, odtąd już wiernie jeden o drugim pamiętał. Skower mówił, że z dobrego szlacheckiego rodu, jeno przez wojny zubożałego, ten przyjaciel jego pochodzi, zowie się zaś Frank von Zichel. Wygadany był on szlachcic, w świecie obyty znać, bo się wszędzie czuł swobodnym, przytem niezmierną ciekawość wszystkiego okazywał. Znalazłszy się gdziekolwiek, wszystkie kąty plondrował, o każdy szczegół pytał, a gdy co rozpowiadano, uszu bacznie nadstawiał, jakby karbując sobie w pamięci słyszane.

Skower musiał się druha spodziewać i z niecierpliwością oczekiwać, gdyż obaczywszy go, twarz pochmurną rozjaśnił i w dłonie plasnął, ale zarazem dał mu znak milczenie nakazujący, co gdyby kto zauważył, łacnoby dociekł, że dwaj ci ludzie mieli pomiędzy sobą jakieś konszachty tajemne. I tak też było. Frank przy Rawitach o rzeczach obojętnych prawil, przysłuchiwał się uważnie, gdy o spotkaniu z Jelitą rozpowiadano - dopiero po wieczery, znalazłszy się z przyjacielem w izbie oddzielnej, zapytał go, na łożu się wyciągając:

— Słuchajno, Artus, po cóżeś ty mię, do jasnego pioruna! z Maryenburga tutaj włókł? Niedosć, że się mną mistrz wielki jak pomiotłą wysługuje, i tobie jeszcze coś do łba strzeliło...

— Nie mrucz, Franku, widać, że powód miałem, skorom to uczynił. Dziękować mi za to będziesz, choć

nie zaraz...—odparł Skower.—Ale! ale! Łuk swój zabrałeś? To ważna rzecz...

— Jakże? Wysłaniec mi z dziesięć razy o tem przypominał... Jestem tedy, powiadaj, oświadcom mnie. Zali złote jabłka upatrzyłeś i do nich ci mego łuku i ręki mojej trza?

— Zaiście złote jabłka — potwierdził Skower.— Łuczniak ze mnie nienajgorszy, sam wiesz o tem, lecz twojej celności nie sprostam, a tu właśnie celności trza pewnej, murowanej.

Frank w głos się roześmiał, tak mu miłą była pochwała Skowra, i wsparłszy się na łokciu, mówić począł z ożywieniem:

— Tak, nie zaprzeczę, że się z łukiem obchodzić potrafisz, lecz i to prawda, że w łucznictwie ze mną trudno w zawody iść... Co chcesz? Celność z łuku— to dziedzictwo moje, puścizna rodowa... Od wieku wszyscyśmy byli w tem rzemiośle mistrzami... Ej, Artus! Gdy sobie wspomnę te czasy, kiedy chłopięciem, zaledwie od ziemi odrosłym, będąc, po urwiskach pięknej Helwecyi naszej za gemzą, kozłem skalnym lub orłem się uganiałem, coś dziwnego się ze mną dzieje... W piersi powietrza mi braknie, a taki żal serce ścisła, że łzy napływają do oczu i radbym płakał, płakał bez końca... Czasy to były istotnie szczęśliwe! Pod nogami przepaść, z rwącym szaleniem, hen! gdzieś na dnie potokiem, lub lazurowa toń, niemniej przepaścista, jeziora, ujętego ramą czarnych, nieprzejrzanych lasów; a nade mną szczyty lodowe, nad niemi niebo pogodne lub chmurami zasnutę, a wyżej jeszcze—Bóg, ze straszliwym majestatem... I dobrze człekowi było wśród tych puszczy i przepaści, wśród bezmiarów i ci-

szy—czuł się lekkim, swobodnym, rześkim, nie trapiło go nic, nie nie pożądał, bo nie też go nie obciążało... Ale odkąd się świata dotknął, bliżej z ludźmi zbratał—wszystko się zmieniło. Dziś ani rozśmiać się szczerze, ani zapłakać nie może, bo śmiech oddawna zamarł w nim, łzy wyschły od gorącości pożądań...

— Przystań!—mruknął Skower. — Co było... nie wróci... Po co mary przeszłości przyzywać, z niemi jeno frasunek...

— Co było... nie wróci—powtórzył głucho, z żalem Frank, który pod wpływem wspomnień, rozrzewnił się i w innego przedzierzgnął człowieka.—Święta prawda. Odkąd wyruszyłem z domu, zaprzędany przez chciwego stryja do łuczników pana Burgundyi, przepadła dla mnie swoboda, wesołość i uczciwość. Spotkałem się tam raz pierwszy z tobą, Artusie, który z celi mniszej się wyrwałeś, gdzie cię byli rodzice osadzili... Ciężko nam było wytrwać w karnych szeregach, to też opuściliśmy je kryjomo i dalejże szukać szczęścia po świecie... Gdzieśmy nie byli... Czegośmy nie zaznali... Szczęścia nie naleźliśmy, ale naleźliśmy obrozę w psiarni wielkiego mistrza Krzyżowców, którą po dziś z karnością psów nosimy... Tak: ja Frank z Lucerny, syn poczciwego sztalmeystra i ty, Artus z Sewy, obadwaj wolnej krainy synowie, których też marzeniem głównem była swoboda bezgraniczna, dobrowolnie oddaliśmy się w niewolę... Podczas musim się w cudzą skórę przybierać, jak na ten przykład, ty obecnie, Artusie, bo tak pan każe, a sługa musi słuchać i milczeć...

Tu szpieg wielkiego mistrza Krzyżowców (bo wiem zarówno Frank, jak i Skower, a raczej Artus

z Sewy, wioski Schwützu, w helweckiej krainie położonej, pełnili już od lat kilku tę służbę nieczemną, przyczem dla ich zręczności i przebiegłości, ważne im powierzano misye) splunął i śmiać się dziko począł, Skower zaś, jakby się przed samym sobą tłumacząc, szepnął:

— Oplaca nam się to przecież....

— Skarby świata całego nie oplacą jarzma, a jeszcze z którego hańba płynie! — zgryźliwie przerwał Frank.

— Na szatana i ród jego, dość o tem! — zawołał Skower (tak niechaj się już zowie). — Trunek cię rozmarzył, nadtoś go pił przy wieczerzy... Niewola... a któryż człowiek niewolnikiem nie jest? Każdy komuś służy, przed możniejszym kark zgina. Taka już kolej rzeczy... Zresztą mistrz płaci dobrze, a porzucić go nie mogę, bo długie ma ręce. Przed pomstą Krzyżowców na końcu świata się nie ukryjesz...

— Ba! gdyby nie to... — mruknął Frank przez zęby.

— Właśnie, gdyby nie to, możnaby gdzieindziej szukać szczęścia, ale kiedyś grzyb — siedź w koszu. Gdyby chociaż ze skrzynię złota mieć, ale bez tego niema o czem mówić...

Milczeli przez czas pewien, wreszcie Skower zapytał:

— Co słyhać w Maryenburgu?

— Źle — odparł posepnie Frank. — Majestat rycerzy zakonnych coraz bardziej się chwieje. Jagiełło klęskę im zadał straszliwą...

— Nie to dla Krzyżowców: są oni jako wielogłowy potwór, któremu łby odrastają, byleby jeden zo-

stał. A przecież Jagiełło im najgłówniejszego nie odjął: Maryenburg jak był, tak jest ich...

— Prawda, Maryenburg przy nich; gdyby go byli stracili, można byłoby uważać Krzyżactwo za zgubione. Jagiełło mógł to uczynić, bardzo mógł. Maryenburg przy nich i, rzec można, obronniejszym jest niż kiedykolwiek, bo, jako ci wiadomo, już Plauen naprawiać zamek po obleżeniu zaczął, von Sternberg dalej to dzieło prowadził, a nasz Paweł von Rusdorf całkiem onego dokonał. Obecnie gród nie do zdobycia—chyba zdradą jaką. Przedzamecze wzmocniono od północy i wschodu (wiesz, najśłabsze to miejsce było warowni) murem z basztami, odbudowano wszystko zniszczone: komnaty wielkiego mistrza, arsenał, stajnie, śpi-chlerze, most na Noteci... Jeno basztę Wróblą trza było zburzyć do reszty... Choćby Lucyper wszystkie zastępy piekielne do szturmego powołał, nieby Maryenburgowi nie zrobił.

— A widzisz—zauważył Skower.

— Właśnie, że widzę inaczej niż ty—zaprzeczył Frank. — Rzekłem, iż potęga Krzyżactwa się chwieje i dodam: kto wie, czy nie runie. Zamki mają niezdo-byte, rycerstwo bitne, możni są, ale to wszystko ich nie uratuje, jeżeli trzymać się w kupie, jako jeden mąż, nie będą. Dawniej o tem pamiętali, że zgodą sto-ją narody, teraz zgoła o tem zapominają. Starszyzna ich waśni się z sobą, za łby drze, z czego nic dobro-go wypłynąć nie może. Jeżeli tacy mężowie, jakim był Henryk von Plauen, przepadają u nich marnie, znak to, że choroba ich toczy.

— Plauen, słyszałem, marnotrawcą był i dlatego upadł—wtrącił Skower.

— Tak mówili i mówią jego wrogowie, ale czego innego o nim się dowiedziałem ostatnimi czasy — zaprzeczył Frank. — Mąż to był, jakich mało, rycerz nad rycerze, z głową do rządzenia, przezorności pełen. On to przecie Maryenburg obronił, innych wiele zamków, już przez Polaków zagarniętych, odzyskał, powiedzieć się godzi, że dźwignął zwątlony na siłach i już prawie upadający zakon, a jednak na te jego zasługi i przymioty nie zważano. Widząc w zakonie rozprężenie, usiłował należyty ład wprowadzić i byłby to uczynił, gdyż żelazną miał wolę. To go właśnie zgubiło. Surowe jego rządy niechęć wywołały; obwiniony został o bezprawia, marnotrawstwo, nawet, jakoby z królem polskim w porozumieniu przeciwko zakonowi był i godność mistrza wielkiego, z tych rzekomych powodów, mu odjęto, a na to miejsce zagorzały wróg jego, Michał Kuchmeister, wójt Nowej Marchii, się dostał. Nie dosyć na tem. Kuchmeister przewidując, że pokrzywdzenie Plauena burzę pomiędzy braćmi wywołać może (bo nie bez tego było, żeby Plauen stronników swoich nie miał...) nocą uwięzić go kazał, do Gdańska odwieźć i w wieży tamtejszego zamku zamknąć...

— Przecież mu wolność przywrócono...

— Tak, po śmierci Kuchmeistera, nawoobranym mistrzem, von Rusdorf, uwolnić go kazał i do Lochstadtu odwieźć, nad morze. Była to atoli jeno zmiana więzienia, bo i w Lochstademie go pilnie strzeżono, z obawy, aby po władzę najwyższą nie sięgnął. Plauen o tem ani myślał. W Lochstademie zaledwie pół roku przeżył, tak był złamany udęczeniami, jakie mu w turmie gdańskiej zadawano... Zakon w nim stracił dzielną siłę. Szkoda też jego brata, Ulryka, któren po-

dówczas komturem gdańskim był. Ten bowiem, losem Henryka zatrwożony, przewidując, że i przeciwko niemu zamach uknuto, do Polski się schronił... Oto jak zakon marnuje siły...

— Cóż Rusdorf? Polecenia do mnie nie dał? — zapytał Skower, przemilczawszy.

— Otrzymać masz rychle szczegółowe, a jak mniemam, każe ci baczność podwoić—odparł Frank.— Strasznie się teraz w Polsce, w Niemczech, Czechach i Węgrzech kotłuje... Tu Polacy dla króla swego koronę węgierską zdobyć zamyślają, a dla brata jego czeską... Tu znów Węgrów Turczyn szarpie, niedawno ziemię siedmiogrodzką złupił i spustoszył... Tu wdowa po cesarzu Zygmuncie, Barbara, przez zięcia, cesarza Alberta, i córkę swoją, Barbarę, wypędzona ze wszystkich swoich zamków, miast i posiadłości, które na Węgrzech, w posagu lub jakimkolwiek innem prawem dzierżyła, pozbawiona jeszcze wszystkich skarbów i klejnotów, znalazłszy w Polsce schronienie, z Polakami przeciwko Albertowi spiskuje... Z tego straszliwego zamętu Polacy mogą znaczne odnieść korzyści, bo nietylko silni są, ale też w Węgrzech i Czechach silnych sojuszników mają... Zakon na to pozwolić nie może: wzrost Polski będzie zgubą jego... Dobrze to rozumiesz... Tedy Rusdorf na wszystkie strony zabiega, aby plany sąsiadów nienawistnych pokrzyżować.

— W Polsce też niezbyt spokojnie — rzekł Skower.—Spytek Melsztyński wicherzy coraz zawzięciej...

— Wiemy o tem i liczymy na niego, chociaż niewiele—przerwał Frank.—Odłóż jednak Melsztyńskiego i wszelkie sprawy jego na stronę, a praw, po coś mnie tu ścigał i to tak pilno. Jechałem na złamanie karku.



Skower tuż naprzeciw niego usiadł, przez chwilę w oczy mu patrzył badawczo, wreszcie głosem przyciszonego mówić począł:

— Družba nasza wypróbowana. Ludzie nami inaczey pokierować chcieli, a nam do czego innego dusza się rwała i rwie. Snać przeznaczenie zetknęło drogi nasze, odtąd już tyli czas trzymamy się razem. Zaraz przy pierwszym spotkaniu sojusz braterski zawarliśmy, to warując, iżby szczerłość pomiędzy sobą zachować, z pomocą wzajem, w razie potrzeby, śpieszyć...

— Stare, odgrzewane dzieje, a ja nowiny pragnę się dowiedzieć—przerwał Frank.

— Bądź cierpliwy, przyjdziemy do nowiny. Jakoż zazналиśmy, razem pędząc życie, złego i dobrego: kwaśno nam było i słodko, syci byliśmy i głodni, zgoła— jechaliśmy na wozie, ale i pod wozem się leżało... Tak oto szczęście goniąc, dostaliśmy się w służbę mistrza wielkiego, która acz ciężką jest i gardło się w niej naraża, przecież zyski daje...

— Plunąłbym na zyski, gdyby nie to, że Krzyżaki za odstępstwo mszczą się okrutnie, a tysiącooczni i tysiącoreczni są...—znów przerwał Frank.—Nieraz ci to powtarzałem, a tyś nie przeczył.

— I teraz nie przeczę, bo i mnie się obroża krzyżacka uprzykrzyła. Cięży na karku i skórę z niego ściera. Człek woli swojej nie ma, by na łańcuchu jest trzyman... Każdy krok musi tak stawiać, jak mu każą, a przytem na każdym kroku go śledzą.

— Bodaj piekło pochłoneło takie wysługi! — wszystkimiego się dla nich zaprzac trza...

— Owoż, zdarza się sposobność otrząsnąć z tej matni, ale... nie bez trudności—szepnął Skower.—Jam

robotę już zaczął, bez ciebie jednak skończyć się nie waże... O nas obudwóch idzie, musimy tedy wspólnie mozola dołożyć...

— Ależ najchętniej, jam gotów, jeno niech wiem, co czynić.

Więc Skower opowiedział Frankowi, jaki plan względem Rawitów obmyślił, na to głównie kładąc nacisk, że gdy rękę Kingi posiędzie, a z nią tak znaczną jej oprawę, wszelkie te bogactwa do podziału pomiędzy nim a Frankiem pójdą. W duszy inaczej myślał, ale musiał tak mówić, bo mu pomoc Franka nieodzowną była.

Frank, nie w ciemną bitą, słuchał nie dowierzając. Ze Skowrem istotnie, jak dotąd, trzymali się przykładowo, świadcząc jeden drugiemu wygodę, jeśli potrzeba wypadła, ale nigdy jeszcze nie trafiła im się taka gratka, o jakiej Skower opowiadał. Wpadały im często zdobycze drobne i temi dzielili się bez sporu, lecz tu szło o bogactwa wielkie, a to postać rzeczy zmieniało. Tedy Frank podejście co do szczerości Skowra powziął i mocno się zawahał.

— Prawdziwie złote mi ukazujesz jabłka—rzekł powoli—oskoma na nie bierze, ani słowa, jeno... żebym mógł pewnym być, jako zdrady w zamysłach twoich niema.

Oburzenie udał Skower.

— Takżeś powiedział! Między nami o zdradzie mowy być nie może... Skąd!

— Tak być winno, ale widzisz, Artusie... tyś szczwany i mnie nie brak przezorności. Obadwaj przecie w krzyżackiej jesteśmy szkole, która naukę daje, jak żadna, i nawet przyjacielom w sprawach,

gdzie o zdobyczy znacznej rzecz, nazbyt ufać nie każe... Może ty, Artusie, szczerze mówisz, może też mamisz, chcąc skłonić, iżbym z żaru pieczeń wyjął smakowitą, którąbys potem sam zjadał, mnie z niczem odprawiwszy, jeśli nie gorzej...

— Bałamuctwa prawisz!—srożyć się jał Skower. — Pieczeni onej do śmierci dla nas obydwóch wystarczy, tedy powodu nie miałbym słusznego działu ci za widzieć...

— A nuż nam się zamysł nie uda? I na to liczyć trza...

— Tak wszystko wymiarkowałem, że udać się musi, a w najgorszym razie, siebie na szwank nie narazim—tłumaczył Skower.—Uważ, jak ma być: Rawicie oręż, którym ma się ścierać z Jelitą, nasycim zaprawą jadowitą tak pewną, że byle się odrobina do krwi dostała, jużci z człeka trup. Niechaj Jaszko przeciwnika bodaj zadraśnie, to dość, no—a chyba na zadraśnięcie się zdobędzie...

— Jeżeli mu na to tamten da czas...—zauważył Frank.

— Ba! o tem również pomyślałem i powiem ci, że więcej liczę na nas, głównie zaś na ciebie. Oni ścierać się będą, a my Jelitę na cel z łuków weźmiem. Strzały też zaprawą napuścimy, więc śmierć zadadzą. Tobie pierwszy rzut ustępuję, sam na wypadek w odwodzie ostaną, choć tak pewien jestem, jak, że w tej chwili gwarzym z sobą, iż nie chybisz...

— Bylem cel miał, myślę, że nie chybię — pochwalił się Frank. — Trocha cię teraz rozumiem, jeno tego nie: skąd strzały puszczać będziemy? Miarkuję,

że z kryjówki, lecz winna być silnie bezpieczna. Gdyby nas wypatrzyli, gardła damy, jak amen.

Rozśmiał się Skower i dłonie zatarł.

— Nie wypatrzają, wypatrzeć żadną miarą nie mogą...—zapewniał.—Chyba w przezorność moją wierzysz...

— Hm... najprzezorniejszemu potknąć się zdarzy—mruknął Frank.—Lis przecież, mimo przebiegłości, niezawsze przed łowcami uchodzi...

— Juźci zaufaj, mój Franku: jak po omaście nam pójdzie...

Głową wstrząsnął Frank.

— W każdym razie... na gołoledź mnie prowadzisz... Kaduk wie...—rzekł.—Ano, uważajmy, jakoby nam się udało, jakobyśmy onego Jelitę sprzątneli... to skąd pewność, że ci dziewczkę za żonę dadzą, a z nią oprawę? W tem jądro sprawy całej! Jeżeli teraz gadać nie chcą, spodziewać się można, że i potem z oporem ich się spotkasz...

— Nie może być! — gorąco zawołał Skower. — Jużem ich oplątał, jak pajak muchę, o wszystkich ich sprawach wiem, a gdy Jelita zginie, całkiem w mojej będą mocy. Zważ: insza rzecz wicherzyć, kupca napaść, zgładzić w bójce znacznego nawet człowieka... to się zdarza często i z tego wygrzebać się można; ale podstępny użyć w walce rycerskiej, przeciw wyzwanemu na sąd Boży, gdzie wprzód szermierze na Boga i cześć przysięgę składają, że walczyć będą bez żadnej obludy, bez chytrłości—to znowu co innego. Gdyby się wiadomem stało, że Jaszko chytrością Jelitę zgładził, gwałtby wielki pomiędzy rycerstwem i ziemianą powstał (bo to w Polsce niesłychana rzecz...). Przytem w pamięci miej, że Jelita w pokrewności z najpierwszemi

rodami jest, u samego króla ma zachowanie osobliwe... Gwałtby tedy powstał i Rawici byłiby zgubieni bez ratunku. A ja ich zgubę będę trzymał w ręku... Okrom mnie, nikt o podstępie wiedzieć nie będzie, tedy gdybym słowo pisał—przepadliby na szczyt...

— I bez ciebie wszystko wyjdzie na jaw, poszlaki przeciw nim będą, bo jak się z onych strzał wykreca? Nikt inaczej nie powie, jeno, że oni zasadzkę urządzili...

— Głupstwo! Poszlaka nie świadectwo... Dla oskarżenia i potępienia dowodów silnych trza, a te my tylko mieć będziemy. Owo co jest. Strzały... Albo to łotrów, błakających się po całym kraju, brak? Nałaził się taki, co z ukrycia jedną, drugą strzałę wypuścił i umknął...

— Okrutnie to wszystko ślizgie! — zamruczał Frank.

— Tak ci się wydaje z pozoru — uspakajał go Skower.—Obejrzysz rzecz z blizka, co innego powiesz...

— Niech tam... Byle ci dziewczkę z bogactwem jej oddali. Rozumiem, że nie na świecie bez przyłożenia ręki lub nadstawienia karku nie przychodzi, zgođa tedy na zabiegi, byle niepróżne.

— Nie będą próżne! Nie! Wszak ode mnie będzie zależała zguba Rawitów... Słowo rzeknę—już po nich. Z szatanem weszliby w pokrewność, koncerz mając na gardle. Teraz jeszcze z nimi otwarcie mówić nie mogę, ale gdy Jelita polegnie... jam pan i w Słupcy, i w Konarach, we wszystkich ich grodach i włościach. Inaczej z nimi zacznę, odrazu wóz i przewóz postawię...

Śmiał się i brodę muskał, najlepszej myśli będąc. Frank jednak długo jeszcze wahał się, zastanawiał, rozważał, lecz ostatecznie do wniosku przyszedł,

że tu ryzykować, zdać się na albo-albo—trzeba. Tak myślał:

— Gdyby mnie psim swędem zbyć chciał, przecież mogę mu zagrozić, ujawnieniem, jak się rzecz odbyła. On trzymać będzie w garści Rawitów jeno, a ja i jego i ich... Oczywiście, że na mojem milczeniu będzie im zależało... I to prawda, że może zechce się ode mnie uwolnić przez wzięcie mi życia... Bardzo może być. Ha — nie innego na to nie poradzić, jeno na baczności się trzymać. Zresztą, byle działu dokonał, reszta baśni! Głowa na barkach jest, w niej rozum... Z polecenia wielkiego mistrza człek nieraz żywot ważył, ba! prosto pod miecz katowski laźł i jakoś szczęście sprzyjało, dlaczego tedy z Artusem nie mam sobie rady dać? Na sposób najdzie się sposób. Trzeba losowi zaufać — co komu przeznaczone, to go nie minie...

Jakoż Frank, zupełną już ufność Skowrowi okazując, na wszystko się zgodził, podali sobie ręce i nowe przymierze miodem zatwierdzili obficie.

Ale przy libacyach Zichel przypomniał sobie rzecz całkiem niemiłą, która mu czoło zmarszczyła i oblicze posępnością przyoblekła. Nie uszło to uwagi baczego Skowra, tedy o powód tej zmiany usposobienia zapytał. Zichel z odpowiedzią zwłóczył, w ziemię patrzył i prychał nozdrzami niby rumak, który nagłą przeszkodę w pędzie napotka. Rzekł wreszcie ze złością:

— Chociażby nam się wszystko powiodło jak najlepiej, od zmory krzyżackiej się nie odczepim... Próżnica!

Spojrzał na niego zdziwiony Skower.

— Jakto nie odczepim? — zapytał. — To już od woli naszej zależeć będzie, zali z nimi nadal trzymać, czy też zerwać zupełnie. Sami sobie będziemy panami, dostatki posiadając i łaski nie potrzebując. Teraz insza rzecz.

Gestem wstrzymał go Frank.

— Że też ty, Artusie, tak bystrej myśli będąc, nie rozmiarkowałaś wszystkiego—jął tłumaczyć przyjacielowi.—Mało tego, że obejść się bez ich złota będziemy mogli; i to również nie stanowi, że sami okażemy chęć zerwania z nimi: oni na to nie pozwolą. Sam przecież przed chwilą mnie przestrzegaleś... Nadtośmy już do nich przyglnęli, posiadliśmy wiele ich tajemnic, poznaliśmy manowce, któremi chadzają, możemy im sadła roztopionego za skórę zalać, zdradzając, co o nich wiemy... Mistrz ufa nam, dopóki w usługach jego pozostajem; gdy się usuniemy, w podejrzenie u niego popadniem, a jeśli to się stanie, na zagładę nas skaże niechybnie. Nie tak-li?

Skower milczał.

— Skoro zaś taki wydadzą dekret — kończył Frank—możemy się za zgubionych uważać. Trucizna lub cios morderczy dosięgną nas w najwarowniejszym grodzie. Wiesz przecie, jakimi ci sprzymierzeńcy szatana rozporządzają środkami.

— Słusznieś wyprowadził—odparł Skower — odczepić się od nich trudno będzie... To też zachowamy pozory, jakobyśmy wciąż z nimi trzymali. Możemy nawet drobne usługi im oddawać, ale orać w nas, jak teraz, nie będą mogli.

— Niewielka pociecha!—mruknął Frank.

— W każdym razie swobodniej oddychać będziemy.

Jakoś to się uładzi, Franku mój, dobrej bądź myśli i całą uwagę na przedsięwzięcie nasze zwróc.

Dni następne zeszyły Skowrowi na zaprawianiu strzał, a także oreża, którym Jaszko miał walczyć, jadem, dostarczonym przez Oзера, co skuteczniejszy, zamknął się z Rawitami i teraz dopiero plan im swój zwierzył.

— Pilnie słuchaj, Jaszku, co powiem — tak rozpoczął:—staraj się bodaj zadrasnąć Jelitę, a byleś tego dokazał, już po nim. I miecz, i drzewo zaprawą masz napuszczone, a takiej mocy ona jest (Ozer przecież powiedział), że źdźbło jej najmniejsze, do krwi się dostawszy, śmierć pewną sprowadza. Wszelkie usiłowania zwróc na to, żeby mu od pierwszego ciosu drzewem hełm zrzucić. Pamiętaj. Ja z drużbą moim, która ren łucznik nad łuczniaki jest, że o zakład nigdy nie chybi, byle cel miał, strzały, również zaprawą napuszczone, w pogotowiu mieć będziemy. Chodzi tedy o to, żebyś celu dostarczył, hełm Jelicie zrzucając. Będzie wprawdzie można w nogę, niżej kolana, mierzyć, gdyż wedle umowy—od kolana aż do podeszwy żadnej ochrony plechowej ni inszej pancierzowej mieć nie możecie; ale głowa i barki - to cel pewniejszy...

— Z jakiej kryjówki strzały puszczać będziecie? —zagadnął Grot. — Tego domysleć się nie mogę. Nie z drzewa, bo między konarami łącno was wypatrzą, a kołpaków, co to ludzi niewidzialnymi czynią, chyba nie macie...

— Może i mamy—uśmiechnął się Skower. — Już się o nas nie troskajcie, uczynimy, jak trzeba, bez narażenia się na niebezpieczeństwo.



— Zdradę nam zarzuca, gdy strzały spostrzegą — mruknął Łukasz.

— Zarzucić mogą, ale nie dowieść—odparł Skower.—Łotrowi jakiemu podobało się z łukiem poigrać i skutek. Niech zresztą zarzucają, będzie po niewczasie, bo strzały nasze dokonają, co należy. Przynależę wam, że od Jelity was uwolnię i obaczycie, że słowo moje nie wiatr...

— Liczym na ciebie, a ty na wdzięczność naszą licz—ozwał się Grot. — O drużbie twoim również nie zapomnim.

— Obietnicę za spełnioną przyjmuję—odparł znacząco Skower — bo chociaż z przyjaźni jeno dla was gardło narażam, zdarzyć się może, iż sam w potrzebie się najdę.

— Bądź pewien, że zawodu z naszej strony nie doznasz—rzekł Grot. — Staniem wszystka trzej ramię o ramię. Kto z Rawitami i oni też z nim.

Dnia oznaczonego, Skower z Frankiem, nikogo z ludzi nie wzięwszy, przed świtaniem, ku Smoczemu uroczysku się puścili konno. Leżało ono wśród gęstego lasu, pozór miało dziki, posepny, zdało się, iż od wieków nikt tu nie zaglądał. Przedstawiało się jako wzgórze dość rozległe, płaskie, strumieniem z boku opasane, pośrodku zarosłe paprociami, rozmiaru krzów sięgającymi. Od wschodniej strony, pod osłoną dębów olbrzymich, między którymi były takie, co w wnętrzu miały próchno miast drzewa, wznosiły się szczątki kontyny pogańskiej, a rumowiska one przypominały jakoby skielet cielska potwora, który ciosem niespodzianie dotknięty, marniał w zapomnieniu, od burz, dżdżów i wichrów poniewierany. Poszukawszy dobrze, można

było w bezładnej kupie gruzów naleźć ostatek bożyszcz-  
cza, któremu ongi pokłony bito korne, to kamień, na  
którym kozłeta ofiarne rzezano, to odłam noża kapłań-  
skiego z kamienia, to resztki prastarego oręża, co świad-  
czyło, iż na tem miejscu i walki staczano, i krew się lała  
tych, którzy rozpacznie bogów i wiary dawnej bronili.  
Cisza tu panowała niezamącona, tajemnicza, groźna ja-  
kaś, nawet świegotu ptactwa nie słyszałeś. Stroniło  
ono od ponurego cmentarzyska, nad którym unosiło się  
widmo pogaństwa.

Skower z Zichlem, konie opodał, kroków jakie  
z kilkaset, zostawiwszy i nogi im spętawszy, pieszo ku  
uroczysku się puścili, gdy zaś na niem stanęli, Skower  
dłonią wskazując miejscowość pod dębami, ozwał się:

— Tu oto potykać się mają. Dogodnie im będzie  
i zacisznie...

— A kryjówki nasze?—zapytał Zichel.

Skower ku jednemu z dębów go pociągnął.

— To twoja osłona—rzekł. — Drzewo wewnątrz  
puste, dźdze i czas pień mu wyzarły. Przy konarach  
masz otwór, jak na urząd do strzał miotania, że le-  
pszej strzelnicy nie potrze. W razie niebezpieczeństwa  
spuścisz się na dół, tam najdziesz przejście podziemne,  
które do miejsca, gdzieśmy konie ostawili, cię dopro-  
wadzi. Ja obok, wśród rumowisk, się ukryję, skąd  
również przejście podziemne w tamtą stronę biegnie.  
Uczyniwszy, co do nas należy, spotkamy się bez szu-  
kania...

— Chyba, że o kryjówkach onych nikt nie wie,  
skoro je za bezpieczne uważasz?—wtrącił Frank.

— Pewien tego jestem. Odkryłem je niezbyt  
dawno, zbłąkawszy się w tych ostepach nocą. Zaró-

wno dziupla, jak i korytarze podziemne pełne są latoperzy, sów i inszych tworów, co miejsc ciemnych, dla światła dziennego niedostępnych, szukają. Najmniejszego śladu nie znalazłem, żeby kto do nich zaglądał. Łacno sam się o tem przekonasz... Korytarze musiano wyryć za pogańskich jeszcze czasów, na wypadek, gdyby nieprzyjaciel kontynę ograbić zamierzał... Mniemam, że kapłani tamtędy życie swoje i skarby nagromadzone przed łupieżcami chronili...

— Zapewne—potwierdził Frank, dąb ze wszystkich stron ozierając. — Jeżeli o nich zapomniano, możemy się za bezpiecznych uważać... Trza jednak zapoznać się z miejscem, gdzie gospodarzyć mamy. Spieszmy się, czas uchodzi, tamci lada chwila stanąć tu mogą, a przecież, gdy się zjawią, winniśmy już być w pogotowiu.

— Nie słusniejszego—potaknął Skower.— Widzę Franku miły, że cię przezorność nigdy nie opuszcza. Z takim, jak ty, można się do rzeczy brać...

— Nie opuszcza—mruknął Zichel — zwłaszcza, gdy gardło w niepewności czuję... W twojem przedstawieniu sprawa wydaje się, jak chleb z miodem: jeno sięść i jeść; ale niezawsze słowa rzeczy odpowiadają. Pójdźmyż obaczyć one kryjówki. Prowadź.

Były one istotnie bezpieczne, najbystrzejsze oko dostrzedz ich nie zdołało i ten jeno mógł się czegoś podobnego domyśleć, kto był świadom, do jakich fortelów, przy budowaniu gmachów znaczniejszych i grodów, uciekano się za dawnych czasów, by w razie wtargnięcia wrażego ratunek mieć. Zazwyczaj przy każdym zamczysku, każdej znaczniejszej siedzibie ludzkiej, znajdowały się korytarze pod ziemią biegnące, długie i krę-

te, z wyjściami na świat jedne, to znowu ślepe, bez wyjść. Pierwsze służyły do ocalenia mieszkańców siedziby,—drugie do schwytania wroga w pułapkę. Gdy w taki loch ślepy udało się go zwabić, dość było wejście ziemią bądź głazami zawalić, bądź też, przy pomocy przekopu, wody rzeczne, jeziorne, czy bodaj strumieniowe tam spuścić, a jużci nijakiego ratunku spodziewać się nie mógł—ginał śmiercią okrutną.

O lochach, co się po prastarej kontynie ostały, śnać już dawno zapomniano, bo, jak Zichlowi powiadał Skower, śladu nie było, iżby tam kto w czasach ostatnich zaglądał. Nawet życiu groziły śmiałka, który ważyłby się w nie zapuścić, ile, że powietrze ciężkie oddech tamowało, a tu i owdzie sklepienie ziemiste, rzadko pniami drzew, mocno już nadwątlonemi wsparte, przy lada wstrząśnieniu zawalić się mogło. Znachodziły się tam również miejsca całkiem prawie zaparte, z tak ciasnym przesmykiem, że na czworakach jeno dostać się przez nie można było. Frank ozierając to wszystko, krzywił się i wargi odymał, nie okazując zadowolenia, wreszcie do towarzysza rzekł:

— Od oczu ludzkich, zda się, tu bezpiecznie, ale też żywcem można być pogrzebanym, jak nic, bądź też zatchnąć się na śmierć... To szczęście, że długo w tem piekle zostawać nie trza...

— Ano—zapytał Skower—teraz chyba wątpliwości mieć nie będziesz, że się nam zamierzone uda? Wszelka pewność jest, prawda?

— Niby—potwierdził Frank—ale widzisz, Artusie, już ja tak jestem doświadczeniem przyuczony, żeby temu jeno wierzyć, co się w garści trzyma. Dziwnie to się rzeczy czasem składają. A naż twego Pawitę

tamtę od pierwszego ciosu zmoże? Wtedy wszystko przepadło...

— Rzadko się to trafia...—mruknął Skower.

— Ale trafia. Bądźmy dobrej myśli, w każdym jednak razie i niepomysłny przytrafunek trza w rachubie mieć...

Tak rozważając, wydostali się z lochów i na trawie przylegli, oczekując rychło-li nadciągną szermierze, a żaden z nich nie zauważył, iż od pierwszej chwili przybycia na uroczysko, śledziło ich pewne bystre oko z ubocza, z po za kępy gęstych paproci i innych krzów. Wypoczywał tam stary Hryb, który snąc się przywłókł po ziela tu jeno rosące, a postrzegłszy Skowra z Frankiem, zdziwił się niepomrotnie, co ich tu sprowadzić mogło. Ciekawością, a trocha jakimś przecuciem wiedziony, znaku o sobie nie dał, przyczaił się w gąszczu, niby wąż lub żbik ofiarę wypatrujący i bacznie każdy ruch przybyszów miarkował. Skowra znał, widywał go i w Słupcy, i w Konarach, lecz Frank był mu zupełnie obcym. Z początku mniemał stary, że się tu znaleźli nie z umysłu, lecz jakim przytrafunkiem, niebawem przecież zmienił zdanie. Co mówili ze sobą,—usłyszeć nie mógł, łąco atoli domyślił się, że zamiary jakoweś żywią. To go najbardziej uderzyło, że o lochach wiedzieli i tak je pilnie opatrywali. Hryb też wiedział o istnieniu przejść podziemnych, bo nikt nad niego lasów tutejszych, ze wszystkimi ich ścieżynami, przesmykami i tajemnicami, nie znał, a już co na Smoczem [uroczysku i dokoła niego, wiedział o każdym bodaj krzu, każdej drzewinie; ale też to miał przekonaniu, że o onych pozostałościach z czasów pogaństwa nikt, krom niego, świadom nie jest.

Więc zdziwił się dowiadując, jako insi również o tem wiedzą, a bardziej jeszcze się zastanowił, gdy pomiar-kował, że ci oto dwaj ludzie z tej wiadomości korzy- stać zamierzają. Rozważając, do wniosku przyszedł, że nie dobrego na myśli mieć nie mogą i to go pobu- dziło do śledzenia, co też dalej tu dzieć się będzie.

— Skower... hm! Skower—mrucał do siebie, nie spuszczać z oka dwóch kamratów—psi syn jest, po- świetnik, któremu się powróż i najwyższy sośniak da- wno przynależy, bo poczciwości w nim ani źdźbła, do tego z Krzyżactwem się wacha. Insi go nie przejrzeni, ale przede mną się nie utalił. Szatan w nim siedzi i tyle. A ten drugi... i jemu wilk ze ślepiów patrzy. Juścić, skoro się tak razem włóczą, jednego też war- ci. Lochów się domacali... Ho! ho! snać nienapró- żno. Obaczy się to. Dobrze jest podczas czego się dowiedzieć, coś podpatrzeć, bo przyjdzie chwila, że jak raz się to przyda... Nie chybi zdradliwość jaką snują w pomyśleniu, inaczej nie może być...

I stary z miejsca się nie ruszał, z nateżoną uwa- gą patrzył na kamratów, którzy ani przypuszczali, że na czyjś oku są.

Tentent kopyt koni z oddali na uroczyisko dobiegł— Frank pierwszy to usłyszał, porwał się na nogi, szepcąc:

— Czuj duch! Nadciągają...

Wstał też i Skower, oczy dłonią przysłoniwszy, wpatrywał się chwilę w stronę, skąd odgłosy nadcią- gających szły.

— Rawici—rzekł—zapowiedziałem, żeby się po- śpieszyli, bo jeszcze im to i owo powiedzieć mam.

— Pewien jesteś, że nie tamci?

— Najpewniejszy. Tamci z inszej strony nadciągna, zresztą sam się przyjrzyj:—już rozpoznać można.

Jakoż nie mylił się: nadciągali Rawici. Wedle umowy, piętnastu z nimi jechało świadków, ziemian całe możnych, ale tyle, co i oni sami wartających. Wszyscy niemal do gromady należeli, która się przy Spytku z Melsztyna trzymała; byli tedy między nimi: Abraham ze Zbąszyna, i Strasz z Kościelnik, i Dzierżko Rytwiański, — miał przybyć również sam Melsztyński, ale coś mu na przeszkodzie stanęło.

Z dobrą czereda owa ciągnęła otuchą, jak po pewne zwycięstwo, krotochwiląc, śmiejąc się głośno i z Jęłity drwiny czyniąc, ile, że wyjechali ze Słupcy podchmieliwszy sobie przednio na fantazyę.

— Słuchaj-no, Artusie—ozwał się Frank półgłosem — zali należy, iżbyśmy się wszystkim tu pokazywali? Przecież tajemnica jeno pomiędzy nami i Rawicami winna ostać...

— Niema strachu o zdradę. Rawici ludzi pewnych dobrali—odparł Skower.

— Poczynaj, jak miarkujesz, ale na mój rozum, ostrożność zachowałbym. Ma być tajemnica — niech będzie tajemnica. Przeworność nigdy nie wadzi.

— To schowajże się w swoją dziuplę i w pogotowiu bądź, ja słowo Rawitom rzucić nieznaczenie muszę, a potem z oczu im zejde, że ani się domyśla, gdzie się podział.

— A świadkowie owi nie wiedzą, jak się spotkanie ma odbyć?—dopytywał niespokojnie Frank.

— Nie wiedzą, nie! Bądź spokojny... Nie bez tego, żeby na domysł nie wpadli, gdy strzała jedna i druga padnie, ale domysł nie stanowi.

— Szepnijże Rawitom, iżby język na wodzy trzymali. Za nie tajemnica, jeżeli wie o niej wójt i cała gromada...

To powiedziawszy, Frank stanowisko zajął w wypróchniałym dębie, a Skower, na stronę się usunąwszy, czekał, aż Rawici nadjadą. Gdy nadjechali z trzaskiem, brzękiem i wesołemi wrzaskami, łącno mu przyszło, bez zwrócenia na siebie uwagi innych, Jaszka, Łukasza i Grota przywołać, wskazać im skąd strzały miotane będą i zalecić, żeby się przed świadkami nie wynurzali o zasadzce.

— Za kogo nas bierzesz? — obruszył się Grot. — Alboż nas kto za język ciągnie? Przyjechali świadkować, a co się stanie, nie ich głowa. Dość, że my nie odstępim od porządku. Jaszko potykać się będzie wedle umówienia, zarzutu nijakiego mu nie postawią. Najdzie się strzała... niech szukają łuczników. Wolna wola. My umowy trzymać się będziemy ściśle. Za przytrafunki nadzwyczajne nie odpowiada nikt!

Rozśmiał się i po ramieniu uderzył Skowra, który zaraz potem w gęstwinę niepostrzeżony pomknął, dążąc na swoje miejsce.

Na przeciwnika Rawici czekali niedługo. Stawił się, towarzyszyli mu zaś, między innymi, nieodstępni Świdwa i Sulima, nadto kasztelan z Ossolina i Halszka, która się żadną miarą ostać w domu nie chciała i póty molestowała rodziców, póty się upierała, aż do jej woli się skłonili. Przystroiła się niemal po męsku, na podobę tego, jak ją Zbigniew, do Krakowa jadąc, spotkał, jeno jakoś o wiele piękniej. Gdy rodzic i macierz przekładali jej, żeby w domu pozostała,



jako nie potem dziewce w rycerskie sprawy się mieszać, odpowiedź znalazła całę słuszną:

— Moja to sprawa, bo o Zbycha tu idzie, a Zbych mój. Wszakci nieprzystojności w tem niema, owszem, zwyczaj na całym świecie jest, iż się dziewczki i starsze niewiasty zapasom rycerskim przypatrują, co szermierzom serca dodaje. Temu nie zaprzeczycie.

Musiał tedy kasztelan uparciuchę zabrać, wiedząc, iż od swego nie odstąpi.

Wielką też miał ochotę na Smocze uroczysko jechać młody król Władysław, łasym będąc do wszystkiego, co rycerskiem trąciło rzemiosłem; ale mistrz Grzegorz z Sanoka składnie mu wytłumaczył, że nie dla majestatu uczestnictwo w sprawach całkiem natury prywatnej.

— W takim jeno razie pan miłościwy mógłby potykaniu się świadkować — mówił roztropny ten doradca — gdyby zaproszony przez strony został, a przecież Zbigniew z Oporowa nadmienił, iż Rawici życzą, aby się wszystko bez zbytniego rozgłosu odbyło.

— Wiem o tem i to mi właśnie do myślenia daje — zauważył król. — Muszą Rawici coś mieć, że chcą się potykać niby za węglem. Rycerz prawy skrytości nie zna...

— Może być, że coś w tem mają — potwierdził mistrz Grzegorz. — Krętami oni zawdy ścieżkami chodzą, nie przeto niepodobnego, iż coś zdradliwego przeciwko Jelicie uknuli...

— A widzisz, wielebny mój! — żwawo podchwycił Władysław. — Jeżeli zaś słusność mi przyznajesz, toć słusnie również, żebym przy potykaniu był obecnym. Uchroni to Jelitę, bo przez wzgląd na osobę

moją, nie będą śmieli zdradliwie poczynać. Szkoda byłoby Jelity: do serca mi przypadł, jak rzadko kto; szczerze go miłuję.

— Wart on łaski waszej, panie miłościwy, zanego, dobrze zasłużonego rodu jest potomkiem i zanie też postępuje. Ale pewien jestem, że choćby Rawiei nawet co przeciwko niemu uknuli, nie mu nie uczynią. Przeworność posiada, zresztą tacy mu towarzyszyć będą, którzy skrzywdzić go nie dadzą. Dość wymienić kasztelana z Ossolina, Świdwę Węża i Sulimę. Bywalczy to, świadomi przeróżnych rzeczy obrotów... Krom tego, pamiętać trza, miłościwy panie, że sprawiedliwość Boża nad każdym, by najmizerniejszem stworzeniem czuwa. Wyjdzie Jelita z rozprawy cało, a jeżeli kto czego ma się obawiać, to Rawita.

Ostał przeto król w zamku, a odjeżdżającego Zbigniewa serdecznie pożegnał. Rzucił mu na drogę:

— Wracaj w dobrem zdrowiu, Jelito miły, wstydu mi nie zrób, bo, zaiste, nieladabym się zafrasował, gdybyś się pozwolił Rawicie zjeść. Do drużyny mojej się przecież liczysz...

— Co Bóg da, będzie—odparł Zbigniew.—Jakoś mam nadzieję, że bez szwanku wyjdę. Już raz Rawicie naukę dałem, dam i powtóre. Tacy, jak on, śmiałkowie zazwyczaj wstyd jedzą...

Insi też podejrzewali Rawitów o zamysły niepoczciwe, o zasadzkę jakąś, ale Zbigniew temu zaprzeczył.

— Nie miarkuję—mówił—żeby się na co wazyli. Chyba gromadą wielką się stawią i napadną, wszakże nie uszłoby to im na sucho. Niesłychana rzecz, iżby kto, wyzwawszy do zapasów, zbójcecko poczynał. Wieczny srom na takiego i gardłem jeszcze odpowiedziałby.

— Tak wypada—potakiwał Sulima—ale uważ, iż Rawici są jako psy wściekłe, wszystko u nich podobno. Dość wspomnieć Palucha. Postąpili z nim, aż się dusza wzdryga. Nie bardziej łotrowskiego wymyśleć niesposób.

— W każdym razie garść nas będzie—uspakajał Świdwa—każdy oczy ma, tedy za najmniejszą poznaka stosownie postąpić...

Paluch zaś wciąż utrzymywał, że wrogowie pana jego kunsztu dyabelskiego do pomocy wezwą.

— Nie przekona mnie nikt—powtarzał—iżby inaczej było. Gdyby o tem nie myśleli, na insze pociągnęliby nas miejsce, nie tam, gdzie czarty i wiedźmy z całego świata bankiety i harce odprawują. Uroczyśko Smocze to przedpiekle, kaźden o tem wie. Już niech mi cześć wasza wybaczy, ale szczerze powiem, że całkiem rozumu trza być zbawionym, żeby się zgodzić na potykanie w tem miejscu przekłętym. A nuż deszczem ze smoły, siarki i płomieni na nas zioną, czemu bym się cale nie dziwił... Miarkuję, że nic zdrotnego nie byłoby, gdyby wasza cześć, jeżeli już koniecznie z onym potępieńcem potykać się trza, insze miejsce wybrał. Wszelka tego słuszność jest. Chca rozprawy, psie syny — dobrze, ale niech się sprawiają tam, gdzie my chcemy. Zawszem miłości waszej dobrze radził i teraz przekładam nie na zdradę.

— Lepiejbyś oto głowy paplaniem głupiem mi nie maćil—na to Zbigniew.—Swego brzucha patrz, a nie ucz, jak i co poczynać.

— Patrę ja swego brzucha, bo kaźden człowiek rozumny o sobie starunek winien mieć, ale wiem, iż prawda to święta, że kto mądrej rady nie słuca, to

psiej skóry słuchać musi. Przekona się wasza cześć o tem. I jeszcze powiem, że jabym na Rawitów całkiem plunął. Komu to do rycerskiej rozprawy wzywać? Boże miłosierny! Ogarów na nich sfor kilka wypuścić, niechby swój swego pożarł, na to zgoda; ale żeby Jelita z Rawitami stawał, każdy przyzna, że to nie przystoi. Uchybienie czci rycerskiej jest...

Omiał, że za śmiałe słowa nie oberwał gaduła, to mu jednak ust nie zamknęło i do ostatniej chwili jedno wciąż powtarzał. Widząc, że z panem nie poradzi, do Halszki się zwrócił, strasząc ją po swojemu:

— Panienko miłościwa... nie białogłowska rzecz rady rycerzom dawać, ale jeśli kto na skręcenie łba pędzi, chrześcijański obowiązek chwycić go bodaj za bary i wstrzymać. A nasz pan Zbych gorzej jeszcze poczyna, bo wręcz w dyabelskie pazury się oddaje... Wszakci go miłujecie, pannucho słodka, przyrzeczony wasz jest, tedy rzeknijcie słowo, może ono ważyć będzie. Niech się potyka, jeśli tak się zawziął, ale w poczciwem miejscu. Rzeknijcie słowo, pannucho, odwróćcie biedę... Szkoda przecież takiego rycerza...

— Nie stanie mu się nic—odparła Halszka, która pewną była, że na Zbyszka nic złego spaść nie może, jeśli przy nim tacy drużbowie będą, jak Sulima Świdwa i jej rodzic, a w dodatku ona sama.—Do takiego, jak twój pan, czary przystępu nie mają. Sprawi się z Jaszkiem, że mu raz na zawsze się odechce na Jelitę się porywać. Jakbym wiedziała...

— Srogi rycerz z pana Zbycha, ani słowa — wzdychał Paluch — co jednak waleczność pomoże, gdy tamtej stronie rogaci kmotrować będą? Czary nie mają przystępu... żeby to! Nieświadomość przez pannuchę

mówi i tyle. Do każdego mają one przystęp na takim miejscu, jak Smocze uroczysko. Tam ich gospodarstwo... Kto wie, czy pan Zbych z prawdziwym Jaszkiem potykać się będzie? Głowybym za to nie dał, zali rogaty jego postaci nie przyjmie, stać się to bardzo może, bo wiadomo, że Rawici z nim jedność trzymają. Na zgubę ciągniem i tyle..

Gdy się Zbigniew ze swoimi na Smoczem uroczysku znalazł, Rawici niezmiernie się zdziwili tłusciocha postrzegłszy, bowiem pewni byli, że już dawno go głód ze świata zgładził. Grotowi aż krew do głowy uderzyła, oczom prawie nie wierzył.

— Patrzajcie—szepnął do syna i wnuka—ten padelec przy życiu! Prędzej spodziałbym się ucho własne oglądać, niż jego postawę... Psubrat! dziw, jakim sposobem śmierci uszedł...

I pięścią Paluchowi z dala groził, co widząc tłuscioch, kołpak zdjąwszy, kłaniał mu się, wołając śmiało, z urąganiem:

— Nie do smaku wam, żem przy życiu? Ha! ha! Myśleliście, jako mnie już dobrze robaki toczą?! Nie dla psa kielbasa! Nie z waszej ręki mi ginąć... Owózem cały, a za to, coście ze mną dokazywali, pan Jelita wam sowitą zapłatę da... Patrzaj ino Srokaczu, jak ślepie wytrzeszczają... Wytrzeszczą się one wam lepiej, poczekajcie! Nasadziliście pewnie na nas moc czarną, ale nie z waszych zabiegów. Z nami Bóg, Panna Najświętsza i Aniołowie Stróże... Mało waszemu Jaszko wi, że pokrzywiony chodzi, dojedziem mu jeszcze lepiej... Ścierwo dla kruków z niego uczynim, jeno patrzeć...

— Jelito! a zawrzej pysk psu swojemu, bo nadto się wyzwierza...—huknął Grot.

— Wartacie tego—odparł Zbigniew szparko. — Znęcaliście się nad nim srodze, trudno, żeby wam tego nie przypomniał...

— Bez powoduśmy tego nie uczynili. Wstręty nam takie w oczy ciskał, że trza mu było rogów przytrzeć...

— Mogliście przytrzeć, ale nie udrećzać po katowsku. Na coś podobnego ucziwy człek się nie porwie.

— Nie ucz nas ucziwości, Jelito, nie potošmy tu przyjechali—przerwał Łukasz—ma być rozprawa, nie ujadanie na języki. Stawaj oto i dość. Skutek z tobą dziś być musi.

— Dlaczego nie z wami?—rozśmiał się Zbigniew. —Także swojej sprawie ufacie... Jam też nie od macochy, o czem już chyba Jaszko się przekonał...

— A ty przekonasz się rychle, jacyśmy... Stawaj nie mieszkając i duszę poleć Bogu!

— Hola!—ozwał się kasztelan—rycerskie potykanie ma być, a nie zbójcekie zapasy...

— Nazbyt często wy i družbowie wasi, Jelito, o zbójctwie i warcholstwie wspominać — pomruknął Grot — tak to wygląda, jakbyście nas temi słowy zamierzali w oczy kłuć... Może istotnie tak jest? Co?

— A wy i wasi družbowie — odparł Zbigniew bez uniesienia, lecz szorstko — tak się zachowujecie, jakbyście nowej zaczepki szukali... Trudno zrozumieć, na coby się ona wam przydała? Rychło przecie rozstrzygnie się między nami wszystko.

— Rozstrzygnie, jakim Rawita!—podchwycił Jaszko, kopią wstrząsając.—Przy wyzwaniu ci zapowia-

dałem, gaszku szczęśliwy, że na śmierć i życie z nami rozprawa. Zapłacisz mi należne, a gdy cię już nie stanie, Halszka nadobna, tuszę, sama na pocieszenie mnie przywoła...

Zuchwale śmiać się zaczął, Halszka zaś, nie mogąc oburzenia powstrzymać, zmierzyla go wzrokiem niewysłowionego wstrętu i pogardy, dodając:

— Rozum mu się do cna pomieszał, ale już niedługo ludzi ozorem plugawym kąsać będzie, cudak pokracyjny...

Świadkowie tymczasem stanowiska wyznaczyli, przeciwnicy z końmi się ku nim skierowali, wprzód jednak Świdwa, którego zawsze pragnął, aby obyczaje rycerskie ściśle były przestrzegane, wezwał ich do złożenia przysięgi bojowej. Tedy obadwaj powtarzali za nim wyrazy uroczystego przyrzeczenia, jako walczyć będą bez zdradliwości, bez podstępów; jako żaden z nich czarów ku pomocy nie użył; jako wreszcie bój mają przerwać, gdy świadkowie to uznają; wreszcie sądowi i karze Boga się poddawali, jeśliby ta przysięga zupełnie szczerą nie była. Zbigniew wygłosił to wszystko z powagą i namaszczeniem, ale Jaszko słowa z warg spychał śpiesznie, jak gdyby go paliły, przytem plątał się, głos mu w gardle wiał, wypowiedziawszy zaś wyraz ostatni odetchnął, niby ciężaru wielkiego się pozbywszy.

— Tępo mu poszło — mruknął Paluch — ledwie wykrztusił. Dla Boga! teraz już ślepy namaca, że biesa za pazuchę sobie wsadził. Gdyby chociaż wodę święconą mieć, a skropić nią szelmę, obaczylibyśmy niechybnie, iż bezpięty stamtądby wydyrzał. Jezu miło-

sierny! nie dopuść naszej krzywdy i spraw, iżby potępieńca ziemia żywcem pożarła...

Tak szepcąc, krzyże w powietrzu dłonią kreślił, pragnąc niemi pana, niby puklerzem, osłonić.

Walka się rozpoczęła.

Jaszko, pamiętny nauk Skowra, uderzył na przeciwnika z całą gwałtownością, mniemając, że ciosem potężnym zdoła mu dorazu głowę z opancerzenia odsłonić, lecz celu nie dopiął, drzewo niżej trafiło i potrząsało się, by wątła drzazga, szkody nie wyrządzając Zbigniewowi, który chociaż również kopię od pierwszego ciosu skruszył, przecież omal Jaszka z siodła nie wysadził. Oszołomiony Rawita na koniu się utrzymał, za kark go schwyciwszy, z czego Zbigniew łącno mógł skorzystać, mieczem mu dojeżdżając, zanimby równowagę odzyskał. Był w prawie to uczynić, lecz, że się brzydził krwi rozlewem dla zemsty osobistej, więc konia swego wstrzymawszy, ozwał się tonem przestrogi:

— Rawito! może ci tego dość? Miałem cię w garści, ale darowałem życiem, mniemając, że ci opamiętanie przyjdzie. Na to się nie zanosi, iżbyś mnie zmógł.

Jaszka niepowodzenie w szalę wprawilo, a więcej jeszcze upokarzające słowa przeciwnika, więc miecza dobywszy, koniem zatoczył i ponownie się zwarli. Naraz furknęła strzała i utkwiała głęboko w boku ruma-ka Zbigniewa, a gdyby w tej chwili rycerz nie był się w tył cofnął, przy odpieraniu grożącego mu ciosu Jaszka, z wszelką pewnością przebodłaby mu nogę niżej kolana. Nikt tego nie postrzegł jakoś, a że się rumak krwią broczył, sądzono, że Jaszko go zranił, mieczem szermując. I trwał bój zajadły długo, lecz choć Jaszko nie ustępował, znać było, że wreszcie obrotność i rozwaga



Zbigniewa górę wezmą nad jego szaleńcem namiętym, z którego siłę czerpał. Aż tu niespodzianie koń pod Zbigniewem słaniać się począł, parskać i rzeć żałośnie. Jaszko wszystkich sił dobył to zauważywszy, natarł z okrzykiem:

— Zginiesz! Zginiesz Jelito! Śmierć już cię za gardło chwyci!

Przedwczesna była radość—Zbigniew i tym razem ciosu uniknął, natomiast sam tak sprawnie Jaszki dojechał, że zbroi część mu zerwawszy, biodro mu rozplątał.

— Zbych górą! Już po Rawicie!—zawołała Halszka, w dłonie uderzając.

— A naściż psu bracie! — przywtórzył jej rozgłośnie Paluch.—Smakuje ci taniec z panem Jelitą? Zada on ci bobu... Niechże go wasza cześć teraz nie oszczędza i do pociotków piekielnych wyśle coprędzej... Na skroś go! Nadziać sztychem i tyle.

Jaszko rany nie czuł, wciąż nacierał, Zbigniew jednak byłby go ostatecznie obezwładnił, gdyby mu koń się nie potknął i nie upadł z jękiem prawie ludzkim. Jednocześnie nowa furknęła strzała, a właśnie upadek konia sprawił, że nie dosięgła Zbigniewa, jeno któregoś z czeladzi Rawitów.

— Kończ z Jelitą! Kończ Jaszku! Pora!—jęli wołać Grót i Łukasz.

Jaszko wszakże, krwi upływem osłabiony, też z konia się zsunął, a Zbigniew z pod swego się wypląawszy, raźnie na nogi skoczył, podbiegł do przeciwnika, miecz mu do gardła przyłożył, grożąc:

— Otóżeś całkiem mój, Rawito... na łaskę się zdaj! Pchnąć cię mogę i życia zbawić, ale jeżeli przy-

rzekniesz zaniechać mnie raz na zawsze i w drogę nie wchodzić, to żyj z Bogiem. Opuścę ci...

Jaszko, na wpół wściekły, na wpół przerażony, oczy nienawiścią płonące w niego wlepił i jął powtarzać:

— Skower! Skower! Skower! Masz go, jak chciałeś...

Trzecia strzała tuż przy skroni przesunęła się Zbigniewa, który sam hełm zrzucił, uważając go już za niepotrzebny, a wtedy wszyscy zauważyli latające pociski i pomiędzy Zbigniewowymi rozległy się okrzyki oburzenia:

— Zdrada! Zdrada! Niewątpliwa zasadzka!

— Zausznikami nas osaczyli, którzy strzały z ukrycia miotają!

— Chronić się, Zbychu, w ciebie mierzą!

— Szczeźnięcie zdrajcom! Śmierć im zadać...

Zanosiło się na bójkę gromadną. Rawici przy ranionym Jaszku się zgromadzili, Zbigniew ze swoimi w bok uskoczył, a jedni i drudzy mieczami trzaskali i pogroźkami wzajem się obrzucali. W tak srogim zamęcie ozwał się poważny głos pana z Ossolina:

— Grociel! Łukasz! Toż sąd Boży miał być! Wasz Jaszko niedawno przysięgę w tem miejscu składał, żeście się bez zdrady tu stawili, a cóż strzały one znaczą...

— Zbrodnia niesłychana! Krzywoprzysięstwo! — wołali insi świadkowie Zbigniewa.

— Kto śmie zbrodnię nam zadawać? Gdzie świadectwo? Sprawić się musicie! — zaczęli się warcholić Grot i Łukasz, jeden przez drugiego. — My o żadnych strzałach nie wiemy nic... Że są, to widzimy — ale wszak

nie myśmy je miotali... Wyście może łuczników na życie nasze nasadzili! Wasza to sprawa!

A Sulima, któren wszystkie trzy strzały nalazł, wskazując je, przerwał Rawitom głosem iście gromowym:

— Jako żywo! pociski w Zbigniewa godziły... Łacno sprawdzić można...

— W Jelitę godziły, ani chybi! Bóg go od nich jeno ustrzegł—potwierdził kasztelan.

— Jak śmiecie tedy nam zarzucać zbrodnię, kiedyście ją sami na zgubę naszą uknowali?!

—Gołem słowem chcesz nas osądzić i skazać!! — śmieli się rozwścieczeni Rawici. — Ano... bierzcie nas! Czekamy! Sprobójcie...

— Zali napisano na strzałach, że one z naszych łuków? — urągał Strasz, który domyślił się, że Rawici istotnie zasadzkę urządzili, ale stronę swoich dawnych druhów trzymał.

— Dowody złóżcie! Świadectwo! Łuczników podstępnych odszukajcie!—powtarzał Grot bezczelnie, rękę jedną o bok wsparłszy, a drugą mieczem potrząsając.

Niespodziane ukazanie się Hryba, jak zimna woda podziałało na rozsrożonych. Stary wysunął się z gąszczu niby mara i stanawszy pośrodku uroczyska, kaszłac i postępując, ozierał się dokoła.

— Skądęś się tu wziął, dziadu? Może to ty strzały na uroczysko puszczałeś, a teraz nas o to obwiniają...—zaczepił go Grot, wciąż nieświadomego udając.—Przyznaj się!—zaś do kasztelana się zwracając, dodał drwiąco:—Cny kasztelanie, weźcie go na pytki, a dowiecie się o onych niewidzialnych łucznikach. Z oczu mu patrzy, że coś o nich wie...

— Na pytki starego znajka! — powtórzyli inisi z gromady Rawitów. — Dla niego nic ciemnego niema, to i o łucznicach wiedzieć musi...

— Zawdy powiada, że on w borach sam-pan, tedy świadom jest wszystkiego, co się w nich dzieje!

Hryb głową pokręcił, groźb niewczesnych i urąganiań słuchając, oczy na Rawitach zatrzymał i odparł powoli:

— Ano, prawda, że świadom jestem, co się w borach i po bezdrożach dzieje, może też o łucznicach dziwnych coś wiem, ale, miłościwi panowie, nie rad jestem z językiem się wyrywać... Słowo, wieść—wiatrowi są podobne: ni ich okiem dostrzedz, ni dłonią ująć, ni zmierzyć, ni na szali zważyć. Bywa, wiecie, taki wichur, któren człeka koi, orzeźwia; i taki, któren strach budzi, ogniem praży lub niby lodem mrozi; i taki jeszcze, któren śmierć niesie, gdy strzechy zrywać zacznie, bory szarpać i o ziemię je ciskać. Bywa tedy słowo i wieść taka, co do serca radość i pociechę miodową sączą; i co pierś strapieniem ściskają, goręczą ją napawając; i co niby gromem rażą... Lepiej się tedy miarkować z mową...

Grota i Łukasza, a nawet Jaszka (którego rana nie była do tyła ciężką, jak się z pozoru zdało, więc przytomności nie stracił, co się działo dookoła widział i słyszał), wszystkich ich trzech uderzyło dziwne brzmienie onej jakoby przestrogi starca, nawet stropiło trocha, więc się oczyma zmierzyl, porozumiewając wzajem i już chcieli z inszej poczynać beczki, lecz przeszkodził im Paluch, który w mądrość i jasnowidzenie znachora wierząc, domyślił się, a raczej przeczuł, iż to

jego odezwanie się bez znaczenia nie jest i w głos zakrzyknął, z góry już tryumfując:

— Z niebaś nam spadł, staruchu, Bóg cię niewątpliwie przysyła, aby sprawiedliwości zadość się stało... Powiadaj o łucznikach, niech się zdrada okaże, bo wszyscy ją nawet przez skórę czujęm. Powiadaj, staruchu, śmiało, sameś nie zaprzeczył, jako wiesz...

— Istotnie, Hrybie, jeśli ci co wiadomo, nie zatajaj—poparł tłusciocha pan z Ossolina. — Zdradą tu pachnie, lecz jawności niema, więc sprawcy mogą się tym ładem uchronić, a źle byłoby, gdyby im się to udało.

— Praw stary! Na duszę grzechu za pomaganie zamysłem niecnym nie ściągaj! — ośmiał Hryba ze twej strony Sulima.

— Niech praw! Niech!—junakował Grot, odzyskawszy czelność.—Juźcić przeciwko nam nic nie powiesz, chyba, żeś w znowie z Jelitą i jego piastunami jest...

— Bardzo to może być, że go przekupili, aby fałszywie świadczył i przez nich wymyślony podstęp na barki nasze zwałił—dodał Łukasz. — No, dziadu? Ileż ci zapłacili...

Hryb zdążył, podczas nagabywań ze stron obu, rozważyć, jak postąpić i snąc wypadło, iżby w tej chwili wszystkiego, co wiedział, nie wyjawiać, bo odparł jeno:

— Gdzie pszczoły brzęczą, tam barci szukać, a gdzie padają strzały—łuczników. Takem odrazu wymiarkował, pierwszą strzałę zoczywszy. Postrzegłem zaś ją w chwili miotania i wiem skąd padła, jako i dwie in-sze... Przezorni jacyś łuczniczy je miotali, bo się ob-

warowali, jak nie można lepiej, i chyba, że ich już przy strzelnicach nie naleźć... Mieli czas zbiedz, teraz daremnieby ich gonić... Daleko są.

— Kręcisz, staruchu... — pogroził mu Sulima.— Odkądże to z prawdą w bok pomykasz, by rogacz, gdy łowca postrzeże?

— Gdzie zaś... — mruknął Hryb wymijająco. — Łucznicy mieli któredy ujść i czasu im na to starczyło. Strzelali z tego oto dziupła dębowego i z tego gąszczu, a i stąd stąd podziemne biegną przejścia, hen aż po za strugę... Usłyszawszy, że o nich miłości wasze się rozwodzą, pewnie bez mieszkania tą drogą umknęli. Przekonać się o tem łatwo. Zaiste, przezorni łucznicy...

Domysł starego okazał się słusznym: zarówno w dębie, jak i w gęstwinie, rumowiska zasłaniającej, ani w podziemiach, nikogo już nie było: Skower z Frankiem mieli się na baczności.

— A co, cny kasztelanie? A co? — tryumfował Grot, teraz już pewny, iż podstęp szatański raz na zawsze tajemnicą osłoniętym zostanie.—Zdrada była, wątpliwości nie ulega i nikt inaczej nie powiada: ale jeśli wam jest wolno obwiniać nas, my takie samo prawo was obwiniać mamy... Dopóki łucznicy się nie najdą i nie zeznają, zali z własnego pomyslenia tu przyciągnęli i miotaniem strzał się zabawiali, czy też ich kto nasadził, dopóty tak i owak ludzie sądzić mogą... Szukajcie ich, my też ich szukać będziemy. Jeśli się zaś nie najdą, trza nam skończyć, cośmy dziś zaczęli...

— Źleś rzekł Grocie,—przerwał kasztelan surowo—myśmy z wami skończyli, ale wy, że wam się zasadzka nie udała, proste na krzywe przeinaczyć usiłujecie. Na rany Chrystusa i świętą Jego Mękę! ludzie,

dokąd was zaślepienie prowadzi?! Stanęliśmy wyzwani, Jaszko zmożon, a że żyw jeszcze, dziękujcie Zbigniewowi, bo on przecież gardło jego pod mieczem miał!.. Sąd Boży był, okazało się, po czyjej stronie prawda, a po czyjej wina... Czegóż więcej chcecie?

— Sprawę obracacie, jak wam wygodniej — podchwycił Łukasz.—O skończeniu pomiędzy nami mowy być nie może, bo zdrada się okazała. Takie potykanie nic nie waży. Przekonajcie nas, że to nie wy nasadziliście łuczników...

— Wždy oni na Jelitę godzili!—huknął zniecierpliwiony Sulima. — To nas oczyszcza i rozstrzyga sprawę...

— My się przecież takim oczyszczeniem nie zadowolimy—przeciżył Grot coraz śmieiej.

— Może do nowej rozprawy nas wezwiecie? — zapytał szydersko kasztelan.

— Obaczy się, co trza będzie uczynić — odparł Łukasz. — Dziś jedźcie w swoją stronę, my w swoją podążym. Tak, eny kasztelanie: myśmy nie tacy, żeby nas było można wodzić, jak komu wola i wygoda. Powinniście o tem wiedzieć.

Ossolińskiemu tego było już nadto; wysunął się naprzód i pięść do góry wzniosłszy, ponsowy z oburzenia na licach, zawołał:

— I wy nas znać winniście, warchoły! domowego spokoju burzyciele! wszetecznicy! krzywoprzysięzce... Pomykajcie, ale—objedziem was jako należy, jeno nie szalbierzco, a drogą sprawiedliwą. Zdradę wam zadajem i udowodnim. Przed królem, przed radą koronną stanąć musicie! Majestat nas osądzi!

Śmiechem mu odpowiedzieli Rawici, a Zbąski, butnie się odąwszy, krzyknął:

— Jagiellonowi kuklą się bawić, a nie sądy sprawać... Niech się wprzód odessiel! Dla was on jest majestatem, nie dla nas...

— Tak! Niech mu wprzód mleko z pod nosa obeschnie!—wrzeszczał Dzierżko Rytwiański.—Kto go słucha? Kto za pana uznaje? Zdrajcy, którzy się rodzonych swoich ojcyców, Piastów, wyrzekli...

— Ha! ha! Jagiellończykiem nas straszy! Tęgi strach, przed którym nawet wróbel nie furknie...

— Najdziem lepszych i słuszniejszych sędziów...

— On dochówek litewskiego przybłądy pięknieby nas osądził...

— Niech o sobie pamięta, my w nim pana nie widzimy...

Przepierali się i burzyli, do odjazdu sposobiąc, a tylko zimnej krwi i rozwadze kasztelana, Świdwy oraz Sulimy trza było zawdzięczać, że do wybuchu nie przyszło. Wreszcie Rawici odciągnęli ze swoimi warchołami, uwożąc z sobą Jaszka, któren, acz przytomny wciąż był, jednak trocha gorączka go rozebrała, więc półgłosem złorzeczył, o skronie pięściami tłukł, powtarzając:

— Skower! Skower tu winowaty! Ręczył, zapewniał, a nie z obietnic... Daj on z czeluści piekielnych nie wyrzyj!

Hryb z początku swarom się przysłuchiwał, po chwili zaś jął się rozglądać po uroczysku: zwłaszcza baczenie się przypatrywał koniowi Zbigniewa, którego strzała dosięgła i również strzałą porażonemu pacholowi Rawitów, który już ducha wyzionął. Ciosy nie



mogły być śmiertelne, to stary od pierwszego spojrzenia zmiarkował — a jednak zarówno człowiek, jak i zwierzę już byli martwi, przyczem zgon mieli w boleściach straszliwych, porwani kureczami, które im członki powykrzywiały, a oczy w słup postawiły. I to nie uszło baczności Hryba, że człowiek usta, a koń pysk mieli pianą okryte.

Dumał nad tem podobieństwem oznak śmierci Hryb, potem, strzały z miejsc zranionych powyjmował i z tą je porównywał, co chybiła celu. Potem jeszcze kawalec strzaskanego drzewa Jaszka, z grotem, podjął i miecz, który młody Rawita nieopatrznie na ziemi zostawił, przedmioty te z równą jak strzały troskliwością badał, nie jednak z twarzy jego wyczytać nie było można, dlaczego to czyni: z prostej ciekawości, czy też dla osobliwych jakichś powodów. I nie ocknął się z tych swoich rozważań, aż go Paluch, z tyłu zaszedłszy, w łokieć trącił, przemawiając z fukiem:

— Łażnia ci się należy, staruchu, i gdyby nie to, żem ci żywot winien, wyprawiłbym ci ją niechybnie... Tfu! do kata... Srom na twoją głowę! Chyba spólność z onymi piekielnikami trzymasz, że nie powieździałeś, co wiesz... Boże, zmiłuj się nad nami! Wszystko na psy schodzi, kiedy nawet od sędziwości prawdy szczerzej spodziewać się nie można... Rawitowie może ci za milczenie zapłacą, ale na tamtym świecie inszą zapłatę weźmiesz, iżeś niecnocie się przysłużył...

Hryb z pod rżęs na niego pojrzał białych i mruknął chmurnie:

— Głupi! Głupi! Dowojujesz się ty kiedy twoim ozorem...

— Ano, jeżeli dowojuję, to za prawdę, za spra-

wiedliwość—burzył się tłścioch. - Nigdy się z tem nie taję, co mi na sercu leży, bo powiedziano w Piśmie: „co w sercu, to na języku; nie chowaj prawdy pod korzec, ale ją rozwijaj jako proporzec; kto prawdę w sobie dusi, tego potępienie kusi.“ Tak powiedziano i jeszcze piękniej, czego w tej chwili nie pomnę. Owóz, staruchu, z tego wypadła, żeś winien zdradę odkryć, jeśli ci duszne zbawienie miłe. A znów jeśliś Rawitów, przez łapczywość na dobro, oszczędził, to pewien bądź, żeby cię i od mego pana nie minęła nagroda. Jelita z Oporowa on, wiesz przecie.

Stary machaniem dłoni mu przerwał.

— A kysz! A zaśię! A zmlknij! — zamruczał surowo.—Z prześlącą ci między białkami siedzieć i baśni trzepać... Głupi! Wiesz, że słowo wróblem wyłeci, ale z onego wróbla wół bodzący często się robi. Głupi! Człek gębę ma nie do plecenia lada bredni, jeno by słuszne rzeczy z niej puszczał... Sadła ci nie brakuje, ale co rozumu nawet z łuczywem u ciebie nie szukać...

I sarkając gniewnie, do Zbigniewa się zbliżył, popatrzył na niego trocha, a potem ozwał się poufnie:

— Wasza cześć przy panach Rawitach życia nie jest pewien. Nie godzi mi się, prostakowi, do spraw pańskich mieszać, ale dobrą poradę i z ust prostych przyjąć można. Wszak nawet król Łokieć siermieżną pomocą nie gardził i przy ochronie narodu prostego, głowę utrzymał, a na niej koronę...

— Co przez to chcesz powiedzieć, stary?—zapytał Zbigniew.

A Hryb, nie zważając, iż wszyscy się tuż zebrali tak prawil dalej:

— Rzec chcę, iżby się miłość wasza panów Rawitów pilnie wystrzeżała. Teraz dopiero pomiarkowałem, jak na waszą miłość są zawzięci: zgładzić was postanowili z tego świata, a że im się nie poszczęściło, to dziw!

— Czemu przy nich tak nie gadałeś?—przerwał Sulima. — Znaczy się, że na dwojgu barkach płaszcz nosisz!

— Teraz dopiero pomiarkowałem — powtórzył Hryb.—Owo jak było... Przywlokłem się na uroczyisko, ziela pomocnego zdrowiu ludzkiemu szukać, aż widzę... dwóch tu przede mną zdążyło i coś rajcuja, ale o czym?—nie dosłyszałem. Dwóch było: jednego nie znam, a drugi to ten, którego Skowrem nazywają. Rajcowali tedy, gdy zaś wasze miłości nadciągnęli, jeden się w dębie ukrył, a drugi tam, w gąszczu, gdzie rumowiska po kontynie.

— Skower...—szepnął jakby do siebie Sulima—no, toż, by na dłoni, ich zasadzka. Skower przecie z nimi družba od serca...

— Wiedzieli ci dwaj o podziemiach, bo je przed ukryciem się obzierali, łącno tedy się domyśliłem, że wybrali się na takie łowy, z których trza mieć odwrót bezpieczny zapewniony... Ale to wszystko nic: wszak oni miotali strzały jadem zaprawne i oręż młodego pana Rawity również śmiercią był zaprawiony — pojrzycie...

Tu Hryb okazał, że grot drzewa Jaszkowego, miecz jego oraz strzały, miały na sobie powłokę ciemną, widocznie od wyschniętego płynu pozostałą; zwrócił też uwagę na zwłoki pachoła Rawitów i konia Zbi gniewa—iż strzały mogły ich zranić, lecz nie porazić

tak szybko śmiercią, a przytem, że śmierć, i człowiek i zwierzę, mieli jednaka.

— Znam ja się na ranach i chorobach—kończył —wiem, jak schodzą ludzie z tego świata swoją, a jak zadana jadem śmiercią, więc śmiało powiadam, jako ten oto człek i to bydlę śmierć nie od rany, lecz przez strucie ponieśli. A że ona trzecia strzała i oręż młodego pana Rawity także są zaprawne, łącno o tem przekonać się można bodaj na sobace, czy inszem stworzeniu żywym... Czegom doszedł, to waszym miłościom gadam i powtarzam: na baczeniu się niech pan z Oporowa ma. Rawitom snąc zguba jego potrzebna, zawzięli się i ścigać go będą.

Na twarzach słuchaczy zgroza i przerażenie się odmalowały; Halszka aż pobladła, niby płótno i przy-padłszy do Zbigniewa, za ręce go chwyciła, wołając:

— Oto masz, Zbychu! Oto widzisz, jacy są... Na taką niecnotę się ważyli! Na taką zbrodnię! Toć chyba kaźni dość słusznej dla nich nie należć... Jużci musisz królowi to powiedzieć, niech otrzymają, na co zasłużyli... Oj! oj! gdy pomyślę, że mogła cię strzała taka lub oręż jadem napuszczony dosięgnąć, martwość mnie opada... Inaczej nie może być, Zbychu, jeno trza królowi to wyznać. Niech z nimi porządek uczyni... A tyś Jaszka jeszcze, Zbychu, oszczędził!

— Moje słowa, pannuchna powtarza! Moje własne słowa,—przerwał Paluch, który podczas wyjaśnień Hryba bladł i czerwieniał naprzemian ze strachu i oburzenia. — Mielście, panie, tego znoska potępieńców w garści, trzymaliście przecież miecz na jego gardzieli, nie byłoż go dźgnąć? A teraz co? Wasza cześć mnie-ma, że oni waszą cześć poniechają? Prędeż lis kwo-

częta będzie wodził i dozierał ich, prędzej wilk z baranem się pokuma, niż te psułaty, wisielaki, nasienia szatańskie pokój wam dadzą...

— Do króla ich, Zbychu, do pana miłościwego! — nalegała Halszka. — Paluch słusznie prawi.

— Pannucho nasza — zaprzeczył tłścioch — nie potem taka rada. Przed królem oni nie staną, chociażby ich wezwał, bo wiedzą, czem to pachnie. Ho! ho! mają nosy za katy! Jabym z obławą, jak na dzikiego zwierza, na nich poszedł, przydybał czy to w Słupcy, czy to w Konarach, wszystkich trzech na pal wbił! Oto, jak trza... Inaczej się z nimi do ładu nie trafi. Dopóki chociaż jeden z nich przy życiu ostanie, pan Zbycho dnia ni godziny spokoju mieć nie będzie i ja przy nim, bo wszakci i na mnie również są zawzięci. Słyszała pannucho, jak się odgrązali? Stary Grot, gdy mnie postrzegł, pozieleniał ze złości, a mnie przypiekanie na pamięci stało, co to je po dziś dzień czuję. A! pomioście piekielny! Wyporki z szatańskiego chwosta! Że też Bóg gromu na takich nie spuści...

Nie zwracano uwagi na burzącego się tłściocha. Zbigniew o radę do kasztelana się zwrócił, który na razie nic stanowczego przedsiębrać nie chciał.

— Z wrogiem, jawnie godzącym, łącno się uporać, ale z takim, który się najniecieńszych podstępów chwyta... inna rzecz — mówił. — Rawici, zda się, teraz przywarują, a my przez ten czas może jaki skutek na nich wymyślim. Trza się przekonać naprzód, czy domniemania Hryba są słuszne: czy oręż Jaszkowy jadem jest napuszczony. Jeśli to się okaże, żadnego tłumaczenia mieć nie będą...

— Sprawiedliwie powiedziano — przytaknął Świdwa i dodał: — Jeśli to się okaże, wtedy ich na sąd Boży wezwać, ale przed króla, do Krakowa, gdzie o zdradzie z ich strony mowy być nie może...

— Rawici na wezwanie królewskie nie staną — zauważył Sulima. — Jakże chcecie? Buntownicy są! Spiskowcy!

— Jeśli nie staną, sami na siebie wyrok dadzą — rzekł Świdwa. — Pan miłościwy w takim razie ze wszelkich praw wyzuć ich mocen i ogłosić, jako każdemu wolno przy pierwszym spotkaniu ich zgładzić...

— Otóż to! Otóż to! — podchwycił Paluch, gdy te słowa usłyszał. — Pan Świdwa w moją dudkę gra! Niech król Rawitów za praw zbawionych ogłosi, a my na nich wówczas z obławą. Na mojem się stanie.

Niebawem na uroczysku został sam Hryb, któremu kasztelan polecił zwłoki pachoła Rawitów, nieludzko przez nich na żer dzikiego zwierza zostawione, chociaż w niepoświęconej ziemi pogrześć, czego stary dopełnił, pomrukując:

— Żrą się ludzie, marnieje świat i rychle burzy piorunowej patrzeć... W powietrzu już ona, a z nią też oczyszczenie i ład prastary...

---

#### IV.

Gdyby się taka przygoda, jak na uroczysku Smoczem, w innej, spokojnej porze, zdarzyła, niewątpliwie krucha byłoby z Rawitami, bo świadectwo, ich potępiają-

ce stanowczo, znalazło się w onym kawalcu drzewa i mieczu Jaszka, które to przedmioty, wedle domniemania Hryba, okazały się istotnie zatrutemi, co sprawdzono na bydłętach kilkorgu. Ale czas był wichrowaty—z jednej strony Spytek Melsztyński szalał, tak, że musiano go na oku mieć, gdyż ludzi gromadził i można się było spodziewać, iż się lada dzień na poważny zamach odważy; z drugiej strony umysły były zajęte sprawą korony czeskiej, którą królowa Zońka dla syna swego posiąść usiłowała; z trzeciej wciąż tłał zatarg z Litwą o ziemię Łucką, co to ją Świdrygiełło na rzecz korony polskiej w zarząd Wincentemu z Szamotuł, kasztelanowi międzyrzeckiemu i Janowi z Oleska oddał; z czwartej trza było tłumić zakusy kacerstwa husyckiego, które, mimo energicznych zabiegów biskupa Zbyszka z Oleśnicy, tu zgaszone, owdzie się okazywało; z piątej wreszcie pokój mąciły knowania pokątne Krzyżactwa i coraz zuchwalej gospodarujący w kraju, z wielką zwłaszcza kupieckiego stanu krzywda, łotrzykowie. Z tych oto powodów, i jeszcze wobec zbliżającego się zjazdu w Piotrkowie, sprawa Jelity z Oporowa i Rawitów na bok odłożoną została, chociaż młody król zapisał ją dobrze w swojej pamięci i postanowił przy pierwszej sposobności niecnotę skarcić surowo, dla przykładu i postrachu innych. Sam Jelita o to nie nalegał. Mówił:

— Co mi tam Rawici! Jaszko dwakroć oberwał, a jam cały. Pokuszą-li się znów na jaką zdradę, — to dufam, że albo znów zawód sromotny ich spotka, albo też sami się do dołu, pode mną wykopanego stoczą, jako się zazwyczaj takim bezecnikom dzieje.

Kasztelan, Sulima i Halszka innego byli zdania,

a nawet Świdwa, chociaż z tym rycerzem coś osobliwego od pewnego czasu się działo. Chodził bowiem osowiały, zamyślony, podczas snu zrywał się w nocy i coś do siebie gadał. Jakiś niepokój, jakiś frasunek ciężki go ogarnął i żarł mu myśli. Bywało dawniej, gdy go co trapiło, zwłaszcza wspomnienie poszukiwanej piękności, to łanie go pieśń ulubionego lutnisty koła—ale teraz i słodkie nie pomagały pienia. Drużbowie nic z niego wyciągnąć nie mogli: na zapytania, uśmiechał się słodko i zwykłym głosem pieściwym odpowiadał:

— Przychodzą na człowieka chwile, że czepia go się to i owo, niby pajęczę nici szaty, ale to przejdzie, minie, boć wszystko na świecie ma swój czas.

Kur, wesolek królewski, który jeszcze nieboszczyka Jagiełłę trefnemi żarty zabawiał, a potomek onego słynnego Kura, któren za Kaźmirza Wielkiego na dworze krotochwile wyprawiał, radził mu:

— Ty się, Wężu, obwieś! Sprawiedliwie powiadam, iżbyś się obwiesił, a całkiem się odmienisz tak, że ci plastr złoty ze ślepie spadnie. Zali tego nie uczynisz, gorze tobie! Zadręczysz się.

— Także Wężowi dobrze życzysz, za to, że cię obdarza i poczęstunku nie żałuje, iż mu powróż podsuwasz, błaznie!—zgromił go za to pewnego razu Sulima.—Cnota w tobie niewielka...

A Kur na to, krzywiąc twarz pokracznie:

— Sulimo! Z Tatarzynem wojując, śnać mowy polskiej zabaczyłeś, że jej nie rozumiesz. A może z umysłu słowa moje opacznie wykładasz? Zali ja Świdwie naszemu powróż w garść wtykam?

— Jako nie wtykasz? Przecież radzisz, by się obwiesił...



— Tak, ale na szyi jakiej gładyszki; do tego powroza nie trza. I za skuteczność rady w poręce głowę własną daję. Spróbój Wężu, a dziękować mi będziesz... Niewieściemu powabowi uległeś, a wszakżeś mądry, tedy pamiętać winienesz jako uczą ludzie starzy: z koniem nie igraj, niewieście nie ulegaj, pieniądze sam chowaj, chcesz-li być bez szkody.

On Kur, człeczyna krótki, pękaty, z twarzą i oczyma tak ruchliwemi, że przeróżne dziwa z nich wytwarzał, okrutnie sobie z każdym pozwalał, co mu jednak, jako wesółkowi, uchodziło, tembardziej, że krotchwile mu się, by z rękawa, sypały, a często rozumne i głębszego znaczenia. Bano się go, bo w podrażnieniu ciał, jak osa, na godność nie zważając i swego nie darował. Tak razu pewnego, podczas uczyty, u marszałka królewskiego, Głowacza z Oleśnicy, brata biskupa krakowskiego, panowie ucztujący szydzić zaczęli z niego dotkliwie; on długo milczał, zajadając i popijając, wreszcie usta otarł garścią, nadał się, by sowa, i poważnym ozwał się głosem:

— Wstręty mi czynicie, miłości wasze, a przecież jam od was wszystkich znaczniejszy.

Śmiechem te słowa powitano, a marszałek zapytał:

— Jakże to może być? Pokaż nam twoje znaczenie.

— Snadnie mi to przyjdzie—odparł Kur.—Wszystcy, jako tu jesteście, macie jednego błazna dla zabawy, ja zaś mam ich tylu, ilu was tu jest.

I z tego się śmiano, bo inaczej postąpić nie wypadało panom senatorom, ale temu i owemu dusza ścierpła od takiej śmiałości.

Do Świdwy Kur nadzwyczajnie jakoś przylgnął—

to też gdy rycerza smętek dziwny napadł, starał się go wszelkimi sposoby rozerwać. Korciło go przytem, że nie mógł się dowiedzieć, co Węza trapi, bo niezmiernie był ciekawy i często się przechwalał, jako przed okiem jego nie się nie ukryje. Więc póty węszył i kręcił się krok w krok za Świdwą, aż na trop wpadł, jego frasunku, co mu też nie omieszkał do poznania dać.

Było to jakoś w kilka dni po rozprawie Jelity z Jaszkiem Rawitą. Siedział Świdwa w izbie, przy oknie, samotny i bezmyślnie w przestrzeń zapatrzony, takim go zoczył Kur, wałęsający się po dworze. Zoczywszy, uśmiechnął się, kołpaka z dzwoneczkami poprawił, stanął naprzeciw okna, odsadził się, zapędził, udając, że rzekomo do okna chce wskoczyć. Dokazać tego nie mógł, gdyż na dwa chłopcy co najmniej było od ziemi. Tedy skrzywił się uciesznie, jeszcze raz i drugi próbę skoczenia do okna powtórzył, wreszcie dłonią w czoło się uderzył, drabinę skąciś przywłókł i po niej bez wysiłku do izby oknem wlaź.

— Oszalałeś chyba!—ozwał się Świdwa, ramionami wzruszając.—Nie maszże inszej drogi...

— Uczyniłem to, iżby ci rozumu do głowy napędzić, Wężu—odrzekł Kur.—I ty uczyn, jak ja, a zbędziesz się frasunku, któren cię trapi.

-- Bredzisz, błaznie!

— Nie bredzę. Zważ jeno, miły rycerzu: skoczyć do okna nie mogłem, a snadno po drabinie wlażłem; ty już sporo czasu pragniesz się do kamienicy Belinowy dostać, a jeno chadzasz poprzed nią, jakbyś drogi nie wiedział, tedy ci ją wskazałem. Po drabinie do niej wleziesz łącno, chociaż nawet tego sposobu nie

trza, bo przez furte jeszcze łącniej się dostaniesz. Tam, słyseż, przyjęcia doznasz uprzejmego.

Zatrząsł się Świdwa, porwał ze stołka i groźnym wzrokiem, co u niego rzeczą niezwycajną było, wesółka zmierzył:

— Skąd wiesz? Kto ci pozwolił zamysłów moich dociekać? Fałszywe przypuszczenia tworzysz, z czego baśni mogą powstać, a ja tego nie chcę... Rozumiesz?

Pod boki się ujął Kur i z nogi na nogę przestępując, jął mówić skrzecząc:

— Braciszku! nie groź Kurowi, bo to taki ptak, że groźbą z nim nie wskórasz. Fałszu też mi nie zarzucaj, bo przecież co dnia dokoła kamienicy nadobnej wdówki krążysz i okna jej tym swoim jedynym ślepiem świdrujesz... Może nieprawda? No, a jeśli prawda, gniewać się nie masz o co.

— Każdemu wolno chodzić, gdzie chce... — mruknął Świdwa.

— A oczywista! — rozśmiał się wesółek.—Ja ci też nie bronię ku kamienicy wdówki ciągnąć, a nawet nikomu słowa nie pisnę, com postrzegł, jeśli ci na tem zależy; chociaż ludzie sami się opatrzą, bo oczy mają...

Świdwa dłonią po czole przesunął i chodzić zaczął po izbie gorączkowo.

— Rycerzu miły, żal mi cię serdecznie, żeś się tak zaplątał—podjął znów Kur.—Chciałoby się duszy do raju, chciałoby się z wdówką nadobną zabawić, a tu kaduk nadał ślub! Otożes w matni... Ani w tę stronę, ani w tę! I co teraz poczniesz?

Milczał Świdwa, błazen zaś, oczyma za nim wólząc, nie przestawał skrzeczeć:

— Kusa sprawa, braciszku, jeśliś czystość ślubo-

wał: chyba kamień do szyi przywieszisz i pod koło młyńskie się rzucisz, skoroś naprawdę ku wdówe zapłonął. Szkoda! Szkoda! Kąsek smakowity... bakalia, a dla ciebie w sam raz. Mielibyście o czym z sobą pogadać, bo ty, braciszku, kraj świata zjechałeś i ona też w obcych bywała krajach... Tacy, gdy się spotkają, to jakoby pokrewność...

Ledwie tych słów dokończył wesolek, Świdwa ku niemu przypadł, za bary go chwycił i trzęsąc nim, jął wołać wzburzony:

— Powtórz, coś rzekł! Powtórz!

— Rata! Rata!—krzyknął Kur wystraszony.—Puść mnie, rycerzu miły, za co družbę poniewierasz... Puść, do biesa! nie tarmoś! Duszę ze mnie wytrzęsiesz, a ona niebożątka cale nie chce z ciałem grzesznem tak rychle się rozstawać...

Wił się w silnych garściach Węża Kur, ale daremnie starał się uwolnić—rycerz trzymał go, wstrząsał nim wciąż, wołając z natarczywością:

— Powtórz! Powtórz, coś rzekł!

— Dobrze, jeno puść, inaczej nie powtórzę — na to błazen.—Nie nawykłem gadać pod pięścią...

Ochłonął trocha Świdwa, uwolnił błazna z objęć swoich, a wtedy on, ku drzwiom zmierzając, ozwał się:

— Ano... powiem naprzód, żeś się wściekł; a potem to, że nie garści masz, jeno kleszcze jakieś żelazne; i to jeszcze, że gadać z tobą nie będę, póki ci rozum nie wróci... Bywaj zdrów, braciszku. Mnie mam cale przednio będzie, jeśli egzorzystę przywołasz i poprosisz go, iżby z tobą porządek uczynił.

— Czekaj błaznie! Dowiedzieć się muszę, jest-li to prawda, coś przed chwilą powiedział...

— Do odrobiny prawda, jako i to, że teraz z tobą

przestawać niebezpiecznie. Bywaj zdrów, trza mi śpiesznie wewnątrz miodem wymaćścić, boś mi je sromotnie naruszył.

I wymknął się chyłkiem, pozostawiając Świdwę samego.

Rycerz poskoczył za nim, ale Kur zwinniejszy od niego był w nogach, więc pochwycić się nie dał i znikł niebawem w jakimś kącie. Świdwa, do izby wróciwszy, mierzyć ją począł szybkimi krokami, a na twarzy jego malowało się wzburzenie coraz większe. Czasem przystawał, włosy rozwichrzone ruchem gwałtownym w tył odrzucał, palce dłoni wylaamywał, szepcąc do siebie:

— A gdybym się nie omylił? Gdyby tak było? Co wtedy? Ha! ha! Ślub... ślub... tyle lat!

Śmiał się przytem gorzko, czoło marszczył, brodę szarpał.

Zbigniew z Oporowa i Sulima, którzy rychle po wymknięciu się Kura do izby nadciągnęli, zaniepokojeni zostali tym stanem przyjaciela, ale nic z niego wydobyć nie mogli. Wymijająco odparł:

— Ostawilibyście mnie własnym myśłem i uczynicie to, jakieście dobrzy. Mógłbym was złem słowem urazić, bo... bo... głowa mi pęka!

Samotności snąć potrzebował i powietrza, tedy oponczę narzuciwszy, wyszedł; za miasto się dostał i niemal pędził, jak gdyby przed pogonią uciekając. Dopiero nalazłszy się w miejscu ustronnem, odetchnął, kołpak zdjął i mruknął:

— Błazen słusznie powiedział, zem się wściekł, a przynajmniej... mało mi do tego brakuje. Bo też jest z czego rozum stracić...

Siadł na kamieniu, rozmyślał, wzdychał, a tak istotnie wyglądał, jakby naraz w rozumie mu się zaćmiło. Pod wieczór uspokoił się i już powoli wrócił do miasta.

— Trza to rozwikłać—mówił w drodze — inszej rady niema. Niepewność gorzej udręcza, niż najokrutniejsza rzeczywistość. Prawdy się dowiem i... co będzie—to będzie. Wstyd mi samego siebie; mężem jestem, a postępuję niezem pacholę.

Na ulicach miasta jeszcze więcej kroku zwolnił, szedł jakby popychany—jakby go coś ciągnęło naprzód a inne w tył cofało. Wreszcie zoczywszy kamienicę Belinowej, przystanął, wahał się nieco, aż stoczywszy wewnątrz duszy walkę jakąś, pewną dłońią do furty zastukał. Wrotny puścić go nie chciał bez oznajmienia nazwiska, lecz skoro je usłyszał, pośpiesznie się usunął i drogę wskazał, z czego można było się domyśleć, że wdowa w czasie ostatnim zmieniła obyczaj, w gościach przebierała i jeno niektórym wstępu do domu swego pozwalała.

Jakoż cisza panowała w izbach bogato przybranych, ani śladu hulaszczego życia. Świdwa rozglądał się i dziwował—tyle mu nagadano o pięknej Barbarze: że dniem i nocą gwarno u niej i wesoło; że chociaż sama spoczywa, to gachowie się z wszelką swobodą zabawiają — a tu on znajduje jakby klasztor... I nie zdradzało swawolnych obyczajów: przybranie izby tchnęło wdziękiem, jaki umiejętna dłoń znającej życie niewiasty umie dokoła siebie roztaczać, lecz zarazem i powaga z onym wdziękiem się łączyła. Świdwa nie wiedział, co ma o tem sądzić: czyby ludzie tak oszkolowali piękną wdowę?

Bietka, zoczywszy przybyłego, omal nie krzyknęła z uradowania, ale wnet usta zesnurowała i pośpieszyła do pani z oznajmieniem pożądanego gościa; niebawem też ukazała się sama gospodyni.

Powitała Świdwę z uprzejmą swobodą, która jednak granic przystojności nie przekraczała. Zdawało się—tak przynajmniej rycerz osądził—że nie siliła się na udawanie, nie przybierała sztucznego pozoru, lecz przedstawiała się, jaką była rzeczywiście. I tym razem ona zalotność wyzywającą i niepomiarkowaną potrafiła ze szczętem utaić, słowem, że nie znając jej powiedziałbyś, iż obyczajów jest niepokalanych, pamięta o sobie i z każdym krokiem się liczy.

Świdwa był zdumiony niepomału, podobnego też wzruszenia doznał jak wówczas, gdy ją u meystra Elbicha obaczył. Odbiło się ono na jego obliczu i w głosie: mąż ten, zawdy przezorny, nad sobą panujący, wobec wdowy jakoby głowę stracił. Wyrazy powitalne, któremi zarazem chciał swoje, jak mniemał, niewczesne wtargnięcie tłumaczyć, splątały mu się, bakał coś nieskładnego, a głos mu drżał, nieśmiało z piersi się dobywał. Wdowa go z kłopotu wyprowadziła, przemawiając bez ogródek:

- Spodziewałam się, iż mnie nawiedzicie, spodziewałam się nieomylnie i, na szczęście, nie zawiodłam się. Szczerze powiem, iż czułabym się strapioną nielada, gdyby inaczej się stało...

— Trudno mi zrozumieć... —ozwał się Świdwa. — Jakto? Jam przez was spodziewany?

-- Dziwicie się?—podjęła ze słodkim uśmiechem. —W krótkich wam to wyjaśnię słowach.

Przechyliwszy się wdzięcznie na siedzeniu i oczu

przepaścistych ze Świdwy nie spuszczać, mówiła dalej, napół poważnie, a trocha żartobliwie:

— Wiele o was, rycerzu, słyszałam i dawno już poznać tak niezwykłego człeka pragnęłam. Bo ze wszystkiego, co o was rozpowiadają, łącnom doszła, żeście różny od innych: inaczej myślicie i czujecie inaczej; głowę macie i serce, a nie każdy posiadaniem równocześnie jednej i drugiego pochlubić się może...

— Zbyt zaszczytne to mniemanie o nieznanym — zdobył się na odpowiedź Świdwa.

Głową wstrząsała piękna pani.

— Nieznajomym? Wszak nadmieniałam, rycerzu, że znam was z ludzkich opowieści... — rzekła.

— Zali na takim świadectwie z pewnością polegać można?

— Można. Wtedy wątpliwość jest, jeśli o kim wieści złe chodzą, bo ludzie o bliźnich (w naturze ich to tkwi...) raczej szpetne rozpuszczają gadki, niż dobre, chociażby te ze sprawiedliwością były w zgodzie. W cudzem oku słomkę dostrzegą, a we własnym belki nie dojrzą. Na sobie tego doświadczyłam i doświadczam... Dość im pozoru, żeby kogo zbeseścić, dość zawiści, by niewinnego oczernić i potępić. Nie trza zresztą o tem wam mówić, sami wiecie. Ale jeśli o kim dobre chodzą wieści, tedy wiarę im dać można, bo to znaczy, iż takiego człowieka nawet ostre szpony potwarzy czepić się nie śmia... Na was nic złego wymyślić świat nie zdołał. Dziwactwo wam zarzuca, ale to więcej chwalba, niż przygana... Oto dlaczego do przekonania przyszłam, żeście niezwyčajni sercem oraz głową i tę pewność mam, iż w błędzie nie jestem...

— Tak — szepnął Świdwa, z uwagą słuchający



wynurzeń przebiegłej niewiasty — sądy ludzkie często nader są mylne i z umysłu fałszywe...

— Na wietrze pisane, na wodzie bieżącej—podchwyciła Belinowa z niejaką gorącością. — Chwila je dyktuje i chwila niszczy lub przeinacza...—a miarkując się, mówiła znów z dawną słodyczą i spokojem:—Tyle o was słysząc, chciałam poznać tak osobliwego człowieka, aleście na wezwanie moje odpowiedzieli (darujecie, rycerzu, szczerłość) lekkomyślnie...

Zmieszał się Świdwa.

— O! nie starajcie się tłumaczyć — pośpiesznie rzekła wdowa, nie dając mu przemówić — wiem, przeczuwam, co na języku macie: Belinowa nadto wesoło żyje, nie godzi się mężom poważnym znajomić z taką wietrznicą, bo to uchybiłoby ich czci... Tak ludzie mówią, a wyście temu uwierzyli i to was od nawiedzenia mnie z początku wstrzymało.

— Nie zaprzeczę...—bąknął Świdwa.

— Niesposób zaprzeczać — wszak taką odpowiedź daliście Grzymale, który ode mnie do was posłował — przerwała Belinowa.—Chyba uwierzycie, że uczułam się dotkniętą. Nie zważałam na ludzkie sądy, ale tym razem, kiedy cios z waszej otrzymałam strony, srodze mnie to obeszło. A wiecie dlaczego? Oto dlatego, żeście, Świdwo, różny od innych. Kiedy złość, czy też głupota szarpnie człowieka, znieść łatwo; ale jeśli w te ślady ludzie godni wstępują... to zaboli... to serce rozkrwawia i goryczą je napęlnia.

Westchnęła, a lica jej były smutne, jak gdyby istotnie cierpiała.

— Inszaby, na mojem miejscu, nic sobie z tego nie robiła... Podąsałaby się i zapomniła. Jam zapo-

mnieć nie mogła. Żal do was uczuwszy (zważcie: nie złość, jeno żal...) zapragnęłam was choć obaczyć z blizka. Trudne to zadanie było, ale od czego podstęp: zwabiłam was do meystra Elbicha, tam nareszcie poznałam, jak wygląda on mąż, rozumem i sercem innych przerastający, który jednak lekkomyślnie surowe sądy o ludziach wydaje...

— Co słyszeł?—zawołał Świdwa. —Więc to wyście mnie do Elbicha ściągnęli?

— Powiedziałam — odparła, patrząc mu w oczy śmiało.—Uczyliście to i rada jestem, bo snąc osądziliście, że nie muszę być ostatnia, jeśli was w domu moim oglądam... Zali się myłę? Zaliście nie zmienili mniemania?

Świdwa kłamać nie umiał—i teraz z prawdą minąć się nie chciał, tedy chwilę pomilczawszy, ozwał się:

— Szczerść za szczerść, nadobna pani Belinowo. Nie zmiana mniemania o was tu mnie sprowadziła, całkiem inszy powód. Nie zaprzeczę, że od pierwszego poznania dużo się zastanawiałem nad tem, czy ludzie słusznie wam płochość zarzucają; ale gdym się rozpatrzył i widzę, że to głos powszechny...

— Trudno wam nie dać mu wiary—rozśmiała się porywczco wdowa. — Jeżeli tak, to już w głowie mi się pomieścić nie może, iżście się tu przyjsć odważyli... Wyjaśnijcie on powód, niezmiernie ciekawa... Osobliwy być musi...

— Zaiste osobliwy. Jeno o trocha cierpliwości proszę.

To rzekłszy, Świdwa powietrza zaczerpnął i nie bez wysiłku mówić począł:

— Szczerść za szczerść, powtarzam. Inaczej

sobie was wyobrażałem, a inszą poznaję, może tedy być bardzo, że ludzie w fałszywem przedstawiają was światło, ale też... można przypuścić, że mistrzynią w zachowaniu pozorów jesteście...

— A! Przypuszczenie wasze nową jest dla mnie krzywdą... — zawołała Belinowa, brwi ściągając i blendnąc, bo gniew ją porwał, gdy to zwierzenie Świdwy usłyszała. — Należałoby się, rycerzu, niewieście trocha względów...

— Szczerością zgrzeszyć ani uchybić komu nie można, pani miłościwa—odparł Świdwa. — Z tego, coście przed chwilą powiedzieli, miarkuję, że ludzkim sądom przeczycie...

— Przeczę! — zrywając się z miejsca, rzekła dobitnie, pięść zaciskając.—Z gruntu są fałszywe! Odrobiny prawdy w nich niema. Pozory są przeciwko mnie... sama na siebie ściągam oszczerstwa, ale człowiek z głową i doświadczeniem czezej gadaninie wierzyć nie powinien!

— Słusznie—potwierdził Świdwa—i możecie być pewni, że jeśli tak jest, zyskacie we mnie obrońcę, który spotwarzać was nie pozwoli. Obowiązkiem rycerza czci niewieściej bronić, a ja może będę miał inne nadto powody... ważniejsze...

Wpatrzyła się w niego ciekawie Belinowa.

— Insze... ważniejsze powody? Toć już wyjaśnijcie mi tę zagadkę, sama jej nie rozwiążę...

— Pani nadobna!—szepnął miękko Świdwa, który czarowi wdzięków wdowy ulegać nieco począł, zachwianym już będąc w swoich o niej sądach — gdyby cnota twoja równą była urodzie, winnabyś być pierwszą między niewiastami...

— Do rzeczy, rycerzu, do rzeczy...—przypomniała mu wdowa.

— Wracam do niej, lecz trza, iżbyście raczyli na pytanie moje odpowiedzieć... Słyszałem, żeście obce zwiedzali kraje? Czy tak jest? A jeżeli tak, w jakim to było czasie? Błagam was, odpowiedzcie mi szczególnie, nie nie przeinaczając, zależy mi na tem niezmiernie...

Natarczywość w głosie proszącego brzmiała, którą jeszcze i wzrok wyrażał, co wdowę zastanowiło. Rzekła powoli:

— Słyszac was, mógłby kto snadnie pomyśleć, że od tego, co powiem, cała wasza przyszłość zawisła...

— Może tak jest...

— Już teraz widzę jasno, że słusznie was dziwnym zowią. Pewną byłam, jako przychodzicie w skrusze, urażę przeproszeniem zagładzić i znajomość trwałą zawiązać, a tu z czem innem występujecie. Na dobrą sprawę, winnabym was niczem zbyć. Cóżbyście poczęli, gdybym tak uczyniła?

— Musiałbym wiadomości potrzebnej kędy indziej szukać. Ale miarkuję, że tego nie uczynicie, zawziętość z oczu waszych nie przeziera...

Uśmiech figlarny na uściech wdowy zaigrał.

— Taki z was rzekomo szczerak, a w potrzebie nie odwracacie się od pochlebstwa—rzekła.—Powiadacie, żeś niezawzięta... Ano... tak i owak się trafia. Do zgodności jedyna, w tem nie pobłądziliście, wybaczam chętnie urazy, wszakże nie każdemu i nie zawsze... Jak mi kto dogryzie i ja mu zęby pokażę, a ma-li chęć na udry iść — najdzie mnie gotową. Pokornością i cierpliwością się nie pochwalę.

— Nazbyt się może oczerniacie?—zauważył Świdwa.

— E, nie! Taka jestem. Sama z nikim wojny nie poczynam, ale niech jeno mnie kto wyzwie — do-  
stoję mu. Wojował-ci ze mną nieboszczyk Belina, wojo-  
wali jego krewniacy, ba! ze swoimi musiałam się żreć i co?  
Nie podolali. Rozpędziłam wszystkich na cztery wia-  
try. Za to też psy na mnie wieszają. I z tego się  
śmieję. Wolno sobace na Bożą mękę ujadać, ale ru-  
szyc wara! Niech szczekają, mnie z tego śmiech. Koł-  
ków sobie na głowie ciosać nie dałam i nie dam!

Mówiąc to, roznamiętniła się, na twarz jej ru-  
mieńce wystąpiły, oczy zapłonęły groźnie, nozdrza ró-  
żowe rozduły. Spostrzegła jednak, że właściwą natu-  
rę swoją zdradza, więc powściągnęła się i żartobliwie  
kończyła:

— Widzicie, żem nie baranek, podczas wojny  
wilcze pazury mi się wysuną. Trudno! Ryby bez  
ości, a człeka bez złości nie naleźć. Jeno moja złość  
to—jak z kim. Uważam, że z wami długobym się swa-  
rzyć nie mogła... Jakoś udaliście mi się, Świdwo, więc  
już spełnię, co żądacie. Czemu zresztą nie miałabym  
spełnić? W obce kraje jeździć nie zbrodnia. Jeździ-  
łam i ja, ze stryjecznym, kanonikiem plockim, któren  
mnie więcej niż rodziciele miłował. Gdyby nie zamarł  
przedwcześnie, nie pozwoliby mnie za Belinę bez woli  
wydać. Oparcie w nim miałem i obronę... Święty  
człowiek był, szkoda go...

— Z nim tedy obce krainy zwiedzaliście... Da-  
wno to?

— Sporo czasu. Do Rzymu musiał się stawić,  
w duchownych jakichś sprawach, zabrał tedy mnie  
z sobą, a jam rada temu była, bo ktoby nie pragnał

światu się przyjrzeć? Jechaliśmy do onego Rzymu przez różne krainy — przez rzeki, lasy i góry, oho! jakie góry! Ani dojrzeć ich szczytu. Krwawa nieraz była droga, alem się dziwów napatrzyła.

— Dawnoż to?—powtórnie zapytał Świdwa, coraz bardziej wzruszony.

— Czekaście... — zamyśliła się wdowa, i przypominała sobie. — Bezmała, żeby nie skłamać, na dziesięty rok od tego czasu się obróciło. Prawdziwie mówię.

— Na dziesięty! Na dziesięty!—zawołał Świdwa, ledwie na miejscu siedząc.—A powiedzcie jeszcze..., czy też, w Wiecznym Mieście będąc, nawiedzaliście ten kościół, w którym Papież zazwyczaj nabożeństwo sprawuje?

— A jakże. Raz tam jeno kanonik nieboszczyk mnie zaprowadził i to wtedy właśnie, kiedy sam Ojciec Święty Mszę miał. Uroczystość była wielka, ludu ćma, ledwie tchnąć mógł człowiek... Papież w majestacie wystąpił, łuna od niego biła. Świętym mi się wydał śród blasków złota i świec jarzących. U nas takiego blasku nie obaczyć...

Świdwa czoło z potu obtarł, serce mu waliło w piersiach, by młot, w głowie zamęt się czynił.

— Wszystko się zgadza! Wszystko! — szepnął do siebie, a w głos zapytał:

— Powiedzcie mi jeszcze... wszak łąco wam będzie przypomnieć: w którym miejscu wówczas staliście i jakie mieliście szatki? Na Boga! powiedzcie najdokładniej...

— Co wam?—zapytała wdowa, widząc, że drży i na twarzy się mieni.

— Nic! nic! Odpowiedzcie naprzód! Błagam was, jak o życie..

Ramionami wzruszyła Belinowa, ale żądaniu uczyniła zadość. Świdwa zaś opowieści wysłuchawszy, wielkim głosem zakrzyknął:

— Boże miłosierny, w Trójcy Świętej Jedyny! Rozum mnie odbiega...

I twarz w dłoniach ukrywszy, głowę na piersi zwiesił.

Belinowa ze wzrastającą ciekawością na niego poglądała, żadną miarą odgadnąć nie mogąc, co to zachowanie się znaczy.

— Albo naprawdę, jak powiadają, ćwieki ma we łbie obruszone, albo może chmiel takie z nim dziwy wyprawia...—rozważała w duchu.—Chociaż, kiedy mu się dobrze przyglądam, kiedy go słucham, ani na jedno ani na drugie zgodzić się niesposób. Zagadka jakaś się w tem kryje...

Widząc, że Świdwa wciąż z twarzą w dłoniach ukrytą siedzi, zwróciła się do niego:

— Rycerzu, co wam? Złe do was przystąpiło, czy też już taką osobliwą cierpicie chorobę, że cuda wytwarzacie? Trwożę się niezartem... Zakrzyknęliście, jak gdyby na was góra nieszczęść spadła, a przecież nic zdrożnego wam nie powiedziałam, jeno coście sami chcieli. Oeknijcie się i niech się dowiem, czemuście się tak natarczywie pytali, czy w Mieście Wiecznem byłam i czemu opowieść moja w takie was usposobienie wprowadziła? No, słucham...

Świdwa wstrząsnął się, niby ze snu głębokiego rozbudzony, głowę podniósł, dłonie załamał i milcząc w lica urodziwej niewiasty patrzył, a twarz jego była

bardzo blada i na podziw smutna, jakby istotnie cios w samo otrzymał serce. Wdowę teraz niepokój zdjął prawdziwy; odsunęła się od zachowującego się zagadkowo gościa i rzekła:

— Jeżeli dłużej macie być takim niepojętym, to lepiej, że sobie skądęście przyszli pójdziecie. Może zapadacie w obłąd haniebny, podczas którego na ludzi się rzucacie, nie wiedząc o tem sam? U Elbicha byliście inszym i cale z was brak rozumu nie przezierał, a tu naraz taka zmiana... Tedy, Świdwo, żegnaj was i na przyszłość nie zapraszam. A szkoda. Z pierwszego pozoru inaczey o was wróżyłam. Jak to niczemu, nawet oczom własnym, wiary dać nie lża...

Wstawszy, ruch uczyniła, jakby odejść zamierzając, co widząc Świdwa wstał również i ozwał się, gestem ją zatrzymując:

— Udzielcie mi jeszcze trocha czasu, skoro go już tyle od was uzyskałem... Dowiedcie się o wszystkim... wyznam się wam... co mam ukrywać, potem — rozstaniemy się na wieczne niewidzenie, chyba, że się przekonam...

Ręką machnął i dodał krótko:

— Jeszcze trocha czasu, pani nadobna...

— Zgoda, bom ciekawa i słucham wyznania — rzekła.

— Nie domyślacie się niczego? Nie wam nie mówi... serce?—zagadnął Świdwa.

— Serce? — nowym podziwem ogarnięta, powtórzyła wdowa. — Co między nami do czynienia ma serce? Zali i wy, jako insi, bałamutne słowa mi zamierzacie prawić?



Śmiech ją porwał i prowadziła dalej, w wesołość wpadłszy:

— Serce? Miałożby wasze na mój widok zaga-  
dać? Tożby coś było... No! sama nie wiem, jak na-  
zwać... Ha! ha! Ale skądżeby! Wasze, Świdwo, ser-  
ce, oplątane, uwięzione do grobowej deski i hen! na  
całą pozagrobowość. Wszem i każdemu z osobna o tem  
wiadomo, komu wiedzieć należy i nie należy... Mylę  
się zresztą: wam właśnie idzie, by cały świat wiedział  
o miłowaniu waszem, w przeciwnym razie po cośby-  
ście je ujawniali za pomocą łuski złotej na oku... Wy  
nazywacie ono dobrowolne przyślepienie „ślubem ry-  
cerskim“ — w mojem zaś przekonaniu uważam je za  
chęć wyróżnienia się, za jakowąś pyszałkowatość.  
Szczerość sobie wzajem zapowiedzielim, jestem, wi-  
dzicie, szczerą może do zbytku...

— Tak, jesteście szczerą... bo nie taicie się ze  
szpetną przywarą złośliwości. A kłasicie... do krwi!  
Szarpać umiecie za wnętrza—szepnął rycerz żałośnie.

— Gorycz prawdy wymówkę wam z ust zerwała  
—podechwyciła Belinowa.—Rzekłam już, jako pokorno-  
ścią i cierpliwością się pochwalić nie mogę, tym ra-  
zem jednak nie swarliwość i przekorność przeze mnie  
mówiły, lecz... wzgląd na dobro wasze, życzliwość dla  
was. Cóżby powiedziano o waszej słowności rycer-  
skiej, o waszej przesławnej stałości, gdyby do uszu lu-  
dzi doszło, że tak łatwo serce wasze podbiłam... Pal-  
camiby was wytykano, języki ludzkie nie dałyby wam  
spokoju. Widzicie, jakam dla was przychylna: dbam  
o cześć waszą i dlatego serca się waszego zrzekam,  
a wy również nie troskajcie się o moje. Tak naj-  
lepiej będzie.

Umilkła i sądząc, że nad wszelkie spodziewanie szybko, bez najmniejszego zachodu, przez spojrzenie ledwie, tryumf nad rzekomo niewzruszonych uczuć mężem odniosła, patrzyła w tej chwili na niego z lekceważeniem i szyderstwem, czego wszakże rycerz, zajęty inną myślą, nie postrzegł. Dotąd Świdwa był, w jej mniemaniu, jakoby uskrzydłym, stanowił niepochwytny owoc zakazany; lecz gdy z zapytania jego, którego nie wyrozumiała należycie, przypuszczenie całkiem niewczesne wyciągała, że się nie wznosi nad innych, że jest w gruncie pospolitym, żądz, będących chlebem powszednim każdego człowieka, pełnym: zmałał, skarłał, stracił w jej oczach ponętę, żałowała onych przygotowań i zachodów, jakie na karb jego czyniła. A spodziewała się, że jej się one opłacą sowicie — że będzie musiała wiele trudności przelamać, zanim uosobienie cnoty męskiej skruszy, coby ją przecież wśród nużającej powszedniości nielada rozerwało. Zawód mniemany złością niemal ją napełnił i już czekała tylko, aby rzekomo upokorzony nawet bez walki przeciwnik progi jej opuścił.

Świdwa milczenia czas niejaki nie przerywał, wreszcie podjął z goryczą:

— Szczerą jesteś, nader szczerą, niewiasto nadobna... Należało mi się ciebie nie o serce, ale o chuć zapytać, inszabym wtedy może odpowiedź dostał. O serce? Ty go nie masz!

— Co to znów znaczy Świdwo?—przerwała groźnie.—Jak śmiecie do mnie takim przemawiać tonem?

— Nie masz serca! — powtórzył, unosząc się, rycerz. — Gdybyś je miała, gdyby w twem ciele kształtnem i wabnem drgała choć iskra uczucia: powiedzia-

łoby ci ono... że miłowanie przez usta moje zapytuje, miłowanie w czystości poczęte i w równej niepokalaności pielęgnowane lat tyle...

Wypowiedziawszy te słowa, rycerz tchnął całą pierś i kołpak porwawszy, do drzwi kroczył, atoli tym razem Belinowa sama mu je zastąpiła.

To, co usłyszała, wstrząsnęło ją do szpiku kości — trwogą i jakoby omdleniem słodkiem napełniło: takiego uczucia może doznawałyby kwiaty, gdyby czucie posiadały, pod wrażeniem pierwszych muśnień blasków wiosennego słońca.

— Puście mnie! — zawołał Świdwa, niezwykłym u niego, cierpkim tonem. — Duszę się tu... żal mnie spali... puście!

Belinowa zaś, zmieszana, na twarzy zmieniona, od drzwi nie odchodząc, rzekła głosem drżącym:

— Nie, Świdwo... Rzekliście takie wyrazy, które albowiem źle zrozumiała, albo wstyd wam przynoszą, jako fałsz. Powtórzcie je! Powtórzcie raz, drugi, dziesiąty, a jeżeli one prawdą są... Świdwo! czy daremnie tego żądam? Daremnie proszę?

Świdwa ochłonął z uniesienia i jakby litością zdjęty, jakby przeczuwając, że w duszy tej kobiety coś dziwnie się przetwarza, rzekł, do pieściwego tonu wróciwszy:

— Co wam po tem? Dowiedziałem się, czego chciałem i znalazłem zgubę, ale nie w takim stanie, w jakim się należeć spodziewałem... Zaiste! lepiejby mi szukać jej i tęsknić za nią było do powiek zawarcia, bez nadziei żadnej skutku, niż tak okrutnej rzeczywistości się dotknąć. Ach! kwiaty marzeń moich wicher mroźny owionął i uschły w mignieniu oka! Ach!

sny złote przysły i nigdy nie wróca... Ostańcie z Bogiem, nie zlorzeczę wam, byłbym niesprawiedliwym. Zdało mi się, że tam, w świątyni Miasta Wiecznego, spojrzenia nasze, chociaż raz jeno się zwały, to przecież przy onem zwarciu, połączyły się na wieczne czasy i serca nasze; że wreszcie kiedyś, przy pierwszym spotkaniu, chociażby nie wiem jaka moc czasu upłynęła, poznają się te serca nasze, zadrgają uroczem tętnem i związek utworzą już nierozzerwalny, bo go już w rzymskiej świątyni przecuciem zadzierzgnęły i jedno drugiemu wiernie dotrwało... Tak mi się zdało, tak roilem — i oto cały gmach świetnych nadziei chwila w gruzy przemieniła. A takich ruin odbudować nie sposób...

Łzę otarł i przemilczawszy, podjął:

— Ostańcie z Bogiem! Pójdźmy każde w swoją drogę: wam, pani Belinowo nadobna, nie zbraknie uciech do zgonu,—mnie łez i żalu do zgonu nie zbraknie...

— Świdwo! ja uszom wierzyć nie mogę— rzekła Belinowa, za ręce go chwytając. — Powtórzcie jeszcze, powtórzcie wyraźnie: oną pięknoscia, któraście od spojrzenia umiłowali, dla której ślub uczyniliście, byłam ja?

Świdwa ręce z jej dłoni uwolnił i odparł prawie szeptem:

— Wy, Belinowo, wy, to wątpliwości nijakiej nie ulega. Wszystko świadczy za tem, wszelkie szczegóły spotkania naszego, nikomu, prócz mnie, jak się przekonywam, nieznane, bo przecież gdybyście wy mnie wówczas zauważyli, cośby się w pamięci waszej ostać musiało...

— Tyle czasu... lat tyle...—szepnęła, jakby się tłumacząc.

Świdwa zaś podchwycił śpiesznie, tonem rzewnej wymówki:

— Ja jednak po latach tylu dorazu was poznałem, skorom jeno u Elbicha okiem na oblicze wasze rzucił... Ale łąco zrozumieć dlaczego: serceście moje od spojrzenia ujarzmili i myśl tak, że wciąż przy was pozostawały, jako wierne niewolniki.

— Jako wierne niewolniki... — powtórzyła w zadumę wpadając wdowa, przyczem w głosie jej czuć było trocha wzruszenia.

— A zdało mi się, że wy, Belinowo, też mnie postrzeżliście—zalił się rycerz;—zdało mi się, że spojrzenia nasze skrzyżowały się wzajem, że na jagodach waszych wykwitł rumieniec, do maków polnych podobny... Urojenie to snąć było, bo gdybym się nie omylił, znaczyłoby, iż w was również poruszyła się struna serdeczna i dźwiękiem zabrzmiała tkliwym...

— Może to być, że i ja na was, Świdwo, pojrzałam—ozwała się wdowa powoli. — Trudno w pamięci zachować wszystkich, na których oczy patrzam...

— Zapomina się o wszystkim, co obojętne, jam atoli mniemał, że przeznaczenie nas do onej rzymskiej świątyni sprowadziło, żeby serca nasze ku sobie wzajem zwrócić. Okazuje się, że to mniemanie z zarozumiałości pochodziło: jam tylko ranę serdeczną poniósł, niezagojoną po dziś dzień...

— Zagoi się ona łąco teraz, gdyście poznali, kto jestem... — rzekła wdowa, pilnie patrząc w oblicze rycerza, jak gdyby myśli jego przeniknąć usiłując.—Zagoi się, bo rozumienie o mnie najgorsze mając, serca mi ofiarować nie możecie. Niewiasta płochliwa, wietrzniaczka, o której dziwy niestworzone prawią, która ga-

chów łowi i zabawia się nimi, jednych dla drugich porzucając, nie warta miłowania szczerego, nie warta serca takiego, jak wy macie, rycerzu... Prawda?

— Mówicie to bez rumieńca? bez oczu spuszczenia? śmiało? a nawet z urąganiem?—dłonie załamując, przerwał Świdwa. — Jakże srodze się na rojeniach moich zawiodłem!

— Osądziliście mnie i na potępienie skazali bez bliższego poznania, bez świadectwa... Tak się nie godzi, Świdwo; tak postępować może lekkoduch jaki, płytko w rozumie mający, ale nie mąż waszej miary, kóren zna świat i życie...

— Gdyby zawiść was oskarżała, Belinowo, łącno to można byłoby wymiarkować; zawiść staje w odosobnieniu, pobudzi kilka, kilkanaście ust: o was, niestety! wszyscy, gdzie jeno się zwrócić, jedno powtarzają. W takim ogólnem oskarżeniu prawda musi tkwić...

Oczy wdowy znów gniewem zapłonęły, podjęła szorstko:

— Na tem się opieracie? Wszyscy jedno powtarzają... Ha! ha! Zali z doświadczenia nie wiecie, że ludzie często, niby stado baranów, dość, by jeden beknął, wszystkie za nim się drą... Niech tam! Sądźcie o mnie, jako wam się żywnie podoba; uniewinniać się, bronić, usprawiedliwiać przed wami, ani przed nikim—nie będę. Nadto sama siebie cenię. Kamienują mnie wszyscy, wasz kamień śmierci nie sprowadzi, ani mnie zmieni. Jak byłam, ostanę płochą, za gachami, za miłośkami i zabawą goniącą. Życie od tego, iżby go używać, nie pleśnieć. Z Beliną nakwasiłam się dość, po same uszy...

— Zastanówcie się!—przemówił Świdwa—czyliż

nie czujecie, że z godnością niewieścią duszę tracicie? Chociaż odrobinę poczucia winniście mieć...

— Poczucia czego?—zapytała z szyderstwem.

— Wstydu...—odparł cicho Świdwa.—Przed chwilą rzekliście, iż cenicie siebie, a przeczą temu słowa wasze...

— W ten sposób rozprawiając, do ładu nie trafim, Świdwo... Na waszem miejscu będąc, jeżeli istotnie was obchodziłam, bądź też obchodzę jeszcze, starałabym się wymiarkować, ile prawdy jest w ludzkich sądach; zali są sprawiedliwe, czy też wprost szczekaniem sfory bezmózgiej. Tak Świdwo! Wy tymczasem gadanie o mnie za dobrą monetę bierzecie... Jużście mnie raz dotkliwie urazili, dając Grzymale odprawę pełną dla mnie obelżywości, i niedość wam było tego: przyszliście, aby mi to w oczy powtórzyć... Chociażbym w samej rzeczy najgorszą z najgorszych była, nie powinniście byli tak postąpić... Kto wam dał prawo? W moim własnym domu i bez powodu...

— Warowaliśmy wzajem szczerłość—przypomniał Świdwa.

— Wszystko ma granicę i miarę, a wy, przyznajcie, miaręście przebrali...

— Żal niech mnie tłumaczy, zawód, który mną wstrząsnął i myśli pomącił. Zresztą, jużby mnie tu nie było, gdybyście sami, Belinowo, drogi nie zagrozdzi. Wybaczcie wszystko i to nawet, że was tyli czas miłował i wzdychał, acz do nieznanomej. Bądźcie szczęśliwi... po swojemu. Człek inak myśli, a co innego mu los gotuje. Dotychczas bolało mnie niezapokojone miłowanie, dziś odchodzę z sercem całkiem

rozdartem. Zapomnijcie o wszystkim, co między nami zaszło, ja również starać się będę przeboleć i zapomnieć...

— Miłowanie prawdziwe wydrzeć się z piersi nie da — zauważyła wdowa nieco łagodniej i niby z przestroga — skoro się człowieka uczepli, do trumny z nim zstępuje. Tak ja rozumiem...

— Tak powiadają, a jeśli jest nieinaczej, temci gorzej dla mnie. Ostańcie z Bogiem! Już więcej się wam nie narzucę...

— Mniemam, Świdwo, że źle czynicie tak pochoinnie znajomość, ledwie zadzierzgnięta, targając... — ozwała się wdowa. — Zazwyczaj skwapliwości, zbytniej ludzie żałują i dziwno mi, że ja wam o tem przypominać muszę..

— Belinowo nadobna — odparł ze szczerem przekonaniem rycerz — widzę, żeśmy każde z inszej grędy, a nie będąc przeznaczonymi wzajem dla siebie, nie trzynam trzymać się blisko. Co mam ukrywać? Przeczuję, iż gdybyśmy trwalszą zawarli znajomość, jabym w was nie obudził miłowania, jakiego pożądam, o jakim roję, sam zaś mógłbym zgorzeć do szczeru, rozpłomieniając zarzewie od tyłu lat w sercu przechowywane... Z dwojga wybierając złego, wolę od was trzymać się z daleka.

— I tu nieopatrzny się okazujecie — rzekła Belinowa, z pewną niecierpliwością. — Jakże bowiem tak z góry mówić można, że serce moje do miłowania niezdolne... A gdybym też wam wyznała: że do nikogo ono jeszcze nie zagadało? że nie trafiło na takie, któreby wzajemności warowało?

— Snadno temu uwierzyłbym i dodałbym jeszcze:



nie wierzę, żeby kiedykolwiek rozgorzeć mogło tkliwością prawdziwą, która, jak rzekliście, do trumny z człowiekiem wstępuje...

— Albow to różna od wszystkich niewiast? — podchwyciła z urazą. — Odmawiacie mi wszelkich uczuć? Za jaką wreszcie mnie poczytujecie?

— Za taką, która zdolną jest z serca do serca zazierać i niby motyl z kielichów kwiatnych, nektary słodkie z nich wysysać; lecz nie jest zdolną do przywiązania się, do stałości.

— Takie słowa niewieście może rzucić jeno... szaleniec! — wybuchła gniewnie. — Trudno was słuchać, Świdwo!

— Dlatego odchodzę. Bywajcie zdrową — na zawsze...

Odszedł już nie wstrzymywany, a Belinowa wrzała gniewem przez czas pewien, lecz wkrótce ochłonęła ze wzburzenia, bo insze ją ogarnęły uczucia. Myśli jej się mąciły, w rozproszenie popadły, usiłowała je zebrać i dokoła jednego wątku ułożyć... W pierwszej chwili, po odejściu Świdwy, zdało jej się, że pragnęła zemsty, ukarania zuchwałego rycerza, któren z taką otwartością w oczy jej gorzkie rzucił słowa, nazywając ją bez ogródek płochą wietrznicą, ze wstydem się nie rachującą.

— Tego mu darować nie mogę! — mówiła do siebie. — Jak wprzód ułożyłam, zwabię go jeszcze do siebie i do tego doprowadzę, że czołem przede mną bić będzie; rozplamię w nim tkliwość, która, jak powiada, żarzy się w jego sercu tyli czas, w pożar ją gwałtowny przemienie, a gdy wszelkie opamiętanie straci, precz mu iść każe... Trudności z tem nie będzie, bo

przecież sam się przyznał, jako do mnie czuje, co czuł. Tedy chociaż dziś odszedł, rzekomo pożegnawszy się na niewidzenie wieczne, zjawi się na skinienie. Rozjątrzona rana serdeczna spokoju mu nie da. Tak—złamię go, a sama się ostoję niezłomną, bo przecież nie dla niego nie czułam, ani czuję. Wojną z nami, ryce-rzu enotliwy, wojna nieprześlągana!

Ale wnet zaniechała pogroźek, czując, że wbrew przekonaniu mówi. Insze rojenia snuć się po jej głowie zaczęły, jakie tam jeszcze nie powstały nigdy.

Bo prawdę mówiła, iż jej serce dotychczas nie zagadało, że nie znalazło sobie miłego i wzajemnego, chociaż szukało. Wyzwoliwszy się z pod jarzma zgrzybiałego męża i rodziny, pragnąc okazać tym, co ją krępować chcieli — niezależność swoją, pędziła życie w płochości, nie wiedząc, iż istnieją obowiązki, które wypełnić na tym świecie trzeba. Biesiady wesole i gwarne zagłuszały w niej one uczucia niewieście, które właśnie do tych obowiązków skłaniają. Kiedy niekiedy doznawała przesyty i wówczas widziała dokoła siebie pustkę, a nie znajdując od nikogo rady zdrowej, wskazania, jak pustkę ową zapełnić, znów się w wir życia wietrznego rzucała. Wkońcu zwątpiła, a przynajmniej starała sama siebie przekonać, iż najlepiej jest wysać wszelkie życie miody, póki lata sprzyjają i tak też postępowała... Bywało, że odzywało się do niej sumienie głosem przestrogi, lecz za każdym razem odtrącała ją, jako przywidzenie nierozsądne, którego słuchać nie potem. Świdwa miał wywołać w jej życiu przewrót. Wyparskawszy oburzenie na jego szczerość, zaczęła rozważać o jego dla niej wierności.

— Tyli czas miłował raz widzianą—tak dumiała—

a powiada, że poznawszy mnie teraz, srogięgo zawodu doznał. Boleć będzie, dręczyć się, lecz do mnie się nie zwróci... Dlaczego? Miłowanie powinno rozgrzeszać ludzi wzajem, jeśli błędy jakowe mają... Zresztą — czym ja taka już nazbyt grzeszna, że jeno się ode mnie odwracać? A Grzymała? A Łuba? A tyli innych? Ciągną do mnie, niby pszczoły do ula, i nie im.. Ziemia się pod ich stopami nie rozpada. Każdy życie snuje wedle woli, ja też, i za to mam potępion być? Słuszności w tem odrobiny nie najdzie, kto sprawiedliwie na rzeczy patrzy. Cudak jest Świdwa ze swojemi skrupułami enotliwemi...

Cudak, ale ciekawy — prowadziła dalej rozmyślanie — coś w nim osobliwego jest. Miłował tyli czas... Nie pojęte, jak można w oka mignieniu rozplonąć, ale powiadają ludzie, że to się zdarza. Zresztą ślub uczynił, wszystkim wiadomo, że dochowa go święcie, a jeszcze w słowach jego prawda brzmi. Nie kłamie tedy, gdy zaś tak jest, rana serdeczna bez mego balsamu nie zabliźni mu się. Czemu odszedł? Czemu rzekł, iż nie dla mnie on, anim ja dla niego? że drogi nasze różne? Dlaczego nie chciał lepiej mnie poznać? Możeby i ja co do niego uczuła, możeby mi wystarczyło za wszystkich i za wszystko... Kto wie, czyby się tak nie stało? Kto wie?

Porwała się z miejsca i dziko rozśmiała.

— Wzgardzona! Odepchnięta! Zdeptana!... Za co? za co? Ludzie krew na sumieniu noszą, jednak chodzą po świecie, inisi się od nich nie odwracają, a ja przecież tak ciężkich grzechów nie popełniłam... Inszym wolno w uciechach się kapać, czemu ja mam być z tego prawa wyzuta?

Piers jej falowała szybko, tętna w skroniach biły, oczy i lica płonęły, była wzburzona, jak nigdy.

— Co mi się stało?—zapytywała sama siebie...— Zgniewał mnie ów cudaczny rycerz, ale znowu trza rozumu nie mieć, żeby to tak do serca brać. Poszedł? To i dobrze. Co z oczu — to z myśli; do rana o nim zapomnę...

Na wszelkie sposoby starała się uspokoić, lecz nie mogła. Świdwa wciąż stał przed oczyma jej wyobraźni, z bladym, smętnym licem, wciąż słyszała jego rzucone, pieściwym głosem wypowiedziane zwierzenia. W nocy z łoża się kilkakrotnie porывała, bo sen oczu jej nie kleił.

— A! uroczył mnie chyba ten rycerz enotliwy... —skarżyła się bezsilna wobec napastującej ją mary.— Nie dziwota... Po świecie jeździł, więc sposoby urocliwe zna... Zgin! Przepadnij!

W takim wzburzeniu noc przepędziła—to odgrzając się i zlorzecząc Świdwie, to uniewinniając go, a siebie obwiniając; postanawiała, że go na oczy oglądać nie będzie, to pragnęła, iżby przyszedł i trwale się z nią pojednał. Serce jej tym razem przemówiło, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy jeszcze.

Świdwa w nielepszym czuł się usposobieniu, po rozstaniu się z Belinową. Dotychczas wierzył uparcie, że los mu pozwoli odnaleźć tę, którą w przelocie spostrzegłszy upodobał i której wierność ślubował, lecz również był pewnym, że ją znajdzie godną miłowania: czystą, niepokalaną, nieskażoną, jako kwiat lilii białej. Zawód wstrząsnął nim okrutnie, zatargał sercem tembardziej, że wdzięki Belinowej i teraz wielkie na nim wywarły wrażenie. Gdyby ją był odnalazł, jak myślał--wol-

ną i bez skazy, upadłby przed nią na kolana i wymodlił jej serce wraz z ręką. Od takiej, jaką zastał, musiał się odwrócić, chociaż z żalem.

— Między pogany mi iść i w walce z nimi zgiąć—rozpaczał w samotności—co mi po życiu? Coś mi gada, że pociechy nie zaznam, że nieszczęsnego miłowania z piersi się nie pozbędę. Nie lża mi zresztą o pociesze myśleć, bom ślubowałem pojąć tę, albo żadną i do żadnej innej z sercem się nie zwrócić. Wszystkiem mnie los obdarzył, jeno zaprzął tego, czego najbiedniejszym nie odmawia...

Zbigniew z Oporowa i Sulima, ponieważ już ich dawniej prosił, iżby go w spokoju zostawili, zastosowali się do tego żądania, przewidując, że ważne ma ku temu przyczyny; napomykał im Kur coś o Belinowej, lecz poczytali to za zwykłą jego krotochwilę. Wesolek atoli ciekawości swej powstrzymać nie mogąc, jął przy nich biednego Świdwę napierać:

— Wężu, kochanie serdeczne—tak począł, miny, jak zazwyczaj, strojąc—po co się sam milczeniem trujesz, a nas, drużby twoje, szczerze niebożęta, na udęczenia skazujesz? Wyplwaj, co ci na wątrobę siadło, ulży ci wnet, jak gdybyś babę z woza zepchnął. Obaczysz. Co my winni, mizerne charłaki przed Panem Bogiem, że nas tak trwożysz, chodząc niby po opiciu się szalejem? Wiedzą ludzie, wiedzą, co w lesie huka... Bądź z kim innym cichapekiem, ale nie z nami.

— Zaniechaj! — przestrzegął go Sulima, ale błazen się wziął:

— A nie! Nie zaniecham... Chciał on ze mnie niedawno duszę wytrząść, ja z niego tajemnicę wytrząsnę. Chociaż taka to tajemnica, o której czajki wrzesz-

czą. Belinowa mu do łba zajechała i sam nie wie, co robić: do biskupa Zbyszka iść o rozwiązanie ślubu prosić, czy się bez tego obejść? Już się z Belinową nad tem naradzali, ale snąc koślawo narady poszły, bo kwaśniejszy stamtąd wrócił, niż poszedł. A może biskup Zbyszko do rozwiązania takiego ślubu nie jest mocen? A może na to Rzymu trzeba, ty zaś pieniędzy na kosztą nie masz? A może zresztą (bo to ślub pono nie kościelny, jeno rycerski) i Rzymu na to za mało? A może cię, rycerzu miły, wdowa grochowiną poczęstowała, bo to jurna niewiasta? Nie wstydz się, powiedz, jak jest...

— Rajfurem Belinowej ostałeś, że ją co słowo wspominasz!—ofuknął go znów Sulima.

— Aby ty się, Sulimo, do królewskich przywilejów nie pchaj: jeno królowi samemu wolno dworzan swoich z urzędów strącać, bądź też wyższemi ich obdarzać, tobie zasię. Ty możesz Tatarzynami rządzić, jak ci się żywnie podoba, bo ten naród pogański osobliwie ci do smaku przypadł (pewnie dlatego, że cię trwałem pamiętnem obdarzyli); od błazna królewskiego trzymaj się z daleka. Co się zaś tyczy Świdwy, nie trza rajfura, aby mu Belinowę zalecał, on sam do niej trafił. Zapytajcie, a mniemam, że w oczy mi fałszu nie zada...

Świdwa nie rozgniewał się, tylko dłonią machnął i rzekł niechętnie:

— Brzęczysz, niby truteń, blaźnię i równie, jak od trutnia, pożytku od ciebie się nie spodziewać.

Zwrócił się potem do przyjaciół, dodając:

— Wie on, że dzwonią, jeno nie miarkuje w którym kościele. Nie mam się z czem chwalić, ale też

nie widzę potrzeby tajemnicy z tego czynić... U Belinowej w rzeczy samej byłem.

— A co! A co! — zawołał tryumfująco Kur. — Przy kim wierzeh? W mojem pianiu zawdy sens się najdzie... Oho! ze mnie *kur* nie lada jaki.

Sulima i Zbigniew patrzyli na przyjaciela nie bez zdziwienia, on zaś, westchnąwszy, rzekł:

— Byłem tedy u Belinowej, a przedtem ją widziałem u meystra Elbicha, dokąd mnie sama podstępnie zwabiła...

— Taki z niego ponętny dla podwik, że go, niby czyże, bądź gile, w sidła podstępem wabią... — wtrącił Kur.

— Wszelako domyślicie się pewnie — ciągnął Świdwa, nie zważając na przycinki wesółka — że jeśli tam poszedłem, ważne musiałem mieć powody...

— Chyba — mruknął Sulima — przecież lekkoduchem nie jesteś...

— Bydłęta czworonożne lenieją, a węże skórę zmieniają... — zauważył Kur — a zważcież, z kim do czynienia macie...

— Otóż, już u meystra Elbicha, gdzie się w Krakowie raz pierwszy z Belinową spotkał — mówił Świdwa — wydała mi się ona znaną... Chciałem, *musiałem* się przekonać, zali mnie oczy i pamięć nie zwodzą. Udałem się przeto do niej i, na moje nieszczęście, przekonałem się, że nie zblądził.

Wytrzymał nieco, po chwili z trudnością szepnął:

— Belinowa jest ona, którą mi los, jako karę za grzechy, Bóg świadkiem niepopelnione, na drodze postawił, która mi od pojrzania serce wzięła i spokój, a z którą, mimo, że wolną jest, połączyć się żadną

miarą, z przyczyn dobrze chyba przez was rozumianych... nie mogę.

Zasepiły się czoła Sulimy i Jeliteczyka, Kur nawet się zachmurzył i czas pewien nikt milczenia nie przerywał. Odważył się na to pierwszy Sulima:

— Srodze cię, druhu nasz, niebo doświadcza — rzekł—ale skąd pewność, iżes nie zblądził? Zważ: raz jeno ją widziałeś i to niedługo, słowaś z nią wówczas nie zamienił, od tej chwili upłynęło lat sporo, to wszystko omami łącno... Przytem podobieństwa się zdarzają, może tedy i tu przywidzenie za rzeczywistość bierzesz...

— Sprawiedliwa uwaga!—podchwycił Zbigniew. —Nadzwyczajnego zbiegu zdarzeń trzeba, żebyś, Wężu, tu, w Krakowie, a na dobitek w osobie takiej Belinowej, ową najrzaną i poszukiwaną znalazł.

Świdwa głową przecząco wstrząsnął i z westchnieniem odparł:

— Nie! nie! To nie oman, nie przywidzenie, nie domysł, jeno najczystsza prawda. Wymiarkowałem jak nie można lepiej, wybadałem gruntownie.

— Skądże się ona aż w Rzymie znalazła? Jaki wiatr oną utrapienicę aż tam zaniósł i oczom twoim narzucił? — dopytywał Sulima. — Niewiasty nasze nie rade z domu wyruszają, a jeszcze w tak odległą podróż...

— Ze stryjecznym tam jeździła, kanonikiem płockim—na to Świdwa.

— A może przez podstęp, z umysłu do tego się przyznaje, iżby cię mocą onego podstępu oplatać i dla siebie zjednać?—wciąż wątpił Sulima.—Taka, jak Belinowa, z godziwością sposobów się nie liczy, byle na



swojem postawić. Szczwana jest, liszka w przebiegłości jej nie dorówna...

— Juścić—ozwał się Kur —rozumu u niej nie brak, chociaż włos ma długi. To również sobie w pamięci zapisz, rycerzu - kochanie, że koń dla owsa, pies dla chleba, ptak dla mięsa, a niewiasta dla dogodzenia zachcianki — siła się nauczą radzi. Wie o tem wdowa nadto, że konia ostrogami, sługę datkiem, chłopą groźbą, a miękkie serce słowem, zręcznie rzuconem, najrychlej się do czułości przywiedzie; ty zaś, rycerzu-kochanie, wiedzieć masz (skoroś się tego w obcych nie nauczył krajach), że konia nie doświadczywszy, potrawy nie skosztowawszy, a niewiasty, przekonania o niej nie nabrawszy, ani chwał, ani im dowierzaj...

Ale wątpliwości narzucane nie mogły oczywistości w umyśle Świdwy zachwiać: przekonania nabrał trwałego, niewzruszonego, więc dziękując za pocziwość dobrym družbom, że go pocieszyć usiłowali, tak im wreszcie odparł:

— Prózne wasze starania, nie wmówicie ani we mnie, ani w nikogo, kto ma rozum niezamacony, iż we dnie księżyc z gwiazdami przyświeca, a w nocy słońce; iż kwiaty zimą kwitnienie rozpoczynają, a śnieg latem rolę zalega... Podobało się Panu Bogu serce moje smutkiem obarczyć i zakrwawiło się ono taką raną, która się do śmierci nie zablizni. Krzyż, z nieba zesłany, podźwignę i nieść go będę z pokorą, bom chrześcijanin, tedy mi na wolę Bożą ani wyrzekać, ani rozpaczy się poddawać godzi; czy jednak na długo sił mi do borykania się z nieszczęściem starczy... tego nie wiem! Czuję, że przygniotło mnie ono, gnębi i gnębić będzie...

— Mąż jesteś, rycerz!—przerwał Sulima.—Wprawdzie serce masz nazbyt tkliwe, ale przecież opatrzenie ci przyjdzie. Ludzie najbliższych tracą i żyją. Belinowa jeszcze blizką ci nie była, przez urojenie za taką ją uważasz i mam nadzieję, że z głowy ci ona wywietrzeje.

— Alboż to ona jedna na świecie?—dodał porywco Zbigniew z Oporowa.—Skoro Belinowa niegodna się serca i czei twojej okazała, ślub nieważny. Więc. Wężu nasz miły, złoty plastr z oka zedrzyj. pocznij na nowo szukać życia towarzyski, a z pewnością najdziesz...

Oburzył się Świdwa.

— Ja? Ja mam to uczynić?—zawołał z miejsca się porywając. —Przenigdy! Ślubowałem: ta, albo żadna; albo się z tą połączę, albo rozkoszy miłości nie zaznam, i dotrwam wierny ślubowaniu, chociażby mi się serce krajało... Powiem wam — dodał łagodniej, jak gdyby w marzenie zapadając — iż gdyby nie to, że wszyscy tak zgodnie Belinowę potępiają, tacy nawet, którzy uczynki ludzkie z największą pobłażliwością sądzą, nigdybym ją za płochą wietrznicę nie wziął. Zarówno u meystra Elbicha, jako też u niej w domu, nie naganego nie dostrzegłem, owszem wydała mi się stateczną. W domu samą ją zostałem, ni śladu onej wesołości szalonej, onych uczt, o których tyle rozpowiadają. Prawda, że oczyma pali, na skroś przeszywa; prawda, że podczas się unosi, w gniew wpada i o wolności każdemu przysługującej prawi: ale toć to jeszcze nie grzech. Już nawet przypuszczałem i wyznam, że myśli tej pozbyć się nie mogę, zali ludzie z muchy nie uczynili wołu? Ona sama kilkakroć, z goryczą nawet,

takie przypuszczenie podsuwała... Ale kto wie, czy to z jej strony nie zasadzka? Odważyłem się w oczy jej to powiedzieć...

— A ona?—pochwycił Zbigniew.

— Zgromiła mnie surowo...

— Okazuje się, rycerzu-kochanie, żeś powyżej uszu w tkliwość zabrnął i klepki ci się ze szczętem rozpadną, tak, iż ich żadną miarą nie ułożysz w ład należyty, jeżeli ku temu leku skutecznego nie poszukasz—ozwał się Kur tonem poważnym.— Prosty ja wesolek, ale tyli czas na ludzi i ich szaleństwa patrzę, że często lepiej niż ktokolwiek rzeczy dostrzegam. Tedy posłuchaj jeno, rycerzu-kochanie, jaką ci błazen radę da... Jeżeli już wiernym ślubowi (choć za cudactwo go uważam...) musisz trwać, to dwie pozostają ci drogi: jedź na skręcenie karku, gdzie w obce kraje, tam krwi sobie upuścić w potyczkach rycerskich daj, to ci może pomiarkowanie przyjdzie; albo — sam się przekonaj, zali wszystko prawda, co o Belinowej prawią, bo może bardzo być, że więcej w tem wymysłów ludzi, którzy zawdy do złośliwości ciągną. Tak, ciągną do złośliwości i błotem obrzucają, a z błota zawdy do spotwarzonego cośniecoś przylgnie...

— W obronie wdowy stajesz?—zagabnął Świdwa, bystro w oczy mu patrząc.

— Ani mi się to śniło!—ramionami wzruszył błazen.—Staję ja w obronie twojej, rycerzu-kochanie, radzę ci, jak umiem najlepiej, a nie uważaj, iż rada pochodzi od błazna, bo wszakci wesolków królowie słuchali i całe przednio na tem wychodzili...

— A jeżeli gadania ludzkie sprawiedliwe są?

— Jeżeli są sprawiedliwe i jeżeli (co najważniej-

szal) tak ci już głęboko do serca wdowa zajęchała, to staraj się, iżby ona również do ciebie przekonania nabrała. Skoro tak się stanie, skoro się rozmiłuje w tobie na dobre, będziesz miał małżonkę, że nie do życzenia. Bo widzisz, rycerzu-kochanie, tkliwość to jak gdyby płomień—oczyszcza, czego się dotknie. Błazen jestem, a wiem, że tak. Masz zatem, Świdwo, wóz i przewóz.

Głęboko się nad tem zamyślił Świdwa.

— Cóż wy na to?—zapytał przyjaciół.

— Sam stanów, tu o twoją skórę, ba! więcej... o cześć twoją chodzi—odparł Sulima. — Bywa, że ludziom pomiarkowanie przychodzi, lecz pamiętać trza, że czem skorupa nasiąknie, tem traci nawet w latach najpóźniejszych... Z niewiastami zaś tak się dzieje, iż która cześć lekceważyć zaczęła, to przy pierwszej sposobności znów się na nią targnie... Owo co jest. Za stanów się, rozważ. Rycerz jesteś, do domu, póki siły czuć będziesz, by grzyb nie przyrośniesz, a może się łącno stać, że taka, jak Belinowa, chociażby statku nabrała, to skoro cię przy sobie wciąż mieć nie będzie... znów ku płochościom się zwróci... Teraz, chociaż ci nie blizka, boli cię jednak srodze, że po językach chodzi; a coby było, gdyby jej srom w oczy rzucano, jako małżonce twojej...

Słuchał Świdwa przyjaciela i w duszy słuszność mu przyznawał, chociaż rada wesółka również do jego przekonania trafiła. Na razie wszakże postanowienia powziąć nie mógł; zbyt nagle był zaskoczony przygodą, zbyt wiele do niej wagi przywiązywał. Utyskiwał jeno nad sobą, załamując ręce i powtarzając:

— Nieszczęsnym ja! I że też na mnie, bezwinnego, musiało taka klęska spaść...

A Kur, przypatrując mu się z pod oka, już go nie drażnił, natomiast mruczał do siebie markotny:

— Albo się wścieknie na szczęt, albo się z wdową pokumają; ni za to, ni za owo orta złamanego nie dałbym. Szkoda go, bo całe godny, takich ludzi na targu nie należąć.

---

V.

Nadszedł wreszcie termin dawno zapowiedzianego zjazdu w Piotrkowie, przedtem jednak król, z dworem i panami, udać się musiał do Poznania, na pogrzeb biskupa tamtejszego, Stanisława Ciołka, który zmarł, przesiedziawszy na stolicy lat dziesięć. Nie był to mus, prawdę mówiąc, lecz ponieważ biskup Zbigniew z Oleśnicy osobiście chciał się przekonać, zali prawdą jest, iż kacerstwo husyckie czyni w Poznańskim znaczne postępy, a to z poduszczenia Spytka Melsztyńskiego i Abrama ze Zbąszyna, którzy nawet duchownych husyckich z Czech sprowadzali, przytułek im oraz wszelkie sposoby ku krzewieniu odszczepieństwa dając, przeto okazyę pochwyił pogrzebu zmarłego biskupa, nią bowiem osłonięty, mógł się swobodniej stanowi rzeczy przypatrzeć i osądzić, jakie środki przeciw złemu zarządzić należy. Jakoż przekonał się, że stan był groźniejszy, niż o nim z wieści mu dostarczonych mniemanie powziął. Abram we Zbąszynie kuźnię szatań-

ską założył, tam duchownych kacerskich utrzymywał, stamtąd zaraza odszczepieństwa po kraju się rozchodziła. Klątwa, którą zmarły biskup obciążył Abrama i wszystkich, naukę odszczepieńczą szerzących, nie nie podziałała; Zbąski drwił z niej jawnie, rozgłaszał, że jeżeli prałaci i kanonicy poznańscy w spokoju go nie zostawia, on z nimi koniec uczyni.

— Mam po temu sposoby, bo za mną silni stoją ludzie—tak mówił.—Jeno dłonią skinę, a wnet z całej kapituły znaku nie ostanie. Niech cicho siedzą, pókim dobry. Biskup? Co mi biskup! Pozwalam mu rządzić w Poznaniu, niech on się też do moich w Zbąszynie rządów nie wtrąca. W Zbąszynie ja biskupem i dość na tem. Rzymskie anatemy tyle mnie obchodzą, co wiatr wiejący. Śmiech doprawdy bierze, iżby kto komu wiarę gwałtem nakazywał. Tak wierzę, jak uważam, że lepiej. Komu wola, niech sobie rzymskiego papieża wyznawa: ja w Jana z Husyńca wierzę, dla mnie on wiary prawdziwej kapłanem najwyższym. A jeżeli mnie do żywego rozjątrzą—nie strzymam i bodaj katedrę poznańską na zbór obrócić!

Bluźnił człek zaślepiony bezecnie, kary Bożej się nie bojąc, ufał bowiem, że ze Spytkiem Melsztyńskim, Straszem z Kościelnik i Dzierżkiem Rytwiańskim, a także z pomocą Czech—na świat bodaj cały porwać się może.

Chodziły wieści (niesprawdzone przez nikogo wszelako...), że królowa-wdowa onych szerzycieli kacerstwa opieką osłaniała, a to dlatego, iżby oni, w danym razie, pomagali jej marzoną koronę czeską dla królewicza Kaźmirza osiągnąć. Trocha to było do prawdy podobne: królowa mogła rachować, że tym spo-

sobem stronnictwo husyckie w Czechach dla sprawy swojej zjedna.

Biskup Zbyszko, rozejrzawszy się w poznańskich sprawach kacerskich, zakarbował je sobie w pamięci, postanowił się z niemi niezwłocznie po sejmie piotrkowskim uporać. Tymczasem, chociaż srodze bolał nad poniewierką wiary katolickiej, musiał się powstrzymać. Krępował go zbieg okoliczności, nagromadzenie rzeczy niezmiernej wagi, które trza było przy zgodzie i spokoju powszechnym załatwić. Rozpoczynając z kacerzami, mógł wzniecić groźny dla kraju pożar, a z niego nie omieszkaliby skorzystać wrogowie, którzy ze wszystkich stron na Polskę, niby dzikie bestye na zdobycz, dybali. Gryzł tedy biskup świętobliwy w sobie niecierpliwość i frasunek, a wzdychając do Boga, powtarzał w duchu:

— Wszakci kres niedaleki...

Sejm w Piotrkowie przypadł w uroczystość Poczęcia N. Maryi Panny. Od roku 1347, kiedy Kaźmirz Wielki obradował w tym grodzie z panami wielkopolskimi (wtedy uchwalono prawa, Wielkopolskę obowiązujące, które następnie, w tym samym roku, wraz ze statutem małopolskim, zatwierdzone i za powszechnie obowiązujące ogłoszone zostały)—od tego zatem paniętnego lata, nie było tak walnego zjazdu w Piotrkowie.

Zbudowano gród ów za czasów niepamiętnych, wśród borów nieprzejranych i puszczy, na wyżynie, stanowiącej niejako węzeł wodny, z którego rozchodziły się wody w kierunkach Pilicy, Neru i Warzy. Że leżał pośrodku — między Małopolską i ziemią łęczycką, to mu znaczenie polityczne dawało. Grodzisko z książęcym zamkiem myśliwskim dotykało je-

ziora, noszącego miano Bugaj, przy nich tuliła się osada, całe ludna. W kniejach okolicznych zwierza wszelakiego włóczyło się wbród, wody były rybne, a także gęsto siedziały na nich bobry, do których wszakże jeno Cystersi, z klasztoru w Sulejowie, mieli prawo. Zamek myśliwski jeszcze przed Łokciem był wzniesiony, ale z drzewa; nowy, murowany, wybudował Kazimierz Wielki, któren miasto też murem opasał i kościół w mieście wymurował piękny, na miejsce drewnianego. Z biegiem czasu, dokoła Piotrkowa zjawily się klasztory bogate, w Sulejowie i Witowie, dwory biskupie, w Wolborzu i Pabianicach, a to, jak również obfitość zwierza, ryb i gruntów urodzajność, było przyczyną, że ludzie się tu chętnie garnęli i osiedlali.

Zjazd, rzekło się wyżej, wypadł na podziw licznie; wszyscy biskupi, książęta i co znaczniejsi panowie ściami. Stał też Melsztyński z czeredą swoich stronników, a skoro jeno go spostrzeżono, nikt nie wątpił, że się bez warcholstwa nie obejdzie. Jakoż, gdy po nabożeństwie uroczystem, zebrali się dostojni uczestnicy obrad, a wśród nich, na tronie złocistym, przybrany we wszystkie oznaki władzy monarchicznej, zasiadł Władysław. rozległy się szmery złowrogie, podobne do fal burzę zapowiadających porykiwania. Arcybiskup gnieźnieński, Wincenty Kot z Dębna, nie zważając na to, rozpoczął przemowę wezwaniem wszystkich do jedności i myśli dobrej:

— Pamiętnie, na wsze wieki, zapisze się ten dzień, bracia mili—były jego słowa—pamiętnie i radośnie, bowiem dziś rządy samoistnie ma objąć ten król i pan nasz miłościwy, któregośmy już namaścili, któremuśmy już wierność na Ewangelii 3-tej zaprzysięgli.



Rozpoczyna pan królowanie od dopełnienia zobowiązania: od potwierdzenia wszelkich swobód i przywilejów; temci większa powinność nasza, iżbyśmy z naszej strony w przysiędze dotrwali... Jeżeli w czyjem sercu nurtują złe myśli, jeżeli na czyje sumienie szatan, wróg zbawienia ludzkiego, obieże zastawia, niechaj się z pokusy otrząśnie, niech ją krzyżem świętym odżegna i skruczą oczyszczony, niech się szczerze ze spółbraćmi raduje.

Szmer się wzmógł, Melsztyński, którego miodem sobie podlał czuprynę, stanął na ławie i w boki się ujmując, zawołał szydérczo:

— Dziwne, zaiste, czasy teraz! Bywało, że gdy o tak ważnych sprawach stanowić miano, wprzód rozpatrzono dobrze, czy się przez to krzywda komu nie dzieje... Teraz zasiadacie do gotowego i każecie narodowi pożywać to, co się kuchtom dworskim uwarzyć podobało. A jeżeli warza ona nie wszystkim do smaku? Jeżeli ją przyprawiono jeno dla utuczenia ogarów królewskich?

— Swobody i przywileje! — zaśmiał się Strasz, obok Melsztyńskiego stając. — Toż i rządzący dotychczas opiekunowie króla mieli je święcie chować, a okazuje się, że o tych jeno baczyli, które się z ich korzyścią zgadzały...

— Bezprawiem jest takie prawo, które dozwala na poniewierkę rodów godnych! — wrzasnął z kolei Dzierżko z Rytwian.— Jarzmem są przywileje i swobody, dogadzające jeno pochlebcom królewskim!

— Zdrajca ten, kto sforze dworskiej pozwala sadłem obrastać, ze szkodą mężów zasłużonych! — wykrzyknął ktoś inny.

Lecz były to głosy odosobnione, wrażenia pożądanego nie wywarły, przeciwnie, oburzyły wszystkich okrutnie. Wnet też z ław ściągnięto warcholów i zmuszono do milczenia. Dokazano tego bez wielkiej trudności z tej przyczyny, że Melsztyńskiemu krew do głowy, ze złości snąć, uderzyła, aż zsiniał na twarzy, oczy w ślup postawił, żyły mu na skroniach, by postronki, wystąpiły i upadł bez przytomności. To spłoszyło zauszników, co żywiej wynieśli niedającego znaku życia przywódcę do gospody, gdzie go, acz z wielką trudnością, odratowano, krwi utoczywszy i lodem całego okładając.

Trwało to dość długo, przez ten czas obrady co najważniejsze przeszły zupełnie spokojnie, z rzadką jednomyślnością. Więc naprzód uznano Władysława za pełnoletniego, uznano też i stwierdzono jego władzę monarszą, dozorców zaś i opiekunów usunięto. Natomiast Władysław wszelkie swobody i przywileje potwierdził, chronić je i bronić zaprzysiągł, poczem hymn dziękczynny odśpiewano i ucztą zakończono ten pierwszy dzień obrad.

Dni następnych wiele spraw poważnych załatwiono. Między innemi stanęła uchwała, żeby odłączyć monetę prawdziwą od fałszywej, gwoli czego w każdym mieście urzędników wyznaczono. Miało być tak, że gdy już odłączenie dokonaniem zostanie, moneta fałszywa precz wyrzuconą całkiem będzie, jeno dobrej, prawdziwej będą wszyscy używali. Wielce zbawienną była ta uchwała, ale cóż, kiedy się jeno na słowach skończyła. Wprawdzie pałacy, panowie i szlachta w ziemiach krakowskiej i ruskiej ją zachowywali, ale

w Wielkopolsce i Mazowszu, jak dawniej, fałszywa w obiegu pozostała.

Z kolei przyszła na stół sprawa korony czeskiej. Papież Eugeniusz i sobór Bazylejski usilnie nalegali na króla, przez poselstwa i listy, żeby z Albertem skutek pokojowy uczynił i bądź osobiście, bądź przez upelnomocnionych z swojej strony posłów, zjazd we Wrocławiu zwołał, dla trwałego pokoju ułożenia. Byli na zjeździe w Piotrkowie także panowie czescy, stronniemy Kaźmirza. Z tymi, gdy sprawę korony czeskiej rozpatrzono, przekonano się ku wielkiemu strapieniu królowej-wdowy, iż na wielce kruchych podstawach jest oparta. Postanowiono tedy nowy zjazd, we Wrocławiu zwołać, na który ze strony króla Władysława mieli przybyć: arcybiskup gnieźnieński Wincenty, kasztelan krakowski Jan z Czyżowa, wojewoda krakowski Jan z Tęczyna, łęczycki Wojciech de Male i biskup krakowski Zbigniew. Ten ostatni, zdania swego nie zmieniając, i teraz, w Piotrkowie, głośno zabiega królowej-wdowy potępiał, nie pożytek, lecz szkodę dla ojczyzny w nich widząc.

— Już teraz—mówił—odszczepieństwo z Czech do nas płynie, a gdy się kraj ten pod berło brata królewskiego dostanie, tem śmieiej zalewać nas będzie, my zaś wówczas ręce będziemy mieli związane, bo występując przeciwko kacerzom i gromiąc ich, narażalibyśmy majestat królewicza Kaźmirza, ile, że stronictwo kacerskie w Czechach cale jest silne. Jako pasterz, jako doradca korony, jako dobry syn ojczyzny, tej macierzy naszej najmilszej, nie mogę pochwalać tego, co w sercu i sumieniu mojem za zgubne uważam.

Kłopot na nas z tej korony spadnie, brzemie ciężkie i grzech. Nikt nade mnie nie pragnie goręcej potęgi i chwały dla ojczyzstego kraju i narodu, ale pragnienia takie żywiąc, muszę w przyszłość patrzeć i, by na szali, ważyć krok każdy. Za przyczyną idzie skutek, za winą—pokuta. Zali przeważą głosy innych... z musu ustąpię, lecz przy swoim ostanę. Z korony czeskiej nie dobrego spodziewać się nie można.

Mądrze wywodził biskup, królowa słów na zaprzeczenie nie znajduwała, ale z myśli nie mogła pożądanego światnego losu dla syna, jak mniemała, usunąć. Bez wiedzy biskupa, mistrza Grzegorza z Sanoka słowem zobowiązała, by sprawy czeskiej pilnował, z panami czeskimi się porozumiewał i zgoła wszystko czynił, co Kaźmirza do owej korony zbliżyć mogło. W ciężkiem nalazł się położeniu mistrz Grzegorz: królowej odmówić, ani jej zdradzać, nie mógł, a czuł, że słusność po stronie biskupa leży. Pośredniczył tedy między królową a stronnictwem czeskiem, nieprzyjaznem Albertowi, jednak przezorność posiadając niezwykłą, tak postępował, iż żaden krok stanowczy z jego nie wyszedł strony. Czynił, co królowa życzyła, słowem porady się nie odzywał—biernym był wykonawcą jej woli. Biskup Zbigniew nadto miał wzrok bystry, iżby nie postrzedz tajemnych zabiegów królowej i tego, że mistrz Grzegorz jej powierniczy, dufał atoli w jego rozum, był pewnym, że nietylko do przedsięwzięcia dla kraju niebezpiecznego w skutkach ręki nie przyłoży, ale w danym razie królowę od czegoś podobnego wstrzyma. Kilkakrotnie nawet mu o tem napomknął, a chociaż mistrz Grzegorz z niczem mu się nie zwierzył, lecz z jego słów, rzekomo mimochodem rzuconych, zrozumiał bi-

skup, iż może być o niego spokojnym. Rzekł zatem dnia któregoś:

— Królowa coraz bardziej się niepokoi, baczenie, iżby na fałszywą nie weszła drogę. Ufność jej macie, obowiązek na barkach waszych spoczywa wielki.

— Słuchać jeno mogę i czynić, co każe—szepnął mistrz Grzegorz wymijająco.—Daleki jestem od prowadzenia spraw tego rodzaju na własną rękę, obce mi są...

— Nie badam was, nie żądam zwierzeń. Ja również ufność w was pokładam. Królowę blaski majestatu olśniewają i ślepią, a zwodnicze są, fałszywe. Ostrożność wam zalecam największą, sumienia i serca się radźcie...

Odratowany Melsztyński szybko do sił przyszedł, a wciąż w Piotrkowie siedział, śledząc przebieg zjazdu. Wściekłość go porywała, gdy widział, że wszystko po myśli królewskiej się układa, wbrew jego knowaniom i zabiegom. Pod koniec zjazdu, zausznikom polecił, aby rozpuścili wieść, iż owo jego zasłabnięcie podczas obrad wywołane było trucizną, przez biskupa Zbyszka dłonią przekupioną podsuniętą. Potwarz istotnie niejaki uczyniła wrażenie, na szczęście, wcześniej uszu biskupa doszła, mógł więc jej skutecznie uroczystem zaprzeczeniem zapobiedz. Mało sobie z niej robił, jednak oburzyła go, umyślił tedy, czy się nie uda zgodnym sposobem szalejącego możnowładcę ułagodzić. Na dzień przed odjazdem, udał się do jego gospody, poufnej rozmowy żądając. Niezmiernie się zdziwił Spytek, ale przed gościem drzwi nie zamknął. Przyjął go niby księżę udzielny, nie wstając z poręczowego krzesła i już w progu zobaczywszy, szyderczo wołać począł:

— Co za gość! Co za łaska! Oczom ledwo wierzę... Sprawileś mi niespodziankę, biskupie wielebny, ale i sam niespodzianki doznasz, bo pewnie spodziewałeś się na marach mnie naleźć, a tu jam żyw, zdrów, nie mi złego ów jad podstępem zadany nie uczynił. Twardą mam naturę, biskupie wielebny: trza nielada siły, żeby mnie powalić... Anom od zdradzieckiego podstępu ocalał i powiadam tobie, że krzywd swoich dochodzić nie zaniecham.

Usiadł biskup naprzeciw szydercy, wzrok spokojny na niego podniósł.

— Spytku—ozwał się — pokrewności węzły nas łączą, przychodzę z tobą, jako krwią zbliżony, w dobrem porozumieniu chwilę spędzić, zali na to pozwolisz?

Melsztyński śmiać się począł urągliwie.

— O pozwolenie pytasz, ty, biskupie wielebny? Nie drwij z biedaka! Wszakżeś ty pan całej krainy polskiej, tronem trzęsiesz, korony gołowąsom wkładasz, wszystko przed tobą na kolanach... Nie drwij tedy, nie znęcaj się nad jakimś tam Melsztyńskim, którego z dworu królewskiego gorzej psa wygnano i z godności wyzuto... Co ci zresztą mam powiadać? Twoja to sprawa, biskupie wielebny, twoja ręka w tem była. Ba! któż jak nie ty, klątwą mnie obłożył? Jeno że mi ta twoja klątwa żyć nie przeszkadza. Niejeden ja z klątwą waszą chodzę, ani jej czując. Co klątwa? Puste słowo! Nie rani ono, nie zabija, spać ni pożywać nie przeszkadza. Był czas, że się tego waszego stracha lękano, ale przekonano się, że niema czego. Dzieci taka broń zatrwożyć może, albo baby,

nie męża, który zęby na świecie zjadł i z różnych pieców chleba próbował...

Biskup nie przerywał potoku słów niesfornych, lecz i oczu z mówiącego nie spuszczał. Ozwał się wreszcie, urazy nie okazując:

— Powtarzam, że jako krewny twój przychodzę, Spytku, wysłuchaj, co rzeknę, mozem czas dobry obrał, godzinę szczęśliwą; może słowa moje do serca ci wpadną i tlejące tam a grzeszne zarzewia zgaszą. W siebie wejdź, bracie, wspomnij i rozważ, coś rodowi twe-mu, coś ojczyźnie winien... Czemu niewdzięcznym jej synem się okazujesz? Dlaczego o to zabiegasz, by pamięcią twoją pomiatano, jako pamięcią zdrajcy?

Melsztyńskiemu ręce zadygotały, burzył się, drażniła go mowa pasterza i wzrok jego przenikliwy, który mu sumienie bódl, lecz pycha nakazywała mu nie ujawniać, że go słuszne zarzuty obchodzą. Rozparł się tedy na siedzeniu i na dobroduszną się siłą, odparł:

— Prawda! Nie zaprzam, jakośmy krewniacy! Prawda, bratanka moja, Hedwiga Księżka, tak rozum straciła, że za twego synowca poszła... Pewnie mi dla tego przypominasz o tem, biskupie wielebny, że nie dość gościnnie cię przyjmuję... Moja wina! Zaraz to naprawię.

W dłonie klasnął, wołając:

— Hola! Małmazyów dla biskupa! Miodu co najprzedniejszego! Wbród przynieście wszystkiego, żeby jego wielebności było słodko! Żywiej!

A zwracając się do pasterza, dodał:

— Widzisz, wielebny mój, że niczego dla ciebie nie żałuję... Jedz! pij! Stażwie ci poustawiać każe, żebyś się mógł nasycić do pęknięcia, bądź też utopić,

jeśli masz wolę po temu. Ale tyś na życie łakomy... Wiem to. Dobrze ci się dzieje: papież kardynałem myśli cię uczynić, kto wie, czy na Piotrową Stolicę powołany nie zostaniesz... Ptak z ciebie do wysokiego lotu! Jenó, zda się, nie pomieniałbyś bodaj twego miejsca na tyarę. Co ci brak? Królem jesteś, Władysław panuje i panować będzie jeno z imienia... Ano—jedz i pij, biskupie wielebny. Jeszcze Melsztyńskiego stać na ugoszczenie, chociażście go wiele korzyści pozbadli.

Wskazał na stół, który służba obficie zastawiła, lecz biskup, nie zważając na urągania, znów się ozwał tonem spokojnym:

— Pozbądź się złych myśli, Spytku, pozbądź zemsty, którą płoniesz niesłusznie... Po bratersku do ciebie mówię: wejdź w siebie. Człecz, czego chcesz od świata, ludzi, od Boga wreszcie? Nie zaprzeczam, żeś się królowi nieboszczykowi zasłużył...

— A! i to łaska... — podchwycił zgryźliwie Spytek.

— Nie przeczę, żeś winien stać wysoko—ciągnął biskup, jakby nie usłyszawszy—godności dzierżyć, w radzie koronnej głos mieć, ale zważ, że jeżeli tak nie jest, sameś temu winien... Wiary odbiegłeś, kacerstwo szerzysz, przeciwko królowi wicherzysz: ma-li cię król za to wynagradzać i łaskami obsypywać? Oto powiadam tobie: wszystko odzyszczesz, jeno się upamiętaj, od grzechu odwróć, pokajaj, przed Kościołem i królem upokórz... Pomyśl o zbawieniu dusznem! Pomyśl, ile ojczyzna przez głów obalamucenie cierpi... Spytku — próżne-li będą słowa moje? Zamarło-li serce twoje dla prawdy, dla słuszności, dla obowiązków?



Ręce do Melsztyńskiego obie wyciągnął biskup, lecz Spytek gwałtownie się zachnął, wołając ze śmiechem:

— Ja się mam kajać? Ja upokarzać? Może mi jeszcze każesz głowę popiołem posypać, zgrzebną koszulę przywdziać, powrozem ją w biodrach przepasać i pod drzwi onego gołowaśa iść, którego królem wam się nazywać podobało... Powiadasz, biskupie, żem Boga odbiegł? Nie. Ja was jeno, sługi Boga niegodne, odbiegłem, was, co o sobie myślicie! Powiadasz, że wicherzę, kraj do zguby popycham? Nie — ja jeno pragnę, iżby nie obey, lecz swoi tu rządziłi, iżby sprawiedliwość była. Zali Piastowiczów nie mamy? Oni są prawowitymi spadkobiercami tronu...

— A ty się do ich grona w dumie zaślepionej zaliczasz, nieprawda? — przerwał biskup badawczo. — Wszak przeniknałem myśli twoje, Spytku, przyznaj się? Szatan pychy cię opętał, dajesz mu się powodować i sięgasz po to, czegoś niegodzien, czego nigdy nie pozyskasz! Szaleńcze! odpędź grzech, wejrzyj w siebie... Potępienie wieczne na tamtym świecie sobie gotujesz, a na tym — srom!

— Grozisz mi? Ty mi śmiesz grozić, biskupie? — podchwycił Melsztyński, brwi ściągając i już gwałtowności nie miarkując. — Bacz! że i ja grozić umiem... Bacz, że od groźby mojej głowy spadają!

— Głos sumienia chcesz zagłuszyć w ten sposób mówiąc — surowo przestrzegł biskup. — Ja ci nie grożę, lecz przemawiam, jako krwią z tobą związany, jako kapłan. Dla dobra twego tu przyszedłem, dla dobra twego powtarzam: nawróć się. Pychą nie nie wskó-

rasz. Pycha aniołów do zguby doprowadziła, również i ty zginiesz, jeżeli jej się nie wyrzekniesz...

— To zginę, ale głowy przed tobą, klecho, nie skłonię!—wybuchnął Melsztyński. — Zejdź mi z oczu! Nie poduszczaj, bo krew we mnie kipi! Męczennika świętego z ciebie zrobić nie chcę, ale też o pojednaniu z nami mowy być nie może. Kraj z rąk obcych chcę wyrwać! Przywilejów i swobód bronić, które wy, Jagiellonów pochlebcy, krępujecie i ograniczacie.. Gdzie jeno spojrzeć, Tęczyńscy i Ossolińscy się rozsiadają, albo z nimi spowinowaceni, wszyscy insi usunięci od łask, wyzuci z dostojęństw, odtrąceni, jakoby trąd na skórze nosili. Naród pozwolić nie może, iżby się bezprawia takie działy!

— Naród nie wyrzeka, Spytku, jeno pycha twoja się buntuje; mówiąc o narodzie, masz na myśli siebie—rzekł biskup z miejsca się podnosząc. — Ale za prawdę, powiadam tobie, smutnie skończysz, jeżeli się nie opamiętasz, jeżeli kowań nie przestaniesz! Kościół u ciebie nijakiej powagi niema; władza królewska niczem... Ano — przekonasz się, że najdzie się i na ciebie wędzidło... Wielka jest cierpliwość Boża, wielką dobroć królewska: wszystko atoli ma swoją granicę...

— Prawdęś rzekł: wszystko ma granicę i panowanie Jagiellonów nawet, i rządy ich doradców, biskupie...

— Z niczem mnie odprawiasz, Spytku? Nie przednam zawziętości twojej?—próbował Oleśnicki.

— Wszak odchodzisz z głową całą na karku, niech ci tego będzie dość... Jeżeli chcesz, iżbym z tobą o pojednaniu gadał, to z innej pocznij beczki, to m

o kajaniach się i pokorze nie praw! Jam pokrzywdzony, ja się uskarżać mam prawo! Wy mi dobre okazcie chęci, a wtedy—obaczymy.

— Zatwardziały z ciebie, ale wtóry raz to usłysz, że i na takich rada się najdzie—rzekł biskup sucho.

— Jaka? — zapytał uśmiechem zjadliwym usta wykrzywiając Melsztyński.

— Ugiąć się przed słuszną koniecznością nie chcesz, tedy ulegniesz złamany! — odparł biskup surowo.—Ostatnie to moje słowo, Spytku, przyjmij je, jako wyrok niewzruszony; zali nie zaprzestaniesz przeciwko Kościołowi i majestatowi królewskiemu z oporem stawać, karę na siebie ściągniesz!

— Niedoczekanie wasze!—zarychotał Melsztyński złowrogo, a twarz mu pałała gniewem i ledwie się w miejscu mógł utrzymać.—Jeszcze się nie urodził płatnerz, któren miecz na pokaranie moje ma wykować. Zaczniście jeno ze mną, najdziecie mnie gotowego... A może i czekać nie dam na siebie... Ty mi, biskupie, karą grozisz, a ja tobie powiadam: strzeżcie się, z ogniem igracie! Czujecie wy, coście krętymi drogami idąc, sprawiedliwe przywileje zasłużonych depcąc, od władzy ich odsuwając, sami władzę zagarnęli, że ten przez was sponiewierany, znieawidzony Melsztyński coś waży, że mimo wszelkich starań waszych, znaczenie zachował, że najdą się tacy, którzy na jego głos staną ramieniem do ramienia i bodaj w piekło pójda, gdy zechce... O! bo gdybyście tego nie czuli, z pewnością jużbyście się dawno postarali ze świata mnie zgładzić; gdybyście nie czuli, ty, biskupie wielbny, nie próbowałbyś ze mną porozumienia zawiązać...

— Ślepy jesteś, Spytku, jeżeli dojrzeć nie mo-

żesz, że tu o twoje dobro więcej, niż o cobądź innego idzie—zauważył biskup.

— Przedziwne miłosierdzie! Wtedy was przeniknęło, gdy innej drogi nie znachodzicie...—znów się zaśmiał Melsztyński.—Nie, wielebny, jam nie ślepy, mnie rozum nie odbiegł, wam to raczej przebiegłości zbrakło. O koronę czeską się staracie i co się okazuje: że nic z zabiegów, jeżeli ja wam pomocy nie dam... Tedy pojednania próbujecie. Ano, może do tego przyjść, lecz nie w ten sposób, jak ty, biskupie, powiadasz. Ja przebaczenia prosić, winnym się uznać? Przenigdy, powtarzam! Wam należy winę względem mnie uznać, wam, a tobie pierwszemu, biskupie wielebny, bo wyście na manowce zbłądzili, gdy ja zawdy na prawej jestem drodze. Uczynicie to, a wtedy... pogadamy!

— Widzę, żeś skamieniały w grzechu—przerwał biskup—trwaj zatem w nim i końca patrz. Nazwałeś się słusznie ogniem. Jesteś ogniem, co cię samego strawi. Jeśli możesz—upamiętaj się. To słowo moje ostatnie...

Mocno wzburzony powrócił biskup do zamku, gdzie z bratem swoim, Janem Głowaczem i zaufan szymi panami do późnej nocy rozważał, co ostatecznie z Melsztyńskim uczynić. Głowacz tego był zdania, iżby go przed sąd koronny wezwać, publicznie mu bezprawia wytknąć i, na nic się nie oglądając — ukarać jeżeli nie głowy zdjęciem, to przynajmniej zamknięciem w dożywotniem więzieniu.

— Taki duch w nim siedzi — tłumaczył tę radę swoją marszałek królewski—że póki ręce wolne będzie miał, póty kraj spokoju nie zazna. Nawet nie wierzyłbym mu, gdyby się pod przysięgą knowań swoich

zarzekł. Dziś przysięgnie, a jutro swoje pocznie. Taka w nim natura buntownicza.

Insi powiadali, żeby Spytka z granic kraju wyświecić — lecz biskup raczej się do braterskiej rady przychyłał. Mówił:

— Ani myśleć o wygnaniu można, znaczyłoby to zarzewie oliwą podsycać. Melsztyński w obcych krajach niebezpieczniejszym stałby się, niż gdy między nami siedzi. Tu przynajmniej na oku go mamy... Bóg serca mego świadectwem, że bez nijakiej złości ku niemu powiadam: mus z nim skończyć. Nie o niego chodzi, lecz o kraj.

Jakoż nad radą Głowacza postanowiono się jeszcze zastanowić, lecz już ją niemal za jedyną uznano. Gdyby nie zjazd we Wrocławiu, zajęłoby się Spytkiem niezwłocznie, lecz sprawa z Czechami, wymagała pilnego załatwienia.

Melsztyński, czy przez opłacanych szpiegów, czy też przez którego z życzliwych mu tajemnie panów, co na dwóch ramionach płaszcz nosząc, z pozorów przy królu i biskupie się trzymali, dość, że się o tych naradach i postanowieniu dowiedział. Strachu wcale nie uczuł, bo nadto był zuchwały i w swoją gwiazdę szczęśliwą wierzył.

— Słyszeliście nowinę?—ozwał się do Zbąskiego, Strasza i Rytwiańskiego—on król w infule wojnę nam postanowił wypowiedzieć... Przed sąd mają mnie pozwać koronny. Co wy na to?

— Zali to nowina?—ramionami wzruszył Zbąski. —Wojna trwa oddawna, a mniemam, że lepiej się stanie, jeżeli do rozstrzygającego starcia przyjdzie. Prawdę rzekłszy: my do stracenia nie mamy nic — on

wszystko. Tu, w kraju, mamy czem się zastawić, no, Czesi nam pomogą niewątpliwie. Na Krzyżaki można też rachować: czekają jeno sposobności, żeby się na Jagiellonach pomścić...

— Niech poczynają, my gotowi!—wołał Strasz.— Raz niech się wyklarują rzeczy.

— Wedle mego rozumienia — dodał Dzierżko— nie czekać na początek z ich strony, a samym poczynać. Z Czechami się umówić, z mistrzem równie, i to nie mieszkając; zaś potem, bez najmniejszego zwlekania, póki mają łby Wrocławiem zaprzątnięte, z działaniem wystąpić. Wziąwszy ich z trzech stron dorazu, ani wątpić o skutku pomyślnym...

— Juści jasnem jest—dowodził Zbąski — że słabiznę swoją uczuwają, skoro tak twardy w karku, jak biskup Zbyszko, sam do poznania dał, jako im zgoda z nami pożądana. Chwałą się, że wszystko im się składa wedle myśli, ale to czeze są przechwałki. Kogo boli, ten najgłośniej krzyczy. Wie o tem byle dzieciuch...

— Zaczynać! zaczynać bez mieszkania!—domagał się Strasz.—Kuć żelazo, póki gorące...

— Uważam i ja, że tak najlepiej — potwierdził Melsztyński.—Myśmy niemal gotowi. Bodaj dziś, bodaj w tej chwili do onego robaczliwego stosu żagiew przyłożyć, niech się rozpali i spłonie. Dusi mnie ich pycha, przygniata; czas barki rozprostować i jawnie do porachunku stanąć... Sami zresztą wyzywają, sami chcą wojny—będą ją mieli!

— Sami miecz na gardła własne toczą! — rozśmiał się Strasz.

— To też gładko rzezać będzie... wtórował mu Dzierżko.

— Biskupa jeno, onego Zbyszka z Oleśnicy zdusić, a wszystko będzie dobrze!—wykrzyknął z zawziętością Melsztyński. — To gad! to jaszczurka! to zhora nasza i kraju! Z nim skończyć, jemu usta na wieki wieczne zawrzeć, jużci wszystko potem łącno osiągniemy!

— Na zgubę Oleśnickiego! — zawołał Strasz kubek podnosząc.

— Niech szczeźnie marnie on i wszyscy, którzy z nim trzymają!—powtórzył Dzierżko, zapalczywie pięścią o stół tłukąc.

Tak burząc się i biskupowi krakowskiemu odgrazając, długie strawili chwile, a z Piotrkowa wyjechali, uplanowawszy niezwłocznie z Czechami i mistrzem krzyżackim się porozumieć i o ich pomocy się upewnić, otwarcie wystąpić. Nie zdawali sobie sprawy dokładnie, dokąd dążą: usunięcie biskupa Oleśnickiego, oraz wszystkich jego sprzymierzeńców, na pierwszym było planie; mniemali, że gdy się to stanie, rzeczy się według ich pomyslenia ułożą. A hasłem była tych duchów zbłąkanych obrona rzekomo zagrożonych swobód, ochrona zachwianego bezpieczeństwa ojczyzny...

Z Rawitów jeno Łukasz na zjazd piotrkowski się stawił, stary Grot w Konarach pozostał, przy Jaszku znów na Smoczem uroczysku porąbanym. Nie były rany jego niebezpieczne, ani długotrwałe, ale doznana sromota, ale zawód w tem, co za najpewniejsze w świecie uważał, bódl go i spokoju nie dawał. Ojciec i dziad równie dotkliwie zawód uczuli, to też Skower siła się musiał od nich wyrzutów nasłuchać. Znosił je z pozoru bez brania do serca, ale w rzeczy samej jego samego również zawód haniebnie wzburzył, bo

zamiast go do Kundy Grotówny zbliżyć, bardziej go jeszcze oddalił. Skower jednak, czyli właściwie Artus z Sewy, byle czem się nie zrażał, a winę niepowodzenia całą na Jaszka zwał.

— Za gorąco do rzeczy się brałeś—gromił go.— Przestrzegałem, mówiłem, cóż z tego, kiedyś krewkości umiarkować nie potrafił. Nic to. Pierwsze koty za płoty. Mamy przed sobą czas: dziś się nie udało—uda jutro. Skorom ci przyrzekł, że ci do pozbycia się Jeliteczyka pomogę, jako też do zdobycia Halszki, to dotrzymam. Jeno się wyliź jak najprędzej. Najdzielniejszemu rumakowi noga się powinie, to przecież nie znaczy, iżby mety nie dobiegł...

— Co teraz zamysłasz? — dopytywał Jaszko.— Może nowe potykanie urządzić? Jeżeli to masz w głowie, z góry powiadam, że do smaku mi nie przypada... On przekłety Jeliteczyk szczęśliwą ma rękę... Inszy sposób wynajdź...

— Najdzie się, jeno bez gwałtowania — uspokojał go Skower. — Cóż cię tak pili? Zali świata skonczenie wisi nad nami? Bądź bez obawy... Jeszcze i Jeliteczyka dosiężesz i z Halszką się nacieszysz... Ja ci to mówię, wierzaj.

Ale Jaszka zapewnienia nie zadawałały, krzywił się, rzucał, burczał i wciąż zawód sromotny, na urczysku Smoczem doznany, Skowrowi w cierpkich słowach wytykał:

— Tyle będzie z onych nowych obietnic, ile rak ma smaku. Zda mi się, że prędzej skutek najdę, gdy się sam, po swojemu, do rzeczy wezmę. Kto zaręczy, że przez twoje mądrzenie znów wstydu się nie najem?



Skapa tam obrada, albo cale żadna, gdzie wiele przygotowań. Zawdy na to wychodzi.

— Jakżebyś się do rzeczy wziął? — spytał szyderczo Skower.

— Ano... chwilę upatrzywszy, Jelitczyka na lepszy świat wyprawię, a Halszkę to wprost z Ossolina uwiozę.

Skower rozśmiał się, Jaszko zaś podchwycił:

— Śmieję ty się dowoli, mniemaj, żeś wszystkie rozumy pozjadał, a ja ci pokażę, jako i w mojej głowie odrobina się oleju najdzie.

— Pokażesz albo nie pokażesz—zaprzeczył Skower. — Na Jelitczyka, tak ni stąd, ni zowąd, się nie porwiesz, bo król za nim stoi i siła on przyjacielstwa ma za sobą. Dziś się porwiesz, to jutro głowę dasz. A znów do Ossolina dostać się niełatwo. Gród co się zowie, chyba go walnym szturmem wziąć, na co się nie zdobędziesz... Oto przemóż się i na cierpliwość weź. Czekaleś tyli czas, poczekaj jeszcze...

— Będę czekał, aż mi Jelitczyk dziewczkę z przed nosa chwyci...

— Chociażby chwycił, możesz mu ją odjąć. Uważam przecież, że do tego nie przyjdzie. Powiadam—czekaj cierpliwie i dość.

Otuchy dodawał szpieg krzyżacki młodemu Rawicie, sam jednak jeszcze zgoła nie miarkował, w jaki sposób obietnicę zuchwałą spełni. Był atoli z niego człowiek ryzyka wielkiego i w szczęśliwą gwiazdę swoją ufający, więc sam w siebie też wmawiał, że mu się uda niepoczciwe pragnienie Jaszka zadowolić, a przez to swego celu dobiedz. Frank tę jego nadzieję podkopywał, wątpliwości mu podsuwając, i to prze-

cież Skowrowi dobrej nie odbierało myśli. Widząc wszakże, iż Jaszko coraz bardziej się niecierpliwi, postanowił go na czas jakiś czem zająć i tym sposobem samemu spokój zyskać do wymyślenia planu nowego zamachu. Sposobności szukał niedługo. Tedy, chociaż Jaszko już wstawał, bo mu się szwank przez Zbigniewa zadany jakoś na podziw szybko wygajał, powiedział mu wieczora pewnego:

— Uważam, Jaszku, że do zdrowia ci koniecznie trza Oзера sprowadzić. To nie, że ci się rany prawie zablizniły; bez Oзера jako się patrzy nie ozdrowiejesz...

Spojrzał na mówiącego z podziwem Rawita.

— Co ci po łbie chodzi?—zapytał. — Żydowina chcesz naprowadzić, żeby dom zapługawił i bodaj czarami nas opętał? Niedoczekanie! Chybaś na szczęt rozumu się wyzbył... Zali oczu nie masz, zali nie widzisz, że już prawie do siły swojej doszedł i nijakiego lekowania mi nie trza...

— Zdaje ci się. Ty powiadasz: nie trza, a ja miarkuję co inszego. Bez Oзера tu się nie obejdzie.

— Od rzeczy pleciesz, aż wstręt bierze słuchać... Jeżeliś sobie Żydowina upodobał, nikt ci nie broni jechać do niego i tam zamieszkać; ale sprowadzać taką mierzwę tu, pomiędzy nas, na to ani moja zgoda, ani dziad nie przystanie.

— Może i przystanie. Ba! — słowo rzeke, to i ty nietylko się zgodzisz, ale jeszcze pięknie prosić będziesz, iżbym go sprowadził...—krotochwilił Skower.

— Ano, chyba nie na trzeźwo gadasz!—mruknął Jaszko.

Skower zaś nachylił się ku niemu i szepnął:

— Jaszku, dobrze byłoby z Esterką się zabawić... co? Rzepa dziewczka! Istna łania! Zaprzeczysz?

Oczy wytrzeszczył na niego Rawita.

— Esterka? Juści... Ale co Esterka do sprowadzenia tu starego czarownika ma?

— Bardzo ma. Chcesz-li ją posiąć, trza rodzica jej tu, do Konar, ściągnąć. Sposobność się zdarza jak nie można lepsza...

— Nie rozumiem zgoła!— rzekł Jaszko, ramionami wzruszając.

— Jeno tyle zrozumiej, że jeżeli starego Oзера w swoje ręce dostaniem, Esterkę posiędziesz bez zachodu. Niedość na tem: okrom dziewczki, połowu niebylejakiego ci dostarczę. Nie namyślaj się, a zgódź.

— Zda mi się, że bałamuctwa prawisz...—wahał się Jaszko.—Czemu rzeczy nie pokażesz jasno?

— Przejrzysz całkiem jasno, skoro ci dziewczkę w ręce dam...

— Jam, dobrze wiesz, nie od tego. Sam ci powiadałem, jako mi się dziewczka, chociaż z plugawego ojca zrodzona, okrutnie udała. Jakże się do tego weźmiesz?

— Po swojemu. Cóż? Mam-li po Żydowina jechać?

Acz oskoma brała młodego Rawitę na wdzięki Estery, wszelako nie śmiał bez pozwolenia dziada i rodzica w tej sprawie stanowić. Ale Skower śnać z nimi wprzód już się rozmówił i śnać zdołał ich przekonać, bo obadwaj ani się skrzywili. Owszem, pomysł uznali za całkiem słuszny.

— Czemu się nie masz zabawić z dziewczką, skoro ci w oko wpadła? — mówił Grot jakoś wesoło. —

Nie z tego, że krew w niej żydowińska płynie. W razie najgorszym, ochrzcić ją można, do czego przecież klecha się najdzie, a tak oczyszczona, wstępu już budzić nie będzie... Jeszcze przed Bogiem zasługę pozyskasz, żeś duszę zatraconą nawrócił...

— Ale bo tego wszystkiego wymiarkować nie mogę...—na to Jaszko.—Po co starego Żydowina sprowadzać, kiedy jeno o dziewczkę idzie?

— Co się głowisz?—odparł Łukasz.—Skower tak uplanował, tedy chyba inaczej być nie może. Łebak z niego, wiesz. Z Jelitczykiem mu się nie udało, ano... niezawsze przecież się chybia. Sam ci się ofiaruje... to ani pytaj, tylko bierz.

— Tak radzicie?

— Każdy tak powie.

Dziwno było Jaszkowi, że rodzic i dziad nietylko się zamiarowi Skowra nie przeciwili, ale tak go ochotnie popierali; domyślił się, że nie musi to być bez powodu słusznego—więc też sam się zgodził na wszystko, co szpieg krzyżacki przedsięwziął, a myśl o pięknej Esterze istotnie od Halszki i od szukania pomsty na Zbigniewie w danym razie go odwróciła. Skower zaś, nie zwlekając, do Krakowa się udał, gdzie mu atoli ze starym Żydowinem nie poszło tak snadnie. Ozer bowiem z domu zawdy wyruszał niechętnie, a tym razem coś go tknęło, jakieś złe przeczucie powziął. Wymawiał się tedy i opierał, jak mógł.

— Że też dostojność wasza—tak się tłumaczył—na mnie raczył zwrócić oko... Tylu jest przecież innych, co się na lekach znają... Jam mocno leciwy, dobrze to widzicie, wiek mnie zmógł, w domu jeszcze jako tako zwijam się i dycham, ale w podróż się uda-

wać... to już nie na moje siły. Upraszam pokornie waszej dostojności, iżbyście mnie w spokoju ostawili. Balsamu gojącego dam wam chętnie i tak skutecznego, że się chory bez mojej obecności obejdzie, alejechać nie mogę.

— Musisz!—przerwał mu stanowczo Skower. — Nie próbuj wykrętów, bo od swego nie odstąpię. Rawitów znasz, z nimi żartów niema. Młody u nich oczkiem w głowie, troskają się o niego, jak o skarb, więc ci sownie za trudy i balsamy wynagrodzą. Co sam zechcesz z nich ściągniesz, mają czem płacić, a dla jedynaka nie poskapia...

— Zali w niebezpieczeństwie życia jest?—dopytywał podejrzliwie Ozer.

— Zdrow nie jest i tyle. Ja się na chorobach nie znam, tedy powiedzieć nie umiem, czy życie jego zagrożone, czy nie... Posiekli go w potykaniu, a z ran i śmierć bywa...

— Zwróćcie się, miłość wasza, do kogo inszego—jeszcze opierał się Ozer.—Tu, w Krakowie, pomiędzy księżmi wielu jest lekarzy doświadczonych... Z domu się wlec aż do Konar... jużci nie na mnie. Za stary jestem...

— Nie może to być, żebym się do kogo inszego zwracał, kiedy wyraźnie mi zapowiedzieli, że ciebie chcą. Weź na rozum, stary koźle, i oporu nie stawiaj. Chociażby cię przyszło związanego zawieźć — i na to się wazę. Ano, bez mitregi!

Żyd stanowczość Skowra widząc, przytem wabionny obietnicą sowitej zapłaty, dał się wreszcie namówić. Wszelako z wybieraniem szło mu niesporo: wszystko z rąk mu wypadalo, szaty przywdziewał na

opak, a nawet potknął się razy kilka tak, że omal nie upadł. Złą to było wróżbą, więc znów w prośby uderzył o zostawienie go w spokoju:

— Tak się jakoś składa, iżbym się z domu nie ruszał. Za łaskę wielką poczytuję, iż miłości wasze ufnością mnie obdarzają, ale kto wie, czy choremu poradzę. Niech miłość wasza sam uważa, jako mi się z przygotowaniem do drogi osobliwie nie wiedzie... Przytem niedobre mam przecucie. Może z młodym panem Rawitą jest już bardzo ostatnio, niech, czego Boże zachowaj, ducha po moim leku wyzionie — wina na mnie spadnie... Ja waszą dostojność mocno i uniżenie proszę, iżby kogo inszego wezwał. Szlachetne usta waszej dostojności przed chwilą rzekły, jako z panami Rawitami żartów niema... Nu, ja o tem wiem i wszyscy o tem wiedzą. U nich głowę człowiekowi zdjąć tyle znaczy, co inszemu miodu wypić, taka w nich krew burzliwa... Balsamów waszej miłości dam niezawodnych, tak skutecznych, że się beze mnie całkiem obejdzie. Miej wasza dostojność na stare lata wzgląd... Oto i jedynaczka, ukochanie moje, pociecha i osłoda steranego życia zachodu, bez należnej opieki ostanie... Zawdy nierad ją odjeżdżam, a dziś tak mi dziwno, jak gdybym jej już nigdy obaczyć nie miał... Nu, wasza miłość do pokornej prośby starego ojca się przychyli. Balsamy same wystarczą...

— Skower niewzruszonym się okazał.

— Chociażbyś mnie na wszystkie proroki żydowskiemu Zakonu zaklinał, nie posłucham—odparł. — Za nic najskuteczniejszy balsam, jeśli niema ręki, do umiejętnego zadania. Jechać musisz. A dziewczce nie się nie stanie. Nie dziecko, zresztą masz się kim wy-

ręczyć w opiekuństwie. Tuszę, że chorego do zdrowia chwackiego przywrócisz, bo wiadomo, iż szczęście masz w sztuce ozdrowiania, tedy spodziewaj się zapłaty hojnej a nie złego. Gdybyś na wezwanie się nie stawiał, a jeszcze gdyby się tak zdarzyło, że chory nie pozostałby przy życiu, Rawici gotowiby ciebie obwinić i pomsty szukać. I takby się niechybnie stało. Porzuć ociągania, w miechy się obwiń i w drogę.

Postępując i modlitwy szepeąc, wgramolił się Ozer na wóz, umyślnie dla niego przez Skowra przygotowany i ruszyli ku Konarom.

Drogę przebyli bez przygody, konie szły rączo, ale Ozer przecucia niedobrego pozbyć się nie mógł. Na zagadywania Skowra odpowiadał mrukliwie, twarz miał niezwykle posepną.

— Cóżes taki, poganinie?—krotochwilił Skower.— Namarszczyłeś się, jakbyś na stracenie dążył... W Konarach miłego przyjęcia doznasz, obaczysz.

— Nu... dlaczego miałbym doznać niemiłego? — mruknał Ozer.— Wlokę się na wezwanie, chociaż starym kościom raczej wczas przystoi w kącie zacisznym i ciepłym... Nu... zrobię, co będę mógł, ile mi umiejętności i doświadczenia starczą... Choćbym nie nie poradził, to i wtedy przykrości doznać nie powinienem. Mojesz cuda czynił, ale on świętym był mężem. Jam człek prosty. Wasza miłość hojną zapłatę mi poręczył i spodziewam się, że w żadnym razie mnie ona nie minie.

— Otrzymasz ją, cheiwcze, pewnym bądź—na to Skower wesoło, dziwnym jakimś głosem. — Z Rawitami żyć nie umierać, byleby im się nie przeciwieć. Daleko takich ludzi trza szukać!

Spojrzał na Skowra Żyd z pod oka i przytaknął nie bez zjadliwości:

— Aj! aj! Szczerą prawdę wasza miłość powiedział... Tacy, jak panowie Rawici, na kamieniach się nie rodzą... Nu... kto ich nie zna...

Gdy stanęli w Konarach, Skower Oзера Rarogowi powierzył, który go do izby górnej, w baszcie od wschodu się znajdującej, zaprowadził i tam, słowa nie rzekłszy, pozostawił. Była ta izba przestronna, lecz ponura, z jednym oknem niewielkiem, mało światła przepuszczającym i gęsto kratami obwarowanym. Sprzęt w niej widniał ladajaki: zaledwie stół, ława, tapczan mizerny, oto wszystko. Na ścianach popękanych i wilgotnych grzyby rosły, w kominie, od niepałających snąc czasów ognia nieznanym, wicherzysko huczało groźnie, wtórowały mu zaś piski i zgrzytania szczurów, które tu sobie śmiało gospodarzyły, jak na swoim.

Ozer, rozejrzawszy się dokoła, dreszcz trwogi uczuł.

— Dlaczego mnie tu zaprowadzili? — rozważał w myśli. — Piękna izba gościnna... niech wrogi Izraela w takich izbach goszczą... Zimnica taka, że krew się w lód obraca, a od zbytku słońca nikt tu pewnie nie oślepie... Istne więzienie.

Puzdro z balsamami i przyrządami lekarskimi na stole położył i ręce skostniałe rozcierając, wciąż mruczał pod nosem.

Po chwili zjawilo się chłopisko, raczej do niedźwiedzia niż do człowieka podobne, w kożuchu na wywrót, z twarzą tak zarosłą, że oczu widać nie było. Dźwigał on chłop polan tęgiech kilkoro, które w komin



rzuciwszy, zapalił, co mu wszakże przyszło nie bez trudności. Niecierpliwił się przy tej robocie, kłał półgłosem, ale do Ozera słowem się nie odezwał, nawet na niego nie spojrział. Żyd usiłował go na rozmowę wyciągnąć, zapytywał, jak się ma chory, lecz odpowiedzi nie odebrał. Chłop był może głuchy, a może też bał się z Żydowinem wdawać, żeby czarów na siebie nie ściągnąć. Uporawszy się z rozpaleniem ogniska, wyszedł ciężko stukając chodakami, które na słomę zabezpieczone od mrozu stopy wsunął.

— Chrześcijańskie bydle!—mruknął za odchodzącym Ozer i przysunawszy ławę do komina, siadł na niej, by ogrzać się nieco.

Polana płonęły leniwie, wiatr raz po raz do komina wpadał, ogień na wewnątrz izby pędził i dym gryzący; wkrótce też powietrze stało się nie do zniesienia. Dopiero, gdy wichura ustała, ogień strzelił żwawo i wesoło, dym się przerzedził, a wraz z tem Ozer lepszej nabrał myśli. To go przecież dziwiło, że jakby o nim zapomniano — nikt się nie zjawiał z wezwaniem do chorego. Czekał długo, wreszcie, znecierpliwiony, już sam zamierzał zejść na dół i przypomnieć o sobie, gdy drzwi się rozwarły i weszli Grot z Łukaszem i Skowrem. Ozer wstał z ławy, nisko wchodzącym się skłonił. Rawici przygladali mu się ciekawie, słyszeli o nim bowiem wiele, jako o niezmiernym bogaczu i mistrzu w umiejętności przywracania zdrowia, ale go osobiście nie znali. Wreszcie Grot, na ławę się osuwając, przemówił:

— Toś ty ów Ozer, o którym gadki chodzą, że ma skarby nieprzemierzone, a w mądrości nikt mu nie dorówna?

— Ozer jestem, to prawda — odparł Żyd, brodę mleczną gładząc— ale jeżeli ludzie gadają, że na skarbach siedzę i jeżeli mi mądrość wielką przypisują, to gadanie ich całkiem fałszywe. Przy łasce nieba i pracą ucziwą, mienia się dorobiłem, tego nie przeczę; również nie zataję, że z ksiąg świętych i przez mędrców ułożonych czerpał światło, które mi w głowie trocha rozjaśniło, a przecież i jedno i drugie do rzeczy osobliwych nie należy.


— Kurczysz się, chcesz się mniejszym wydać niż jesteś— rzekł Grot dobrodusznie, z umysłu tak się nastrojając, iżby Żyda ośmielić — wszyscy wy zresztą, z rodu Judy pochodzący, kryjcie się z waszemi bogactwami i mądrością, bo naturę taką macie. Ale wiedzą ludzie, jaką miarą kogo mierzyć!

— W ludzkich gadaniach więcej zawdy plew niż zdrowego ziarna, proszę miłości waszej— zauważył Ozer. — Wasza miłość niedzisiejszy, tedy wie najlepiej, że z tego, co się słyszy, dziesiąte słowo ledwie można uważać za prawdziwe. Nic łatwiejszego dla ludzi, jak z czarnego zrobić białe. I ze mnie też robią bogacza, mędrca, a jam człek mizerny.

— Każdy radby się na twoje mizernactwo pomieniać— uśmiechnął się Grot.— Opowiadał mi wnuk, jak to u ciebie... Srebro i złoto aż kapie, wszędy kobierce i opony, nie jak po naszych zamkach i dworach, gdzie jeżeli co się świeci, to dziury, a na ścianach zamiast makat— szron.

Ręką mury ponure wskazał i dodał:

— Ci jeno w dostatkach wszelkich się kapią, którzy przy Jagiellonach warują; insi głodem przymierają. Takie oto nastaly czasy!



Niechętnie słuchał Ozer tych uzaleń; zastanawiało go, że stary Rawita o pobocznych sprawach rozpowiada, a do głównej, do niemocy wnuka, się nie zwraca. Tedy chcąc przerwać materję drażliwą, ozwał się:

— Czasz niedobre są, całkiem nawet kiepskie, ale mnie sądzić, kto temu winien, niewolno, ani też skarżyć się. Takiemu nikczemnemu, jak ja, przystoi wszystko przyjmować i znosić, co niebo na świat zsyła, bez sarkania. I tak czynię. Żyję w odosobnieniu, dziękuję Bogu ojców moich za złe i dobre, oczekując końca, którego już bardzo blizki jestem. Zresztą nie obchodzi mnie nic, chyba, jak teraz, chory wnuk waszej dostojności, do którego wezwany zostałem. Radbym go obaczyć i rozpoznać, czy pomoc moja zda się na co. Choroba, proszę dostojności waszej, nie czeka; ona nijakiej nie zna cierpliwości i najczęściej szybkimi postępuje krokami. Im rychlej się do niej wziąć, tem większą można mieć nadzieję skutku...

Rawici i Skower znaczące wymienili spojrzenia, a Grot rzekł:

— Dziw, że inszej wiary będąc, o zdrowie tego, w którym dusza chrześcijańska siedzi, tak pilnie dbasz. Dla spokojności wiedz, że z wnukiem moim nie jest tak ostatnio. Już nawet do swojej pory przyszedł...

Ozer drgnął na te słowa, wzrok pytający w twarzy starego Rawity utkwiał, zaś Łukasz przemówił:

— Tak, o Jaszka się nie troskaj, insi chorzy na ciebie czekają.

— Insi chorzy? — powtórzył Ozer.—A wszakże do młodego pana byłem przywołany?...

— Nic to nie znaczy—odparł Grot.—Lekarzem

jesteś, zatem wiedzieć powinienes, że choroba to niby wiatr—bywa, iż spada niespodzianie, również niespodzianie ustępuje i kędy indziej godzi. Przywołano cię do Jaszka, ale chociaż on już lekovania nie potrzebuje, nie przyjeżdżałeś po próżnicy...

— Siła będziesz miał do czynienia, wystarczy ci roboty na resztę życia—dorzucił Łukasz i rozśmiał się.

Żyd głową kręcił i niespokojnym po obecnych wzrokiem wodził.

— Co tu długo okrażać — podjął znów Grot — chorych masz przed sobą. Nas owo niemoc trapi, a od woli twojej zależy precz ją odegnać...

Ozer pomyślał w tej chwili, iż przecucia go nie zawiodły—Skower do Konar w złym jakimś zamiarze go sprowadził; wszakże udał, jakoby się niczego nie dorozumiewał i rzekł, uśmiechając się:

— Nu... gdyby wszystkich taka niemoc trapiła, balsamy, dryakwie zgoła nie byłyby potrzebne. Oczy moje stare, ale przecież dobrze widzą, iż do zdrowia waszym miłosciom nie brakuje nic...

— Właśnie brakuje—zaprzeczył Grot. — Nibyto choróbsko zawdy tak na wierzech wychodzi, że je obaczyć lub namacać można. Zbierz myśli, posłuchaj i bacznie rozważ, co powiem, tu sprawa nieladajaka.

Wpatrzył się w Żyda bystrze i nagle zapytał:

— Na myncarstwie się znasz?

Żachnął się Ozer, jakby mocą niewidzialną pchnięty.

— Ja... na myncarstwie?—powtórzył.—Nu, a co waszej dostojności z tego przyjdzie, zali się znam lub nie?

— Nie wypierasz się jednak?

— Ale i nie przyznaję... Myncarstwo? Co tu

ono ma do roboty? Wasza dostojność pieniędzy nie bije, ja też...

— Nie biję, to prawda, mam wszakże zamiar rozpocząć tę zabawę.

— Wolna wola miłości waszej—mruknął Ozer.

— Wola jest, ale nie ona bez pomocy słusznej nie wskóra—ciągnął Grot—pomoc zaś dasz ty Ozerze...

— Ja? Ja mam w tem waszej miłości pomagać?—zawołał Żyd przestwachem zdjęty.—To żadną miarą nie może być!

— Dlaczego?—zagadnął oschle Łukasz.—Wiemy o tem pewnie, żeś mistrz nad mistrze w przeróżnych kunsztach, a także w myncarstwie. Był czas, żeś przewodniczył myncarzom cesarskim w Pradze, potem wielkiego mistrza w Maryenburgu,—kto wie, może i teraz jeszcze w Krakowie tajemnie się tem trudnisz...

— Wasza dostojność o taką niegodziwość posądza Ozera?—przerwał Żyd rzekomo oburzony. — Nu, z tego, że na myncarstwie się znam i że w Pradze a także w Maryenburgu mennicami rządził, nie wypływa, iżbym potajemnie, wbrew prawom, ten kunszt prowadził. Praca moja dla cesarza i wielkiego mistrza była słuszną, im przecież wolno w dzielnicach swoich robić, co zechcą. Wezwali mnie, zapłacili, chwalić Boga, dobrze, więc służyłem im, jako żądali. Ale na tajemne prowadzenie kunsztu nigdy się Ozer nie odważył i nie odważy. To wielka niegodziwość, wielki grzech i wielką ściąga karę...

— Mój ty pocziwy!—podchwycił Skower.—Znają cię, że dla miłego grosza na wszystko gotowy. Zapraw jadowitych przyrządzanie i przedawanie grze-

chem jest równie i karę ściąga, a przecież nie wzdrasz się tego... Ano, zaprzecz, jeżeli możesz?

Wargi przygryzł Żyd i milczał, słów na odpowiedź nie znajdując, a Łukasz podjął:

— Mniejsza, zali się myncarstwem tajemnem trudnisz, lub nie, tu w tem rzecz, iż my się chcemy tem zatrudniać z twoją pomocą. Rozumiesz? Odpowiadaj tedy: zgadzasz się na to, czy nie?

— Dostojności wasze prawo na bicie monety kupili?—zagadnął chytrze Ozer.

— Co ci do tego!—zgromił go Łukasz.—Na pytanie odpowiedzieć masz.

— Bez królewskiego pozwolenia do takiej roboty się brać... straszno!—szepnął Żyd.—Waszym dostojnościom w żadnym razie nie się nie stanie, chociażby to wyszło na jaw, ale ja... mękami i życiem przypląciłbym.

— My cię osłonim—zapewniał Grot.—Tu, u nas, w Konarach zamieszkas, gdzie włos ci z głowy nie spadnie. Na Konary nikt się nie porwie, a gdyby nawet się porwał—z niczem odejdzie. Zamek warowny, ludzi podostatkiem, zapasów wszelkich zawdy wbród. Bezpiecznym tu będziesz zupełnie...

— Straszno...—powtórzył Żyd.—Zreszta, proszę waszych miłości, jam już stary, w spokoju pragnę tych dni niewiele, co mi do mogiły ostają, przeżyć. Zaniechajcie mnie.

-- Odmawiasz?—mruknął brwi sroząc Grot.

— Muszę. To nie dla mnie robota, za stary jestem. A jeszcze na zamieszkanie w Konarach (co musiałbym uczynić, zgodziwszy się) przystać mi niepodobna. Do Krakowam przyrósł, niby drzewo do ziemi;

tam mam wszystko, com w życiu pozyskał — mienie, rodzinę, przyjaciół, tam Ester moja, bez której żyćbym nie potrafił. Opuśćcie mi, dostojności wasze, że żądaniu zadość uczynić nie jestem w stanie, kogo inszego wynajdźcie.

— Niełatwa to rzecz! — wstrząsnął głową Grot. — Widzi mi się przytem, że się jeno drożysz. Powiadam tobie zatem, jako wynagrodzenie otrzymasz królewskie; na niczem ci zbywać nie będzie. Demostwo możesz wydzierżawić, mienie ruchome tu przenieść, dziewczka też przy tobie zamieszka. Na wszystko jest rada.

Ozer to usłyszawszy, pobladł i zadrzał, z oczu mu błyski, przerażenie wyrażające, strzeliły:

— Tu mam przenieść wszystko?!—zawołał namiętnie, dłonie do góry wznosząc.— Ona, Ester moja, ta pieszczota jedyna, róża Syonu, mój skarb—tu miałyby zamieszkać?! Nigdy stać się to nie może! Nigdy!

— Nie zarzekaj się, bo tak będzie, jakieśmy umyślili—groźnie przemówił stary Rawita.— W naszej jesteś mocy, tedy słuchać musisz. Nie wzdragaj się, nie opieraj, radzę. Zali ulegniesz, dobrze ci tu będzie; w przeciwnym razie—będziem cię uważali za więźnia. Czas do namysłu ci ostawiamy. Rozumu się poradź, rozważ.

— Litość miejcie, miłość wasza! Nie gubcie człeka niewinnego! Com wam zawinił ja, starzec bezsilny i dziecko moje? Ona tu? Ester! Boże Izraela... tu ją czeka gorzej niż śmierć, bo hańba!

— Namyśl się! — rzekł Grot wstawszy i ku drzwiom zmierzając.—Postanowienia nasze niezmiennie są, to wiedz!

— Innej drogi nie masz, jeno się zgodzić... — szepnął zrozpaczonemu Ozerowi Skower.

— Szatanie!—wykrzyknął starzec, obrzucając go płonącem spojrzeniem. — Dajesz przepaść marnie! Daj cię trąd obsypał! Niech cię ziemia pożre żywego! Tyś do zguby mnie przywiódł! Twoja to sprawa! Niech Bóg Abrahama, Izaaka, Jakóba dłoń karcącą na twoją głowę położy! Przeklinam spółników twoich, wszystkich pomiot chrześcijański do ostatniego pokolenia! Niech was wszystkie klęski ogarną...

Szalał niemal z rozpaczony Ozer, ale ni Rawici, ni Skower nie zważali na jego oburzenie. Opuściwszy izbę, polecili Rarogowi, izby staremu Żydowi wszelką dał wygodę, ale by przytem strzegł go najpilniej. Jakoż Raróg wartownika przy drzwiach izby postawił, któremu zapowiedział, iż głową za Żyda odpowiada.

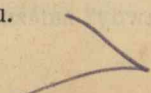
Ozera zaś do rozpaczony to przywiodło, iż przeczuł zamiary nieczne Rawitów: bystry jego umysł łącno dostrzegł, jako na mienie jego i na cnotę jedynaczki ukochanej godzą. Chciwym był namiętnie, lecz niemniej silnem było uczucie przywiązania do córki. A tu naraz piorun go uderzył z dwu stron. Przytem tracił swobodę, tracił otoczenie właściwe. Nic dziwnego, że takie ciosy na razie go oszołomiły i złamały.

Słusznie Żyd Skowra szatanem nazwał, który nieszczęścia jego był przyczyną. Szpieg krzyżacki, wytrwale dążąc ku osiągnięciu celu swego, z początku zamierzał jeno do porwania Estery Jaszka skłonić, co miało się dokonać w nieobecności Ozera, zwabionego podstępnie do Konar. Ale potem myśl mu przyszła, iż stokroć skorzysta więcej, jeżeli plan niegodziwy rozszerzy. Więc mimochodem napomknął starszym Ra-



witom, że dobrze byłoby, dla uspokojenia Jaszka, Esterę mu podsunąć, a za jedną drogą, bogactwa ojca jej zagrabić i jego umiejętność myncarską spożytkować. Bogactwa Oзера miały iść do podziału, między niego i Rawitów; z myncarskiego szalbierstwa również on miał część zysków osiągać. Rawici też bez wahania zgodzili się na wszystko.

Już porwanie dziewczki i uwięzienie Żyda odpowiedzialność ściągало, tem większą ściągала grabież, a bicie monety fałszywej należało do przestępstw karanych surowo. Skower jednak wymiarkował, iż skłoniwszy do tych niegodziwości Rawitów, sam z małym narażeniem się wielkie osiągnie korzyści. W danym razie ciężar winy na Rawitów spadnie, on łatwo się oczyści, usprawiedliwi wymówką, że jeżeli im spódziął, to jako przymuszony. Lecz odsuwał myśl o tem, żeby Rawici mogli być pociągnięci do odpowiedzialności. Stać się to mogło, według niego, wówczas, jeżeli on ich zdradzi. Gdy uskutecznią, co im podszeptał, zyska nad nimi silną przewagę, która sama może wystarczy do zmuszenia ich, aby mu Kundę oddali. Jeżeli nie wystarczą — miał jeszcze w odwodzie Zbigniewa z Oporowa i Halszkę; namiętność Jaszka ku kasztelance nie wygaśnie, jako też nie wygaśnie pragnienie zemszczenia się na Jelitczyku, które paliło zarówno starszych, jak i młodego Rawitę. W czasach burzliwych można gwałtu dokonać, a byle przezornie, byle na uczynku nie pochwyciono, to nawet w razie skargi ze strony pokrzywdzonych, odpowiedzialność nadzwyczajna nie groziła. Skower nadto zamierzał tak wszystko urządzić, iżby on tylko mógł potępić Rawitów i ufał, że podoła temu.



— Żelaznym obręczem ich ścisnę i tak w garść ujmę, że będą musieli śpiewać, jak im zagram — marzył, snując niegodziwe zamysły. — Czując na karkach stopę moją, już ci mnie urągliwości nie zadadzą, gdy Kundy zażadam. A czas wielki ustanowić się, bo mi ono jutro niepewne okrutnie dolega. Za długo jestem pomiotłą cudzej woli, pora insze życie rozpocząć.

Zaraz nazajutrz po sprowadzeniu Oзера do Konar, wyruszył z Jaszkiem i sporą garścią ludzi, by w dalszym ciągu występne dzieło prowadzić. Szło teraz o ujęcie Estery i ograbienie komór jej ojca. Przedsięwzięcie nie należało do łatwych, ale Skower raz krok uczyniwszy, z drogi się nie wracał. Zawdy powtarzał sobie, iż przy śmiałości i przezorności, wszystko osiągnąć można. Grot stary trocha się wzdragał Jaszka na niebezpieczną wyprawę puścić. Skower jednak potrafił go przekonać. Chociaż rzeczywiście sam był duszą niegodziwości, trza, iżby pozornie Rawici na sztych byli wystawieni. Działając inaczej, szkodziłby zamysłom własnym.

— Zabiegam ja dla was, mój Jaszku — mówił w drodze do towarzysza — i dziw, czemu to czynię? Niby w głowie mam niepusto, doświadczenie mnie nauczyło, że na wdzięczność ludzką nigdy rachować nie można. a jednak dla was karku nadstawiam bez nijakiej potrzeby?

— Zaliśmy nie druźbami? — na to Jaszko. — Wszak tyli czas po bratersku żyjem.. A już na niewdzięczność z naszej strony skarżyć się nie możesz? Czy w Konarach, czy w Słupcy, jak w domu jesteś, za swego cię uważamy, głos u nas masz, jeśli nam się jaki połów uda, zawdy należna część wydzielona ci

jest i jeszcze ci źle... Czego ci brak? Jakiej wdzięczności żądasz, człeczce nienasycony?!

— Jednem słowem cię porażę... Družbą mnie mianujecie, a jednak, gdy o Kundzie zagadam, tak się srożycie, niby jeź, psa uczuwszy... Tego wdzięcznością żadną miarą nazwać nie lża. I wierzaj Jaszku— inшы na mojem miejscu srodzeby się za to rozsierdził. Sprawiedliwie powiadam.

— A tobie Kunda zawdy we łbie!— rozśmiał się Jaszko. — Co w niej widzisz? Ni to piękność osobliwa, przytem w latka zaszła. Chyba, żeś ty jeno na dostale owoce lasy...

— Każdy łąsi się do tego, co upodobał: ja do Kundy, ty do Halszki... Ale mego upodobania z twojem nie równać! Moje trwałe jest, rozważne, niewzruszone; twoje... na wodzie bieżącej pisane.

Rzekłszy to, Skower westchnął i namarszczył się, jakby go wspomnienie Kundy, do której mu drogę zamykano, srodze bodło, chociaż udany był ten frasu nek, bowiem nie Kunda, lecz jej wiano po jego głowie chodziło. Jaszko zaś, spojrzawszy na niego z pod oka, ozwał się:

— Znaczy, że ja wichrową mam naturę i niezdolnym upodobania trwałego powziąć?

— Juści. Osądź sam: wściekasz się do Halszki lba o nią nadstawiasz, a na boku do dziesiątka innych mierzysz... Wczora Petruchna, dziś Żydowinka, rychło znów nową upatrzysz...

— Ma-li to być grzechem, w takim razie niecałkiem on na mnie spada, przynajmniej za Żydowinkę: sameś mi ją naprzód wskazał, a potem, wraz z dziadem i rodzicem, do niejście mnie popchnęli...

— To też nie o grzechu tu gadka, jeno o różnem upodobaniu...

— Et!—ręką wyrzucił Jaszko—są różne natury, więc i różne upodobania muszą być. Powiadam tobie, że Halszkę upodobałem do osobliwości. Myślisz może, iż nieprawda?

— Po szczerości mówiąc, trudno uwierzyć. Wedle mego rozumienia, zawzięłeś się ją dostać przez złość na Jelitczyka. Gdyby on ci nie dopiekl, nie upokorzył, nie dobijałbyś się tak o nią...

Kołpak na ucho przekreślił Jaszko i zawołał:

— Wiesz, żeś słusznie powiedział słowo! Gdyby nie to, kto wie, czyby mi w głowie dotychczas siedziała... Ano, nie sam tu Jelitczyk w grze, insze okazyje wmieszały się do tego waru. Bo, że war się z wszystkiego uczyni i to taki, jakiego wiedzmy na Łysej górze nie gotują dla swoich czarnych miłośników... więcej niż pewna. Starczy go na oparzenie nie tylko Jelitczyka, ale wielu innych. Czuję to przez skórę i ty chyba również, bo przecież ognia do tej roboty dokładasz...

— Dla was to czynię!—mruknął Skower.

— Wiem. Owóż, widzisz družbo, tu, okrom Jelitczyka, w grę wchodzi wiano kasztelanki, które królewskiem nazwać można, — i to, że nas kasztelan traktuje wzgardliwie, — i to, że mamy (o rodzicu i dziadzie mówię) dawne z Jelitami porachunki. Takie tu się złożyły okazyje. Cześć nasza nie pozwala ze wstydem, z grochowinami odchodzić. Zapłacić musim, jako ludzie poczciwi, należne wszystkim. Już my tacy, że dłużnymi pozostawać nie lubimy...

— Cześć wasza nie pozwala wam z grochowina-

mi odchodzić, a mnie niemi traktujecie... Taka wasza družba!—mruknął złośliwie Skower.

— Znowu swoje! — niecierpliwie podchwycił Jaszko. — Na rozum człowiecze weźmij i sam powiedz: zali się godzi, iżby Rawicianka nie patrzyła z kim w skojarzenie wehodzi... Oto na całym świecie dbają!

— To wy mnie za pierwszego lepszego macie?—przerwał hardo Skower.

— Dłaczegóż, do kata, tak się z rodem swoim kryjesz? Wykaż się, a obaczymy... Zresztą, gdyby Kunda się zgodziła, ale ona o tobie słuhać nawet nie chce...

— Dajcie mi wasze zezwolenie, a poradzę z nią—szepnął chytrze Skower.

— Nie dufaj sobiel! Z nią sprawa twarda...

— Twardsze się przełamywało.

— Niezawdy. Na Smoczem uroczysku sromotnie ci się nie powiodło, chociażęs góry złote obiecował.

— Twoja w tem wina: Zbigniew sprawniejszym od ciebie się okazał. Ale z Kundą poradzę.

— Kiedyś taki w sobie zadufany, słowo ci rzekę: skłoń ciotkę na swoją stronę, a o nas się nie troskaj.

— A jeśli wy przeciw stawać będziecie?

— Choćbyśmy stawali, nie nie wskóramy. Kundy wola niezłomna; co myśli—przeprowadzi. Cicha z niej woda, ale takã brzegi rwie...

— Potem do waśni pomiędzy wami a mną przyjść może, tego nie pragnę...

— Dłaczego ma do waśni przyjść? — Kruk krukowi ślepią nie wytłucze! Ja do porozumienia z kim

dobrym niecieężki; zresztą przecież do kasztelanki zdobycia, do Jelitczyka pogwałcenia mi pomożesz, tedy i ja na wdzięczność się zdobędę... A starzy... pokrzywią się, poburczą i dłońmi machną... Z tobą samym może by zadarli, ale jeśli Kundę będziesz miał w odwodzie, spokój ci dadzą...

— Zapamiętaj, żebyś przynajmniej twój głos miał za sobą—rzekł Skower, którego wywody młodego Rawity nader ożywiły i w dobry wprowadziły humor, poczem już do tej materyi nie wracając, rozprawiali, jak z Esterą poradzą.

Plan tej niegodziwości zuchwały był, jak wszystko, co z głowy szpiega krzyżackiego wychodziło; liczył na to Skower, że ludzi kilku, a może i więcej, życiem go przyplaci, lecz ofiarą paść mieli Żydzi, których życie mało było wazone. Z początku zamierzył sam rozpocząć, Jaszka zaś do najważniejszej chwili ostawić, lecz przy wjeżdżaniu na przedmieście zmienił ten zamiar: wypowiedziawszy młodemu, co poczynać, co mówić, z nim razem i z częścią jeno ludzi do obejścia Oзера się udał; reszta miała na znak dany przybieść w te pędy.

Domownicy starego Żyda zdziwili się, znów Skowra obaczywszy i to z Jaszkiem, który przecież miał podówczas być niedomagającym. Spodziewali się raczej powrotu samego Oзера i stąd też podejrzenie powzięli. Ale Skower, miny nie tracąc, zażądał widzenia się z Esterą, utrzymując, iż od ojca polecenie jej przywiózł. Ponieważ ludzie jego wszystkie wejścia domu starego lichwiarza osaczyli, nikt stamtąd wydostać się nie mógł, co bardziej jeszcze podejrzenia wzmocniło.

Laban, brat stryjeczny Ozera, zastępca w razach jego nieobecności, wręcz się ozwał:

— Miłość wasza tak zbrojno raczył nas nawiedzić, jakby w czasie wojny. To istne obłężenie.

— Alboż czas mamy spokojny?—na to Skower. -- Nie trać słów napróżno i sprowadź nadobną Esterkę. Z nią do czynienia mamy.

— Bratem Ozera jestem; kiedy go niema, znaczący tyle, co on...—opierał się Laban.

— Tym razem ja więcej znaczący, bo od samego Ozera polecenia przywożę, których słuchać winniście! Nie ociągaj się! Alboż mnie tu wszyscy nie znacie? Oddawna z wami do czynienia miewam, wiecie, że ze starym nielada czem frymarczę. I teraz zdarzyła się sprawa wielkiej wagi.

— Wiedzieć o niej mam powód...

— Nie masz! Rzecz mistrza wielkiego dotyczy, więcej ci nie powiem...

Na wspomnienie mistrza, skłonił się Laban i chociaż bez przekonania, Esterę do gości niespodziewanych sprowadził. Ta rychło nadbiegła, jak zawsze strojna, wdzięczna, pociągająca.

— Co się stało?—zapytała od proga, zaniepokojona trocha.—Ojciec...

— Bądź bez obawy, dziewczko—rzekł Skower swobodnie— rada nas przyjmij, przednie ci przywieźliśmy gościńce... Do wdzięcznego liczka przydaj małmazyów, co krew grzeją, na tośmy zarobili...

Wnet też się zjawily dzbany z winem i słodycze, Laban zaś Estery nie odstępował, wzrokiem przebiegłym badając twarze przybyłych.

— Srogi z ciebie strażnik, Labanie, szalbierzu—

śmiał się Skower.—Patrzac na ciebie, mógłby kto pomysleć, żeśmy tu w zdradnych zamysłach stanęli...

— Człowiek jestem, więc nie bez ciekawości...— mruknął Laban.

— Żydowin jesteś, a potomek tych, którzy Pana Jezusa Chrystusa do krzyża przybili, człowiekiem nie jest! — odciał niby żartobliwie szpieg krzyżacki, lecz w głosie jego brzmiał odcień surowości. — Zaś ciekawość schowaj na inszą porę i ostaw nas z Esterą, raz ci już powiedziałem...

— Uczyń tak, rebe — poparła Estera Skowra— nie mi się złego przecież stać nie może...

Złorzecząc w duszy wszystkim chrześcijanom, a przybyszom w szczególności, wysunął się Laban z izby, ale nie odszedł dalej niż za próg i do drzwi ucho przyłożył, by chociaż coś usłyszeć z rozmowy. Przewidział Skower podstęp i niezwłocznie mu zapobiegł. Chwilę przeczekawszy, nagle drzwi uchylił i na gorącym uczynku schwytanego odciągnawszy za barki na stronę, szepnął groźnie tak mu w oczy pogładając, że tamten zbladł i dygotać począł z przelęknienia:

— Co się to znaczy, pogany synie?

Laban mowę stracił; oczyma przewracał, wargami poruszał, ale słowa wypowiedzieć nie mógł. Skower, korzystając z jego przerażenia, zdarł zeń pas długi, jedwabny, związał go w pałąk, ust zasłonić nie zapomniawszy i tak obezwładnionego w kąć rzucił. Przysionek, w którym to się działo, był zupełnie ciemny, tedy Labana, życia oznaki niedającego, chyba ze światłem można było znaleźć.

— Dobrze idzie! — mruknął szpieg krzyżacki do siebie, poczem, znając dom z częstych, dawnych, od-



wiedzin, trafił do pracowni Oзера, po za którą ukrywał się skarbiec. Ale teraz szło mu nieco trudniej: musiał drzwi wywazać, rygle odrywać i zamki, siłę jednak posiadając niepospolitą, przy pomocy miecza i rozmaitych przedmiotów, tu i owdzie znajdujących, jakoś sobie radził. Dotarłszy do skarbcza, tyle w nim zastał dobra wszelakiego, w skrzyniach, miechach i wprost na gromadach poskładanego; że dziw go zdjął.

— Ani sposób zabrać to wszystko dorazu—rozważał — ścierwo poganin mógłby łebskie księstwo za to kupić, a żyje, jakby mnich. Ha! zabierze się, co można... Wiele z tego drapichrusty Rawitów rozkradną, zawdy piękny kęs się ostanie.

Sprowadził z przed domu Raroga z czterema ludźmi, w skarbcu im zostać polecił, a także, by każdego z domowników Oзера, który jeno tam zajrzeć się waży, uprzątnięto w oka mignieniu, sam zaś do Jaszka, z Esterą się zabawiającego, wrócił, jak gdyby nigdy nic.

Jaszko mowny był, około niewiast chodzić potrafił, zjednywał je sobie zuchwalstwem i natarczywością. Podobają się tacy ludzie, zwłaszcza niewiastom krwi zapalniejszej, świata nieznałym, a właśnie Estera taką była. Gdyby wiedziała, jakim jest w rzeczy istocie Rawita, trzymałaby się z nim na ostrożności, nie wierzyłaby mu: ale któż miał jej o tem powiedzieć? Życie spędzała w zamknięciu, wieści ze świata szerokiego rzadko ją dochodziły, ojciec ani sam lubił o chrześcijanach wspominać, ani też domownikom pozwalał o nich się rozwodzić. Przytem tęsknota nieprzeparta ciągnęła ją do świata, do pokosztowania inszego, gwarne go życia, które sobie wyobrażała pełnem ponęt czarownych, bo takiem je widziała w opowieściach biblijnych i przez

usta służebnie dostarczanych. Bóg—myślała—stwarza ludzi do kochania, do szczęścia, do pędzenia dni w blaskach słonecznych, wśród uśmiechów, pocałunków, drzeń serca, pieśni i wszelkich inszych uciech, a ona marnieje pod kluczem ojca, w izbach bogactwa pełnych, lecz ponurych, by groby.

A jeszcze opowieść ojca o jej przesławnej imiennicze, córce Mardocheusza z Susanu, utkwiała w jej skłonnej do marzeń głowie. Opowieści podobnych słyszała więcej. Treść ich dowodziła, że córki Syonu były przeznaczone do odrodzenia potęgi swego narodu, kto wie, czy ona właśnie nie należała do wybranych... kto wie?.. Teraz ręce ma skrepowane, lecz gdyby się dostała pomiędzy ludzi...

Myśli buntownicze i kuszące opanowały ją z większą niż kiedykolwiek siłą podczas rozmowy z Jaszkiem, porwały ją i unosiły w świat fantastycznych porywów... Młody Rawita obcesowo z nią począł: zamiast odpowiadać na zapytania o Ozerze, paś ją i rozmarzał miódowemi słowy, wdzięki jej wychwalając. Poddawała się czarowi tych słów zdradzieckich, bo ją napępniały rozkoszą.

— Siłam widział piękności—mówił namiętnością i winem podniecony w chwili, gdy Skower wrócił—ale ty, Ester, o niebo wszystkie przerastasz... Niczem księżniczki, ba! królowny nawet... W światy tobie, a zasiadłabyś w majestacie, wszyscy służyliby ci na klęczkach...

— Nie godzi się miłości waszej igraszki czynić z biednej Żydowinki—odparła na to, oczy spuszczaając—świat nie dla mnie, dla innych są jego ponęty.

Mówiąc tak westchnęła, co nie uszło bystrej uwagi Skowra.

— I tu dobrze idzie! — pomyślał, a w głos dodał: — Radabyś jednak, nadobna, poznać ten świat uciech jego zażyć?

— Nie dla mnie one!—powtórzyła z nowem westchnieniem.

— Czemu?—podchwycił Skower.—Dla wdzięków i młodości rozkosze świata istnieją, ty zaś, Ester, jedne i drugą posiadasz...

— Ojciec...—szepnęła nieśmiało.

Rozśmiał się Skower.

— A! w tem sęk! Radabyś, dziewczko, w świat wyfrunąć, lecz ojciec trzyma cię w niewoli—rzekł swobodnie.—Rzekomo czyni to dla twego dobra, ale zważ, iż stary jest, wszystkie pożądania w nim wyschły, a pewnie też wszystkie nasycił... Cóżbyś przecie powiedziała, gdybyśmy ci dali sposób pragnień spełnienia?

Podniosła na niego wielkie, czarne oczy i z naimnym zdumieniem spytała:

— Wy, rycerzu? To niepodobna!

Skower, ożywiony powodzeniem, kuł żelazo gorące.

— Całe podobna - jał mówić.—Kto wie, czy nie po tośmy właśnie przyjechali, a nawet (po co się wypierać) dowiedz się, że tak jest...

Krwi fala na twarz Estery zbiegła, piękne jej oczy, zawdy płonące jasno, świetniejszemi zaśniły blaskami.

— Dowiedz się—ciągnął Skower—że ten oto rycerz, syn przemożnego rodu, pan włości i zamków, okrutnie się w tobie rozmiłował, zaraz z pierwszego wejrzenia. Łacno już wówczas, przy pierwszej naszej

tu bytności, mogłaś dostrzedz, a to, co teraz mówi, dość przekonywa. Zawierz mu, jedź z nami, a szczęściem cię otoczy, będziesz żyła swobodna, pełną oddychała piersią, otoczona jego miłowaniem i zachwytem wszystkich, co się do ciebie zbliża...

W głowie Estery powstał chaos: słowa Skowra z jednej strony trwogą ją przejęły, z drugiej znów omotały silną ponętą. Cofnęła się drżąca, z szybko wznoszącą się piersią, powtórzyła jak echo:

— Jechać mam z nim? Ja mam dom ojca opuścić? Ja...

— Gadajże! Już ją mamy! Snadniej nam pójdzie, niżlim się spodział...—szepnął Skower do Jaszka, łokciem go trącając.

Jaszko zaś nuż się rozwodzić o miłowaniu swoim, nuż o niem zapewniać, jak również o tem, że ją najszcześniejszą z pomiędzy żyjących uczyni. W słowach jego gorzała namiętność, namiętnością przemawiały jego oczy i ruchy — to wszystko oddziaływało na niedoświadczoną, krewką, do marzeń skłonną i pełną pożądań używania szczęścia dziewczynę, jak napój zdradnie obezwładniający. Tylko myśl o ojcu wstrzymywała ją od rzucenia się kusicielowi w objęcia, powtarzała:

— Ojciec... on mnie przeklnie, wyrzeknie się mnie, wypędzi...

— Nie uczyni tego, nadto cię miłuje, tyś przecie jego krew, jedyna u niego—kusił Skower.— Chociażby się nawet tak stało, nie przez to nie ucierpisz: wszystko ci zastąpi ten oto rycerz rozmiłowany, któren z niewolnicy królową cię uczyni. Ale nie myśl, iżby ojciec do srogości się posunął. Gdy córkę obaczy w szczę-

ściu, w jedwabiach i złotogłowach, panującą na zamku, obok przemożnego rycerza, Bogu podziękuje, że tak zdarzył. Próżno się wahasz...

— Jam z żydowskiego, wzgardzonego przez chrześcijan rodu, jakże będę śmiała pomiędzy chrześcijanami się ukazać? — broniła się jeszcze.—Zabawisz się mną rycerzu, wysiesz ze mnie młodość, pogodę, wdzięki i odtrącisz ze wstrętem...

— Na Boga chrześcijan ci przysięgam miłowanie i wierność do grobu! — zawołał Jaszko, rękę do góry wznosząc. — To wielkie i święte słowo! A przy mnie od nikogo krzywda cię nie potka, bobym mu w pomście życie wziął. Zresztą możesz chrześcijanką ostać... Ester! Ester moja... przeznaczeniśmy dla siebie, a takim dekretem niebieskim opierać się nie lża...

Pociągnął ją ku sobie, do piersi przytulił, aż pod ognistemi jego pocałunkami wszelkie wzdraganie i niepewność wszelka Estery przysły, jako lód od promieni słonecznych. W jego objęciu o wszystkim zapomniała—zdradnie ukazał jej blaski, do których się rzuciła, by oślepią niemi—zginać. Bez żalu, bez cienia tęsknoty opuszczała dom ojcowski. Uwierzyła niegodziwcowi, przy jego piersi, pod żarem jego pocałunków i słów wabnych, zdawało jej się, że istotnie wstępuje w świat dla niej przeznaczony z dawna—w świat wiecznej wiosny, wiecznych rozkoszy.

Atoli łatwiej było Esterę do ucieczki nakłonić, niż z domu ją uprowadzić. Dziewczyna, jakkolwiek rozkołysana zmianą położenia, do czego od tak dawna w skrytości wdychała, zauważyła jednak, że przybysze, którzy rzekomo po nią tylko tu się zjawili, w domu jej ojca niby wrogowie się rozporządzają. To ją

zastanowiło i tknęło. Zapytała tedy o powód gospodarki dziwnej.

Na to Skower:

— Już się nie dopytuj, ani wzdragaj. Czynimy, jako potrzeba. Musim taki pozór zachować, jakobyśmy cię przemocą uwozili. Nasza w tem głowa, aby się wszystko na dobre obróciło...

— Ojca! ojca się lękam... — szeptała trwożnie.— Wy poręczacie za niego, wszelako przeczucie mam, że on mi tego nigdy nie przebaczy...

— Nie wstrzymuj nas dziewczko, chwili do stracenia nie mamy!—fuknął nieco surowo Skower. — Powiadam tobie, że stary krwi własnej się nie wyprze i gubić jej się nie poważy. Zresztą masz puklerz w twoim miłośniku...

— Może wy go ze mną na wieczne rozłączacie czasy? Może go już nigdy oczy moje nie obaczą?...

— Obaczysz! Obaczysz rychle! Dalej Jaszku! w drogę pora... Ty ruszaj przodem, ja za wami w odwodzie.

— Rycerzu—zwróciła się jeszcze Estera do młodego Rawity — idę z wami z ufnością, ale gdybym od was krzywdy doznała, gdybyście mi, zamiast dni słodkich przy waszym boku, hańbę zgotowali... dłoń pomsty Bożej was dosięgnie... Poświęcam dla was wszystko—pomnijcie o tem!

Jaszko nie pozwolił jej dłużej nad tem się rozwódzić — pożerany namiętnością, chwycił ją, opończą otulił, na rękach wyniósł i zwinnie, by żbik, opuścił dom Oзера.

Skower, sam ostawszy, począł grabieżczą gospodarkę na dobre. Sprowadził chyłkiem ludzi, znaku wy-

czekujących, z nimi obezwładnił bezbronnych domowników Oзера z wszelką łatwością, co jeno naleźli klejnotów, sprzętu kosztowniejszego, pieniędzy (których było w worach podostatkiem, a nie brakło też, okrom gotowych, okrom naczyń zbyt kownych, kamieniami wysadzanych, złota i srebra w sztabach), wszystko pozabierali, ile jeno który unieść mógł.

— Połów, jak rzadko — mrucał do siebie, zacie-  
rając dłonie—żeby się tylko z tem od miasta najdalej dostać. Ano, najlepsza rada popłoch uczynić. W tumulcie najłatwiej nawet z ciężkich się wydostać opaków... Co mam Żydowina żałować? Niech go psi płaczą! Raróg! A! Raróg! Bywaj tu sam...

Przybył wołany, Skower z nim samym do lochu się udał, tam miechy skórzane i barylki drewniane z małmazami odszukali, na górę, przy pomocy ludzi swoich, je wydzwigali i spełniali z kubków pozłocistych, dla upamiętnienia tak pomyślnej wyprawy.

— Pijta na ochotę! Dzionek warta, iżby go słodko zakończyć... — zachęcał. — Taka gratka nieczęsto się zdarza... Nie żałujta poganina! Co się do gardła nie zmieści—zmarnieje, bo ani sposobu tego z sobą wieść...

— Rajski trunek!—chwalili łotrzy.

— A! szelma poganin! Inszy pan chrześcijański takich małmazów za życia nie pokosztuje...

— Jeno, czy w onych słodkościach uroku jakowego nie ma?—zauważył trwożliwszy.— Od Żydowina, psia juchy, wszystkiego spodziewać się można...

— Skoro nie czuć wstrętne go smaku, znaczy się, że pić bez obawy można...—uspokoił go Skower.—Pijta śmiało, nic to, chociaż we łbie trocha zaczmera. Na

wietrze chmiel w niej wyszumi, a małmazye gardła i języka nawet chrześcijańskiego wartają!

— Godne są i do łba cale jakoś nie idą...

Baraszkując, przyczem Skower w dziwnie różowym był humorze, ciągnęli, by smoki, trwała jednak ta ochota niedługo. Skower bowiem zawdy pamiętał, co do czynienia ma, więc skoro pomiarkował, że dłuższe zabawienie się w domostwie ograbionem niebezpieczeństwo mogłoby ściągnąć, mieczem o stół grzotnął, wołając:

— Dosyc tego! Mamy do syta. Ku zmierzchowi się zanośi, najlepsza pora w drogę... A na pożegnanie... wyprawmy tym oto Żydowinom, których ostawimy w więzach, jako się patrzy zabezpieczonych, — uciechę. Nam wesoło... im niech ciepło i widno będzie...

— Jakże to? — zagadnął Raróg, nie rozumiejąc.

— Ano tak: wlażesz między wrony — krakaj jak i ony. Jesteśmy w żydowińskim domu, spróbujmy chociaż raz obyczaju żydowińskiego... Podobają sobie Żydowinowie w całopaleniu, potraktujmy ich całopaleniem.

— Prawda! Całkiem słusznie wyprowadzono! — powtórzyli insi, a zrozumiawszy niecną myśl szpiega krzyżackiego, w lot powyciągali żagwie i domostwo na cztery podpalili rogi. Zbrodni dokonywali ze śmiechem iście szatańskim, a ich twarze, rozplamione nadmiarem trunku, przypominały larwy piekielne.

Ogień musiano kilkakrotnie podsycać, nim ściany się zajęły, a dopiero, gdy główny budynek objął, łotry zabrali się do odwrotu. Jakoż, wedle przewidywań Skowra, pożar tumult wywołał, wśród którego



można się było z miasta wymknąć niepostrzeżenie. W oka mignieniu tłum się zebrał przed domostwem płonącym, całe miasto porwało się na nogi, lecz jeno Żydzi starali się ogień opanować—chrześcijanie, mimo, że pożar łatwo mógł się na miasto rozszerzyć, nie tknęli się do ratowania mienia inowierczego, ograniczając się na umiejscowieniu żywiołu.

Raróg ze swoimi już się był z miasta wydostał, z nimi również Skower, ten jednak, coś sobie przypomniawszy, wrócił się jeszcze i do niby pochodnia płonącego domostwa wpadł. W skarbcu Oзера upatrzył skrzynkę z klejnotami, nieoszacowanej wartości, tę dla siebie wyłącznie przeznaczywszy, w kął wsunął i teraz dopiero na myśl mu przyszła. Klejnoty, jak się rzekło, ceny nie miały; Skower na takich rzeczach się znając, winem podniecony, za nic w świecie na pastwę kogokolwiek zostawiać ich nie chciał. Tedy nie zwracając uwagi, że się na groźne naraża niebezpieczeństwo, mimo, że go o niem tłum zgromadzony ostrzegał, w płomienie się rzucił.

W istnem znalazł się piekle—na razie nie wiedział, gdzie się ma obrócić: dym oczy mu gryzł, płomienie po twarzy go smagały, skry włosy smały... Ale wszak był to człowiek tego rodzaju, że wśród największej grozy, kiedy insi tracili przytomność, on ją w większym pozyskiwał stopniu. I tym razem jeno na chwilę dał się ogarnąć grozie położenia—wnet odzyskał krew zimną. Do tego uczuł zawziętość na myśl, że nieocenionej wartości skarb wymknąć mu się z rąk może... Instynktem wiedziony, trafił do skarbeca, odnalazł skrzynkę z klejnotami.

— Teraz cię z rąk nie puszcę!—mruknął, żywo sunąc ku wyjściu.

Droga powrotna była niebezpieczniejszą, ale ufał, że nic złego spotkać go nie może.

— Jeszcze mi się przecież coś na świecie należy—mówił do siebie, wyjścia poszukując.

Już był w przysionku, z którego jednym susem mógł się na zewnątrz wydostać, gdy nagle uczuł silne szarpnięcie, tak, że upadł twarzą do ziemi... Chciał się porwać, lecz przy upadku szwank dotkliwy poniósł w nodze, więc tylko jęknął; przytem uczuł, że go ktoś za gardło niby kleszczami pochwycił...

Był to Laban: zdołał on ręce i usta uwolnić z krępujących je więzów, spostrzegł szpiega krzyżackiego, gdy ten tuż przy nim się przesuwał i nie wiedząc sam co czyni—pociągnął go ku sobie...

— To ty! ty poganinie! — zawołał Skower, daremnie z uścisku szalonego usiłując się uwolnić.

— Ja! Ja! miłościwy panie...—śmiechem wybuchnął Laban, który też, więzy mając na nogach, powstać nie mógł.—Sprawileś nam całopalenie, doznaj sam tej uciechy... Razem... razem spłoniem... Razem pójdziemy tam, gdzie nas sądzić będą...

— Puszczaj! Uratuję cię!—ryknął Skower, niby wąż się wijąc.

— Nie! nie! chrześcijaninie—niech się ofiara całopalenia spełni... Oko za oko! Ząb za ząb! Krew za krew!

To mówiąc, wgrzył się zębami, z tygrysią wściekłością, w twarz Skowra, kąsał ją, szarpał ciało jego, gardło i ręce.

— Puszczaj! Na szatana, puszczaj! — ryknął raz jeszcze Skower.

— Całopalenia... krew za krew!—głucho zajęczał Laban.

Zwęglone belki przywały tego szamocącego się w trwodze i nienawiści dwugłowego potwora—słysać było jeszcze przez chwilę odgłos walki szalonej, wkrótce zagłuszył ją trzask płomieni, w których dwaj ci ludzie śmierć znaleźli.

---

## VI.

Na dzień święta uroczystego Trzech Króli był wyznaczony zjazd we Wrocławiu, z celem uczynienia skutku pokojowego pomiędzy królem rzymskim, Albertem, a polskim, Władysławem i bratem jego, Kazimierzem, przez panów czeskich na królestwo czeskie powołanym. Zarówno Albert, jak i Stolica Apostolska, zawarcie pokoju pomiędzy mocarstwami chrześcijańskimi uważali za konieczność, bowiem złe wieści nadchodziły ze Wschodu, od strony Turczach, i wątpliwości nie ulegało, że poganie z zawieruchy europejskiej skorzystałoby niechybnie, zjawiliby się bez zwłoki z pożąką wojny w granicach cesarstwa, a to, wśród okoliczności dziwnie powikłanych, groziło klęską przede wszystkim interesom cesarstwa i papieżstwa. Widmo grozy przewidywanej czyniło Alberta skłonny do ustępstw. Chcąc skutek pokojowy przyspieszyć, zjechał do Wrocławia osobiście, ze świetnym orszakiem

prałatów, książąt, panów cesarstwa i korony węgierskiej. Był to monarcha nietyle wiekiem, ile przeciwnościami skolatany, przytem od dłuższego czasu na zdrowiu zapadał, z powodu niepomiarowanego upodobania do owoców, zwłaszcza do melonów, któremi się przy każdej sposobności nie po ludzku objadał. Zresztą pan był cnotliwy, dobroci pełen i wyrozumiałości, religii katolickiej zwolennik żarliwy. Włos miał kruczy, kędzierzawy, budowę ciała silną, oczy wielkie, wylupiate, nogi w stosunku do postawy zbyt cienkie, głowę krągłą, kształtną, oblicze rumiane, pogodne, wargi odęte. Szpeciły go zęby nadto wielkie, żółte i krzywe, które, gdy się śmiał lub przemawiał, z ust mu wyzierały, by kły. \*) Przyjechali z nim, ze strony papieża Eugeniusza IV, Jan, biskup Scyni, biegły osobliwie w prawie międzynarodowem; ze strony zaś soboru Bazylejskiego, Alfons, biskup burgoński, z Hiszpanii, syn wychrzonego Żydowina, mąż bystrego rozumu, nauki wielkiej, oraz Mikołaj Amici, którego za mistrza Teologii Ś-tej uważano nie bez słuszności. Na czele pełnomocników polskich stał rzekomo arcybiskup gnieźnieński, Wincenty, ale duszą poselstwa był, jak zazwyczaj we wszelkich sprawach państwa, biskup krakowski—Zbigniew z Oleśnicy.

Rozpoczął się on zjazd pod dobrą wróżbą, umysły nastrojone były pojednawczo. Naprzód obie strony słuszności rzeczy swojej dowodziły, jednej zaś i drugiej nie brakło świadectw, stwierdzających pierwszeństwo do korony czeskiej. Większą snadność do zgo-

---

\*) Portret autentyczny, według źródeł społecznych.

dy okazali posłowie polscy. Biskup Oleśnicki w ten sens wyłuszczył rozumienie swoje:

— Niechaj to będzie każdemu, wszem i wobec wiadome, że Kaźmirz, brat pana mego, króla polskiego Władysława, wybrany król czeski, cale nie pragnie panowania w Czechach. Naród czeski zgodną go wołą monarchą swoim okrzyknął i na tron powołał, on zaś uległ narodu tego głosowi, któren tym razem głosem Bożym jest; zarazem uległ litością zdjęty, boć naród czeski wieloma względami blizki Polakom, chociażby jeno spólność języka wspomnieć. W takim okoliczności zbiegu, gotów jest Kaźmirz, dobro całej społeczności chrześcijańskiej mając na oku, zrzec się praw swoich, zrzec się tronu ofiarowanego, lecz z tym warunkiem, jeżeli miłościwy monarcha rzymski i węgierski podobne uczyni zrzeczenie. Gdy się to stanie, panowie i szlachta czeska nowego wyboru dokonają, bądź z pomiędzy nich dwu, bądź z pomiędzy innych jakowych książąt, a wyborowi, takim dokonanemu ładem, nikt już słusznosci zaprznać móżd nie będzie.

Wszystkim się to oświadczenie podobało, jednomyślnie je za najprostsza drogę do celu uznano. I przyszłoby do wyborów, o jakich mówił biskup krakowski, lecz Albert swego nie był pewnym. Wiele na jego wahanie wpływali doradcy, przedstawiając niebezpieczeństwo, jakie państwu rzymskiemu zagrozi, jeżeli Polska w Czechach się umocni.

— Rychle potem—mówili—i Węgry zagarnie, po które teraz już nieznacznie sięga. A tak Polska, zyskawszy dwie korony, po za granicami dzierżaw swoich terażniejszych, łacno wpływ swój i potęgę dalej rozszerzać będzie, ze zgubą państwa rzymskiego. W in-

teresie społeczności chrześcijańskiej leży nie pomagać Polsce do wzmaganania się i wzrostu, lecz ją w tem ograniczać.

Tak szeptali zausznicy Albertowi, pomiędzy zaś nimi najwymowniejszymi byli ze strony mistrza wielkiego Krzyżaków narzuceni—zakonowi bowiem zależało głównie, by orłowi polskiemu skrzydła podciąć, we wzlocie wspaniałym mu przeszkodzić.

Niedziela za niedzielą ubiegały, obradujący od skutku zamierzonego byli daleko. Aż razu pewnego, Albert na poufną rozmowę arcybiskupa gnieźnieńskiego do siebie zaprosił, po której arcypasterz wrócił z obliczem rozjaśnionem i wnet zwoławszy do siebie posłów polskich, oznajmił im, że wreszcie Duch Ś-ty myśla natchnął błogą Alberta.

— Skończą się zatargi wszelkie niebawem—rzekł —król rzymski szczerze się przede mną zwierzył i pewność swej szcerości dał. Sprzyja on wielce panu naszemu Władysławowi i królewiczowi Kaźmirzowi, sprzyja całemu narodowi polskiemu, bo w sojuszu z nami widzi dobro państwa rzymskiego. A chcąc przychylności swojej dowieść, życzy, by starsza jego córka połączyła się związkim małżeńskim z Władysławem, młodsza zaś, której we wianie korona czeska przypadnie, z Kaźmirzem... Cóż na to mówicie? Według mnie, taki układ sprawę sam przez się załatwia...

Co gorętsi panowie przytaknęli arcypasterzowi, jeno Zbigniew z Oleśnicy milczał. Wincenty do niego się zwrócił:

— Widzę z oblicza waszego, że wątpliwość macie jakowąś... Wyjawcie ją. Zdrajcy między nami niema.

— Pięknie mówi Albert zaiste — ozwał się Oleśnicki—ale co znaczą słowa? Jako wiatr zmienne one są w stosunkach ludzkich...

— Pewność dał—powtórzył arcybiskup.

— Jaka? Wybaczcie, ojcze mój, że brak ufności okazuję, lecz doświadczeniem nauczony, w sprawach państwa muszę wszystkiego dotknąć, niby Tomasz boku Zbawiciela.

— Uroczystą przede mną wykonał przysięgę — rzekł Wincenty—na Ewangelii przysiągł, bez żadnych wykrętnych zastrzeżeń. Wszak to pewnością nazwać można...

— Przysięga...—powtórzył Oleśnicki z westchnieniem—byłże kto przytem? została-li stwierdzona jakim dokumentem?

— Rozważaliśmy sprawę poufnie — zauważył arcybiskup, nieco dotknięty.

— Dlaczego tajemnica?

— I to mi wytłumaczył. Albert pragnie, żeby układ w czasie właściwym, w sposób przynależny został ogłoszony i wykonany, w przeciwnym bowiem razie zdawałoby się mogło, iż spowodował go jaki przykus, jaki z naszej strony ucisk, przez coby powaga majestatu rzymskiego ucierpiała. Powód, zda mi się, słuszny zupełnie.

— Przemawia za nim pozór—odparł niewzruszony Oleśnicki.—Albert przyrzekł, przysiągł nawet, lecz ponieważ układ zawarty w tajemnicy, ma w każdym razie furtę otwartą. Po za nim stoi rada koronna, Ojciec Święty, którzy, gdy układ ich wiadomości dojdzie, przeczyć będą i ostatecznie nie pozwolą, żeby do skutku przyszedł. Wówczas, ojcze mój, Albert powie:

„Otom w porządku, chciałem dotrzymać, lecz sami widzicie, że nie mogę.“ I zaiste będzie w porządku, my jeno ostaniemy w nieporządku, żeśmy nazbyt łatwowiernymi byli... Bo co do mnie, widzę w tem zamach na łatwowność nasza—dodał goręcej.—Wierząc Albertowi, łącno teraz przystaniemy na takie warunki pokoju, jakie on sam podyktuje. Pewien jestem, że o to mu idzie, w tem rdzeń sprawy. Niechętnie ja patrzę na ubieganie się o koronę czeską, wiecie z jakich powodów; lecz ponieważ już zaczęliśmy, kończmy bez obrazy godności własnej... Układ potajemny zawarty, zgoda: my wszelako nie ulegajmy pochopnie żądaniom Alberta w sprawie, dla której tu przybyliśmy. Taka rada moja.

Atoli większość posłów uważała obawy Oleśnickiego za przesadzone i ci posłowie odtąd dla Alberta skłonność okazywać poczęli większą, stracili gorliwość w popieraniu sprawy czeskiej, którą przecież układ potajemny najpomyślniej dla Polski rozwiązywał. Widząc to, Albert coraz trudniejsze warunki pokoju stawiał, wreszcie oświadczył, iż od praw do korony czeskiej żadną miarą odstąpić nie może. To przekonało posłów łatwownych, iż Oleśnicki dobrze widział rzeczy, zaś oni byli krótkowzrocznymi. Oburzenie powstało wielkie.

— Toć hańba dla nas, upokorzenie sromotne! — wołali ciż sami łatwowni posłowie. — Po to nas tu Albert ściągnał, iżbyśmy patrzyli na jego krętaactwa? Nie dla nas lisy farbowane! Jako żywo ścierpieć tego nie lża...

— Rozumie się — przytakiwali inni. — Niema co



prorowadzić układów z takimi szalbierzami. Niechaj oręż rozstrzyga, przy kim słuszne do tronu czeskiego prawa.

— Plunąć na wszystko i wracać! Za kogo nas Niemce mają? Cóżemy to sroce z pod skrzydła wypadli?!

— Wracać i taniec orężny w dalszym prowadzić ciągu. Nauczymy Niemce, jak to z nami igrać...

Bez zwłoki najmniejszej powsiadano na koń i precz z Wrocławia ruszono.

Albert, gdy mu doniesiono, jaki sprawa układów obrót wzięła, ręce załamał: nie spodziewał się, iżby do takiej ostateczności przyszło i wojny z Polską, wciąż Turczyzna czując na karku, wcale sobie nie życzył. Legaci papieża i soboru winę złego rzeczy obrotu na niego składali.

— Słuchałeś, miłościwy panie, złych doradców — mówił biskup Alfons — myśmy przestrzegali, żeby struny nie przeciągać. Wolej koronę czeską poświęcić, niż chrześcijaństwo całe na zgubę narazić.

— Za jakąbądź cenę trza posły polskie z drogi wrócić i układ z nimi zawrzeć — dodał biskup Scyni. — Bacz, panie iż, wojna z tak potężnym narodem i ciebie w otehłań zguby pchać może.

Albert głowę stracił, jeno lamentował, na nic się zdobyć nie mogąc. Wyrzekał ze łzami w oczach:

— Cięży mi na skroniach i sumieniu ta korona! Oto przez złych doradców otoczony jestem, oni mnie na manowce zawiedli... Co począć! Co począć!

Na tem stanęło, iż z jego upoważnienia legaci w te pędy za posłami polskimi się udali, aby ich do Wrocławia zawrócić i na nowo układy rozpocząć. Udało im się posłów nagnać, lecz żadną miarą do Wrocławia

wia sprowadzić ich nie mogli. Z wielką trudnością, łzami nawet błagania popierając, tyle dokazali, że za-  
trzymano się w Namysłowie, tam radcy Alberta doje-  
chali i ponownie nawiązali układy. Lecz już do po-  
rozumienia szczerego przyjść nie mogło, pokój trwały  
skleić się nie dał; Polacy, na gorącym sparzeni, dmu-  
chali i na zimne—żądali, iżby naród czeski sam w spr-  
wie oddania tronu czeskiego stanował. Skończyło się  
tedy na rozejmie z tem zastrzeżeniem, iż tego roku,  
w dzień 3-go Jerzego, obadwaj królowie, Władysław  
i Albert, zjechać się mieli na granicy Węgier i Pol-  
ski, w celu utrwalenia pokoju. Albert odetchnął:  
sprawa się przewlekła, lecz bez rozlewu krwi.

Tegoż dnia, gdy Alberta zawiadomiono o skutku  
osiągniętym w Namysłowie, do gospody jego we Wro-  
cławiu wszedł Spytek Melsztyński. Przebywał on  
w tem mieście przez cały czas trwania układów, lecz  
ukrywał się starannie, żeby nie być przez posłów polskich  
sposprzeżonym. On to głównie, wspierany przez wy-  
słańców wielkiego mistrza Krzyżaków, z którym był już  
od pewnego czasu w ściślejszym związku, jak również  
przez panów niemieckich i czeskich, niechętnych Polakom,  
wpłynął na Alberta, iż na żądanie Oleśnickiego nie  
przystał. Albert teraz czuł żal do niego, a przyjął go  
tembardziej niechętnie, iż srodze dolegała mu noga,  
którą był mocno nadwyrężył, ze schodów spadłszy.  
Gdy Spytek w komnacie się zjawił, właśnie ją medyk  
balsamami nacierał, co monarcha znosił nie bez gło-  
śnych jęków i sykań.

— Al to wy grafie... — rzekł, postrzegając Mel-  
sztyńskiego—widzicie: wszystkie biedy odrazu na gło-  
wę moją spadają... Z posłami Władysława prawie za-

dnego skutkuśmy nie osiągnęli, prócz (bo prawdę trzeba wyznać) wstydu, a tu jeszcze szwank mnie dotknął. Kto wie, czy do końca życia chromać nie będę. Do katala co za ból...

Spytek milczał, bo właśnie medyk, szwank opatrzywszy, napój uspokajający monarsze podawał. Albert, po zażyciu go, oddalił medyka, a sam na sam zostawszy z Melsztyńskim, znów się do niego zwrócił:

— Żądaliście pilno posłuchania? Z czem przychodzicie? Co się stało? Byle nie złego...

— Przychodzę pożegnać się z miłościwym panem, za chwilę odjeżdżam—rzekł Melsztyński.

— Jakoś się wam spieszy po nawarzeniu bigosu—podchwycił z przekąsem Albert.—Bo to za waszą sprawą z posłami Władysława nie doszliśmy ładu... Układ tajemny z arcybiskupem waszym jest pomysłem, ręczyliście, że to środek niezawodny, tymczasem...

Dłonią zamachał i syknął, za nogę się chwytając.

— Pali! Pieczel! Rwie, by rozpalonemi kleszczami! — ciągnął po chwili, skrzywiony niemiłosiernie.— Tak, grafie. Za nie wasza rada: rzeczy pozostały w zawieszeniu, a szczerze powiadam — wolałbym pewnością osiągnąć. Gdyby mi poganie nie zagrażali...

— Miłościwy panie, nie się złego nie stało — ozwał się Melsztyński. — Owszem, racz wierzyć, iż dziś z Władysławem rozejm jest dla was więcej na rękę, niż trwały pokój. Pokój mógłby zostać zawarty po ustanowieniu nowego króla czeskiego obioru, którego wiadomo, mógłby wypaść dla miłości waszej niepomyślnie, tymczasem...

— Tymczasem—przerwał Albert gniewnie — na-

dejdzie nowy zjazd, na którym warunki Władysława przyjąć muszę, bo on, już to widać, od tego nie odstąpi.

— Do ś-go Floryana, miłościwy panie — rzekł Melsztyński dobitnie—wiele zmienić się może i, tuszę, zmieni się... Kto wie nawet, czy się Jagiellończyk na tronie utrzyma. Słońcem go nazywają, ale i słońca gasną...

Albert wpatrzył się w niego.

— Powiadajcie, grafie, wyraźniej...—rzucił krótko.

— Wiecie, miłościwy panie, że w Polsce nie wszyscy są z Jagiellonów zadowoleni: obcy to przybysze, zajęli tron, który się ojczycom należy. Żyją jeszcze Piastowicze...

Gestem mu przerwał Albert.

— Jużeście nieraz powtarzali, a jednak z drugiej strony co inszego słyszę. Jagiellonowie siedzą w Polsce mocno.

— Nie za bardzo, o czem się, miłościwy panie, rychle przekonasz—odparł cierpko Melsztyński.

— A! a! Mówicie, grafie, o waszych zamysłach...—mruknął Albert.—Hm! legaci uważają je za płonne...

Pons na oblicze Melsztyńskiego wystąpił, dłoń mu zadrgała.

— Legaci trzymają za jedno z klechami polskimi, którzyby radziby mnie w łyżce wody utopić!—zawołał. — Nie wierz im, miłościwy panie! Odjeżdżam, rychle o mnie usłyszysz, ale przypominam, iż pomoc mam przyrzeczoną...

Albert się zakrztusił, sykać zaczął i za nogę chwytać. Panowie niemieccy i wysłańcy mistrza wielkiego skłonili go, iż istotnie pomoc dać zbrojną Melsztyńskiemu przyrzekł, jeżeli ten wojnę domową w Pol-

scie wywoła, dowodząc, iż owa wojna uwolni go na zawsze od roszczeń Polaków do Czech i Węgier. Chwiejny Albert dał się skusić, lecz po rozwadze, w gruncie prawy charakter posiadając, żałował przyrzeczenia i przemyślał, jakby słowo dane, bez ujmy godności, cofnąć.

— Przypominam, miłościwy panie — powtórzył Melsztyński, oczu nie spuszczać z monarchy—bo chwila nadejdzie niebawem...

— Ależ ja pamiętam—bąknął Albert, marszcząc się — tylko, że wobec rozejmu... osądźcie sami, grafie...

— Rozejm nie wadzi. Hufce ja, kosztem własnym, zaciągnąć i sprowadzić mogę; nikt nie będzie wiedział, że to pomoc z waszej, miłościwy panie, strony...

— A! a! W taki sposób myślicie...—podchwycił Albert.—Bardzo, bardzo mądrze... O! wy, grafie, macie głowę... No, juści niewątpliwie, skoro przyrzekłem... tak... niewątpliwie... Ale czy się nad siły nie porywacie? Co? Czyście wymiarkowali wszystko? Bo to ci Jagiellonowie... ten biskup krakowski...

Głową pokręcił znacząco.

— Miłościwy panie!—odparł Melsztyński dumnie, z wielką pewnością — niech jeno ja żagiew do stosu przyłożę, a potęga Jagiellonów pójdzie w popielisko. Ręczę za to. Stronnictwo w kraju mam silne, przytem pomoc mistrza wielkiego, Czech, z waszej dłoni... Przy takiej sile, nie może być, żeby się Jagiellonowie ostali.

Albert na łożu rzucać się począł i jęczeć:

— Co za ból! Kości świdruje! rwie! pali! Wybaczcie grafie... w takiej chwili trudno myśli zebrać...

— Jechać muszę, miłościwy panie — nalegał po-

chmurnie Melsztyński widząc, że Albert pragnie go się zbyć czemprędzej — a przed odjazdem radbym porękę niewzruszoną otrzymać...

Monarcha z pod przymrużonych powiek na naręta spojrział, odchrząknął i rzekł, jak gdyby do siebie:

— Śmiałe! bardzo śmiałe plany! Słyszę ja inaczej o Jagiellonach, ale... ale... wy najlepiej wiecie co i jak. Jeżeli siłę macie za sobą... ha! może się wam uda. Radzić wam — nie mogę. Na rzeczy się nie znam i... sumienie mi zakazuje. Rozejm zawarty.

— Ze słów waszych, miłościwy panie, rozumiem — podjął gorączkując się Spytek — jakoby postanowienie wasze zmianie uległo, a przecież słowo monarsze rzecz święta...

— Nadto szparki jesteś, grafie — odparł Albert powoli, wyrazów dobierając i waząc je — słowo się rzekło, pomoc mieć będziecie, ale... ale... ja się na czoło wysuwać nie chcę, nie mogę. Sami to zauważyliście... Widzę w was ducha niepospolitego, ufność nadwyzczajną... Jeżeli rachuby was nie zawodzą... kto wie...

— Ufam również — dodał jeszcze, chwilę wytrzymawszy — jako zamysłami waszemi ojczyzny miłość kieruje. Wojna domowa straszliwą dla kraju jest klęską, jeno ostateczna, rozpaczliwa potrzeba ją tłumaczy... Jedźcie z Bogiem.

— Idzie o to najgłówniej — upomniał się Melsztyński już na odchodnym — bym zwłoki nie doznał. Pomoc spóźniona żadnej nie przynosi korzyści.

— Rozumie się — potwierdził Albert — i chwałę wam, że się tak przezornie warujecie. Pomyślności wam życzę w przedsięwzięciach... A! ten ból! ten ból!

Jęczał i wyrzekał Albert przy Melsztyńskim,

lecz gdy ten opuścił komnatę, zaprzestał udawania, ramionami wzruszył, usta pogardliwie odął i szepnął:

— Zdrajca! Po co było się z nim wiązać?

A puszczejąc wodze myślom, jął rozważać:

— Haniebniem się oplątał... Ale to nie moja wina! nie moja! W otchłań grzechu człowiek brnie dla dobra państwa, dla jego potęgi... Kłamstwo, obłuda, zdrada, wszystko dla korzyści uchodzi... Ciężkiem! ciężkiem brzemieniem jest korona!

Westchnął i zamyślił się, po chwili rzekł półgłosem:

— Może się temu wicherzycielowi uda... Co za duma szalona! Co za gwałtowność! Jaka siebie pewność! Tak — człowiek ten albo stanie bardzo wysoko, albo sromotna zguba go czeka... Ostatnie pewniejsze, bo nienawiść, gwałtowność, pycha — zaślepiają, a po omacku do celu się nie trafia. Żałuję, żem mu pomoc przyobiecał: nie moja wina! uległem panom radcom koronnym... Korzyść z tego być może, ale nie dla zbawienia dusznego, nie dla sumienia... Bóg przebaczy — wszak wszystko się robi dla chwały tej korony, z Jego otrzymanej woli...

Przeżegnawszy się, ujął do rąk leżący przy wężłowi różaniec i pobożnie szeptać począł:

— *Pater noster...*

Melsztyńskiego chwiejność Alberta oburzyła i zaniepokoiła, lecz panowie radni korony, którzy monarchą powodowali według upodobania, upewnili go, że na pomoc przyobiecana liczyć może, jak na prawicę własną. Opuścił tedy Wrocław z dobrą fantazją i przemykał się w swoje strony uboczami, nie chcąc, iżby się dowiedziano, że i on uczestniczył w zjeździe.

Ale biskup Oleśnicki baczne miał oko: już w Namyślowie dowiedział się, że Melsztyński złym duchem był obrad pokojowych, że się do ich pogmatwania w znacznej przyczynił mierze. I o tem mu doniesiono, że sobie pomoc Alberta zjednał przeciwko Władysławowi, co jednak Oleśnickiego bynajmniej nie zatrwożyło. Rzekł do brata Głowacza:

— Nie nowina to, że wszystkich, świat cały, radby przeciwko nam podburzyć, ale daremne usiłowania jego. Tak! tak! nazbierał polan do stosu niemało, ludzi się jednak, że zdoła go podpalić. Nie spuszczaam go z uwagi i tuszę, że rychło go się pozbędziem.

— Oby to się stało jak najprędzej! — westchnął Głowacz. — Wszystkim ta zhora dojadła, a myśmy zwłaszcza, bracie, życia niepewni...

— Cierpliwości!—na to biskup tonem poważnym, jakim zwykł był przemawiać, gdy ogłaszał co niewzruszenie postanowionego.—Kres nadszedł, uprzętniemy go z drogi. A wyznam ci, bracie, szczerze, iż mocno go żałuję: człek ten mógłby pierwsze w kraju zająć miejsce, gdyby go szatan pychy i zawiści nie opętał.

— W tem cała bieda!

— Uległ pokusie, w grzech popadł, karę otrzymać musi. Jużem go w sumieniu skazał i wyrzutów nie czuję...

— Tedy miarkuję, że zaraz po przybyciu do Krakowa z nim się uwiniemy?

— Jeśli co ważniejszego nie zajdzie—potaknął biskup.

— A toć zmiłujże się, bracie mój, cóż ważniejszego i pilniejszego nad to być może?—podchwycił go-



raćo Głowacz. — Opętany ten człowiek niedość, że w samem gnieździe naszym, w kraju samym, po piętach nam stapa, jeszcze nas ze wszech stron wrogami otacza, niby zwierza w kniei. Za błąd wielki uważam by najmniejszą folgę w takim rzeczy zbiegu. Najgorsze skutki stąd wyniknąć mogą dla kraju!

— I wynikną—dla niego. Bądź spokojny i ufaj roztropności mojej. Czuwam, baczenie daję. Powtarzam tobie: Melsztyński już osądzon.

— Zaś tam osądzenie takie co znaczy, kiedy wolny jest i broi.

Dojeżdżając do Krakowa, zatrzymał się biskup z bratem w Kobierzyskach, w gospodzie tamtejszej, umyślnie dla wygody podróżnych zbudowanej. Trza było koniom dać wytechnąć i sami też musieli kości rozprostować. Gospodny krzątał się jako mógł najzwawiej, takich gości się doczekawszy i mocno się frasował, czem ich ma przyjmować; ale biskup na mleku grzanem z zacierką poprzestał, nie był bowiem w posiłku wybrednym. Trudniej było dogodzić Głowaczowi i tego przecież zadowolilił misa kaszy, dobrze szperką omaszczonej, a że także piwo cale przednie się znalazło, więc marszałek zgola na gospodę się nie krzywił. Posiliwszy się wypoczywali, oczekując, dopóki czeladź nie da znaku, że czas w drogę, gdy w tem przed gospodą zatętniało—liczny jakiś dwór nadjechał, konno i zbrojno. Gospodny, wedle obyczaju, wybiegł witać i zapraszać, ale wnet powrócił strwożony, bład, szepcąc:

— Bodajby inszą drogą byli jechali...

— Kogożeś się tak uląkł? — zapytał Głowacz, śmiejąc się z przestrawu chłopa, lecz urwał i zmarsz-

czył się, spostrzegłszy wchodzącego do izby Melsztyńskiego.

Ten snąc już od ludzi wiedział, kto tu gościem, bo stanął pośrodku, kołpaka nie zdejmując i pod boki się ująwszy, wydziwiać począł szyderezo:

— A! Jakoś się drogi nasze spotykają, biskupie wielebny... Miarkuję, że do uczynku pomiędzy nami przyjść musi, kiedy tak się darzy...

Głowacz dłoń na rękojeści miecza położył, a chociaż go język mocno świerzbiał, słowem się nie odezwał. Biskup też w milczeniu do odjazdu wybierać się począł. Melsztyńskiego ta obojętność pogardliwa odrazu w rozdrażnienie wprowadziła.

— Cóż to—zawołał — nie raczycie słowem mnie obdarzyć? Nie godzien jestem tego? Wszakci niedawno sam mnie szukał, sam napastował, biskupie wielebny?

— Jam do ciebie, Spytku, słowo ostatnie już powiedział i do dodania nic więcej nie mam—odparł biskup spokojnie.—Anim cię zaś napastował, bo to nie w naturze mojej i szacie, jaką noszę, nie przystoi. Szukałem cię, to prawda, w tem mniemaniu jednak, że masz jeszcze duszę; ale skorom się przekonał, żeś ją zaprzepaścił, żeś ją zgubił... już cię szukać nie będę.

— O! o! tak gadasz?! — ze śmiechem przerwał Melsztyński.—A możeś ty, biskupie, duszę moją znalazł? Co? Przyznaj się?

— Bogubym za to dziękował, lecz, niestety! tak się nie stało...

— Przyjdzie mi, widzę, samemu za duszyczką swoją się uganiać... Chociaż, biskupie wielebny, coś

miarkuję, że moja dusza w pewnym miejscu siedzi i długo jeszcze siedzieć będzie, zaś o twojej tego nie powiedziałbym. Wszystko mi się wydaje, jako twoja duszyczka rwie się okrutnie do rajskich szczęśliwości i gardło dam, jeżeli nie czeka sposobu, iżby jej kto tam się dostać pomógł...

— Gardło dasz, to wątpliwości nie ulega, ale za swoją duszę, a raczej za niecnoty, jakimiś ją zbezczeszcisz!—ozwał się Głowacz szorstko.

Zmierzył go wzrokiem piorunującym Melsztyński.

— Nie do ciebie gadam, pacholcze królewski! — huknął butnie, ale się pohamował i dodał, rzekomo rubasznym tonem:—Ot! wyrwało mi się lada co... Zdrożenie człeka kwaśnym i porywczym czyni, a jeszcze mnie do porywczości niewiela trza. Taka natura nieszczęśliwa...

— Skoro wiesz, co ci nieszczeście przynosi, czemu się tego nie wyrzekniesz?—mruknął Głowacz, wraz z bratem gotujący się do opuszczenia gospody.

Ręce rozłożył szeroko Spytek i odparł, żal udając:

— Chciałoby się bez grzechu ostawać, ale niekażden może być takim bez zmazy, jak nie przymierzając—wielebny biskup krakowski, a chociażby i ty, marszałku. Cóż robić! Stary już jestem! Nie pora do innego ładu się wezwyczać...

— Na poprawę zawdy czas—zauważył biskup.

— Jak komu...—na to Melsztyński, ponieważ go jednak bodło, że Oleśnicy lekceważenie mu okazują, zapytał, nie tając zjadliwości:

— Jakoś okrutnie się śpieszycie. Mógłby kto powiedzieć, że to ja was z tego miejsca wypędzam...

— Nikt tego nie powiedziałby, gdyż każdemu

wiadomo, że się wysadzać z miejsca nie pozwalamy nikomu—odciał Głowacz. — A że z tobą pod jednym dachem siedzieć niesłodko, to także pewna...

— Ejże!—pochwycił Melsztyński—tak mi jakoś po głowie chodzi, że tam, dokądście jeździli, żółcią was napojono, więc na mnie niewinnym szukacie odwetu...

Rozśmiał się, to powiedziawszy, a Głowacz, w oczy mu bystrze patrząc:

— Wiesz ty najlepiej, czem nas traktowano, boś tam był sam i samś pono on trunek warzył...

Zatrząś się Melsztyński, wykrzyknął:

— Co ty mi będziesz fałsz do oczu ciskał? Widziałeś mnie? Gdzie masz świadectwo, że we Wrocławiu byłem? Gadaj zaraz?

— Aha! zagorzał kołpak na złodzieju! — rzekł pogardliwie Głowacz.

Melsztyński zaś, rzuciwszy się ku niemu, wołał:

— Ja ci ozór wyrwę! Ja wam obu posoki utoczę! Ja was nauczę!

— Spytku! nieprzystojności zaniechaj—ozwał się biskup, stając między napastnikiem a bratem.—Żdźbła fałszu w tem niema, coś usłyszał. Nie ukrywaj się, wiedzą o twoich knowaniach... We Wrocławiu byłeś, wspólnie z Krzyżaki i innymi krukami, co na Polskę dybia, jak gdyby padłem była; zawarcie pokoju przeszkodziłeś, a jeszcze sobie pomoc u Alberta zjednał, wiesz wszakże przeciw komu! W oczy mi pojrzyj i zaprzecz...

— Myślisz, że się wzroku twego ulękne, biskupie?—przerwał zuchwale Melsztyński.—Ano, patrzę ico? Choćbym i był we Wrocławiu, to mi przecież wolno,

jak zarówno wolno mi obrony szukać przeciw wrogom, którzy na zgubę moją dybią...

— Sam ją sobie gotujesz, człecze nieszczęsny — odparł biskup — a nie można cię od tego nijakim sposobem wstrzymać! Ja jużem ci ostatnie słowo powiedział w Piotrkowie, ty... końca patrz. Ostań z Bogiem i niech ci upamiętanie przyjdzie...

Głową nie skinąwszy nawet, wyszedł z Głowaczem, mimo uszu puszczać wymysły, które za nim miotał Melsztyński, a w drodze to tylko do brata powiedział:

— Po świętach Zmartwychwstania Pańskiego zjazd w Nowym Korczynie zwołamy: tam z tym szalonym człkiem skutek uczynim...

W Krakowie biskupa mnóstwo spraw czekało; zaledwie wrócił, obleżono go ze wszech stron. Inszy w takim odmiecie głowę straciłby, ale dla Oleśnickiego nie trudnego nie istniało, znajdował i czas, i radę na wszystko. Dziwować się było, jak temu człowiekowi sił wystarcza... Nazajutrz po przyjeździe oznajmiono mu, że starszyzna gminy żydowskiej, wraz z najprzedniejszymi przedstawicielami Żydów krakowskich, najpokorniej o posłuchanie proszą, co zastanowiło biskupa i domysł podsunęło, że z czemś ważnem przychodzi. Wpuścić ich tedy kazał.

Była onych Żydów gromada spora; stanęli przed biskupem w szatach pokutnych, poszarpanych, z opopielonemi głowami, a rzuciwszy się na kolana, z płaczem i jękiem wołać poczęli, to ręce do góry wznosząc, to je załamując:

— Tyś tu głowa! Tyś ojciec! Zlituj się nad nami! Ratuj nas! Nie pozwalaj na zgubę naszą...

Cofnął się biskup na widok niezwykły, a lament taki słysząc, obrzucił przybyłych wzrokiem baczny.

— Co to znaczy? Co się stało? Czego żądacie? — zapytał.

Przewodniczący Żydom, rabin najwyższy, starszec mocno leciwy, z białą, by mleko, rozwichrzoną brodą, tak przemówił głosem drżącym, nieco jakby śpiewnie, a z wielką żalnością:

— Błagał Tego, który świat stworzył, który wszystkim widzialnym i niewidzialnym włada, najprzedniejszy z władców Izraela, Dawid:

„Nakłoń, Panie, ucha Twego, a wysłuchaj mnie, bom ci nędzny i ubogi...”

Zmiłuj się nade mną, Panie, albowiem do Ciebie na każdy dzień wołam...

Boś Ty, Panie, dobry i litościwy, i wielce miłosierny, wszystkim, którzy Cię wzywają...

Wysłuchaj, Panie, posłuchaj pilnie głosu prośby mojej...

Wzywam Cię w dzień ucisku mego, bo Ty mnie wysłuchasz“.

— Bo ty mnie wysłuchasz! — jęcząc, powtórzył wszyscy inni Żydzi za rabinem, ten zaś dalej prowadził:

— I błagał najprzedniejszy władca Izraela Tego, który wszystko stworzył i wszystkim włada:

„Tyś jest wielki, uczyn sprawiedliwość, a będę chwalił i ze wszystkiego serca wielbił imię Twoje na wieki...”

Powstali hardzi przeciwko mnie, a rota okrutników szuka zguby mojej...

Aleś Ty silny, miłosierny, i litościwy, i prawdziwy...

Wejrzyj na mnie, a zmiłuj się nade mną...

Okaż znak dobroci Twojej, aby to widząc ci, którzy mnie mają w nienawiści, zawstydzeni byli, żeś mnie poratował i pocieszył...“

— Okaż znak dobroci! Wysłuchaj! — powtórzyli znów inisi.

— Ojcie najwielebniejszy! — ciągnął rabin—tak my do ciebie wołamy, jako wołał najprzedniejszy władca Izraela do Tego, który potężniejszy nad wszystko, bo oto nasycona jest utrapieniem dusza nasza, a żywot nasz niepewien jest jutra... Jesteśmy bez wszelkiej mocy, policzeni między umarłych, leżących w grobie, straceni do najgłębszego i najciemniejszego miejsca... Doległa nam zapalczywość człowieka złego i wszystkimi nawałnościami namiętności swoich nas przytłoczył. Oko nasze zemdląło od utrapienia, dusza zemdląła od gwałtu... Strachy ponosim i sami sobą się trwożym... Zły człowiek trwożą nas ogarnął i rwie ona nas, jako woda bystra, i ze wszech stron otacza gromadno... Prawa mamy, a łaski panów tej ziemi, których ty prawicą i wolą jesteś, a krzywda nam się dzieje, tedy z płaczem wołamy: sprawiedliwość nam uczyn! W imieniu Tego, któremu Tabor i Hermon śpiewają hymny, błagamy: zmiłuj się nad nami! Bo ramię twoje mocne jest, mocna jest ręka twoja, a wyższona jest prawica twoja...

— Uczyn sprawiedliwość! Zmiłuj się nad nami! — zajęczał chór pokutniczy.

— Powiadajcież jasno—przerwał Oleśnicki—uwagam, że ze skargą przychodzicie... ale kto was ukrzywdził? co się stało?

— Gwałt się stał, jakiego jeszcze w Krakowie

nie było! — skarżył się rabin. — Najczcigodniejszego z gminy naszej, męża pobożności niesłychanej, sprawiedliwego i mądrości wielkiej, którego znasz, najwielebniejszy biskupie, hańba spotkała, sromota i krzywda... Dom jego zrabowano, w popiół obrócono tak, że kamień na kamieniu nie pozostał; wielu sług jego w zgliszczach śmierć znalazło, a córkę porwano, by ją zbezczęścić... Jego też samego podstępnie uwieziono, a co się z nim dzieje — nie wiemy... Zmiłuj się, najwielebniejszy, ulituj! Sprawiedliwość i sąd są gruntem Polski, którą oby Ten błogosławił, co aniołów trzyma w straży Swojej... Nawiedz, panie, różgą gniewu krzywdzicieli enotliwego Ozera, a karaniem nieprawość ich...

— Ukarz nieprawość ich! — jęknął chór pokutniczy.

— Więc tu o Ozera idzie? — zapytał biskup.

— O niego, panie, który był gwiazdą gminy naszej, bo jak gwiazdy świat blaskiem swoim obdarzają, tak on obdarzał nas mądrością swoją i pobożności przykładem — odparł rabin. — Żył w spokoju, nikomu wody nie macając, sędziwości się doczekał, córki urodziwej dochował, którą nad życie miłował, a także łaska Boża dostatek jego rozmnażała, co słusznie się należało sprawiedliwemu... I oto dom jego teraz w popieliskach, córka uwieziona, dostatek rozgrabiony, a niewiadomo, czy on sam przy życiu zostaje...

— Być nie może! — oburzył się biskup. — Któż to uczynił? Powiadajcie wyraźnie...

— Ich miłości państwo Rawici to wszystko sprawili, podstępnie niecnego zażywszy — mówił rabin. — Wezwali go do Konar, rzekomo do szwankującego na



zdrowiu pana Jaszka, a gdy tam pojechał, dom jego z ziemią zrównali, dobro uwieźli i jedynaczkę córkę... Gwałt ten niesłychany, w biały dzień, pod bokiem króla i tronu, wielebny pasterzu, zali ma ujść bez kary?

— Zmiłuj się! Ulituj! Sprawiedliwość okaż! — znów jękliwie zawodzić poczęli towarzyszący rabinowi.

Zmarszczył czoło biskup, zamyślił się i przez chwilę milczał rozważając. Rawitów oddawna miał na oku, a z każdym dniem szala ich grzechów więcej się obciążała. Oskarżał ich głos ogólny. Gdyby nie to, że Melsztyńskiego mieli za sobą, jużby ich dosięgła dłoń sprawiedliwości. Melsztyński stanowił przeszkodę ku temu, był niejako ich puklerzem, po za którym czuli się bezpiecznymi—do czasu.

— Rawici!—powtórzył, jakby do siebie Oleśnicki —z nimi też pora skończyć... Duchy to złe, przy których spokoju zaznać nie można. Tu w życie Jelity z Oporowa godzą, tu znów gwałt z onym Żydowinem...

A zwracając się do rabina, zagadnął:

— Macie-li świadectwo przeciw nim? Gołym słowem w takich razach ufać nie lża...

Świadkowie się znaleźli, bo jakkolwiek Skower wszystkich domowników Oзера obezwładnić polecił, kilku z nich zdołało się z więzów, acz już po niewczasie, uwolnić, i od nich właśnie się dowiedziano, co i jak się stało. Biskup tedy zapewnienie rabinowi dał, że w sprawę wejrzy i uczyni, ile będzie można, żeby Ozera oraz Esterę uwolnić, a sprawców gwałtu stosownie ukarać.

— Wszelako w mignieniu oka stać się to nie może—kończył—panowie Rawici do takich ludzi nale-

za, których byle garścią ująć niepodobna. Cierpliwość miejcie, sprawiedliwości zadość się stanie.

Wiedzieli Żydzi, że słowo biskupa za czyn waży— odeszli więc uspokojeni, otuchy pełni. Po nich, ku niezmiernemu zdziwieniu Oleśnickiego, nową do niego zanesiono skargę, lecz związek z poprzednią mającą. Stawili się mieszczanie krakowscy, krewni i przyjaciele Hocza. Od tych dowiedział się biskup, że Hocza do Ziemi Świętej się wybrał, aby tam u Grobu Zbawiciela wybłagać dla siebie odpuszczenie grzechu, jakiego się dopuścił, lgnąc ku kacerstwu, ale w drodze pochwycili go Rawici i do lochu wtrącili, skąd go wypuścić nie chcą, bez okupienia się. Rodzina Hocza godziła się okup złożyć, lecz stary Grot w chciwości swojej tak się okazał niepomiarkowanym, że zadowolić go sposobu nie było. Nie mogąc tedy z nim dojść ładu, zwrócono się do biskupa, aby on się w to wdał. Oleśnicki, zgrozą przejęty takim stekiem bezprawii, i tym proszącym nie odmówił. Zastanawiając się, w jaki sposób do Rawitów się weźmie, przyszedł do wniosku, że rozpocząć trza od upomnienia pasterskiego, gdy zaś ono chybi—dopiero środków ostatecznych użyć. Z góry przewidywał, że upomnienia nie pomogą; że poskromić takich wichrzycieli, jak Rawici, tylko najwyższą surowością można.

Traf zdarzył, że tego samego dnia do Oleśnickiego przybył kanonik Jan, syn kasztelana z Ossolina, w kościelnej jakiejś sprawie. Dwie Kozy, wieś, w której jako proboszcz zamieszkiwał, leżała nieopodal Konar, tedy przyszło biskupowi na myśl, iżby kanonik pod boki Rawitów mając, w jego imieniu ich upomniał. Kanonik, polecenie otrzymawszy, głową wstrząsnął.

— Uważam ja—rzekł—iż od upomnienia z nimi rozpocząć trza, tak chrześcijańskie nakazuje prawo; ale ojcze wielebny, próżne będą zachody, zwłaszcza moje. Wszakżeż oni rodu mego nawidzieć nie mogą. Wielą przyczyn się na ich złość złożyło, a najbardziej ta, że siostry Jaszkwici ich dać nie chcemy.

Dłonią po czole uderzył się biskup.

— Prawda!—toćże powodem onych zapasów Rawity młodego z Jelitą z Oporowa była siostra wasza, księżę Janie...—rzekł.—Całkiem przepomniałem... To jednak nie stanowi, możecie polecenie moje spełnić.

— Nie uchylam się, lecz, prawdę powiem... nie z wielką ochotą do Konar pojedę. Uragania i szyderstwa tam usłyszę, jakbym wiedział.

— Każdego to czeka, kto się ze słowem rozsądku przed nimi stawia—westchnął biskup. — Zresztą, jeśli macie u siebie męża zaufanego, któryby do nich przykre poselstwo odprawił, jego tam pchnijcie.

— Chyba towarzysz mój duchowny, ksiądz Albert?

— Wybór doskonały—pochwalił biskup. — Znam ks. Alberta, pomnę go: człek rozważny i wymowny. On niech do Konar jedzie.

— Aby z niczem wrócić?—uśmiechnął się kanonik.

— Trudno! Inaczej nie można... Jeżeli przestroga nie nie wskóra, będziemy w zgodzie z sumieniem karę wymierzając. Nie ode mnie ta kara wyjdzie bezpośrednio, jeno z dłoni królewskiej, lecz wiecie, że mimo, iż Władysław pełnoletnim uznany został, wodzić ręką jego muszę.

Rawici zaś nie przewidywali, że się nad ich głowami chmury piorunowe zbierają. Jaszko w najlepsze

z Esterą się zabawiał, a Grot i Łukasz do czynienia mieli z Ozerem, napróżno usiłując go skłonić, iżby się do myncarstwa wziął. Żyd ani słuchać o tem nie chciał, zawzięcie o uwolnienie z Konar się dopominał, jakby przeczuwając, że w domu jego coś się niedobrego stało. Oczywiście, że nie wiedział o Esterze, bowiem wciąż go trzymano w odosobnieniu, a Rawici nie widzieli potrzeby go zawiadamiać, iż ją do Konar zwabiono. Estera znowu, znajdując się pod wpływem upojeń miłosnych, bo się do Jaszka Rawity szczerze przywiązała, wierzyła święcie, iż Jaszko ją kocha, iż przez miłość z domu rodzicielskiego ją uwiózł, iż do zgonu wiernym jej pozostanie, — rzadko o ojcu wspominała, a nawet myśl o nim ze strachem oddalała. Jeżeli wspomnienie z ust jej się wyrwało, Jaszko zapewniał ją, że ojciec jej do domu już swego wrócił, że w dobrem pozostaje zdrowiu i że tak się wszystko uładzi, aby serca ojcowskiego nie straciła.

— Jenó trza na to czasu—mówił. — Burzy się twój staruch, mruceży i fuka, ale się udobrucha. Ufaj mi, szczerą mówię prawdę. Źle ci wszak nie jest, a jeszcze lepiej będzie. Nacieszmy się wprzód z sobą, potem świat ci pokażę, wszelkie jego wesela... Chwili smutku przy mnie nie zaznasz.

Słowa zwodnicze wystarczały do zupełnego uspokojenia Estery; tuliła się do Jaszka miłośnie i patrząc mu słodko w oczy, mówiła:

— Zali ci nie wierzę? Wszak poświęciłam dla ciebie wszystko, panie mój!

Jaszko, gdy tak szeptała, śmiał się w duszy i urągał łatwowiernej, taka w nim była natura przewrotna, do tego stopnia złemi uczuciami przesiąknięta.

Wreszcie starych Rawitów uporność Ozera zaczęła już niecierpliwic. Z początku czekali na Skowra, mniemając, iż on znajdzie sposób skuteczny i Żyda do myncarki nakłoni; ale gdy Skower przepadł, jako kamień w wodzie, sami postanowili sobie radzić. Ponieważ groźby nie pomogły, uciekli się naprzód do głodzenia.

— Tem go się najśnadniej weźmie! — obiecywał sobie Grot.

Ozer jednak na podziw wytrzymałość okazywał, czem do wściekłości dręczycieli doprowadził.

— Chyba go na męki wziąć i niemi zakamienialość przełamać? — rozważał Grot i byłby to uczynił, gdyby nie obawa, iżby Żyd wśród mąk ducha nie wyzionął.

Wytrzymałość jednak nie na długo Ozerowi starczyła: cztery dni przetrwał bez pożywienia; piątego, chociaż mu jadło przyniesiono, nie tknął go—leżał na marnym barłogu bez ruchu i słowa, trupio blady, z oczyma szklanemi, jeno poruszanie się warg, gorączką spieczonych, zdradzało, iż duch się w nim kołace; a szóstego znaleziono go bez życia. W ostatnich chwilach uporność starca przełamał strach, jakim go widmo zbliżającej się śmierci nappełniło, wołał, iż wszystko uczyni, co od niego żądają, ale nikt go nie słyszał. Zmarł, jak męczennik, lecz nie w obronie sprawy szlachetnej, jeno przez zawziętość i chęć, przez zemstę. Podstęp, z którego pomocą Rawici do Konar go sprowadzili, wolności pozbawiając; myśl, że względem córki jego żywią zamysły zdradliwe; wreszcie o niego obawa — wszystko to wzbudziło w nim zaciekłość fanatyczną. Miałżeby im odplacić dobrem za złe, uledz

ich woli, przyczynić się umiejętnością swoją do wzrostu ich możliwości? Nie! Zakon jego uczył: oko za oko, ząb za ząb. Zgodziłby się niewątpliwie na żądania szalbierze w innych warunkach, bo dla pożytku przed niczem się nie wahał, ale w danym razie zawziętość go oszołomiła, nią podniecony zapomniał, iż nierozważną podjął walkę. Opamiętał się po niewczasie.

Gdy o śmierci Oзера Rawitom powiedziano, Grot straszliwe przekleństwa miotać począł.

— Trza było—wyrzucał sam sobie — odrazu do smagania się zabrać, to nauczyłoby go rozumu. Szkoda sposobności, nierychle się podobna zdarzy. Ano, szczęście jeszcze, żeśmy mu komory obejrzeni. Obfitszego spodziewałem się połowu, wszelako... dobre i to.

Śmierć Oзера przyszła na rękę jednemu człowiekowi, w Konarach mieszkającemu: był nim Raróg, ów sługa zaufany Rawitów, którego do wszelkich trudniejszych przedsięwzięć używali. Temu Estera osobliwie w oko wpadła i żądze jego rozpałała. Od chwili, kiedy ją ujrzał, z głowy mu nie wychodziła; wciąż ją widział przed sobą, aż sam się tej zmorze dziwował. Z początku odpędzał pożądlivość, trunkiem się zalewał, mniemając, że w nim ją utopi; ale trunek bardziej jeszcze namiętne pożądania wzniecał. Przyszło do tego, że sypiać po nocach nie mógł, włóczył się pod oknami Estery i o ile mógł najczęściej do jej izby wchodził.

Była to izba niewielka, lecz całkiem obwieszona i wysłana makatami, kosztownym, lśniącym i miękkim zastawiona sprzętem. Jaszko kochankę przygodną dowodami swej możliwości olśnić usiłował. Raróg, wiarę i łaski nadzwyczajne panów posiadając, mógł chodzić

swobodnie po całym zamku, bez zwrócenia na siebie jakiegobądź podejrzenia, tedy nie dziwowano się, że tak często do Estery zaglądał. Mógł to czynić tembardziej bez obawy, bo Jaszko, rychło się urodą córki Oзера nasyciwszy, coraz częściej z domu wyruszał, to na łowy, to zabawy gwarnej szukając. Estera tego ochłonięcia uczuć nie zauważyła, miłością szaloną będąc zaślepiona, a zresztą Jaszko zawdy wdzięcznem słowem ukolysać ją potrafił. Raróg zaś oczy miał dobre, widział, co się dzieje, postanowił z tego korzyść wyciągnąć. Rozpoczął umiejętnie — powoli, bez gwałtowności, aż razu pewnego, więcej niż zwykle podniecony ognistym wzrokiem Estery, ozwał się:

— Wiesz, nadobna dziewczko, co ci powiem: oto, żeś wielce niesprawiedliwa...

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Ja?—powtórzyła. — W czem takim niesprawiedliwość widzisz?

— Jakże... Jednemu oddajesz wszystko, a dla innych nic nie ostawiasz—mówił rzekomo dobrodusznie, chociaż wrzał cały.—Tylko dla pana Jaszka masz pocałunki, pieśczoty, objęcia puchowe; on tylko może miodem powolności twojej się cieszyć: ja zaś, na ten przykład...

Zatrzymał się i dodał ciszej:

— Ester! Uczyni coś i dla mnie... Jam cię okrutnie polubił!

Estera wyprostowała się, dumna, jak królowa, wzrokiem go mierząc pogardliwym, rzekła wyniośle:

— Jak śmiesz, sługo, w taki sposób do mnie przemawiać? Precz mi z oczu! Odejdź natychmiast!

Raroga jakby osa ukąsiła — nazwa sługi spadła

na niego, jak policzek: złość uczuł i nie miarkując się, rzekł drwiąco:

— Sługo! Bacz kto ty sama jesteś... Jam sługa z dobrej woli; tak mi się żąda, więc panom Rawitom służę, a jeśli mi się niepodoba... cały świat przede mną otworem stoi — ty zaś, co jesteś? Nałożnica, do tego krwi żydowińskiej, która w pogardzie jest u wszystkich...

— Milez i precz! — przerwała gwałtownie.

— A! nie... czemu mam milezyć... Odrącasz mnie — dowiedz się, co cię czeka. Oto czeka cię największa w świecie poniewierka, bo rychle pan Jaszko z tej izby pięknej wypędzi cię na cztery wiatry. Myślisz, że się rozmiłował w tobie do zgonu, na amen? Tak pewnie gada, a ty mu wierzysz, boś głupia... Już teraz ekni mu się przy tobie i indziej uciechy szuka, ale cię jeszcze oszczędza... I nie możesz długo przy nim ostawać, bo niebawem małżonkę pojmie, Halszkę z Ossolina, która obok siebie miłośnic, zwłaszcza żydowińskiego rodu, nie ścierpi...

— To nieprawda! — zawołała Estera.

— Najprawdziwsza prawda — zapewniał Raróg. — Niedziwota, że wiary nie dajesz, bo cię twój stary w zamknięciu trzymał, więc świata nie znasz. Ba! i pana Jaszka nie znasz, a to ziółko. Nikt jak on do niewiast łąsić się nie umie. Liszka od niego w tej mierze chytrzejszą nie jest...

Odechrząknął i łagodnie, prosząco, szeptął:

— Widzisz, że pożytek mieć będziesz, jeśli dla mnie przychylną się okażesz. Już powiadam, że o tobie pamiętać będę. Srodześ mi się udała, Ester... Weź na rozum i łaskawą bądź...



Zbliżył się do niej, w objęcia chcąc ująć, ale Estera odskoczyła, odepchnęła go z mocą, jakiej po niej trudno się było spodziewać i cała w ogniach, wzburzona, wołać poczęła:

— Za drzwi, służalcze! Dowie się Jaszko, pan twój, na coś się ważył! Nie ujdiesz kary, obaczysz...

Zgrzytnąwszy zębami, oddalił się Raróg, a w duchu pomyślał:

— Czekaj! Złagodniejesz ty, by łania, jeno patrzeć... Będę cię miał, chociażby gwałtu trza było użyć!

Estera poskarżyła się Jaszкови na zuchwalstwo Raroga, a w trwogę ją wprowadziło, że niezbyt tę skargę wziął do serca. Rozplakała się i wyrzucać mu obojętność zaczęła, lecz młody Rawita pocałunkami i złudnemi słowy skutecznie ją uspokoił.

— Skarcę go należycie—zapewniał — nie uczyni tego więcej. A to wiedz, Ester moja, że trudno mu się dziwować: krew w nim gra, zaś ty tak urodziwa jesteś, że kamieniem chyba być trza, iżby na twój widok żądze się nie rozpałyły. No... zaprzestań szlochów, nie znoszę ich. Rozchmurz czoło, wesołą bądź. Raróg ode mnie pamiętne dostanie.

Czcze to były słowa—ani myślał karcieć Raroga, owszem rad był, że się on o Esterę pokusił. Przy spotkaniu rzekł do niego:

— Żydowinka moja chce, iżbym cię obwiesił. I wisiałbyś święcie, gdyby mi nie obrzydła... Wiesz o co idzie.

— Długi ma ozór, pogańskie nasienie!—mruknął Raróg.

— A długi. Owóz, mówię tobie, że mam jej

dosyć. Dziwnie prędko mnie nasyciła. Snać Żydowinki tylko w pokosztowaniu smakują... Zaczęłaś z nią — to kończ. Bez kłopotu przynajmniej pozbędę się jej...

Ośmielony w ten sposób zaufany Rawitów, coraz częściej i coraz natarczywiej oświadczenia powtarzał, lecz Estera upornie go wciąż odtrącała. To narzucanie się ustawiczne Raroga, przytem dowody coraz większej obojętności ze strony Jaszka (bo od pierwszego nasunięcia podejrzeń przez Raroga, zaczęła z wielką pilnością śledzić kochanka, musiała tedy dostrzedz, co z początku uwagi jej uchodziło) o rozpacz ją przyprawiły. Jaszko wprawdzie jej żale uspokajał, bałamucił ją zapewnieniami, lecz z oczu jej prawie już spadły łuski zaślepienia, zresztą i przeczucie jej mówiło, iż ofiarą nیکземności młodego Rawity była. Ale jak tonący słomki się chwyta, i ona, nieboga, nadziei się chwyciła:

— Zdaje mi się chyba... — mówiła do siebie.— To tamten, sługa nیکземny, złe ziarno w duszy mojej zasiał... Nie może być, iżby się rycerz taki do niecnoty posunął...

To znów uderzało ją, niby grom, pytanie:

— A gdyby się posunął?

Wstrząsała się wtedy, zaciskała pięści i podnosząc je w górę, powtarzała przez zaciśnięte zęby:

— Zemściłabym się! Zemściła!

Tego dnia, gdy Ozera znaleziono nieżywym, Raróg, korzystając z nieobecności Jaszka, oświadczenia swoje natarczywiej niż kiedykolwiek ponowił.

— Opatrz się, niebaczna!—mówił. — Toćże sama nad sobą miej zmiłowanie... Z pana Jaszka nie bę-

dziesz miała pociechy, taki on lekkoduch, że mu dnia każdego inszy kwiat pachnie. Ciebie już ma dość, już mu się eknisz i byle pozór znalazł, wyświeci cię bez li- tości. Sromu sobie i frasunku oszczędź,] powolną mi się okaż, w tem jeno dla ciebie ratunek...

— Nie ułudziysz mnie fałszem, człeczce przewrotny, próżne zachody twoje—odparła Estera wyniośle.— W spokoju mnie ostaw, żebym się na ciebie znów skarżyć nie musiała. Jużes przecie skarcenie za zu- chwalstwo odebrał, bo o tem mi Jaszko powiadał, chcesz-li co gorszego otrzymać?

Raróg uśmiechnął się szyderczo, w oczach jego zapłonęły blaski złowrogie.

— Ha! ha!—począł—jakażes ty jeszcze... Skar- enie, mówisz, odebrałem? Ano, tak cię pan Jaszko zapewniał, ale dziw, że mu wiarę dajesz. Zapewniał cię tak, aby zbyć, odczepne ci rzucił, a ty się na tem nie poznałaś.

— Szlachetny pan jest, rycerz, wierzę mu...

— A ja ci powiadam, że tyle mu wierzyć mo- żna, ile wichrzyskom burzliwym. Jak one jużci w tę stronę napierają, w mignienie zaś kędy indziej ich szu- kać: tak samo i pan Jaszko. Gada, co mu w tej oto chwili potrzeba, lecz z prawdą się nigdy nie liczy. Skar- cić mnie miał? Ha! ha! Pięknie skarcił, aż mi dotąd na skórze cierpkość siedzi. Brr! na wspomnienie ciar- ki mnie imają...

— Sama go się spytam — podchwyciła Estera— a lepiej jeszcze, w oczy ci przy nim zadam niecnotę. Wte- dy fałsz twój na jaw wyjdzie, okaże się, żeś oszczer- stwa na niego miotał...

— Okaże się zgoła co innego, głupia dziewczko!—

przerwał Raróg zniecierpliwiony — okaże się twój żal, iżeś jemu a nie mnie wierzyła. Zanim się wszakże spytasz, ja ci rozpowiem, co to było za skarcenie, a jako Bóg na niebie, nie skłamię. Owóż rzekł mi twój miłośnik szlachetny: „Bierz ją sobie, bo mi bokiem wychodzi, bo mi zbrzydła; przynajmniej bez kłopotu się jej pozbędę.“ Nie powtarzałem tego, nie chcąc cię frasunkiem odrazu przygnębiać; ale skoro sama o to potraciłaś... masz, czegoś chciała!

Estera ręką pierś falującą przycisnęła, zdało jej się, że Raróg truciznę do jej serca wsacza, która się po żyłach rozplywa, do myśli dostaje i boleśnie się nad niemi znęca.

— To nieprawda! — szepnęła, wstrząsając się, jakby przed groźnem jakim widmem.

— Przekonasz się — ciągnął niemiłosiernie Raróg. — Gdyby inaczej było, zalibym miał śmiałość tak przemawiać? Więc się opatrz, niebogo i nie odtrącaj mnie. Inszej drogi dla ciebie nie ma, jedno: albo haniebnego wyświecenia się doczekać, albo w moje objęcia skłonić...

— W twoje objęcia? Nigdy! — z oburzeniem zawołała. — Chociażby nawet do tego przyszło, żeby mię pan Jaszko od siebie odepchnął, miałabym gdzie się schronić... Ojciec nieszczęśliwej nie odtrąciłby córki, a za jej krzywdę, za jej srom, nalazłby sprawiedliwość bodajby u króla samego...

Raróg smutnie, z politowaniem na nią spojrział.

— Ojciec? — rzekł z pewnem wahaniem. — Możeby cię, niebogo, przygarnął, jako powiadasz; możeby sprawiedliwości za twoją krzywdę szukał... Nie nalazłby jej, to pewna, bo panowie Rawici drwią sobie ze spra-

wiedliwości, zamki warowne i siła zbrojnego ludu posiadając. Aliści... nie spodziewaj się, iżbyś w ojcowym domu schronienie zyskała. Żał mi cię doprawdy, lepiej jednak, że się wcześniej o niedoli swojej dowiesz...

— Nowe kłamstwo...—rzuciła Estera, czując, że nogi się pod nią chwieją.

— Nie, Ester, to czysta prawda, że dom ojca twego panowie Rawici ograbiwszy, z dymem puścili...—odezwał się Raróg, słowa cedząc.

— Boże przedwieczny... do szaleństwa mnie doprowadzisz człeczko...—zawołała Estera, przypadając do niego.—A ojciec? Mów... co się z nim stało?

— Już z tego świata odszedł. Panowie Rawici głodem go zamorzyli, w tem oto zamczysku...

Gromowem porażeniem była ta wiadomość dla Estery; patrzyła na Raroga szeroko rozwartemi źrenicami, stojąc, by skamieniała. Wreszcie ocknęła się, dłonią po czole pociągnęła i jękliwie, głosem słabym wyrzekła:

— Pastwisz się nade mną, człowiecze... Ojciec mój, stary mój ojciec, mój gołąb ukochany, miałby głodem być zamorzon? Za co? Za jakie winy?

— Nasamprzód gładkość twoja do tego powód dała. Zwabili go tutaj, żeby ciebie mogli bez przeszkody z domu uwieść. Kazali mu potem myncarki się jąć, a że się oparł... ofiarą padł.

— Nieprawda! Nieprawda! — wołała Estera, od przytomności odchodząc.—Nie może być, iżby na świecie istnieli ludzie tak okrutni... Łotrostwo przez ciebie mówi! podstęp! Musiałabym na oczy własne zwłoki ojca obaczyć, własnymi rękoma ich dotknąć, wtedy-bym zgrozcie takiej wiare dała...

— I w tem cię zadowolę, dziewczko uparta!—rzekł rozjątrzeniem ogarnięty Raróg.—Pora się nadarza, starzy Rawici łowami się zabawiają, a twój pan Jaszko z piękną młynarczanką gdzieś tam płasa, mogę ci zatem pokazać, czego się domagasz. Jeżeli ci i to rozumu do głowy nie napędzi, szkoda będzie zabiegów wedle ciebie. Pójdź, jeno o tem pamiętaj, iżbyś się nie wygadała, jako ode mnie wiesz o wszystkim...

Zaprowadził Esterę do izby w baszcie, kędy na marnym barłogu leżały zwłoki Oзера. Rawici kazali je uprzątnąć niezwłocznie, ale pachółkowie ociągali się z wypełnieniem rozkazu — wstręt nimi wstrząsał, na samą myśl dotknięcia się ciała żydowskiego.

— Masz przekonanie, kto prawdę mówi — rzekł Raróg, gdy się z Esterą w izbie przy zwłokach zmarłego znaleźli.—Chyba teraz wierzyć mi będziesz...

Stała przez chwilę Estera bez słowa i ruchu, by płótno blada, z oczyma skołowaciami. Łzy cisnęły jej się do oczu, ale spłynąć po licu nie mogły. Rozpacz ogarnęła całą jej istotę, szarpała jej serce, kąsała mózg, rozsadzała piersi, drgała w każdej żyłę, w każdej krwi kropli, a jednak na zewnątrz się nie wydobyła.

Katusze straszliwe przechodziło biedne dziewczę, czego ani łza, ani krzyk, ani jęk nie zdradzał. Oną boleść wielką, tak niespodziewanie spadłą, coś uwięziło w niej i to właśnie, że nie mogła ulżyć cierpieniom w sposób zwykły, okrutniejszemi je czyniło.

Po chwili, padła na zwłoki ojca, objęła je, gorącemi pocałunkami okrywała, lecz wciąż bez słowa skargi.

— Dość już, Ester—ozwał się Raróg, dziwiąc się w duchu, że dziewczka tak obojętnie, jak mniemał, po

stracie ojca się zachowuje — wracajmy. Kaduk może przynieść Rawitów, dopierożby się pieklili, gdyby się dowiedzieli, że ci to odkrył.

Estera zwróciła na niego oczy, a takie miała teraz osobliwe, jakby szklane, przerażenia pełne, że Raróg aż się cofnął.

— Co tobie, Ester?—zapytał—w siebie wejdź.

— Prawda... — szepnęła, zwłok dotykając—nie żyje, odszedł... samą jedną mnie ostawił...

Raróg podniósł ją z ziemi i za rękę ujawszy, z powrotem wiódł, czemu się nie opierała wcale. Szła w milczeniu, z oczyma przed siebie utkwionemi, jakby przytomność i czucie straciła. W izbie swojej przy oknie siadła, nie odpowiadając Rarogowi, który spodziewał się, że teraz usłyszy od niej dobre dla siebie słowo. Nie mogąc nic od niej wyciągnąć, rozważył, iż trza pozwolić, żeby nieco z wrażeń ochłonęła.

— Żal w niej wezbrał i strach — mówił do siebie. — Niech w spokoju sobie ostanie, niech pomiarkuje jak i co, a sama w objęcia mi się rzuci.

Tak rozważywszy, zwrócił się do Estery ze słowy:

— Ano, niebogo, zjawię ja się u ciebie niebawem, a mniemam, że bez pożytku nie odejdę. Dowiedziałaś się, czegoś chciała, widzisz, że jeno wóz i przewóz ci pozostaje. Radzęć po dobroci: nie wszczynaj z panem Jaszkiem nijakich gwałtowności, tak udaj, jakobyś o niczem nie wiedziała. Gdybyś mu do oczu skakała, tylebyś skorzystała, żeby cię bodaj psami wyszczwać kazał. Stało się, już złego nie odwrócić. Spokojnością i mnie słuchając, więcej zyskasz. Tłumaczyć ci więcej nie trza...

Wyszedł — Ester zaś ani się z miejsca ruszy-

ła. Głowa jej płonęła, w uszach głosy jakieś huczały, myśli goniły jedna drugą, płatając się i macąc, a przed oczyma się snuły mary straszliwe w całunach śmiertelnych. Dopiero, gdy już wieczór zapadł, podniosła się, rozejrzała, jakby ze snu rozbudzona, i szepnęła:

— Nie sen to był... Ojciec głodem zamorzon, zaś na głowie mojej hańba... srom... A!

Dłońmi skronie ścisnęła, wyrzekając żałośnie:

— Jam wszystkiemu winna! Jam nieszczęście sprowadziła, przeze mnie go zadręczyli ci okrutnicy...

Wtedy właśnie na dworze wichrzysko się zerwało niezmiernie silne, a poświsty szalone o błony okien zamkowych uderzały, odgłosy ponure wydając.

Estera zadrzała, przerażenie na jej twarzy się odbiło. W skołatany przez ogrom cierpień umyśle, rojenia powstawać zaczęły bezładne. Zdało jej się, że widzi przed sobą ojca w postawie groźnej, że słyszy, jak miota na nią przekleństwa.

— Ojczy mój! nie przeklinaj, jam tego przecież nie chciała... — ozwała się błagalnie w tę stronę patrząc, gdzie się rzekomo mara znajdowała.—Ulituj się, nie odtrącaj, przebacz... Zawiniłam srodze, ale się pokutą oczyszcze...

Insza myśl naraz przyszła jej do głowy.

— Ja mam pokutować? Ja? Za co? Wszakci już na mnie kara spadła... wszakci wszystkie boleści sercem mojem targają? Jeszcze pokuta? Za co? Mnie się i tobie, ojczy, zemsta należy, tak straszna zemsta, jak straszną jest nasza krzywda... I będziemy ją mieli zyskamy ją! Odplacę się za nas oboje...

Wyprostowała się, rozejrzała dokoła, jakby szu-



kając sposobu do wykonania tego zamiaru. Cała jej postać wyrażała niewysłowioną zawziętość, lica, tak zawsze dotychczas wabne, dreszcz grozy budziły.

Za drzwiami dały się słyszeć ciężkie stąpania, niebawem też wszedł do izby Jaszko, wsparty na dwóch pachołkach, tak bowiem sobie gdzieś podchmielił, że o własnej sile kroków stawiać nie mógł.

— Ester... widzisz, ty... jedna... do ciebie ciągnę, chociaż... ty poganego rodu... — bełkotał, gdy go na ławie pośadzono. — Ciągnę, widzisz, chociaż już nietyle ponętna, jak wonezas, kiedym cię najrzał pierwszy raz... Nic to, nie zważaj, zgoda będzie. Rawitą jestem, dla Rawity cały świat, a nie przy jednej siedzieć i to Żydowince...

Pięścią w stół grzmotnął, wołając:

— Wina i kapeli! W mig ma być, co chcę... Rawita jestem...

Rzucili się pachołkowie rozkaz spełnić, a Jaszko płótl bez składu o łokieć wsparty:

— Rawita jestem, a ty nikizemnego rodu. To i co? Udałaś mi się, wolno mi się zabawiać, z kim chcę. Oskomy do ciebie już nie czuję... nie to! Powiadam tobie, Ester: rozum miej, a zgoda będzie. Ostań z Rarogiem w Konarach, a jak mi się przywidzisz, najdę cię, nie bój się... Nie przystoi panu Rawicie tak wciąż przestawać z Żydowinką... Dla Rawity cały świat, zaś nasamprzód Halszka, ta... wiesz... z Ossolina. Jelitę Zbycha do szatana wyślem i... zgoda będzie...

Drzemać począł, więc Ester, gdy pachołkowie z winem i grajkami wrócili, na swoje łoże go przenieść kazała, a samym precz odejść, co gdy uczynili,

siadła tuż przy łożu i wzrok, nienawiści pełen, w coraz głębszy sen zapadającego, wpiła.

Na dworze wichry zawodziły iście potępięcze pieśni, w izbie, mdłym blaskiem świecy z wosku oświetlonej, cisza panowała ponura, jeno chrapaniem Jaszka przerywana. Ester nie ruszała się z miejsca, oczu też z twarzy Jaszka nie spuszczała. Po licach jej białych od czasu do czasu drżenie przebiegało, wargi krzywił uśmiech złowróżbny, dłonie kureczowo się zaciskały... Przesiedziała tak może do północy, potem wstała, szepcąc:

— Czas.

Bez pośpiechu, bez wzdragania, ujęła mieczyk kochanka, który mu pacholkomie, na łożo kładąc, od pasa byli odczepili, obnażyła go i wszystkie siły zebrawszy, w pierś śpiącego wtoczyła. Cios był stanowczy, wymierzony jakby najwprawniejszą ręką — więc w serce trafiwszy, przeszył je, zgon natychmiastowy powodując. Jaszko zdążył się jeno rzucić, rękoma zatrzepotał, niby pragnąc coś uchwycić, jęknął i już duch z niego uszedł. Nie zważając na to, Ester z dziką radością ciosy ponawiała, aż do omdlenia dłoni. Wreszcie zaprzestała pastwienia się, mieczyk do góry podniosła, a potrząsając nim, rzekła ze śmiechem okropnym:

— Judyt jestem... wedle Zakonu odpłaciłam wrogowi...

Poczem, jak stała, z mieczem i dłońmi zbroczo-nemi we krwi, wybiegła z izby, powtarzając półszepem:

— Do ojca! Do ojca! Przebaczy mi, gdy się przekona, że zemsty dokonała...

Noc była ciemna, jak przepaść: nieszczęśliwa dziewczka, której rozum, przygnębiony nagłym brzemieniem klęsk, uległ też raptownemu obłędowi, nie mogła znaleźć drogi do wieży, tam bowiem dostać się chciała. Zamek cały w śnie głębokim spoczywał, nawet strażę przy bramach czujności nocy tej zaniechały, nie spodziewając się żadnej przygody, — Estera tedy błądziła po korytarzach i podwórcach swobodnie, bez przeszkody z czyjejbądź strony. Naraz poczuły ją psy, brytany olbrzymie, do pomocy nocnym wartownikom dodawane. Złe to były bestye, nieugłaskane, jeno stróżom, którzy im jądło rzucali, przystęp do siebie dające, a tak silne i zażarte, że niczem dla nich było konia bodaj zmódcz. Opadły one Esterę całą gromadą, zgiełk wielki szczekaniem czyniąc, powaliły ją na ziemię i szarpać poczęły tem zajadlej, iż krew zwęszyły świeżą, co zawsze stworzenia nawpół dzikie, umyślnie do srogości nazwyczajane, drażni i podnieca. Zgiełk rozbudził wartowników, powysuwali się z kątów, z trudnością rozpedzili psy, a zdumienie ich granic nie miało, gdy się przekonali, że powodem niepokoju była miłośnica pana Jaszka. Gdy ją przy świetle pochodni rozpoznano, martwą była: bestye krótko się z nią sprawiły, potężne ich kły łącno śmierć wątłej istocie zadały.

Frasunek zdjął wartowników, nie wiedzieli, co począć. Po naradzie, dano znać Rarogowi, który zdreptał ze zgrozy, obaczywszy martwą dziewczkę, z mieczem krwią zboczonym, bo odrazu się domyślił, co uczyniła. Uprzątnąć zwłoki kazał, a sam pośpieszył przekonać się, zali domysł jego jest słuszny.

— A może też zbyt pohopniem ją obwinił? Może

z panem Jaszkiem jeno się poswarzyli?—rozważał dając korytarzami.—Pan Jaszko miarę przebrał, ona zaś, choć ją upominał, języka wstrzymać nie mogła: jęła go wyrzutami za siebie i ojca obrzucać, przeto wygnał ją na cztery wiatry... Ale mieczyk? Ba! mogła przecież, w pasyę wpadłszy, rzucić się na pana Jaszka, to wszakże nie znaczy, by mu szkodę wyrządzić miała... Prawda, że ledwie o świetle wiedział, tak sobie trunkiem dogodził, ale i takby się słabej dziewce oparł. Co chłop—to chłop.

Z lękiem wkroczył do izby, a zadrżał na widok zamordowanego.

— Będzie to będzie! — mruknął, głową wstrząsając.—Grot i pan Łukasz piekło w Konarach uczynią, skoro się o nieszczęściu swoim dowiedzą. Jużci ja im tej nowiny nie udzielię, jeszcze mi żywot nie obrzydł...

Wysunął się z izby, postanowiwszy, żeby się Grotowi i Łukaszowi w pierwszych chwilach ich rozpacz nie nasuwać.

— Ot! na co przyszło lekkoduchowi... dowojował się—rozmyślał, wracając do swej komory.—Z ręki Żydowinki zginać, toć hańba! Ale i jej koniec niekzemny. Prawdę rzekłszy, zawinił tu sam Jaszko, wszelako jego wina to mucha w porównaniu z tem, co ona dziewczka szalona uczyniła... Żeby się żydowińska krew na chrześcijańską, na pańską porwała—temu wiary niepodobna dać! Sprawiedliwość sobie nalazła, zaś dla niej nalazły psy. Słusznie... niegodną była karnia z ręki człowieczej ponosić. Ano—obaczmy, co na to Grot i pan Łukasz powiedzą... Chyba Konary roztrzęsą z pasyi, ani chybi...

Jakoż Rawici, na wieść o zamordowaniu Jaszka, wszelkie pomiarkowanie stracili. Mury zamkowe drżały od ich przekleństw i wybuchów gwałtownych, zdawało się, że im opamiętanie zgoła nie przyjdzie. Obadwaj na grobie zamordowanego przysięgli, że wszystkim Żydom krakowskim łaźnię krwawą sprawią i zresztą żadnej istocie ludzkiej tego rodzaju nie przepuszczą.

Dwie niedziele od pogrzebu Jaszka minęły, a uspokoić się nie mogli. Siedzieli wciąż w Konarach, na świat nie wyzierając, zaś samotność zamiast łagodzić, coraz zajadlejszą srogością ich napępiała. W takim usposobieniu zastał ich ksiądz Albert, przybyły, jak się opowiadał, w imieniu kanonika Jana.

Grot, gdy mu gościa duchownego oznajmiono, w pierwszej chwili dopuścić go do zamku nie chciał, ale się rozmyślił, zastanowiło go bowiem, że ksiądz Albert uporeczywie posłuchania się domaga.

— Ossolińczyk z wiatremby swego służki do mnie nie przysłał—odezwał się do Łukasza—chyba dowiedzieć się trza, co przynosi...

— I ja tak uważam — potwierdził Łukasz.— Coś ważnego zajść musiało, jeżeli Ossolińczyki sami nas zaczepiają.

Wpuszczono księdza Alberta do zamku, a Raróg, wskazujący mu drogę do izby, gdzie na niego Rawici oczekiwali, przestrzegł go, iżby się miał na ostrożności, bo panowie strapienie mają wielkie, łącznie tedy byle słowem o gniew przyprawić ich można.

— Jeżeli przywozicie, ojcze wielebny — tak mówił — co niemilego, lepiej to na inszy raz ostawcie. I miarkuję, że Ossolińczyk z niczem dobrem nie pułkałby do Rawitów. Oddawna oni koso na się patrzą.

— Nie Ossolińskich to sprawa — rzekł ks. Albert — a mniemam, że w żadnym razie nie mi nie grozi. Wiem, że panowie Rawici z Ossolińskimi są na udry; wiem też, że prawdy słuchać nie lubią: ale przecież szata kapłańska mnie osłania.

— Mizerna to w Konarach osłona, jeszcze jak dziś. Ano... baczenie miejcie, leczcie się ze słowami, radę daję słuszną.

— Posłów nie wieszają, ani ścinają — zauważył ks. Albert — zresztą... co Bóg da, będzie.

Znalazszy się przed obliczem Rawitów, ks. Albert łącno się dorozumiał, że ostrzeżenie Raroga nie było płonnem; nie poruszyli się, by go powitać, a na pozdrowienie chrześcijańskie, mruknięciem odpowiedzieli. Ks. Albert, wyrozumiały, przezorny i powściągliwy, nie zraził się tem; ławę sobie przysunął i siadłszy, ozwał się swobodnie.

— Przestrzeżono mnie, że nie w porę przybywam, bo strapienie na was spadło, co też po obliczach waszych znać... Aleć posłem jestem, tedy mi wybaczycie, że dogodniejszej pory nie patrzyłem...

— Bez ogródek, klecho, powiadaj z czem cię tu kaduk przynosi — przerwał Grot. — Jeżeliś na stypę zdążył, to za późno. Jaszka naszego złożyliśmy już w mogile, bez twojej i twego zwierzchnika łaski, chociaż pisze się on rzekomo proboszczem naszym. Nie wzywaj go, ani pożydamy, bo prędzej słońce w miejscu stanie, a z morza wody wyschną, nim Rawici z czemkolwiek do Ossolińskich się zwrócą, bądź też nim na ich zwierzchność uważać będą...

— Zaiste tak — dorzucił Łukasz — a zwłaszcza teraz, gdy przez nich nieszczęście nas nawiedziło. Boć

Jaszko nasz, nadzieja nasza, życie postradał z ich powodu... Gdyby mu dziewczki nie byli zaprzeczali, gdyby Jelitczyka na niego nie nasadzali: rzeczy innym potoczyłyby się torem...

— To zmarło się panu Jaszkwowi? — zapytał ks. Albert, wzrokiem zdziwionym to po jednym, to po drugim wodząc.

A Rawici nuż wyrzekać, pięściami o stół tłuc, zębami zgrzytać i włosy z głowy wyrывać.

— Zginął! Niemasz go! Życie mu wzięto! Zamordowano!—jęczał Grot.—W sile wieku! W kwiecie lat odszedł nas...

— I kto wie, czy nie stało się to z poduszczenia Ossolińskich! — przydał Łukasz... — A jeżeli nie z ich poduszczenia, to bardzo do prawdy podobne, że on nienawistny nam wszystkim Jelita, ręce swoje w tem umoczył... Złamanego denara nie dałbym za to...

— Ale okaże się wszystko... wyklaruje! — mówił z kolei Grot. — Prawdę na wierzch wydobędziem... Wydobędziem niechybnie! Krew zamordowanego o pomstę woła... krew Rawity: słyszysz, klecho?!

Sporo upłynęło czasu, zanim ks. Albert wymiarował, jaka przygoda Rawitów spotkała; gdy zaś już po nici do kłębka doszedł, jak jeno mógł najłagodniej się ozwał:

— Przyznaję, boleścią serca wasze nawiedził Bóg, ale niesłusznie o to winicie Ossolińskich, jak również Jelitę. Oni do czegoś podobnego nie zdolni. Żal wam domysły i posądzenia nasuwa, miłościwi panowie, lecz kapłańskiemu zaufajcie słowu: niewczesne one są. Skoro zaś sprawiedliwość Boża krzyżem barki wasze ob-

ciążyła, miasto oburzać się, w piersi się uderzcie i pokajajcie, a Sędzia Nierychliwy pociechą was obdarzy...

— Mówisz, jak gdybyśmy sami na głowy nasze nieszczęście ściągnęli—sapał Grot.

— Zwykłać piosnka klesza... — rozśmiał się Łukasz.

— Przypominam wam, zem posłem — rzekł ks. Albert. — Posłuję zaś nietyle z ramienia proboszcza Ossolińskiego, ile z ramienia najwielebniejszego pasterza krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego, do którego stóp na was ze wszech stron, miłościwi panowie, skargi płyną... Najwielebniejszy pasterz kanonikowi Ossolińskiemu upomnieć was poruczył, ten zaś mną się wyręcza, gdyż wie, że na niego i zgoła na wszystkim ród jego łaskawem nie pozieracie okiem...

— A to coś nowego!—mruknął pochmurnie Grot.

— Więc od biskupa Zbyszka posłujesz, klecho? —dodał, warg przygryzając Łukasz.

— Cóż jego mość pasterska żądać od nas może? W czemeśmy przekroczyli względem niego?

Ksiądz Albert rozżalonych nie rozdrażniał, lecz też dokładnie im wyłuszczył, o co się na nich przed biskupem skarżono: więc naprzód przypomniał im, jako z panem Spytkiem Melsztyńskim przeciwko królowi spiskują, jako z obcymi się w tym celu znoszą i odszczepieńców osłaniają; rozwiódł się potem o uwięzieniu Hocza; w końcu jał ich gromić za krzywdę, wyrządzoną Ozerowi.

— Teraz dopiero, z ust waszych, miłościwi panowie—tak rzecz prowadził—dowiedziałem się, że stary Żydowin zmarł, a córka jego do śmierci pana Jaska się przyczyniła, dlatego tem skwapliwiej wezwania przewielebnego pasterza usłuchać winniście i ku poka-



janiu się zwrócić. Zgon[ syna waszego i wnuka, toć najdowodniejszym jest świadectwem, jako miara cierpliwości Bożej się wyczerpała. Jeśli się nie umiarkujecie, dotknie was Ojciec Najdobrotliwszy srożej i ciężej. Miejcież wzgląd, miłościwi panowie, na siebie i pomnijcie również, że pasterz nasz przewielebny nie może pozwolić, aby pod bokiem królewskim bezprawia tak gorszące się działy...

Głowę ważysz, klecho!—przerwał ponuro Grot.

— Posłem jestem—raz jeszcze powtórzył ks. Albert—to jeno mówię, co mi poruczono...

Grot wstał, zbliżył się ciężkim krokiem do niego, i dłoń mu na ramieniu położywszy, rzekł dobitnie:

— A ja tobie powiadam, klecho, że słusznie syn mój powiedział, jako Jaszko nasz śmierć poniósł z poduszczenia Ossolińskich i ich zausznika Jelity, z Oporowa. Łacno też się domiarkować, że Ossolińscy, pragnąc nas zgnać ze szczętem, przez kanonika Jana do biskupa trafili... Ano! poradzim sobie z biskupem, i z Ossolińczykami, i Jelita odbierze, co mu się należy... Niedosć im śmierci Jaszka, której przecie, samo przez się rzecz oczywista, darować nie mogę, grożą nam jeszcze karami? Na męki nas wziąć myślą? Z włości wyzucć? Z kraju wyświecić? A może głowy pościnać? Obaczy się to! Posłem jesteś, tedy wracaj do swego proboszcza bez posromania i powiedz mu, że rychle o nas usłyszysz. Przykładnymi parafianami się okażem. Jedź, nie ostawaj się tu dłużej, w Konarach dla cię niezdrowo. Jedź nie mieszkając, póki w nas gniew słuszny nie wzbierze, bo wtedy darmo byś się poselstwem zasłaniał!

— Damy znać o sobie rychle!—potaknął Łukasz.

—Musim przecież Ossolińczykom wdzięczność okazać. Niechże się na przyjęcie nasze przygotowują, jako się pa-trzy...

To mówiąc roześmiał się złośliwie, aż ks. Alber-tem dreszcz trwogi wstrząsnął.

-- Bogu was zostawiam—rzekł — wezwijcie Go ku pomocy, a oddalcie zamysły z poczciwością nie-zgodne.

— Dość tych bajań bez składu i ładu! — huknął Grot. — Sprawileś coś miał, odjeżdżaj i rad bądź, że w dobrem zdrowiu. Jeno do słowa odpowiedź naszą zapamiętaj. Ossolińczyki długo czekać na nas nie będą...

Nie trza było ks. Albertowi powtarzać takiej od-prawy; niezwłocznie opuścił Konary, miarką nawet wody pod dachem zatwardziały w grzechach rycerzy się nie pokrzepiwszy. Wróciwszy do ks. Jana, zastał tam starego kasztelana i Halszkę, tedy za właściwe uważał przestrzedz wszystko troje, aby się mieli, wobec rozjątrzenia przeciwko nim Rawitów, na ostrożności.

— Zawsze oni—mówił — skłonni są do najbeze-niejszego gwałtu, tembardziej teraz, gdy nimi żal po stracie Jaszka miota. A jeszcze na was, eny kaszte-lanie, na wielebnego kanonika i zgoła na ród wasz cały zwałają winę swojego nieszczęścia, chociaż nawet ślepy w tem karę Bożą dostrzeże. Więc na baczeniu dobrze ich mieć. Odgrażali się nieżartem, z zawzię-tością dziwną, a tacy odgrażają się niepróżno.

Kanonik, z uwagą wysłuchawszy, namyślał się przez chwilę.

— Nieinaczej, słusznieś osądził, księżu Albercie—rzekł wreszcie—że to palec Bożej sprawiedliwości ich

dotknął. Ale w skarceniu tem również dobroć nieograniczoną Stwórcy uczuć i dojrzyć powinni, jeżeli chrześcijanami są. Jak burze gromy i błyskawice zwiastują, przestrzegając ludzi, by się w miejsca bezpieczne chronili: tak Rawitów, przez śmierć, zaiste okropną, ich potomka, przestrzegło niebo, iż cierpliwość Sędziego nad sędzie się wyczerpała. Jeśli tego uczuć i widzieć nie chcą, gorze im! Ano, może też jeszcze serca ich zmiękną...

— Tego się niespodziewać—wstrząsnął głową ks. Albert.—Powiedziałem wam przecież, ojcze wielebny, w jakim usposobieniu ich zastałem. Szatan złości nie odstępował ich, wciąż do nowych bezprawii podżega. Raczcie pod rozwagę wziąć pokorną moją radę i wczas się zabezpieczyć. Oni na nic względu mieć nie będą, aby jeno namiętności zbrodnicze zadowolili...

— Nawet na szatę kapłańską?—zapytał kanonik.

— Wspomnijcie męczennika Szczepanowskiego, wspomnijcie utopionego Baryczkę, wspomnijcie świętobliwego pasterza plockiego, Wenera, którego z ręki kasztelana wizkiego, Bolesty, śmierć również męczennicką poniósł...—przekonywał ks. Albert. — Niema straszniejszej zarazy nad grzech: zaraza ona panów Rawitów ogarnęła ze szczętem i ani myśleć, by się z niej otrząsnąć mogli. Boga się wyrzekli oddawna, a dla takich szata kapłańska nic nie waży. Przekonałem się z tego, jak mnie w Konarach traktowali.

Kanonik głowę zwiesił i westchnąwszy, szepnął:

— Tak, i w tem słuszności odmówić wam nie mogę. Nic plenniejszego nad grzech, zwłaszcza, gdy idzie z góry. Niech się jednak dzieje wola Najwyższego. Jeśli co się stanie, to przez nią.

— Jaby, ojcze mój — wtrącił ks. Albert — na waszem miejscu będąc, do Krakowa lub do Ossolina, chociaż na czas pewien, się udał. Nasze Dwie Kozy to pustkowie.

— Ludzi przecież mamy, a Kraków nie na końcu świata...

— Garść ludzi naszych nie będzie stanowiła przeciwko Rawitom ochrony. Mają oni w samych Konarach całą gromadę zaprawioną do zbójceckich wypraw łotrów, nie mówiąc już o Słupnie i innych włościach, gdzie w każdej podobnie z sumienia wyzute stada wilków ich skinienia czekają.

Obruszył się nieco kanonik.

— Zastanów się, dobry księżu Albercie, do czego mnie namawiasz? Uchybiłbym nie tylko godności stanowiska i rodu mego, ale także obowiązkom, gdybym obawę okazał z tego powodu i zaniechawszy spraw owczarni pieczy mej powierzonej, w Krakowie bądź w Ossolinie się chował. Prawda, wszelka podobność jest, że Rawici, zaślepieni podszeptami szatana, złość swoją na mnie wyrzucić będą usiłowali; wszakże nie idzie za tem, by, co zamierzają, wskórali. Mały i słaby Dawid, osłonięty puklerzem nieba, zwyciężył olbrzyma o potężnej sile — i ja też ufam w pomoc Pana, któremu służę. Kapłan, zarówno, jak rycerz, nie powinien, nie może opuszczać swego posterunku; obowiązek ma bodaj poledz, nie ustępując z niego. Tak też uczynię.

Ks. Albert ręce rozwiódł i ramiona do góry wznosił, tym gestem okazując, że wobec postanowienia kanonika, nie już do nadmienienia nie znajduje. Natomiast kasztelan, obecny przy rozmowie, a dotychczas milczący, ozwał się:

— Pięknieś rzekł, kanoniku nasz wielebny, jeno  
czoła uchylić przed tem: wszelako mniemam, że nie  
zawadzi, a nawet trza się przeciwko spodziewanej na-  
paści Rawitów ubezpieczyć. Chcieliśmy z Halszką ry-  
ehle Dwie Kozy opuścić, ile, że na zjazd w Koreczy-  
nie sposobić się muszę; po tem zaś, com usłyszał, nie  
odjedziem, dopóki cię tu ludźmi swoimi nie umocnię.  
Niewłocznie do Ossolina wysyłam, dopiero gdy stam-  
tąd poczt zbrojny tu stanie, spokojny cię pożegnam.

— Ja temu nie wierzę, iżby Rawici do takiego  
zuchwalstwa się posunęli—wtrąciła Halszka.—Jeśli się  
odgrażali, to żalem pobudzeni.

— Ludzi ani świata nie znasz, ptaszyno — na to  
kasztelan, po głowie ją gładząc.—A wspomnij jeno, do  
czego się posunęli na Smóczem uroczysku? Ktoby się  
podobnego łotrostwa spodział? Powiadam tobie: oni  
ze wszelkich uczuć ludzkich się wyzuli, więc wszyst-  
ko do nich podobne. Jam odrazu miarkował, że upom-  
nienie, które im ksiądz Albert zawiózł, jako od nasze-  
go kanonika pochodzące, chociaż w rzeczy samej od  
samego pasterza pochodzi, do pasyi ich przyprowadzi,  
do szukania zemsty na nas, a zwłaszcza na kanoniku.  
Bądź co bądź, od swego nie odstąpię i poczt znaczny  
zaufanych bez ociągania tu sprowadzę.

Jakoż po on poczt wysłał kasztelan do Ossolina,  
spodziewając się, że najpóźniej w dwóch dniach zbroj-  
ni będą na miejsu.

Dzień jeden przeszedł spokojnie; następnego wie-  
czora nie też nie zaszło, coby spokój zamać mogło.  
O zmierzchu atoli dziwować się począł kasztelan, że  
ludzie z Ossolina nie nadciągają.

— Powinni już w Dwóch Kozach być—mrucał

raz wraz w okna poglądając. — Wysłałem Kostucha, rozpowiadawszy mu, o co idzie, a stary gderacz przecież zawdy się sprawnie spisuje...

— Nadciągną rychle, tylko ich patrzeć—uspokajał kanonik.—Zresztą nie nam jeszcze nie grozi...

— Ba! w tem właśnie rzecz, iżby na wszelki wypadek czuć się bezpiecznym. Rawici obyczajowi wilków się trzymają—ani się obejrzysz, jak z pod ziemi wyrosną.

Dobrze się już ściemniło, kasztelan coraz bardziej się troskał. Złe przecucie go ogarnęło i nie mógł go się pozbyć, nawet pacierze odmawiając. Podano wieczerzę, on przecież, acz zasiadł do stołu, jadła nie tknął. Na zapraszania kanonika, odparł:

— Nie swojo mi. Sam nie wiem, ale ociąganie Kostucha frasunku mnie nabawia. Chyba co się w Ossolinie stało.

Po wieczerzy, kanonik księgę wydobyl z dziejami polskiej krainy, przez mistrza Wincentego, z Karwowa, Kadłubkiem zwanego, spisane i gwoli rozerwania myśli rodzica, czytać począł w tem miejscu, gdzie zgon króla Kaźmirza był opowiedziany:

— „Zwykł był—tak tam stało, w dziejach onych—Kaźmirz zawsze uroczyscie świętych obchodzić pamiątki. To też, gdy błogosławionego Floryana dzień, bądź na Mszy, bądź na modlitwie, bądź na aktach dziekczynnych, słowem cały w Panu spędził, uroczystą nazajutrz książętom, namiestnikom \*) i pierwszym w kraju biesiadę wyprawiał. Nastęrcza im wiele okoliczności na biesia-

---

\*) W oryginale: *Principibus, satrapis.*

dzie wesela: naprzód powszechne nad wrogami tryumfy; powtóre, po tylu znojach przejściu, księcia nietknięte życie; po trzecie — tak własne, jak przyjaciół pewniejsze bezpieczeństwo; po czwarte, i rzeczy, i czasów uroczystsza pomyślność. Nie brakło, nad wszystkie rozkosze słodszej — miłościwego księcia zabiegliwości, wszystkim do coraz skwapliwszego radowania się dodającej otuchy.

Gdy tak różnorakiego głos rozradowania się wszystkich prawie do nieba się wzbija, tak i tej chwaly pogoda pod niespodziewaną burzą niknie. Gdyż takiego schyłek wesela, o boleści! nawet jego pełnię, zawodzenie głuszy i żalność przytłumia wesele, nęka i na swą służebnicę więzi. Albowiem wśród powszechnego gwoli jemu rozradowania się, on, jedyna i osobliwa gwiazda ojczyzny, gdy pewne, co do zbawienia duszy, pytania biskupom zadawał, spełnił puhar, na ziemię upadł i ducha wyzionął, niewiadomo, czy zwykłą śmiercią, czy trucizną zgładzony. Z powodu zajścia takiego słońca, tak dalece ciemności objęły ziemię, a czarne myśli ludy, że wszystko do cna żalność opanowała“.

— Trucizny to było dzieło, zali dopustu Bożego? — zapytała Halszka ciekawie.

— Słyszałaś przecie, że stoi, jako dokładnej wiadomości o tem niema — odparł kanonik. — Wszelako domyślać się można, iż zbrodniczej dłoni Kaźmirz padł ofiarą.

— Stąd nauka płynie, na jak wątlej nici zawisa żywot człowieka... — zauważył kasztelan smutnie.

— Dlatego powiedziano w Piśmie: „Bądźcie zawsze gotowymi, boście niepewni dnia ani godziny“ — rzekł kanonik i czytał dalej, jak po śmierci Kaźmirza,

Wesołość, z Żalem, Wolnością, Sprawiedliwością, Rozwagą i Umiarkowaniem rozprawiają.

Pouczonej rozprawy z uwagą słuchali kasztelan i Halszka, ale więcej ich zajął opis rozpacz, jaka w kraju na wieść o niespodzianej stracie pana miłościwego zapanowała.

— „Gdy zaszła tak gwiazda Kaźmirza — brzmiały słowa mistrza Wincentego z Karwowa — pozostał jakby jaki zamęt i jakaś sprawa i osób pomieszka z powodu, że jedni, z tak niespodziewanego wypadka dla siebie, zapomnieli się; drudzy jakby w uniesienie wpadli; wielu, jakby od pioruna rażeni legli na ziemi z boleści. Mnóstwo było nieczułych zgoła, jak posagi; niektórzy zlewali się hojnych łez dżdżami; z oblicza mężatek i dziewic, za podarciem paznogciami, lały się obfite krwi zdroje; niektórzy, uderzając się o ściany, głowy rozmiżdżali tłuczeniem; insi, pod naciskiem żalu, żelazo na siebie podnoszą; wszyscy na widok jego śmierci, chcą jednomyślnie z nim spolem umierać...”

Zatrzymał się w tem miejscu kanonik i oderwawszy oczy od kart księgi, zamierzał snać jakąś uczynić uwagę, gdy naraz rumor na dworze dał się słyszeć, zgiełk, jakby od licznych kopyt końskich i szczękania broni pochodzący.

— Kostuch z Ossolina wraca! — ozwała się Halszka. — Otóż i po frasunku...

Kasztelan w pierwszej chwili tak samo mniemał, lecz niebawem zmienił zdanie, bo hałas stawał się coraz głośniejszym, przyłączyły się do niego krzyki, nie dobrego nie zwiastujące. Zawołał tedy, porywając się z siedzenia:

— Na Boga! to nie Kostuch, to najwyraźniej



napaść... Ani chybi Rawici spełniają, co zapowiedzieli...

Pośpieszył do izby sąsiedniej, gdzie uzbrojenie zostawił i wnet wrócił z mieczem w jednej, a toporem w drugiej ręce; kanonik Jan również oręż odszukał i Halszka dla siebie też mieczyk krótki oraz oszczep znalazła.

Ledwie zdążyli w ten sposób się zabezpieczyć, zjawił się jeden z dworu kanonika czeladny, zdyszany, krwią obroczoney, wołając:

— Rawici z chmarą swoich zawitali... Osaczyli nas ze wszech stron i trupem kładą każdego, kto im opór stawia...

Więcej nie zdołał powiedzieć—padł, rażony z tyłu ciosem, zadany przez Grotą, który do izby po jego ciele się wtoczył, a za nim Łukasz i Raróg.

— Co znaczy ta napaść?—ozwał się kanonik, na-przód występując.—Oeknijcie się z szału, nieprzystojnego wiekowi, powadze i godności rycerskiej. Bóg na was patrzy!

A Grot, wsparłszy się na mieczu krwią spływającym, wpił wzrok, pełen nienawiści, żądzą pomsty płonącej, w kanonika i śmiejąc się dziko, odparł głosem ochryplym:

— Napaść, powiadasz, klecho? Nazywaj sobie nasze odwiedziny jako chcesz, byleśmy skutku doszli, któren nam się należy. Napaść? Juścić trza było chytrłości użyć, zmienacka cię podejść, przemocą się tu wdrzeć, boś taki gościnny, żeś ludziom swoim zakazał nas wpuszczać. Aleśmy sobie poradzili... Prawda Łukaszu? Poradziliłm sobie niezgorzej.

Znów śmiechem parsknął, w czem mu wtórował syn rozgłośnie.

Tak rychłej zaczepki ze strony Rawitów nikt się istotnie w Dwóch Kozach nie spodziewał, nawet przeznorny i doświadczony kasztelan. Ale oblakani występniemi namiętnościami wichrzyciele, nawykli zresztą do bezprawia i nad wszelki wyraz gwałtowni, w miejscu po odjeździe ks. Alberta, usiedzieć nie mogli. W śmierci Jaszka nie karę niebios, lecz ciężką krzywdę widzieli. W pierwszym porywie szalonego gniewu, obwinili wszystko żydowstwo i przeciwko niemu zamysłali się zwrócić, co było jednak, w danym razie przynajmniej, trudno. Poselstwo ks. Alberta nowych winowajców wskazało, bo nie chodziło im o słusność, lecz o lada pozór, aby jeno zemstę nasycić. Przewidując, że skoro przed ks. Albertem z pogroźkami wystąpili, to kanonik będzie się starał środki bezpieczeństwa przedsięwziąć, napadli na jego siedzibę nocy wy czekawszy, znienacka i z przemagającą siłą — łącząc tedy do dworu rzekomego wroga się dostali, acz Dwie Kozy, jak każda w owym czasie włość duchowna czy świecka, obwarowane były na wypadek całę silnie i chociaż kasztelan ludziom pilnie czuwać kazał.

Kanonik, ani rodzic jego, mimo, że przemoc napastników jawną się stała, krwi zimnej nie stracili: nie czuła też trwogi Halszka i opuścić izby nie chciała, chociaż jej kasztelan po kilkakroć powtarzał, by się w kąć bezpieczny schroniła.

— Nie mogę opuścić was, rodzica i brata, w niebezpieczeństwie — mówiła. — Przydam się tu. Wążali się zbóje na was rzucić, krwi im utoczyć potrafię.

Kanonik zaś tymczasem na słowa z napastnika-

mi się ucierał, teraz dopiero żałując, iż za radą ks. Alberta nie poszedł i bezpieczeństwa w Krakowie lub Ossolinie nie szukał. Mniemał wszakże, że zdoła Rawitów powagą szaty duchownej i słowy rozsądku pokroczyć, więc przemawiał do nich łagodnie, ale z godnością i bez lęku:

— Czego żądacie? Zbadźcie się urojonych przypuszczeń... Rozumiem, iż żal, z nieszczęścia doznanego płynący, unieść naraz gniewem niesłusznym człowieka może; lecz rozum wędzidłem stać się winien dla namiętności grzesznych. Imieniem Zbawiciela świata wzywam was, przez wzgląd na dobro wasze — opamiętajcie się i w siebie wejdźcie... Dotknęła was prawica Najwyższego Sędzi, ukorzcie się przed tym wyrokiem, przyjmijcie go, jako przestrogę dobrotliwą..

— Ani słowa więcej! — przerwał Łukasz, nogą tupnąwszy. — Nie przyjechalim tu bredni słuchać lada jakich, jedno dla porachunku. Wyście wszyscy, Ossolińczyki, za śmierć sromotną Jaszka odpowiedzialni. Dziewkiście mu przeczyli, potem, czarami snać, Żydowinkę podsunęli i tę, by go zgładziła, podmówili. Zażądacie dowodów? Bez dowodów jasno się to snuje i dlatego zadosyć uczynienie musim od was wziąć.

— Musim! — przywtórzył Grot. — A przecież i biskupa Zbyszka kto przeciwko nam podjudził, jeśli nie wy? Za to samo należy wam się odpłata...

— Niech Bóg wam niegodne posądzenia przebaczy! — rzekł kanonik, powstrzymując gestem kasztelana, któremu szorstka, obelżywa odpowiedź do ust się cisnęła. — Wspomnijcie na zbawienie duszne... Krew jużście niewinną przeleli, czegoż jeszcze chcecie?

— Waszej krwi nam potrzeba! — wykrzyknął Łu-

kaszk, mieczem potrzęsając.—A gdy was nie stanie, tę oto uporną dziewczkę—tu Halszkę wskazał—która małżonką Rawity być nie chciała, damy za nałożnicę najnikczemniejszemu ze sług naszych...

— Niedoczekanie twoje, warchole!—zawołał, nie mogąc oburzenia wstrzymać, kasztelan. — Owóż już więcej zgrozy z gęby plugawej ciskać nie będziesz...

Rzucił się na Łukasza i ucierać z nim począł. Grot zaś tak nagle kanonika przyparł, że zanim ten się pomiarkował, już cios śmiertelny otrzymał. Zdażył jeno szepnąć:

— W ręce Twoje, Panie, duszę moją polecam... Gorze wam... potępieńcy!—i padł bez życia.

Grot, krwią pijany, do kasztelana się zwrócił, któremu Łukasz rady nie mógł dać, a we dwóch przyparłszy jednego, niedziwna, że go trupem położyli. Aliści Halszka, widząc rzeź oną swoich najbliższych, słowa jednego nie rzekła, jeno wargi pobieleałe ze zgrozy zacisnęła i dłonią pewną, bez drżenia, bez wzdrygnięcia, mieczyk w gardziel Grota wtłoczyła. Zatoczył się Rawita, krew mu usty trysnęła i runął na ziemię z chrapaniem, zgon zwiastującym...

Byłby Łukasz niechybnie również krwawo Halszce odplacił, lecz w tej chwili właśnie do izby wtargnął Kostuch, z ludźmi z Ossolina sprowadzonymi. Widok, jaki się oczom jego przedstawił, w osłupienie go wprowadził.

— Mój pan zabit!—ryknął ręce łamiąc.

Łukasz zaś, korzystając z jego oszołomienia, domyśliwszy się, iż z pomocą przybył, umknął, okno wyważywszy, tak zręcznie, iż na razie tego niepostrze-

żono, a gdy Kostuch i Halszka z wrażenia się otrząsnęli, już go w Dwóch Kozach nie było.

— W pogoń! W pogoń!—wołała Halszka, nakazująco.—Ujść nam nie może! Nie powinien!

Jakoż Kostuch niezwłocznie pogoń wysłał, lecz wróciła ona z niczem: Łukasz Rawita znikł, jak kamień w wodę rzucony. Za to z ludzi jego żaden nie uszedł: większa ich część życie dała, pozostałych schwymano i bez sądu obwieszono.

Przy zwłokach kasztelana i kanonika, Halszka z Kostuchem do białego dnia we łzach przesiedzieli. Dzieweczka więcej jednak okazała siły woli niż stary sługa, pierwsza się ocknęła z rozżalenia i stosowne polecenia, jak należy postąpić, wydała. Z jej rozkazu, ciało Grota, razem z poległymi ludźmi, zarówno Rawitów, jak i Ossolińskich, przystojnie w ziemi złożono, chociaż Kostuch nastawał, by napastników, zwłaszcza ich przywódcę, na drogi rozstajne rzucono. Ale Halszka oparła się temu.

— Nie godzi się: chrześcijanie jesteśmy—rzekła.— Bogu sąd i karę ostawmy. Na Łukaszu krzywdy szukać będę, ale nad bezdusznymi się pastwić—sromota!

Również z jej rozrządzenia, zwłoki kasztelana i kanonika do Ossolina przewieziono, czego sama dopilnowała i sama żałobnemu pochodowi towarzyszyła.

Kostuch, za wozem żałobnym jadąc, łkał niby dziecko, powtarzając:

— Zawrzyjcie się powieki moje na zawsze! Mój pan! Mój ukochany pan! Albo i kanonik wielebny... Jego krwi, chociaż Bogu poświęconej, też nie darowano!

I jęczał, pięściami o skronie tłukł, boleść zaś starca miarkowała Halszka słowy:

— Staruchu! Zbych Łukaszowi tego nie podaruje, i my też... Strata się nie wróci, ale sprawiedliwości dojdziem.

## VII.

Nierychło Zbigniew z Oporowa dowiedział się o nieszczęściu, jakie na rodzinę Ossolińskich spadło, bowiem wciąż go przy sobie trzymał król Władysław, który właśnie w tym czasie wciąż się z miejsca na miejsca prznosił, zwiedzając grody, zamki, z potrzebami państwa się oznajmiając i do samodzielnego rządzenia wdrażając. Więc z Piotrkowa udał się był do Wielkiej Polski, potem z Łęczycy do ziemi lubelskiej i chełmskiej, dopiero stamtąd, przez Sandomierz, do Krakowa wrócił. Do tak czynnego życia pobudzał króla przezorny biskup Zbigniew z Oleśnicy, w mądrości swojej to rozważywszy, iż chociaż monarcha do pomocy w rządzie ma radę przyboczną, w każdym jednak razie, chociażby ta rada była tak ufności godną, iż można byłoby się zupełnie na nią zdać, monarcha, jako głowa państwa, o wszystkim wiedzieć, wszystkiego się dotknąć powinien. Król Władysław, acz bardzo młody, rozumiał, iż biskup szczerze dobra jego, nieodłącznie związanego z dobrem ojczyzny, pragnie, tedy chętnie jego zaleceń słuchał, cierpliwie dopełniał mozolnych lustracyj i sądów, mimo, że go wabiły bory pełne zwierza, gdyż do łowiectwa po ojcu zamiłowanie przejął. Wprawdzie skarżył się często przed najzauważniejszymi, do których w pierwszym rządzie należał Zbi-

gniew z Oporowa, na jarzmo korony, ale obowiązki wszelkie monarchy wykonywał ściśle, trzeba dodać — z wszelką po temu powagą.

Zatem Zbigniew z Oporowa, ustawicznie z miejsca na miejsce z królem się przenosząc, o nieszczęściu Ossolińskich dowiedzieć się nie mógł tak rychle. Wieść żałobna go dobiegła, gdy z panem znów na zjazd do Nowego Korczyna miał ciągnąć, któren był zwołany głównie, iżby ze Spytkiem Melsztyńskim porządek ostateczny uczynić. Podwójna zbrodnia Rawitów wszystkie poruszyła serca, wszyscy, jako jeden mąż, oburzeniem zawrzeli, a król Łukasza niezwłocznie ścigać, ująć i przed siebie stawić kazał, włości zaś jego i Grota polecił przez rycerzy swoich opanować. Jakoż zajęto Konary, Słupno i insze posiadłości Rawitów, lecz Łukasza nie zdołano naleźć. Przepadł, by kamień w wodzie, — zapewne albo w Zbąszynie, u sędziego poznańskiego się schronił, albo, co jeszcze pewniejsza, przy samym Melsztyńskim bezpieczeństwa szukał.

Łacno przewidzieć, jak dotkliwie Zbigniew Jelita klęskę Ossolińskich odczuł.

— Na Boga! — zawołał w pierwszym porywie szlachetnego oburzenia — spokoju nie zaznam, dopóki Łukaszowi nie odplacę. Biedna Halszka, gołąbka moja srebrnopióra! sierotą ją uczynili potępiency... Alem ja żyw, ja, twój przyrzeczony, jagodo kraśna, do mnie należy odtąd opieka nad tobą i nad macierzą twoją...

Lecz oburzenie jego Sulima i Świdwa skutecznie umiarkować potrafili, przedstawiając słuszne ku temu przyczyny:

— Zbychu mój! — tak prawił Sulima — pomsta nie chrześcijańska rzecz. Łukaszowi, za zbrodnie na Osso-

lińskich popelnione, zapłaci król, to nie twój frasunek Zważ, gdyby każdy sam sobie chciał sprawiedliwość wymierzać, społeczność przemieniłaby się w zbiorowisko ustawicznie walczących, o nijakim porządku nie mogłoby być mowy. Co do Halszki—tej niewątpliwie opieka twoja się należy, jako od przyrzeczonego, więc przyszłego małżonka, ale Łukasza—królowi ostaw.

Przyznał Zbigniew, chociaż nie odrazu, że trza rady druhów doświadczonych usłuchać, tedy poniechał myśli o zemście osobistej, jedno tego nie mógł sobie odmówić, żeby do Ossolina pojechać.

— Korczyn mamy za pasem—mówił — ale uwinę się w mignieniu oka. Muszę bodaj zobaczyć gołąbkę moją, bodaj zapłakać z nią razem i słowo otuszne jej powiedzieć. Nie może inaczej być.

— Abyś tam nie ugrzązł—przestrzegał Sulima— mamy grę z Melsztyńskim, w której może do krwi przelewu dojść, tedy obowiązkiem każdego rycerza, osobliwie, któremu pan miłościwy serce okazuje, przy jego boku w takim czasie niepewnym stać. Żlebyś się okazał, inaczej postępując.

— Rozumiem, że tak być musi i tak też będzie— na to Zbigniew. — Ossolin nie na końcu świata: zdążę tam dobieżać i wrócić, zanim do Korczyna wyruszyicie.

Król Władysław pozwolenia Zbigniewowi na odwiedzenie przyrzeczonej i jej macierzy bez trudności udzielił, wszelako, również jak Sulima, ten warunek położył, iżby z powrotem nie zwlekał.

— Z Melsztyńskim nie żarty—rzekł.— Szaleniec ten, wiesz dobrze, głośno prawa do tronu mi zaprzecza i niemal jawnie do zażegnęcia wojny domowej się gotuje; łącno tedy spodziewać się można, że teraz, sko-



ro widzi, iż przysłała na niego kreska, jawnie z zamysłami wystąpi. Ściąga, slysze, ludzi swoich i zaprzyjawnionych sobie panów, ba! ze Śląska, Czech i Niemiec. Nie przelewki tedy mamy przed sobą.

— Marnością jest to jego rzucanie się, podobne do tego, jak gdyby kto na słońce z motyką się rzucał, miłościwy panie...—zauważył Zbigniew.

— Niewątpliwie. Ja też go się cale nie obawiam, ale znów nie lekceważę—podchwycił Władysław, junacko wicherząc bujne kędziory.—Musim go upokorzyć i złamać tak, żeby już więcej nie szkodził. Żal mi go. Mąż niegdy zasłużony, ale rozum stracił. Ano... trudno. Sam sobie winien, iż zdala od łaski mojej trzymać go muszę. Tak—mógłby z moją i własną korzyścią przy tronie stać, cóż jednak poradzić na to, gdy sam nie chce... Przeto, Zbychu, jedź do Ossolina, uczyni, co ci obowiązek nakłada i wracaj.

Więc Zbigniew, pozwolenstwo otrzymawszy, uwinął się szybko i samoszość jeno do Ossolina pośpieszył. Paluch, jak zawsze, go nie odstępował, acz z wielkim strachem wybierał się w drogę.

— Panie miły—wyrzekal jękliwie—jać nie przeczę: serce dostojność waszą do Ossolina ciągnie, a serce to taka psia kość, że na swoim postawi. Jedźwa tedy, przecież... usłuchajcie rady doświadczonego czelaka, którego nie tylko z różnych pieców chleba smakował, ale i na tamtym świecie był, i weźmy ze sobą trochę więcej ludzi. Zbójeckie czasy nastały, że niech Bóg zachowa. Gdyby jeszcze onego potępienca, onego wściekłego Rawitę, którego nie wiem dla jakiej parady bies na świętej ziemi trzyma, a którego już dawno w czeluściach piekielnych skwarzyć się powinien, —

owóz, gdyby tego niecnotę schwymano, a! wówczas bylibyśmy bezpieczniejsi; ale kiedy on całkiem wolno po świecie się obraca, dla nas z tak marnym poczem puszczać się w drogę nie wypada. Usłuchaj, panie mój, rady, bo zdrowa jest i mądra. Jeżeli Rawici do mnie, sługi dostojności waszej, taką gwałtowną miłość czuli, że mnie naprzód chcieli upiec (niech ich szatan w otchłani na największym ogniu pieczel!), a potem głodową śmiercią zgładzić (bodaj im larwy piekielne wątrobę i wnętrności przez wieczne czasy szarpały!) to, zważcie miłość wasza, jak oni śmierci waszej pragnąć muszą! Bodajbym pięty własnej nie oglądał! bodajby mi język kolkiem stanął—jeżeli on oberwaniec z szubienicy nie śledzi waszej miłości, a z jakim zamiarem? ślepy nawet odgadnie. Juści spotkamy go gdzieś po drodze, ani chybi. Przez skórę to czuję. Sześciu ludzi przeciwko Rawicie, którego dotąd był półwściekły, a tyle dokazywał, teraz zaś całkiem się wściekł, to doprawdy, proszę miłości waszej, śmiech. Miejcie litość, jeśli nie nad sobą, to nad waszą Halszką, nad tą kopą i mendlem dzieciaczysków, które wam grzegółka wykukała... Cóż one, robaczęta, poczną bez rodzica swego? Sierotami ostaną bez osłony, bez przygarnięcia... Weźmy, panie miły, no... bodaj trzy dziesiątki chłopów... no... bodaj dwa! Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nie pomogły wszakże one biadania, Zbigniew wybrał się samoszóst, jak był postanowił.

Złe przeczucia Palucha nie spełniły się—bez żadnej przygody do Ossolina dotarli.

Halszka spodziewała się przyrzeczonego. Wyszła do niego cała w czerni, zboląła lecz nie złamana. Zdziwił się Zbigniew, spojrzawszy na nią. Nie było to

już ono dziewczę swawolne, o szczęściu jeno rojące, ale dziewica rozważnie na życie patrząca, której oczy nieszczęście otworzyło, której umysł, również pod brzemieniem nieszczęścia, zamiast się zatrwodzić, przygnębienie uczuć, w zwątpienie popaść—rozwinął się i dojrzał. Jagody jej pobladyły, wzrok miała smutny, lecz spokoju pełen, zachowanie poważne. Zbigniew wyciągnął ku niej ręce, w objęcia chwycił, do piersi przycisnąwszy tulił, powtarzając:

— Mojaś ty, moja! Jakże cię Bóg Najwyższy dotknął!

Ona zaś, garnąc się do niego, szeptała przez łyzy, które jednak płynęły zrojem łagodnym, bez gwałtownych porywów:

— Stało się, Zbychu... Bóg tak chciał, a On daje i odbiera, korzyć się przed Jego wolą trzeba... Stało się...

— A jam nie przeczuł? A mnie przy tem nie było!—mówił Zbigniew, jak gdyby wyrzuty sobie czyniąc. Gdybym był... pewien jestem, tak pewien, jako, że nad ciebie piękniejszej i słodszej na świecie niema, iż rzeczy inakszym potoczyłyby się torem... Bez samochwalstwa powiadam. Nie dopuściłbym waszej krzywdy i jeżeli kto, to zbrodniarze padliby ofiarą niecných zamysłów swoich... Wierzaj. Nie było mnie przy was, ale bo... kto mógł przypuścić coś równie straszliwego?!

— Stało się, Zbychu—powtarzała Halszka z ciężkiem westchnieniem—nie wrócim żywota żalością ni łzami najdroższym naszym, których dłonie zbójeckie zgładziły... Niech spoczywają w spokoju, w światłości wiekuistej, my zaś starunku dokładajmy, żeby on

zbój, co z życiem uszedł, słuszne skarcenie otrzymał. Do tego mi przecież dopomożesz?

— Niechybnie! Jako mnie przed sobą widzisz! I nie może żadną miarą być, iżby go kara słuszna nie dosięgła, bo sam nasz pan miłościwy okrutnie się na niego zawział. Ba! nietylko on: wszystkich zgroza ogarnęła na tak ohydny mord, wszyscy domagają się przykładowego skarcenia. Wiesz niewątpliwie, sobolu mój, że król już się wedle tego niewątpliwie zakrzętnął. Tak mniemając, że Łukasz do którego z zamków swoich się schronił, w te pędy, skoro go jeno wieść o zbrodni dobiegła, silne poczty do onych zamków powysyłał, iżby je bodaj siłą wziąć, byle zbója schwycić. Ale na tem się skończyło, że one gniazda potępięcze zagarnięto, zbója zaś w nich nie znaleziono: uszedł, psiajucha, przepadł, niby pod ziemią. Gadają jedni, że w Zbaszynie się ukrył, insi, że u Mel-sztyńskiego Spytka, a insi, że pono aż na Śląsk wyciągnął. Nie to, jagodo. Najdziem go, prędzej zali później najdziem. Ja ci to powiadam, bo przecież jam twój, a tyś moja, tedy wasza krzywda moją jest krzywda, co was boli i mnie zarówno...

— Wierzę ci Zbychu, dufam, jak sobie samej i to mnie w okrutnej żalości pociesza, że mi twoja družba, miłowanie twoje, które przecie jednako trwać będzie do zawarcia powiek naszych na sen wiekuisty, pozostało—rzekła przez łzy się uśmiechając Halszka.— Gdyby mnie i to zawieść miało... rozumbym chyba postradała...

A Zbigniew, to usłyszawszy, silniej ją do piersi przytulił i zawołał gorąco:

— Jeno sobie czegoś podobnego do głowy nie

przypuszczaj, sobolu mój! Wiary ci nie złamię prze-  
nigdy, jako dziś serce moje miłowaniem dla ciebie pło-  
nie, tak płonąć będzie zawdy, do deski grobowej, na-  
wet po śmierci, jeżeli tam dusze zmarłych żywot do  
ludzkiego podobny wiodą. Powiem ci jeszcze, że je-  
żelim cię kochał mocno w szczęsnej doli, to teraz,  
gdys w nieszczęściu, miłuję cię tysiackroć więcej...  
Bom przecie teraz twoja podpora, twoja opieka, twój  
puklerz... Nie tak-li, Halszko? Nie tak, kwiecie ró-  
żany? Nie tak, sobolu?

Halszka zaś, rzęsy spuszczać, odparła zarumie-  
niona, do zorzy porannej podobna:

— Wierzę i czuję, że tak jest. Niech ci Bóg  
płaci, Zbychu, niech sprawi, iżbyś we mnie znalazł to,  
czego pragniesz...

Długo się zwierzali przyrzeczeni, potem znów  
rozmowa do nieszczęśliwego dnia się zwróciła, w któ-  
rym kasztelan i kanonik Jan pod ciosami mordercze-  
mi padli. Halszka musiała wiele razy opowiadać, ze  
wszelkimi drobiazgami, jak się te stało, a Zbych, słu-  
chając, nie mógł się powstrzymać od wyrazów zdumie-  
nia i uwielbienia dla jej bohaterstwa.

— Rycerskie w tobie serce, nie niewieście, za-  
iste!—mówił, patrząc na nią niby we wizerunek cudo-  
wny.— Że się konia dosiąść nie strachasz; że na zwierza  
również bez trwogi godzisz: to jeszcze nic. Takich się  
u nas najdzie wiele. Ale, że w potrzebie z równą nie-  
ustraszonością stanąć potrafisz... do tego zdolną cię nie  
sądziłem. I to jeszcze przeciw komu? Przeciw prze-  
wadze zbójckiej... To już osobliwość taka chwalebna,  
że jej trudno językiem wyrazić!

— I takich najdzie się wiele... — szepnęła, rada z chwalby przyrzeczonego.

— Chyba nie. Ja przynajmniej o takich nie słyszałem.

Paluch tymczasem usiłował rozruszać Kostucha, który śmierć pana swego i jego syna tak mocno odczuł, że stał się obojętnym na wszystko. Zaprzestał nałogowego zrzędzenia, bez którego dawniej obejść się nie mógł, całymi dniami siadywał w ciemnym jakim kącie, bez słowa, szklanemi oczyma patrząc przed siebie. Trzeba było o nim mieć starunek, jak o dziecięciu małym, bo ani do jadła się sam wziął, ani o sporczyнку pomyślał, ani o zmienieniu odzieży. Były chwile, w których wydawał się jakby szaleństwem ogarnięty, bowiem w piersi i po skroniach pięściami się tłukł, odzież na sobie szarpał, a wodząc dokoła wzrokiem dzikim, powtarzał jękliwie:

— Mój pan! Mój ukochany pan! W moich oczach się to stało... w moich oczach żywot z krwią mu wytoczono...

Bywało też, że wśród nocy z posłania się porывał i biegał po zamku, nawołując donośnie:

— Zdrada! Zdrada! Znów tu są! Znów przyszli! Bij—zabij zbójów!

I biegał tak dopóty, nikomu uspokoić się nie dając, dopóki, znużeniem obezwładniony, nie upadł na ziemię.

Wezwana Rokicina ziela mu warzyła, okadzała, zamówienia od uroku szeptała, lecz niewiele skutku jej zabiegi przyniosły. Stary z żalu ocknąć się nie mógł. Jedna Halszka wpływ niejaki nad nim miała, jej tylko słuchał i zdawał się rozumieć.

Paluch zatem, w takim smutnym stanie družbę zastawszy, sam też zmarkotniał, wszelako, sprawności języka swego dufając, mniemał, że go obudzić i wyprowadzić z tej nieczulości podola.

— Ejże, stary—mówił tonem jak umiał najserdeczniejszym — zawdyś miał rozumu podostatkiem, trza więc, żebyś i teraz go odszukał. Co u kata! Nieszczęście się stało, prawda, ale już przecież ludzka dola taka, że bez nieszczęścia się nie obchodzi. Musi być, słyszałeś, boś chrześcijanin i do kościoła chadzasz, jako wielebni z kazalnicy nauczają: kogo Bóg miłuje, temu krzyże zsyła. Znaczy się, że w nieszczęściu wazsem i łaska Boża jest. Uważ przeto, że kto się od nieszczęścia zapamiętywa, ten Bogu bluźni, ten łaską Jego poniewiera. Nieszczęście... co nieszczęście? Marność, jak cały żywot człowieka. Bo cóż on nasz żywot? Dziś jesteś, a jutro gnijesz i pamięci o tobie nie ostało... Tyś pana swego miłował, ja swego też; tyś swego stracił—ja tak samo, a przecież w zapamiętanie cale nie wpadłem... Ano, Kostuchu mój, zmory się pozbądź i chociaż słowo do rzeczy powiedz... Stary, no!

Lecz Kostuch, mimo, że siedział tuż obok, zda się nie rozumiał, co Paluch do niego mówi, jeno wzdychał, jęczał, głową wstrząsał.

Pocziwy grubas coraz większą markotność uczuwał, a nawet na łzy mu się zbierało; nie dając za wygrane, zmuszał Kostucha do jadła, a więcej jeszcze do gardła odwilżania, napróżno jednak, bo stary od misy i kubka się odwracał.

— Bójże się ty ran Boskich, człowiecze!—zawołał wówczas zniecierpliwiony Paluch — co się z tobą zrobiło?! Urzeczonyś chyba. Jaktó? Ze mną, starym

družbą wzdragasz się kubkiem trącić? Frasunek frasunkiem, a družba družbą. Powiadam tobie: niema na frasunek, jak podjeść do sytości i wypić, ile się zmieści. Z doświadczenia to wiem. Uczyni tak, a sam się przekonasz, że cię zapamiętanie odbiegnie. Kostuch, ano, Kostuch! Tfu do kopy biesów łysych, jakżeś się odmienił... Chyba do ciebie trza gadać, jak do zapamiętałej sobaki... Kostuch! przykazuję ci—ocknij się, bo mi wątroba ze wstretu się wzdyma. Wszak Halszka pozostała, kasztelanka, której twój obowiązek nakazuje ci strzedz jako żrenicy oka, a jakże strzedz będziesz, w zapamiętaniu pozostając...

Usłyszawszy o Halszce, Kostuch nieco się ożywił, ale wnet głowę na piersi zwiesił i jęknął:

— Sierotą ona teraz! Sierotą ja! Mój pan! Nie stało go! Zabit został! Zamordowan!

Wyczerpał wszelkie tłumaczenia Paluch bezskutecznie—Kostucha rozruszać nie potrafił; gdy odjeżdżał z Ossolina ze Zbigniewem, stary pozostał w odrętwieniu, w jakim go znalazł. Obeszło to grubasa do tego stopnia, że w drodze przez dość długi czas się nie odzywał, co było osobliwością i co nawet zwróciło uwagę jego pana, który też zapytał go:

— Jedziesz z łbem zwieszonym, jak na deszczu, cożeś taki?

— A wasza miłość nibyto ma myśl weselszą? — fuknął w odpowiedzi gaduła.—Z czego się mam radować? Rybią trza mieć krew, nie człowieczą, żeby patrząc na tamtych w Ossolinie, żalości w sercu nie uczuć... Bodaj psi jedli takie zdarzenia...

— Prawda twoja--rzekł Zbigniew—żałością serce wzbiera, gdy się patrzy na kasztelanową i na Hal-



szkę. Nieszczęście je przygnębiło okrutnie. Ale nadzieja w Bogu, że się z niem oswoją...

— Oswoją albo nie oswoją!—podchwycił Paluch wciąż oburkliwie.—Zresztą... co tam miłościwej kasztelanowej albo kasztelance... w pańskim stanie o pociechę łatwo. Miłościwa kasztelanowa ma dziewczkę, a w waszej dostojności takiego, który jej męża i syna zastąpi... Kasztelanka łacniej się jeszcze pocieszy, już dziś nawet się uśmiechała, gdy wasza miłość przy pożegnaniu ją utulał... Ale taki oto Kostuch...

— Pocziwiec! na z krzyża zdjętego patrzy... — wtrącił Zbigniew.

— Jaki on pocziwiec, kiedy się całkiem zapamiętał, na amen! Kapki rozumu w jego głowie nie ma. Jak mi Pan Jezus, świata Zbawiciel miły, rozum go odbiegł ze szczętem.

— I on do swojej pory przyjdzie...

— Nie miarkuję, żeby tak się stało!—westchnął Paluch.—Stary, po prawdzie mówiący, nigdy zbytciem rozumu nie grzeszył, zawdy miał cierpkość w ozorze, nikomu, mnie nawet, słowa dobrego nie dał, ale to jeszcze nie powód, żeby pozwalać zapamiętałości się ogarnąć. Próbowałem z nim i tak, i siak — gdzie zaś! Niechby zrzędził, niechby pomstował... on zaś jęczy, wzdycha, po łbie się tłucze, mileczy niby pień, a co najgorsza: jadła ni napitku tknąć nie chce. Skaranie Boże z takim! Według mego rozumienia... musieli go potępieńce oczarować. Inaczej nie może być.

— Więc tobie o Kostucha chodzi?

— O kogóżby inszego?—ramionami wzruszył grubas.— O niego mi chodzi, bo... chociażśmy się z sobą swarzyli, wszelako znaleźmy się tyli czas... Przekomar-

ny on był zawdy, dokuczył nieraz, do żywego dojadł, ale nawykliśmy do siebie, więc mi go trochę żal. Patronie mój, Bartosie święty, przemień mu ono zapamiętanie, a już przed twoim ołtarzem świecę postawię, choćby tak grubą, jak dwuletni dębeczak, w czym mi dostojność wasza pomocy nie poskapi...

— Nie poskapię, bo poczciwa to będzie ofiara, jeno uważ, że w niej twojej zasługi niewiela będzie.

— Czemu? Największa zasługa w chęci dobrej, w pomyśleniu. Święty Bartosz, ani też żaden inszy patron, nie patrzą za czyje denary ofiara, jeno na ręce tego, którego ją składa. Wiem ja o tem od księży.

Urwał gaduła, lecz niedługo milczał, po chwili znów się do Zbigniewa zwrócił:

— Proszę waszej dostojności, to my teraz z panem miłościwym do miasta Nowego Korczyna pociągniemy?

— Wiesz przecie.

— Wiem, że tak być miało, alem miarkował, że wasza dostojność pomyślenie zmienił...

— Dlaczego bym miał zmieniać?

— Bo jakże... niech dostojność wasza dobrze rozważy. Powiadają, że pan miłościwy w Nowym Korczynie z panem Melsztyńskim rozprawiać się ma? Prawda?

— Cóż z tego?

— Z tego wypada, że tam do bitki niechybnie przyjdzie, bo pan Melsztyński jurny, dyabła ma za pazuchą, którego mu nawet przed majestatem królewskim głowy uchylić nie pozwoli...

— Więc...

— Więc, miarkuję, że, wedle słuszności, wasza

cześć jechać do Nowego Korczyna nie powinien. Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą. Jeżeli do bitki przyjdzie, to będzie gorąca, bo pan Melsztyński zawzięty i slychać, że siła ludu zbrojnego tam prowadzi. Owo, w bitce takiej niewiadomo, komu brzeg... może nas (czyli waszą miłość, bo mnie, słudze, do spraw pańskich nosa wściubiać nie należy) tedy waszą miłość może jaka przygoda szpetna spotkać, na ten przykład mówiący: głowy rozłupanie, piersi na skroś prześwidrowanie, nogi czy ręki utracenie, co wszystko zdrowiu nie pomaga, a często (ile, że śmiałków nietylko psi kasaają...) życia zbawia na amen...

— Do czego zmierzasz, gaduło? — przerwał niecierpliwie Zbigniew.

— Zmierzam do przestrogi, do rady, jak się patrzy, co obowiązkiem sługi wiernego i pana miłującego jest. Gdyby się waszej miłości krzywda tam stać miała, cobym ja począł niebogi? Z pewnościąbym się zapamiętał, jak nie przymierzając, Kostuch, na co przecież wasza cześć skazywać mnie nie powinien...

Zbigniew ręką machnął, dając znak, że słuchać bredzenia już nie chce, Paluch jednak ciągnął dalej:

— Dostojność wasza tyle dba o mnie, ile o burą sukę. Nic to. Ja dla dostojności waszej serca nie stracę, bo wiem, że wdzięczności na świecie dzisiaj nie należą. Ale skoro wasza dostojność tak mało mnie waży, myślę, że mieć wzgląd będzie na insze obowiązki. Dopóki w Ossolinie za kasztelanekę zastawiał się rodzic i brat, wolno waszej dostojności było guzów po świecie szukać; gdy zaś ich nie stało, gdy nieboga dziś sierotą, w was jeno mającą ostoję, tedy każdy przyzna, że dostojności waszej nie godzi się na szwank

lub (czego Boże zachowaj) życia zbawienie narażać. Tak, miły panie. Rozważcie to i poniechajcie myśli ciągnięcia do Nowego Korczyna. Łaźnia tam będzie, bo się wszystkie arcypsy z całej Polski zbiegną...

— Zaiste—szepnął Zbigniew, jak gdyby do siebie - dziś jam jedyną jej ostoją. .

— A widzi dostojność wasza! — podchwycił Paluch z rozjaśnioną twarzą.—Chwała Bogu Najwyższemu, żem przecież choć raz w życiu do przekonania waszej dostojności trafił. Skoro zaś tak, to się jeszcze na radę ośmielę. Owo, proszę miłości waszej, rozumiem, iż najmądrzej będzie do Ossolina wrócić i tam przeczekać, aż się ono mlewo, co to je pan miłościwy do Nowego Korczyna ściąga, należyście zmiele. Ossolin, zamek twardy, opatrzon, jak żaden, ludzi na dorędziu siła. Bezpieczni tam będziemy i sami, i kasztelanecce przy nas włos z głowy nie spadnie. Więc, proszę miłości waszej, jakże? Mamy wracać, to lepiej zaraz...

Zbigniew jechał z oczyma przymkniętymi, zamyślony, co spostrzegłszy natrętny grubas, poważył się za płaszcz go pociągnąć.

— Czego mi spokoju nie dajesz, bajbugo?—szorstko porwał się Jelita.—Do umoruś mi dojadł paplaniem...

— Ale bo wszak wracać mamy...

— Gdzie? Co ci się przyśniwa?

— Jakto gdzie? Do Ossolina...

Byłby mówił jeszcze, lecz uczuwszy silne uderzenie pięścią w bok, którem go pan potraktował, umilkł i stracił ochotę do prowadzenia rozmowy. Pośpiesznie się też usunął opodal, a nie mogąc głośno, zwierzał się przed sobą, w myśli:

— Ano... tamten się zapamiętał z żalu, a ten... kat wie z czego. Otom mu do pomiarkowania trafił, aż mi zapłacił. Uf! szpetnie ma ciężką rękę... Żeby nie miał trocha mięsem podrosłej skóry, niewątpliwie żebraby mi poprzetręcał. Tak to panowie dziękują za mądrą radę... Niby przyświadczał, a wkońcu pieczęć przyłożył, aż mi sto świec w ślepiach zapłonęło... I jedzie przed się, nie myśli wracać. Oczywiście, jedzie karku nadstawić. Dobrze, ale po co mnie za sobą wlecze? Mnie kark nie świerzbi. Ano, trudna rada: pan piwa nawarzy, a ty, sługo, taki synie, żłopaj, chociażby ci miały zęby ścierpnąć. Taka to dola biednego człowieka.

W Krakowie zastał Zbigniew króla na wyjeźdnem prawie, dowiedział się zaś, że niektórzy panowie już byli wyciągnęli. Władysław dopytywał się o niego kilkakrotnie i nawet, ognistego usposobienia będąc, niezadowolenie okazywał, bo zdało mu się, że nadto długo nieobecność przeciąga. To też, gdy mu doniesiono, że Zbigniew wrócił, natychmiast go przywołał. Jelita musiał do niego pośpieszyć w szatach podróżnych, jak z konia zsiadł.

— Jesteś nareszcie! — powitał go król od proga, rzucając tarczę, którą opatrywał. — Ptakiem obiecałeś powrócić, tymczasem włókłeś się, by wół w jarzmie...

— Niedziwota, królu panie — odezwał się Kur, który w kącie siedząc, orzechy łuskał i w miodzie ziarna maczając, on chrustał. — W tamtą stronę, do Ossolina, pędził-ci on ptakiem, ale z powrotem śpiesznie dążyć nie mógł, bo w głowie mu się maciło...

— Jakże to? Masz jasno wyłożyć, coś w słowach ukrył? — zapytał król wesołka.

— A kłóżby tego nie zrozumiał? — odparł Kur, pełną gębę orzechów mając.—Niema zlej drogi do swojej niebogi, więc do Ossolina rwał się pan Jelita z kopyta. Tam się małmazyów opił do zbytku, bo czem są ślepki gładkiej dziewczynki, jeszcze tak pięknej, jak kasztelanka, jeśli nie małmazyą, od której słodkość po kościach nawet się rozchodzi, kołowaciznę w głowie, a kuroślep w oczach sprawia, jako ono najteższe piwo zali wino? Każdego męża takie ślepki upoją, cóż dopiero powiedzieć o takim, któremu w sercu ugrzęzły...

Roześmiał się Władysław, po ramieniu wesołka uderzył, a zwracając się do Zbigniewa, rzekł:

— Jakby z karty, tak składnie wyłożył. Prawda, Jelito? Co?

— Nie mitreżyłem tam nazbyt, miłościwy panie— odparł Zbigniew, lekko płonąć na licach.

— Nie czynię ci wymówek, bo chociaż nie znam jeszcze miłowania, czuję wszelako, że ono posiada moc dziwną—podjął król z ożywieniem.—I tak mi się zda, że jeżeli Bóg stworzył do czego rycerza, to naprzód do oręża, a potem do kochania... Inaczej nie może być. Gdyby tak nie było, po cóżby na świecie istniały niewiasty? Wszak sam Bóg Ojciec Adama z Ewą połączył w rajskim ogrójeu jeszcze...

Zatrzymał się i dodał, przyczem nozdrza mu się rozdymały i oczy płonęły:

— A! niewiasty... Niepojęta rzecz, co mają w sobie, że tak krew do nich gra! Biskup Oleśnicki i mój mistrz Grzegorz, ba! królowa matka i wszyscy starsi w uszy mi kładą, że one pokuszeniem, od szatana nadsłanem, są... Śmiech bierze słuchając! Są pokusze-

niem, w tem słuszność, jeno nie szatana, bo przecież Bóg je na świat zsyła...

— Ho! ho! — mruknął Kur. — Żrobak na kiel bierze...

— Coś rzekł, stary? — zagabnął szparko Władysław.

— Dziwuję się mądrości twojej, miłościwy panie. Tyle już znasz, że biskupowi, mistrzowi z Sano-ka i wszystkim starszym jeno w kozi róg się schować...—rzekł powoli błazen.

Uczuł przymówkę król, brwi zsunął, ale się wnet rozchmurzył i bez gniewu powiedział:

— Wiem, coś na myśli miał, to mówiąc. Ano, wiem też, że starszym inaczej mówić nie lża. Przystojność tak każe, ale przecież i natura człowieka swoje prawa ma...

— Miałać ona prawa najszlachetniejsze, dopóki pierwsza nasza rodzica złemu do niej przystępu bronila; ale odkąd pierwsza nasza rodzica wężowych usłuchała podszeptów, wszelkie jej prawa przepadły, bo złe pozostało w niej żądło swoje, które ją do przeciwienia się Bożym przykazaniom pcha. Odtąd też Bóg na rozum prawa kierowania człowiekiem zlał, tedy jeżeli człowiek rozumu swego nie słucha, zali ludzi od niego mądrzejszych, zawdy na manowce trafia, nie tam, gdzie trza.

— Tobieby — wtrącił żartobliwie Władysław — w szkole powszechnej bakałarzować...

— Może potrafiłbym nie gorzej od innych ludziom w głowach mącić, ale dość mam kłopotu z jedną waszą, miłościwy królu. A co się tyczy niewiast, to przeświadczeniu memu dufajcie i... nie pozwalajcie im zbliżać się nazbyt do siebie. Są one, na ten przykład

mówiący, jako kołacz świeżo z pieca wyjęty: wygląda pięknie, zapachem nęci, a skosztuj go przed wystygnięciem—to cię czternasta kolka rozepre... Żle powiadam, gorsze jeszcze są, bo w łakomstwie wilka zgłodniałego przechodzą. Niech człowieka opanują, nie pozostawią na nim nic, okrom skóry i gnatów, a czasem i te już nie nie wartają.

— Musiałeś wiele się wśród nich obracać, skoro je znasz tak na skroś — śmiał się Władysław, a Kur w głowę się drapiąc, odparł:

— Przypatrowałem się im wiele, ale zawdy przez rozłóg, dlatego się ostojał do tego czasu. Gdybym przezorności nie zachował, oho! rozsmakowałyby mnie na szcęt. A rwałyż się do mnie, rwały te sikory-opętanice...

— Okrutnie się chwalisz, stary...

— Chwałę — nie chwałę, dość, że mam jeszcze czem łaskowce łupać.

Do orzechów gryzienia wrócił, zaś Władysław Zbigniewa o tem, jak i co zastał w Ossolinie, rozpytywał. Tedy pan z Oporowa jał barwnemi słowy wysławiać swoją Halszkę: jak z mężnem sercem przyjęła nieszczęście, z jaką godnością i statkiem je znosi; nie zapomniał nadmienić o przebiegu zbrodniczego napadu Grotów na Dwie Kozy i tego jeszcze, że Halszka ufność pokłada, iż król Łukasza bez kary nie zostawi.

— Oczywiście!- zawołał porywco Władysław. — Wiesz dobrze przecież, żeśmy uczynili już, co można, a niechno z Melsztyńskim się uporam, na Łukasza bez mieszkania obławę urządzę. Trza ci było powiedzieć przyrzeczonej, jako jest.



— Powiedziałem miłościwy panie, czego z wdzięcznym wysłuchała sercem.

Uśmiechnął się król, dłonią musnął gęsto puszczejący się wąs, bo go wdzięczność jednej z najpiękniejszych dziewięc mile pogłaskała.

— Co tam wdzięczność! — rzekł nibyto z lekceważeniem. — Nie żadne dobrodzieństwo spełniam, jeno obowiązek. Wymierzanie sprawiedliwości królewska rzecz, jak wierność poddanych ich jest rzeczą. Tem zaś chętniej do skarcenia Łukasza się zabrałem, ile, że skrzywdził ród tak czeigodny... Zresztą, nosi on na sobie win co nie miara...

Zasepił się trocha i po chwili rzucił:

— Zaiste... ciężko to szale sprawiedliwości dzierżyć! Odpowiedzialność wielka, a przytem... często człowiek najslusznieszego karcenia radby się wyrzekł. Z tym Melsztyńskim oto... Do szpiku dogryzł, do mięsa żywego, wszelako niepodobna mu zasług, wcale znacznych, zaprzeczyć... A jeszcze krew w nim płynie też znamienita, blizkich sobie na każdym kroku ma!

— Oho! — mruknął Kur — to już mi się tylko Melsztyńskiemu w pas pokłonić i miejsce u niego dla starych swoich kości wyżebrać...

— A to czemu?

— Bo miłościwy król mój i pan chyba koronę mu chce oddać, a ja skorom zaczął na dworze królewskim służbę, nie godzi mi się pośledniejszej szukać. Trudno: co będzie — to będzie. Jedno we łbie mi się pomieścić nie może, iż wy, miłościwy panie, chociaż was najznamienitsi w mądrości ćwiczyli, nie pamiętacie o tem, o czem lada pacholę z chaty kurnej wie dobrze...

— Niby o czym?

— Że rumak, bodajby z najslynniejszego stada, może sparszywieć i wtedy inszej z nim rady niema, jeno go ze stajni usunąć, bo nietylko pożytek z niego żaden, ale jeszcze wszystko dokoła siebie choróbskiem szpetnem zarazi. Tak samo z Melsztyńskim. Za nic rodu jego zacność, niezem zasługi, kiedy złe myśli do głowy przypuścił i zbyć ich się nie chce. Któż nie świadom, że wszystko się robiło, aby go od szaleństwa odciągnąć, on przecież się wziął i brnie dalej, jako zaczął. Wesolek sobie jestem, w przemądrych kunsztach nieobrotny, wszelako oczy moje długo już na świat i ludzi poglądają, widzą zaś lepiej, niż niejeden z panów rady koronnej; tedy powiadam: serce wasze, królu mój, młode, stąd miękkie, jako wosk, dla upodobań swoich, a że Spytek rycerz pierwszej ręki, wy znów, panie, wszystko, co się rycerskością zaleca, w wielkiem macie upodobaniu, nie dziw, że Melsztyńskiego lżej sądzicie, niż winien.

— Zawdy go szkoda — westchnął król. — Co robić... Postawimy mu w Korczynie wóz i przewóz, niech wybiera. Jeśli wyrzeknie się knowań wszelakich i z nami zajedno pójdzie—jego szczęście, a nie...

— Rychlej ja habit wdzieję, niż on się knowań wyrzeknie. Zgubiony człowiek jest i oto!

Bąknął to stary wesolek niecierpliwie i wyszedł, a Władysław rozpowiadać Zbigniewowi jał, jak się ona podróż do Nowego Korczyna ma odbyć.

— Od mego boku cię nie puszcze, jak również Sulimy i Świłwy. To wam dawniej zapowiedziałem i teraz powtarzam — mówił wiehrząc, wedle zwyczaju, kędziory.—Uczyni się, co można, żeby Melsztyńskiemu

rozum przywrócić, ale sam czuję, że to go jeszcze bardziej wzburzy. Kur słusznie rzekł: zgubiony z niego człek. Gotujcież się szybko, bo ruszamy bodaj za dwa dni.

— Jam gotów choćby w tej chwili, miłościwy panie—odezwał się Zbigniew.

— Wiem, że sprawniejszego do wszelkich obrotów nad ciebie niema, ale to przecież i na łowy trza się przygotować, co dopiero, gdy się jedzie tam, gdzie snadno do krwawej rozprawy przyjść może.

Chciał odejść Zbigniew, lecz Władysław wstrzymał go pytaniem, rzekomo od niechcenia:

— Cóż Wąż? Mógłby raz żalóść z siebie wypłuć i rozchmurzyć się... Także z niego dziwaczysko a po prawdzie mówiący... osowiał bez przyczyny...

— Wszyscy to mówim, że nadto do serca wziął jak sam nazywa, zawód. Naturę ma wielce wszystkiet się przejmującą.

— Zaiste! — żywo podchwycił Władysław. — Rozgorzec tak odrazu, ślub taki cudacki uczynić, a potem, nalazłszy umiłowaną, znów cudactwa wyprawiać. Prawda, Belinowa osobliwych ponęt niewiasta... an słowa... Widziałem ją tylko z daleka, mimo to przyznać muszę—można dla niej głowę stracić... Jak mówisz, Jelito? Można?

— Jam również z daleka ją tylko oglądał.

— I co? Jakże? Ktoby powiedział, że to wdowa? Zapaliła w tobie krew! Przyznaj się?

— Całkiem nie. Gładka jest, ale mnie nie zachwyciła.

Władysław poufale go trącił i rozśmiał się.

— Wzdragasz się przyznać, boś z inną słowem

związany—rzekł oczu przymrużając— wszakże gdybyś nie był przyrzeczoną... co?

— Zda mi się, miłościwy panie, że i wtedy głowy mi nie przewróciła.

— Ot! powiedział... Świętym przecież nie jesteś...

Wziął Zbigniewa pod ramię i znów odniechcenię począł:

Mniejsza z tobą: masz swoją, toś ślepy na wszystkie inne; ale ten Świdwa... Czem się trapi? Nalazł ją po tylu latach, niechby się pobrali... Wszak lgnęła do niego, sama go przywabiała...

— Miłościwy panie, z Belinowej niewiasta obyczajów swawolnych...

— Bo wy ją po katowsku sądziecie, a mnie... opowiadano inaczej. Wesola jest, zabawić się lubi, tyle jej grzechu. Stary Petrko Belina, słyszę, udreślał ją straszliwie, miał go żałować, gdy umarł? Cieszyła się, uwolniwszy z jarzma, jak każdy...

Nagle Władysław, uderzywszy Zbigniewa po dłoni, rzekł z pewnem wahaniem i rumieniąc się:

— Wiesz, Jelito, co? Ja ich pogodzę...

Spojrzał na niego szeroko rozwartemi oczyma Zbigniew, Władysław zaś dalej mówił z ożywieniem:

— Pogodzę, obaczysz. Trapią się oboje, kat wie dlaczego! On chodzi by mruk, wzdycha i pono przy tęskliwych pieśniach swego lutnisty łzy wylewa; ona (bo ja wiem wszystko!) całkiem się zmieniła i w swoim Tokarzewie niemal mniszki żywot pędzi. Mają się gryźć, truc, marnieć? Pogodzę ich.

— Wątpię, miłościwy panie, zali na to Świdwa przystanie...—rzekł, głową wstrząsając Zbigniew.

— Moja w tem głowa. Powiem mu... no, już

mu przemówię do serca. Sprowadzim ich w jedno miejsce...

— Jakim sposobem, miłościwy panie? — zapytał coraz bardziej zdziwiony Zbigniew.

— Alboż to co trudnego? Po zjeździe w Nowym Korczynie, wybierzem się na łowy, spocząć nam w Tokarzewie wypadnie, a gdy tam staniam... wszystko się ułoży. I wyprawię im weselisko, aż się o tysiąc stajañ rozlegnie. Przekonasz się Jelito, tylko... przed czasem Świdwie nie, ani słowa. Takiego cudaka za rękę trza prowadzić.

Związany upomnieniem królewskim, Zbigniew Wężowi nie o tej zagadkowej rozmowie nie wspomniał, nie poczytał jednak sobie za grzech wspomnieć o niej Sulimie. Ten uśmiechnął się i rzekł:

— Moznaby on zamiar króla za w najpoczeiwszej myśli zrodzony poczytać, ale ja w nim co inszego czuję...

— Cóżby? Życzy Świdwie najlepiej, więc uszczęśliwić go pragnie - odezwał się Zbigniew.

— Ejże, Jelito! ofuknął go łagodnie Sulima. — Drwinujesz, zali o drogę pytasz?

— Zawdy mówię, co myślę i tym razem tak samo. Nic to zresztą dziwnego. Król dla wszystkich najlepsze ma serce, a już dla tych, których więcej lubi, nieba radby przychylił. To mnie jeno zastanawia, że do onej zgody wziął się tak rączo i to w takim czasie...

Sulima dłonie mu na ramionach położył i w oczy patrząc, mówił:

— Wątpliwości nijakiej niema, że król serce posiada jak rzadko i dla Świdwy wieleby uczynił, ale w tym

razie, Jelito mój, o sobie on nie zaś o naszym Wężu myśli. Zrozumiałeś?

— Jeszczem ciemny...

— Et! bo masz w głowie, i w oczach, i w sercu pełno swojej Halszki, to trudno ci o czem innem rozważać należnie... A wszakci Władysław już nie dziecko! Już pan koronowany, za pełnoletniego uznany... Matka, niby żrenicy oka go strzeże, więc nie rozpuście nazbyt, ale oprócz dobrych i złych ma doradców, którzy go uczą, czego nie trza...

Zbigniew w czoło się uderzył, Sulima dalej prawił:

— No, jakoś, zda się, zaczynasz rozumieć. Widzim przecież—tu rycerz głos zniżył—że mimo wszelkiej baczności, nasz młody pan pozwala sobie. Te jego nocne, kryjome wycieczki po mieście, o łowach też można byłoby wiele powiedzieć...

— Prawda! Prawda!—przytakiwał Zbigniew.

— Nam do tego nie, nam wara, są insi do prawienia nauk... Majestat królewski go osłania—to dość.

— Ale skądżeby znów Belinowa tak bardzo mu w oko wpadła? Widział ją, powiada jeno z daleka..

— Dla ognistej natury i tego wystarczy. A Świdwa? Ten ją również z daleka widział i to raz jeno, przecież tak go pogrążyła, że dziś do siebie przyjść nie może. Królowi siła o niej opowiadać musiano, więc przed obaczeniem był już podbechtany, reszty dokonali zauszniukowie, żeby się panu przypodobać. Ich to sprawka, ich to pomyślenie... Zudra w tej mętnej wodzie pierwszy rękę umoczył, jakbym wiedział. Zresztą nam do tego nie, powtarzam. Król do miłostek nazbyt jeszcze młodociany, ale królowie rychlej dojrze-

wają niż insi ludzie. Majestat ich wywyższa i prawa odrębne daje...

— Szkoda byłoby, gdyby pan tak rycerskiego ducha zmarnieć miał w przedwczesnych, zdrożnych uciechach—szepnął Zbigniew.—Wszyscy, cały naród patrzy w niego, by w słońce...

— A szkoda — potwierdził Sulima. — Nadzieje w nim pokładamy, zapowiada wiele... może też Bóg miłosierny da nam z niego pociechę...

— Przestrzedzby kogo, mistrzowi Grzegorzowi z Sanoka rzec słów kilkoro...

Sulima na ustach palec położył.

— Nie nasza to sprawa — dodał.— Jest królowa-matka, biskup Oleśnicki, insi panowie radni korony. Myśmy nadto maluczcy...

Westchnął i po chwili rzucił jeszcze:

— Chyba w ostateczności, chyba gdyby...— uciał i głową wstrząsnawszy, zakończył: — Ale nie sposób, żeby oka na niego nie mieli. Obaczymy, co będzie, my zaś baczmy pilnie, żeby nas za spółuczestników złęgo nie wzięto. W tem sztuka.

Jakoż Sulima, bystry pogład na życie i wszelkie sprawy jego posiadający, słusznie pomiarkował, że w rzekomym zamiarze Władysława—pojednania Świdwy z Belinową, co innego się święciło. Miał młody król troskliwych opiekunów—w matce, biskupie Oleśnickim, radnych korony, ale miał też fałszywych przyjaciół, którzy przedwczesne rozkosze życia tajemnie mu wskazywali i pokosztowanie ich ułatwiali. W pierwszym rzędzie, na czele tych ostatnich stał Zudra, dworzanin, młodzian urodziwy, układny w ruchach, gestach i mowie, który ulubieńcem pańskim się stał naprzód tą dro-

gą, że nikt nad niego sokołów układać do łowów, nosić ich i wypuszczać nie potrafił. Chłopiec z dobrego rodu pochodził, ale od wczesnych lat z gruntu już przez rozwiazłego ojca był zepsuty. Tedy sokolniczym przybocznym króla zostawszy, przemyślnym będąc, jak rzadko kto, postanowił łaskę pańską wyzyskać ile jeno można, stać się panu nieodzownie potrzebnym. Środków ku temu chwycił się niecných, ale do takich należał, że nie go nie zrażało tam, gdzie korzyść własną widział. On to królowi co najpiękniejsze mieszczki podwoził, i tajemnie, z zamku, w przebraniach, na uciechy nocne z nim się wymykał; on też Belinowę mu wskazał i myśl podsunał, żeby się z nią bliżej zapoznać. Z początku wszyscy w zamku patrzyli na Zudrę łaskawie, ale rychle poznano się na nim, przekonano się, co to za ptak. Królowa-matka i biskup Oleśnicki niezwłocznie usunąć go chcieli, wysłać, gdzie za dziesiątą granicę tego złego ducha, żeby młodego pana nie kusił; ale stało się to już po uznaniu Władysława za pełnoletniego, a król, jako taki, podjudzony przez zagrożonego zausznika, oparł się życzeniom matki i biskupa z taką stanowczością, że musiano mu ustąpić i stosownej pory do pozbycia się Zudry wyczekać.

— Nie ostoi się on tu długo, sokolniczy ten—uspakajał biskup królowę-matkę — mam ja na niego oko, a i króla na chwilę z baczności nie zwodzę. Bądźcie dobrej myśli, miłościwa pani, nie tymczasem królowi nie grozi. Wszelako czuwać trzeba.

Zudra, dopiąwszy tego, że go król przy boku swoim wbrew woli matki i biskupa pozostawił, w okrutną dumę się wbił, coraz śmielszym się stawał i coraz górniej na ludzi pozierał. Mniemał, że stanowisko sobie



na wieczne czasy zapewnił, tedy chociaż widział, iż krzywo nań poglądano, nie sobie z tego nie robił.

Po dwóch dniach, wyruszył król z dworem do Nowego Korczyna, jak to był Zbigniewowi zapowiadał.

Ono miasto nad Nidą i Wisłą leżało, w nader wdzięcznej, malowniczej okolicy. Ongi wznosił się tam, po drugiej stronie Nidy, jeno dworzec przez któregoś z książąt Piastowiczów zbudowany, dla wypoczynku po łowach, które doskonale się tu udawały. Książęta z licznym orszakiem dojeżdżali tu często, a że położenie między dwiema rzekami spławnymi było dla handlu dogodne, więc to zachęciło kupców i rzemieślników do obierania sobie tu siedliska. Z biegiem lat tyle się osad ludzkich nagromadziło, że Bolesław Wstydlivy miasto z tej miejscowości uczynił i prawa niemieckiemu nadał, które to prawa, w późniejszych latach służyły za wzór przy zakładaniu nowych osad, a zwano je — Korczyńskimi.

Położenie Korczyna w Małopolsce było takie, jakie było w Wielkopolsce położenie Koła, to jest, że leżała ona miejscowość niemal pośrodku prowincyi, dzięki czemu tu się zjeżdżali panowie i rycerze dla obrad publicznych w ważnych wypadkach. Nieco później obrady przeniesiono na drugi brzeg rzeki, przedstawiający większą dogodność dla pomieszczenia zgromadzonych i tu też powstał Korczyn Nowy, a dawne miasto Starym Korczyнем odtąd zwać poczęto. Zamek pierwotnie wzniesiono z drzewa, gdy zaś ten zniszczony został przez pożar, odbudowano go z muru; Kaźmirz Wielki umocnił go nader przemyślnie, wytworzywszy jezioro sztuczne, zwane Czartoryą, przez przeprowadzenie z Wisły kanału. Odtąd zamek zasiąnął jako warownia, niemal niezdobyta.

Również Kaźmirz Wielki uporządkował Nowy

Korczyn i budowłami murowanemi go przyozdobił. Odtąd też zjeżdżano się tu coraz częściej. Więc czas dłuższy bawi w Nowym Korczynie Ziemowit mazowiecki, któren pragnąc, przez zaślubienie Jadwigi, dojść do korony, naradza się tu ze swymi stronnikami. Za rządów starego Jagiełły uchwalono tu prawa, pobory wojenne, dokonywano umów, przyjmowano poselstwa monarchów cudzoziemskich.

Obecnie zwołany zjazd miał rzekomo głównie na celu narady, co do pozyskania dla królewicza Kazimirza korony czeskiej, lecz wszyscy wiedzieli, że to był pozór, rzeczywiście zaś miano tu dokonać skutku z Melsztyńskim. Dlatego też wezwano dumnego możnowładcę w imieniu króla i to pod prawem nieodzowności. Zawrzał Melsztyński, takie wezwanie otrzymawszy, ale obiecał stawić się z pewnością.

— Rozkazu słuchać trza — mówił do wysłańca królewskiego szyderczo—sługą jestem mizernym wobec majestatu, robakiem nie nieznaającym. Włos mi ze łba pełźnie, krew za kraj przelewałem, życia nadstawiałem, czasby mi spocząć, wszelako... stawię się. Tak, stawię niemylnie i postaram się, iżby mnie pan miłościwy na długo w pamięci swojej zapisał... Ano i biskup krakowski też...

Przeczuł możnowładca, że król z nim w Nowym Korczynie ostatnią rozegra stawkę, nawet pożądał tego, więc się należycie sposobił. Zebrał nietylko własnych dworzan, przyjaciół, lecz obcych ludzi znaczny poczt konny i kmieci ze wszystkich swoich włości, z których to kmieci groźny poczt pieszy utworzył. Ciągnął, jak na wojnę, z taborami nawet odpowiedniemi, a w dro-

dze odgrażał się straszliwie, przepowiadając koniec rządów Jagiellońskim i biskupa krakowskiego.

— Sami tego chcieli, co się stanie—mówił, zalewając trunkiem i bez tego płonąca głowę — sami sobie winę przypiszą, jeśli nie po ich myśli rzeczy się ułożą... A czas! czas! Cuchną w naszej Polsce Jagły, niby ryba po tygodniu, biskup karki wszystkim zgina, a prawowici spadkobiercy tronu w ostatniem poteraaniu. Czas! Dłużej trwać tak nie może. Powiadają, że ze mną statek uczynią? Niechże uczynią. Statku nam trza, bo inaczej kraj przepadnie.

Nietajne były te odgróзки, doniesiono o nich królowi i biskupowi Oleśnickiemu, ale za puste słowa je mieli. Byli tacy, którzy biskupowi radzili, by się na zjeździe nie pokazywał, ile, że Melsztyński tyle krzywd mu, sobie uczynionych zarzucał—bo Oleśnicki Spytka za przyjmowanie Komunii Ś-tej pod obiema postaciami, oraz za szerzenie kacerskich wierzeń, nietylko surowo gromił, lecz klątwą kościelną obłożył i z grona panów radnych korony publicznie wyłączył, a przytem miał z nim dawniej jeszcze zatarg osobisty, o bratanek jego, Jadwigę Księżką, synowcowi swemu, Zbigniewowi, poślubioną—lecz biskup na wszelkie przedstawienia odpowiadał:

— Obowiązku dopełnić muszę. Zjazd beze mnie obyć się żadną miarą nie może. Pojadę.

Jakoż miał niebawem po królu z Krakowa wyruszyć, co też istotnie uczynił.

Melsztyński uwijał się śpiesznie, dniem i nocą nie wypoczywając. Nasamprzód przyciągnął do jednej z większych swoich włości, zwanej Piasek, nieopodal Nowego Korezyna, tam stanął obozem nocą, a przed świta-

niem, kiedy jeszcze wszyscy w łożach snem się porzypiali, najechał cichaczem Nowy Korczyn, w którym już wielu panów duchownych i świeckich gościło, gospody biskupa włocławskiego, Władysława i dziekana krakowskiego, Mikołaja Lasockiego, doszczętnie złupił, gorzej Tatarzyna; potem w klasztorach i innych gospodach szukał, z zawziętością szaleńca, kanclerza Jana z Koniecpola i marszałka Jana Głowacza z Oleśnicy, których uważał za największych, po biskupie krakowskim, swoich wrogów. Na szczęście, zdolali się oni do zamku schronić wcześniej, będąc przestrzeżeni o tym zamachu przez jednego z dworzan Melsztyńskiego, lecz wszystko ich dobro szalony możnowładca zagarnął, a rozjątrzony tem, że mu się zamach nie udał, wiele jeszcze domów innych spustoszył; dopiero po dokonaniu onej grabieży, iście rozbójniczej, miasto opuścił, do swego Piasku wrócił, tam się przyczaił, niby ryś na zdobycz dybiący. Niedługo jednak tam siedział; gdy mu, w dzień potem, doniesiono, że król nadciąga i że poczty silne z sobą prowadzi, zawołał:

— Nareszcie! No... raz już się skończy! raz się porachuję! Ha! ha! Jagła sama do garnka lezie... Zaczyna warza! Nie pożałuję też około niej zachodu...

Nagle zapytał:

— A biskup? Z nim razem zdąża?

Odpowiedziano, że Oleśnicki dniem później miał wyruszyć, co usłyszawszy, Melsztyński śmiać się począł i ręce zacierać, mówiąc:

— Tchórz go obleciał! Skórkę mu zajęczą i kądziel! Ha! ha! Po za oczy wyzwierza się, uraga, naszczekuje, ale w oczy spojrzeć mu strach... Jam przecie tylko Melsztyński, on zaś całym królestwem trzęsie...

— Trza coś przedsięwziąć — zauważył Dzierżko Rytwiański.—Tu, w Piasku, żadna obrona...

— Co przedsięwziąć?! przerwał mu Spytek. — Od czego się chronić mamy? Przyjechalim na zjazd, i to wezwani, tedy napastować nas nie będą... Gdy zaczepią, wtedy pokażem im pazury.

— Aleć zważ Spytku — ozwał się Zbąski — żeśmy trocha poswawolili, o czem król już wie i pono, tak mi się przynajmniej zda, zaraz nas w tany zaprosi...

— Na to właśnie czekam, wiem dobrze, i... gotów jestem. Gromadę taneczników mamy niezgorszą...

— Czyni, jako rozumiesz, ja jednak miarkuję, że trza w miejscowości dogodniejszej się rozłożyć. Z królem ciągnie siła niebylejaka; tu nas mogą obejść, jak nie.

Wszedł Melsztyński w siebie i po naradzie z zaufanymi, opuścił Piasek, natomiast przyległ u włości zwanej Grotniki, którą rzeka Nida oblewała. Miejscowość to była do obrony nader dogodna, bo mając ową rzekę z jednej strony, z drugiej zabezpieczywszy się wałem, przekopami, nadto ustawiwszy tam tabór, można było pod taką osłoną długie nawet oblężenie wytrzymać, równie jak w zamku warownym. To też Spytek natychmiast rowy kopać kazał i wszelkie przygotowania czynił do odpierania napaści.

Był tego dnia, jak w gorączce, zbroi na chwilę nie zdejmował, w każdy kąt sam wglądał, a zuchwale odgródki wciąż mu się z ust sypały.

— Gotuje się war dla Jagły! — powtarzał raz wraz. — Będzie go miał młokos, ile zechce, po same uszy... Byle jeno i biskup nie zawiódł...

Chociaż ludzi swoich przynaglał, obwarowanie postępowało nieraźnie. To tu, to owdzie coś się psuło,

rwało, a stąd złe wyciągano wróżby i ochota znikła. Melsztyński nie widział tego, czy też widzieć nie chciał; co chwila przystawał, wpatrywał się w stronę, z której król z pocztami swemi powinien się być ukazać, spiekle jego wargi szeptały nieskładnie jakieś wyrazy.

— Jeszczem go nigdy takim nie widział—zauważył Strasz, Zbąskiego na stronę odciągawszy.

— Niezwyczajny, to prawda — odparł Zbąski — ale bo też za mignienie oka kości wyrzucim.

— Byleby rzucenie wypadło trafne — wtrącił Dzierżko Rytwiański. — Jak uważacie: damy im radę?

— Czemubyśmy nie mieli dać?—ramionami wzruszył Zbąski. — Bój dla nas nie pierwszyczna, a ludu mamy sporo.

— Jeno jakoś ochoty w nim nie znać — rzekł Strasz.

— Najdzie się i ochota, jeno się tamci ukażą — pocieszał się Zbąski.

— Ida! Ida! rozległy się wołania.

Rozmawiający panowie spojrzeli przed siebie.

Z gąszczy leśnych, naprzeciw, wysuwać się zaczęły hufce królewskie, na dzielnych rumakach i w świętych zbrojach, lśniących w słońcu promiennie.

Ależ ich moc! — mruknął Strasz nachmurzony, co dosłyszawszy Melsztyński, odwrócił się nagle i zapytał:

— Coś rzekł?

— Siłę z sobą przywiódł, jakiej się nie spodziewałem. Co to ich wali...

Hufy królewskie w rzeczy samej były znaczne; wypływały z gęstwiny leśnej długo, zdawało się końca ich wzrostowi nie będzie.

Melsztyński patrzył na owe zastępy groźne a wspaniałe, od stóp do głowy opancerzone, od których blaski jasne były i szmer się rozchodził wesoly, jakby zwycięstwo zapowiadający. Patrzył oczu nie odrywając, a żyły mu na skroniach nabrzmiwały, dłońmi silnie głowicę miecza ściskał; w żenicach jego płomień migotały złowrogie, wargi spieczone drżały. Wreszcie szepnął do siebie:

— Taki to wymyślił zjazd... zdradziecki. Ano — szczęście, że nie na gołe dłonie trafiają.

Obwiniął króla o zamysły zdradzieckie, sam wszystkiego złego przyczyną będąc. Władysław przestrzeżony, iż on wojenne przygotowania czyni i aż cudzoziemskie zaciągi sprowadza, musiał się przecież też zabezpieczyć. Z Krakowa wyruszył ze znacznie mniejszym pocztem, lecz gdy mu w drodze doniesiono o napadzie Melsztyńskiego na Nowy Korczyn i o tem, że się obwarowywać w Grotnikach zamierza, pościagał do siebie panów dążących na zjazd, a także powołał siłę zbrojną z poblizkich okolic, tym sposobem hufce jego tak się wzmogły.

— Ćma ich tam — odezwał się Zbąski, zbliżając się do Melsztyńskiego i wskazując mu rycerstwo królewskie.—Rozprawa będzie twarda.

— Ździerzym. Mamy przecież tabory — mruknął Melsztyński.

— Aleśmy nie obwarowani jeszcze, roboty idą niesporo, do końca daleko...

— Nie kraczżemi złowróźnie, do szatana! — przerwał Spytek. — Miałżebyś stracić serce ty, stary mój družbo? Ćma ich tam powiadasz? Damy im radę. W wojnie nie liczba, lecz męstwo stanowi. Wiesz zre-

sztą, że rychle posiłki nam przybędą. Grot Łukasz po nie do Alberta pojechał, a Albert słowo dał, że skoro jeno rozpoczną, pomoc mi nadeśle...

— Byleby słowa dotrzymał i byleby ona pomoc nie za późno przybyła...—mruknął jeszcze Zbąski, poczem odszedł i ludzi naglić począł, aby się z obwarowaniem śpieszyli.

Nie spodziewał się Melsztyński, iżby król pierwszy wystąpił zaczepnie; mniemał, że wezwie go do siebie i będzie się starał krwi rozlewu uniknąć. W dumie i zarozumiałości nieokiełznany, nadto wielkie miał wyobrażenie o znaczeniu i wpływie swoim. Sądził też, że jeśli przyjdzie do krwawej rozprawy, znaczna część tych, którzy w tej chwili przy królu stoją, przejdą na jego stronę, lub przynajmniej od walki się usuną. W każdym razie nie spodziewał się bitwy natychmiastowej. Królewscy byli zdrożeni, zapewne będą chcieli wytchnąć nieco, a on tymczasem zdąży się obwarować dostatecznie.

Jakoż z początku zdawało się, że Władysław o wypoczynku zamyśla. Rycerstwo jego zsiadało z koni, nie nie zdradzało, żeby mieli niezwłocznie bój rozpoczynać. Dokoła króla zgromadzili się starsi i dostojniejsi, snąc naradzali się nad czemś i to też było widoczne, że zdania były rozdwojone. Narada trwała dość długo. Melsztyński przypatrywał się radzącym bacznie, powtarzając do swoich:

— A co? Nie śmia zębów pokazać... A co?

Wreszcie radzący z gromady się rozeszli, ruch się pomiędzy wojskiem królewskim uczynił, ozwały się ponure, chrapliwe dźwięki trąb i dwa silne poczty piesze, oderwawszy się od całego wojska, podażyły ku



nieobwarowanemu jeszcze obozowi, prowadzone przez Hinczę Działoszę z Rogowa i Dobiesława ze Szczekocina.

— Do włóczni! Do oszczepów! Do mieczów! Na koń! — poczęto wołać w obozie Melsztyńskiego, przy czem zamieszanie się uczyniło wielkie, jakie zazwyczaj sprawia niebezpieczeństwo piorunowo a niespodzianie godzące.

Hincza z Rogowa i Dobiesław Odrowąż, znalazłszy się na połowie drogi od obozu, zatrzymali się; wtedy od strony królewskiej pomknął jeździec, zbliżył się tuż do obozu i dźwiękiem rogu na rozmowę wzywał. Wystąpił sam Melsztyński, jak zwykle dumny, z podniesioną głową, a teraz jeszcze z roziskrzonym wzrokiem, drżący z gniewu, wprowadzony w wściekłość niespodzianym zwrotem, który wszystkie jego plany niweczył.

— Czego żadasz?—zapytał.—Co zaczy ta napaść zbójceka?

— Król i pan nasz miłościwy, z Bożej łaski Władysław, rozkazuje ci, panie na Melsztynie, iżbyś zamysłów niecnych poniechawszy, winy swoje uznał i z nich przed jego królewską miłością dziś jeszcze z należną pokorą się sprawił...

— Doprawdy?! Jużeście mnie za winnego uznali, a może i sąd na mnie wydany?—rozśmiał się urągliwie Melsztyński.

— Król i pan nasz miłościwy, z Bożej łaski Władysław — ciągnął nie zważając wysłaniec—przez usta moje tobie oznajmia, panie na Melsztynie, iż miara cierpliwości jego na bezprawia twoje przebraną została bez cofnienia. Pomijając inne winy, już samo zajęcie i splondrowanie miasta Nowego Korczyzna, przybycie

na zjazd z mocą zbrojną, a teraz umacnianie obozu rowami i przekopami, — już to samo dostatecznie cię potępia jako zdrajcę, godzącego na spokój ojczyzny, braci i samego króla. Masz przeto wiedzieć, panie na Melsztynie, iż jeżeli natychmiast broni nie złożysz i na wezwanie jego królewskiej miłości nie stawisz się, siły twoje zostaną w oka mignieniu zgniecione, ty zaś, jeżeli żywym w ręce pana miłościwego wpadniesz, na cięższą i sromotniejszą karę skazany będziesz.

— Skończyłeś, ty szczekaczu Jagły?! Może jeszcze masz co do powiedzenia.

Wysłaniec przemówił po raz ostatni:

— Król i pan nasz miłościwy, z Bożej łaski Władysław, wzywa ciebie, panie na Melsztynie i zaklina na zbawienie duszne, na imię Pana Jezusa Chrystusa i Najświętszej Bogarodnicy Panny Maryi, abyś rozkazu i wezwania jego usłuchał, nie dopuszczając krwi braterskiej rozlania, co niegodziwością i grzechem o pomstę do nieba wołającym jest. Mówi król i pan mój miłościwy tobie, panie na Melsztynie: „Dość już popełniłeś zbrodni, nie bierz na duszę swoją i tej najcięższej“. A teraz słucham ciebie, panie na Melsztynie, co mam królowi panu miłościwemu odnieść.

Melsztyński, który podczas przemówień wysłańca mienił się na twarzy, wezwany do odpowiedzi, porwał z rąk obok stojącego żołnierza włócznię i z całej siły cisnąwszy nią w wysłańca, krzyknął:

— Oto moja odpowiedź! Twój pan nazywa mnie zbrodniarzem i zdrajcą?! On to jest zdrajcą, przywłaszczycielem, którego ani ja, ani żaden z godnych ojców tej ziemi przenigdy za króla nie uzna...

Włócznia chybiła celu, wysłaniec odjechał z zu-

chwałą odpowiedzią, a jednocześnie i Dobiesław ze swymi wojownikami wpadli do obozu Melsztyńskiego z okrzykiem:

— Bij—zabij zdrajcę! Jezus! Marya! Józef! Bóg z nami!

Spytkowi stawili z razu opór rozpaczliwy, ale walczyli bez przekonania, więc ochota im się rychle wyczerpała; przytem żadnego ładu pomiędzy nimi nie było. Melsztyński, zawsze w rycerskich spotkaniach do podziwu bystrość umysłu zachowujący, tym razem jakby go rozum opuścił: zamiast porządek utrzymać, on go maćił i miotał się, rzucał z miejsca na miejsce. Łacno tedy królewscy tabór rozerwali i popłoch między ludźmi jego uczynili, tak, że ci już rozpraszać się poczęli. Melsztyński wtedy dopiero przytomność odzyskał. Zostawiając pieszy oddział na łasce losu, zdołał zebrać poczt konny i nim zamierzał królewską piechotę wygnieść. Byłby tego dokonał niewątpliwie, lecz w tej samej chwili konne poczty królewskie wpadły na niego, jak sokół wpada na nieprzygotowaną do walki czapkę.

Zawiazała się walka straszliwa. Tętniała ziemia pod ciężkimi uderzeniami kopyt rumaków, chrzęściały zbroje, dźwięczały miecze, rozlegał się trzask kruszonych kopij, jęki ranionych, żałosne rżenia rumaków. Krew się lała obficie, a że królewscy parli Spytkowych do rzeki, więc nurty Nidy wkrótce zabarwiły się purpurą...

— Bij-zabij!

— Śmierć zdrajcom! Śmierć odstępcom Pana Jezusa Chrystusa!—rozbrzmiewały co chwila okrzyki.

To znowu z niemi mieszały się inne, rozpaczliwe:

— Boże! zmiłuj się!

— Przebacz Panie Jezu Chryste!

A wybiegały one z ust tych, którzy się już z życiem żegnali.

Melsztyński walczył z lwia zaiste odwagą. Wszywał się w największą gęstwę, a gdzie się jeno ukazał, tam trup padał, jak kłosa pod kośbą żniwną. Wściekłość takiej mu siły dodawała, że można było pomyśleć, iż nie człowiekiem jest, lecz istotą nadludzką, lub że siłę nie z samego siebie czerpie. Już nie jedna strzała go zraniła, nie jeden oszczep, nie jeden miecz o jego zbroję się poszczerbił,—on, chociaż krwią zboczony, jak gdyby zranień nie czując, szalał w najlepsze, spustoszenie szerząc, podobny do uraganu, któren nie na swojej drodze nie zostawia.

Młody król rwał się z początku do walki, oczy mu płonęły, na licach rumieńce wykwitły, dłonie dygotały. I byłby puścił wodze ochocie rycerskiej, lecz mu Sulima, tuż będący, szepnął:

— Nie godzi się, miłościwy panie, aby dłoń pomazańca Bożego krwią bratnią się plamiła. Insi czynić to muszą, będąc wyzwani, zaczepieni, a nadto w obronie twojej i dla poskromienia szaleńca, przez którego kraj spokoju zaznać nie może...

— Słuszność twoja, Sulimo, nie godzi mi się krwi braciom upuszczać—rzekł król i z westchnieniem dodał:— A! mękaż to stać bezczynnie i nie módz onej rozkoszy rycerskiej zażyć...

Wtedy właśnie nadjechał biskup Oleśnicki i stanął przy królu.

— Widzisz, pasterzu wielebny, co się dzieje? — zwrócił się do niego Władysław.

— Spodziewane to, przewidziane, miłościwy panie— odparł biskup, okiem znawcy pozierając na plac boju.—

Melsztyński spełnia, co zapowiedział, czem się odgrażał, ale też i z nim się na tem miejscu dokona, na co zasłużył.

— Żal! żal tak dzielnego rycerza! — odezwał się półgłosem Władysław. — Jaka waleczność! Jaka siła! Jaka pewność siebie! Z takimi świat możnaby zdobyć...

-- Tak, gdyby serca mieli nie splugawione od szczepieństwem i inszemi zdrady, miłościwy królu — odparł Oleśnicki.

W tej chwili spostrzegł biskupa Melsztyński, a spostrzegłszy, wyrwał się z pomiędzy gromady walczących i by strzała poskoczył, wołając:

— Nie ujdiesz mi teraz! Nie ujdiesz! Czas twój przyszedł!

Stojący przy królu Sulima, ze Świdwą i Zbigniewem z Oporowa, mniemając, że szalencie na życie królewskie godzi, co prędzej się naprzeciw wysunęli z liczną garścią wyborowego, jak sami, rycerstwa. Za Spytkiem podążała gromada jego zaciągów cudzoziemskich— więc gdy się te dwa poczty zwały, bój zawrzał z zawziętością okrutną, a Melsztyński więcej jeszcze niż przedtem dokazywał. Lecz były to jego ostatnie wysiłki. Królewscy i tu mieli przewagę, łącznie złamali Spytkowych, a jego samego otoczyli, usiłując żywcem pochwycić. Nie dawał się, bronił zapamiętale, nie jednego jeszcze ze znaczniejszych rycerzy na inszy świat wyprawił, wielu szpetnie okaleczył. Dostało się też Świdwie, który najuparciej na niego nacierał: już miał konia Spytkowego za wodze schwytać, a jego samego potężnem uderzeniem w głowę ogłuszyć i przytomności pozbawić, lecz sam cios otrzymał niebezpieczny tak, że zwisał ku ziemi, jak się zdawało, bez

życia, koń zaś wystraszony powłókł go galopem w stronę Nidy i tam zniknął.

Ale również w tej chwili Melsztyński, przeszyty zewsząd strzałami, skłuty oszczepami i z konia zwalony, w ręce królewskich się dostał.

Natychmiast o tem wiadomość się rozniosła, rycerstwo odetchnęło z ulgą, bo przecież teraz przelew krwi braterskiej ustać był powinien. Jakoż szyki buntownicze były złamane, ich przywódcy, jeżeli nie padli w walce, to ratowali się ucieczką; mimo to bój trwał, bo trudno było rozgrzanych ochotą i zwycięskich wojowników króla od krwawego dzieła zniszczenia wstrzymać. Władysław zaciągi cudzoziemskie znieść ze szczętem pozwolił, lecz rozkazał, aby swoich, osobliwie zaś gmin, oszczędzano, boć ten lud biedny w niczem winien nie był — nie śmiał się oprzeć nawiedzonemu szaleństwu możnowładcy, walczył nieświadomy, co Melsztyński czynić zamierza.

Stało się wedle woli króla: z zaciągów cudzoziemskich żywa noga nie uszła, lecz i swoich też niewielu ocalało. Spotkanie pod Grotnikami niezwykle krwawo zapisało się w dziejach, bo królewscy również ciężkie ponieśli straty, czem oburzone rycerstwo, zaczęło domagać się, by niezwłocznie, tu, na placu boju, sąd nad ujętym Melsztyńskim ustanowić. Żył on jeszcze, ale zaledwie dychający, wzdragał się tedy król, ile, że w młodzieńczem jego sercu litość się ozwała.

— Rychle on na sąd Boży stanie—mówił do rozszalonego rycerstwa — mniemam, że należy w spokoju go ostawić. Źle postępował, zdrajcą był i odszczepieńcem, lecz już wyrok ostateczny o nim Bogu ostawmy.

Słuchać o tem nie cheiano.

— Miłościwy panie!—wołał Hincza z Rogowa — przykład wymaga, iżby go i na tym świecie sprawiedliwość dotknęła. Nie może inaczej być. Gdybyc on jeno tę tutaj, pod Grotnikami, krwawą kąpiel sprawił, już przez to samo bez sądu twego i skazania odejść nie powinien. A przecież krom tej, win na nim cięży co niemiara.

— Sądzić zdrajcę!

— Skazać go, póki jeszcze dycha!

— Niech przykład z niego biorą wszysey, którzy niespokojnego ducha i myśli zradne w sobie kryją!

— Nieprzyjaciel jest Pana Jezusa Chrystusa, Jego nauki i przykazań!

— Tyś, miłościwy królu, rozdawcą dla nas żywiących sprawiedliwości,uczyni nam ją! — wołali rycerze jeden przez drugiego.

Nie mógł się opierać Władysław, bo głos był jednomyślny, stanowczy, przytem rozdrażnienie zbyt wielkie, zatem polecił biskupowi Oleśnickiemu, by sąd, wedle żądania ogólnego, nad umierającym ustanowił. \*)

Wydał Oleśnicki stosowne zarządzenia i na tem samem polu, krwią braterską przesiąkniętem, jak wszyscy się domagali, odprawiono ów sąd straszny. Zasiadł król, na wzniesieniu ze zbroi urządzonem i płaszczami zaslanem, przy nim, z obu stron, wedle starszeństwa, dostojnicy duchowni i świeccy, a za nimi, półkolem, stanęło rycerstwo. Podźwignięto z ziemi Melsztyńskiego, przyniesiono go przed ten majestat; ludzi kilkoro potrzymywać go musiało, bo z utraty krwi całkiem z sił opadł.

---

\*) Autentyczne—według kronik.

Nie można było bez uczucia zgrozy patrzeć na pokonanego możnowładcę; posieczony i skłuty różną bronią, zdrowego miejsca nie miał na sobie; twarz jego z trudnością dawała się rozpoznać, tak była zboczona, a przytem miała wyraz nieokreślenie dziki, dreszczem wstrząsający. Włos na głowie i brodzie rozwichrzony, na nim sople krwi zastygłej, oczy z pod czoła złowrogimi blaski strzelające, nozdrza rozdętą, wargi kłaniem rozranione, śliną wzburzoną ociekające, wykrzywione szyderską, bezsilną teraz wściekłością — wszystko to tworzyło widok okropny.

Od spojrzenia można było zgadnąć, że w tym człowieku ducha resztki się kołają i niedługo opuszczają go na zawsze. Oddychał ciężko, a raczej jakieś rżenie, jakiś parskot z gardła się jego wydobywał, mimo to drobina przytomności w nim tłała, zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Gdy go postawiono przed majestatem sądu, wzrokiem dokoła potoczył, potem zatrzymując go to na młodym królu, to na biskupie Oleśnickim, z trudnością przez usta spieczone wychrapał:

— Niedość wam? Niedość? Skończcie pędzej... Śmierdzi ten przywłaszczyciel, Jagła ten i biskup. Skończcie pędzej...

Biskup Oleśnicki zwrócił się do zgromadzenia i głosem dobitnym powiedział:

— Sąd królewski na tem miejscu odbyć się ma, nad niepoprawnym człowiekiem, odszczepieńcem, zdrajcą, zbrodniarzem, burzycielem kraju, a niegdyś, co się z żalem wielkim wspomina, mężem pełnym zasług, nieustraszonym rycerzem, potomkiem najszlachetniejszego



z rodów, Spytkiem na Melsztynie. Kasztelanie, jako należy w takich razach, wnieście żalobę.

Ostatnie słowa były zwrócone do Warsza z Ostrowa, kasztelana lubelskiego, który niezwłocznie trzykrotnem wołaniem pozwawszy dogorywającego możnowładcę, oskarżać go począł głosem donośnym, pewnym, nader przytem składnie, gdyż rzadki dar wymowy posiadał. Wyłuszczył nasamprzód, jako Melsztyński ród swój znamienity i własne zasługi sponiewierał, sromotą okrył; jako Kościół święty zdradził, odszczepieńcem się stawszy i szerząc takąż w kraju zarazę; jako spiskował i wichrzył przeciwko najwyższym dostojnikom duchownym i świeckim; jako przeciw królowi z obcymi się wiązał... Wreszcie zwrócił się do obecnych z pytaniem, zali można co znaleźć na jego obronę, jeśli zaś nie, na co człowiek taki zasługuje.

Nikt przecież z obroną ni wstawieniem nie wystąpił, wszyscy, jak jeden, zakrzyknęli (nawet zięć Melsztyńskiego własny—Dobrogost z Szamotuł, kasztelan poznański), że winien wszystkim zarzucanym zbrodniom i śmiercią ma być karany: ścięciem miecza tam, gdzie tyle przez niego krwi bratniej się wylało.

Zażądano jeszcze, by na większe posromienie, zwłoki straconego, z szat zupełnie zwleczone, przez trzy dni na miejscu kaźni leżały.

I tak się też stało.

Melsztyński może już wyroku nie zrozumiał; może mu on szum przedśmiertny, on zgrzyt i piski, zwiastujące otchłań piekielną, słuch zasłoniły: lecz przytomność się w nim ocknęła, gdy przed zmętiałym jego wzrokiem miecz błysnął w zabójczym rozmachu. Zadrżał

wtedy na całym ciele, wykrzywił potwornie wargi, zacharczał nie po ludzku, że jeno odgadnąć było można:

— Biskup! To biskup!—i umilkł na zawsze.

Miecz strącił mu głowę w tej samej chwili, kiedy technienie ostatnie oddawał.

Tak skończył pan na Melsztynie, mąż, w którym niegdyś naród widział chlubę swoją, a którego pycha na bezdroża sprowadziła. Chciał zaćmić słońce Jagiellonów, rozniecone dłonią przeznaczeń Bożych, chciał je strącić z wyżyn, a sam padł tej zuchwałości ofiarą.

Sprzymierzeńcy jego równie smutnie skończyli.

Zbąskiego śmierć nagle spotkała. Łukasz Grot gardło dał, bo chociaż go z kraju wywołano, on jednak tajemnie w nim przebywał (z niezem od Alberta wróciwszy), więc gdy go zdybano w Krakowie, pod miecz katowski poszedł. A tak się zdarzyło, że go, acz w przebraniu, poznał Hocz, który wolność odzyskał, gdy wojsko królewskie Konary zajęło.

Po ścięciu Melsztyńskiego, król zamki jego, Rabstyn i Melsztyn, niezwłocznie swemu rycerstwu zająć kazał, żeby ich obcy nieprzyjaciele kraju, z którymi Spytek trzymał, nie zagarnęli. Gdy się jednak przed nim stawiła wdowa po Spytku, Beatryks i z lamentem wielkim błagała o pozwolenie zabrania zwłok męża, by je we wsi Piasek, w tamtejszym kościele pochować, nie tylko na to dał pozwolenie, lecz bez proszenia Melsztyn jej zwrócić.

---

## E P I L O G.

Porażka Melsztyńskiego pod Grotnikami poraziła również odszczepieństwo husyckie. Królowa Zofia i rada

koronna swobodniej teraz pracować mogli nad osiągnięciem tronów—czeskiego dla Kazimierza i węgierskiego dla Władysława. Ale śmierć Alberta znów tę pracę powikłała. Panowanie Habsburgów na Węgrzech zostało zachwiane, bo Albert potomka męskiego nie miał, a chociaż wdowa po nim, Elżbieta, była przy nadziei, panowie węgierscy uznali za rzecz niebezpieczną zwłóczyć z wyborem króla lub rządu opiekunów zaprowadzać. Niemal wszyscy na to się godzili, ile, że Turczyn groził wojną, iżby obrać króla bez odwłoki. Jakoż wybrano Władysława, czemu się i Elżbieta nie opierała, gdy zawarowano, że Władysław ma ją za małżonkę pojąć, a jeżeli powije syna, ten, jako prawy potomek Alberta, otrzyma Niemcy i Czechy. Rada koronna w Krakowie zgodziła się na to, wszystko zdawało się być załatwionem, gdy nowy poseł z Węgier doniósł, iż Elżbieta syna istotnie powiła.

To postać rzeczy zmieniło. Władysław nie chciał przyjmować korony, ale nalegania posłów węgierskich przemogły, większość też rady koronnej była za przyjęciem korony, wszakże z takimi warunkami: że Władysław będzie bronił Węgry przeciw Turkom; że się ożeni z Elżbietą, wyda za mąż córki Alberta, a nowonarodzonemu synowi Elżbiety, gdy ten dojdzie do lat, pomoże do uzyskania korony czeskiej; że synowie jego z Elżbiety odziedziczą tron węgierski, a gdyby nie miał z nią potomstwa, po śmierci jego, syn Alberta odziedziczy tron węgierski.

Warunki obustronnie przyjęto. Posłowie węgierscy złożyli (a był przy tem poseł z Turczeh) w Krakowie hołd i przysięgę na wierność Władysławowi, poczem część ich pośpieszyła do Elżbiety, aby donieść,

co ułożono, oraz z oznajmieniem, że rychle przybędą do niej posłowie polscy. Ale Elżbieta posłów uwięziła, narodowi zaś węgierskiemu oświadczyła przez uniwersały, że nie zgadza się na wybór Władysława i wszelkiemi sposoby praw nowonarodzonego syna swego bronić będzie. Wielu panów polskich, dowiedziawszy się o tem, radziło Władysławowi (i zbawienna była to rada!), iżby starań o koronę węgierską poniechał. Władysław jednak, przez matkę podniecany, rad nie usłuchał i w drogę do Węgier wyruszył.

Świętny towarzyszył mu orszak. Jechali z nim: biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki, dziekan krakowski — Mikołaj Lasocki, Jan z Tęczyna wojewoda krakowski, Przedbór z Koniecpola kasztelan rozperski, Piotr ze Szczekocin podkanclerzy, podskarbi Jędrzej, panowie: Wincenty z Szamotuł, Mikołaj z Szarleja, Rafał z Obichowa, Hincza z Rogowa, Paweł z Sienna, Mikołaj z Brzezia, Jędrzej z Tęczyna, Łukasz z Górki, Jan Major, Jan Gratus z Tarnowa, Mikołaj Chrzastkowski, Dzierżek Włostowski, Dobrogost z Ostroroga, Jan Kraska, Mikołaj Skóra, Piotr Ryterski, Jan Beizad z Mokrska, Piotr Polak, Mikołaj Poprawa, Wężyk, Mikołaj z Zakrzewa, Sulima z Włodkowicz, Świdwa Wąż z Rokitnicy, Zbigniew z Oporowa i bardzo wielu jeszcze niemniej znacznych mężów. Każdy z nich prowadził swoje poczty, czeladź suto przystrojona, wiózł sprzęty najkosztowniejsze, surmy, naczynia srebrne. I ciągnął on pochód, niejako tryumfalny, przez krainę węgierską, ku jej stolicy zmierzając, a wzroki ludzkie ślepy nieomal od tych blasków, od gry barw, co od szat i zbroie przewspaniałych biła.

Niektórym panom rycerskim towarzyszyły mał-

żonki, bądź z przywiązania do nich, bądź ciekawością zwiedzenia obcej krainy wiedzione. Tak przy Zbigniewie z Oporowa jechała Halszka z Ossolińskich, przy Świdwie Wężu — Barbara z Bogoryów, obydwie trzy niedziel temu zaledwie poślubione.

Bo Świdwa, acz niezmiernie ciężko pod Grotnikami raniony, zdołał się wylizać. Koń poniósł go, obezwładnionego i zbawionego przytomności, do Tokarzewa gdzie piękna Barbarka, od pewnego czasu, swawolę obrzydziwszy, żyła przykładnie, jak insze niewiasty jej stanu. W Tokarzewie tedy zatrzymano rumaka, wdowa zaś sama się zajęła niebezpiecznie porażonym rycerzem i tak go pilnie doglądała, nocy nie dosypiając, na palcach około niego chodząc, leki ożywiające warząc, że do zdrowia i sił przyszedł. Co do Świdwy — ten, gdy przytomność odzyskawszy dowiedział się, gdzie jest, w pierwszej chwili chciał natychmiast odjeżdżać. Barbara powiedziała mu wówczas:

— Jedźcie z Bogiem, jeno... proszę, źle o mnie nie trzymajcie. Na to nie zasłużyłam. Do Tokarzewa was nie ściągałam, może to przeznaczenie was tu sprowadziło. Spełniłam obowiązek chrześcijański, a nie utaję... miły. Bo skoro się widzim może raz ostatni, to przyznam się, że od pierwszego poznania szczerze was upodobała. Raz pierwszy w życiu serce żwawiej mi uderzyło, uczułam, że je mam. Dlatego mocno mnie zabolęła wasza wzgarda; dlatego odwróciłam się od wesołego życia, które, wierzajcie, Boga na świadectwo prawdy wzywam — swawolne było, ale nie bezczesne. Ludzie ze mnie zrobili ladacznice, bo czego ludzie nie wymyślą, a jam jeno w zabawie zadość uczynienia za doznane przy nieboszczyku Petru cierpienia szukała,

także na złość robiłam krewniakom, którzy nade mną, dla korzyści własnej, przewodzić chcieli. Zaiste, powtarzam, nie splamiłam godności— czystą na sumieniu jestem co do czci własnej i za taką mnie, Świdwo, uważajcie, bardzo was o to upraszam.

Zwierzenie taką szczerością tchnęło, że Świdwa w nie uwierzył i wkońcu, zasłonę złotą z oka zdjawszy—piękną wdowę za małżonkę pojął.

Jechały tedy dwa stadła szczęśliwe za królem w krainę węgierską, a Władysław żałował w duszy, iż Świdwa z Barbarą bez jego pośrednictwa się pojeźdzali.

Nie bez przeszkód ze strony Elżbiety dostał się Władysław do Budy, stamtąd do Białogrodu stołecznego i tam wreszcie, w dzień św. Aleksego, lata Pańskiego 1440, na króla go namaszczone. Odbył się zaś obrzęd z przepychem nadzwyczajnym. \*) Z rana udał się Władysław do kościoła, który już tak mnogi lud nappełnił, że orszak królewski ledwie się zdołał przecisnąć przez on tłum wielki, który jednak dla dogodności usunięto, pozostawiając jeno panów, prałatów, starszyznę rycerską, polską i węgierską, oraz obywateli Budy, gdyż ci z dawna mieli przywilej uczestniczenia zbrojno przy koronacyi monarchów węgierskich i piastowania podczas niej chorągwi węgierskiej. Władysław przyjął naprzód błogosławieństwo i namaszczenie, potem przywdziewał lub brał kolejno: sandały, humerał, albę, pas, manipularz, dwie dalmatyki, dwa naramienniki, pektorał, kape, krzyż poselski, berło, proporzec, jabłko okrągłe, przy

---

\*) Według Długosza.

stosownych przemówieniach i znakach. Te wszystkie ozdoby królewskie starością były wytarte, bo służyły jeszcze do koronacyi pierwszego króla Węgier, św. Stefana. W końcu włożono Władysławowi koronę złotą, zdjętą z głowy św. Stefana, bo tę, której zazwyczaj do obrzędu używano, Elżbieta podstępny sposobem zabrała i uwiozła.

Po wykonaniu przez króla przysięgi i przyjęciu Sakramentu Św. ołtarza, odprawił Mszę uroczystą Dionizy, kardynał i arcybiskup Granu, w asystencyi biskupa krakowskiego i licznych biskupów węgierskich, następnie król udał się do kościoła św. Piotra i Pawła; tam w majestacie osadził dwie sprawy o większe pokrzywdzenie; potem na koniu objechał dokoła miasto, wreszcie wszedł na wieżę kościoła św. Marcina, machał tam mieczem na cztery strony świata, dając przez to do poznania, że powinnością jego jest bronić krainę węgierską z każdej strony od niesprawiedliwej napaści. Uczta w zamku królewskim, zabawy, pląsy, igrzyska zakończyły dzień pamiętny, wszyscy zaś wróżyli Władysławowi długie i szczęśliwe panowanie.

Aliści nadzieje ludzkie omylne są — rządy Władysława rozpoczęły się wprawdzie świetnie, lecz trwały bardzo krótko, zakończyła zaś je bolesna porażka na polach Warneńskich, jakby dla przekonania, że nie trwałego na świecie niema. I tak jest zaiste: Wszystko przemija, jeno Prawda Boża niezmienną pozostaje...

K O N I E C.

BIBLIOTEKA  
UMCS  
RUBLIN

BIBLIOTEKA

URZĘDNIK. TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE





## Do nabycia we wszystkich księgarniach

---

Jaroszyński T. Dla nich, powieść współ.

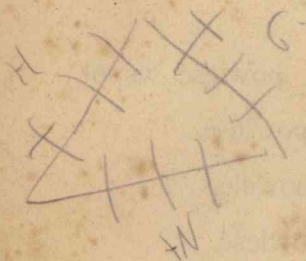
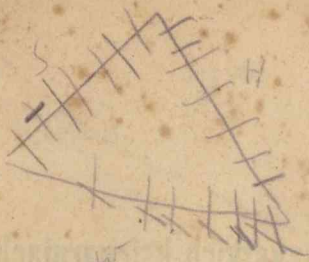
Rodziwicz M. Macierz, powieść.

„ Światła, nowele.

„ Wrzos, powieść.

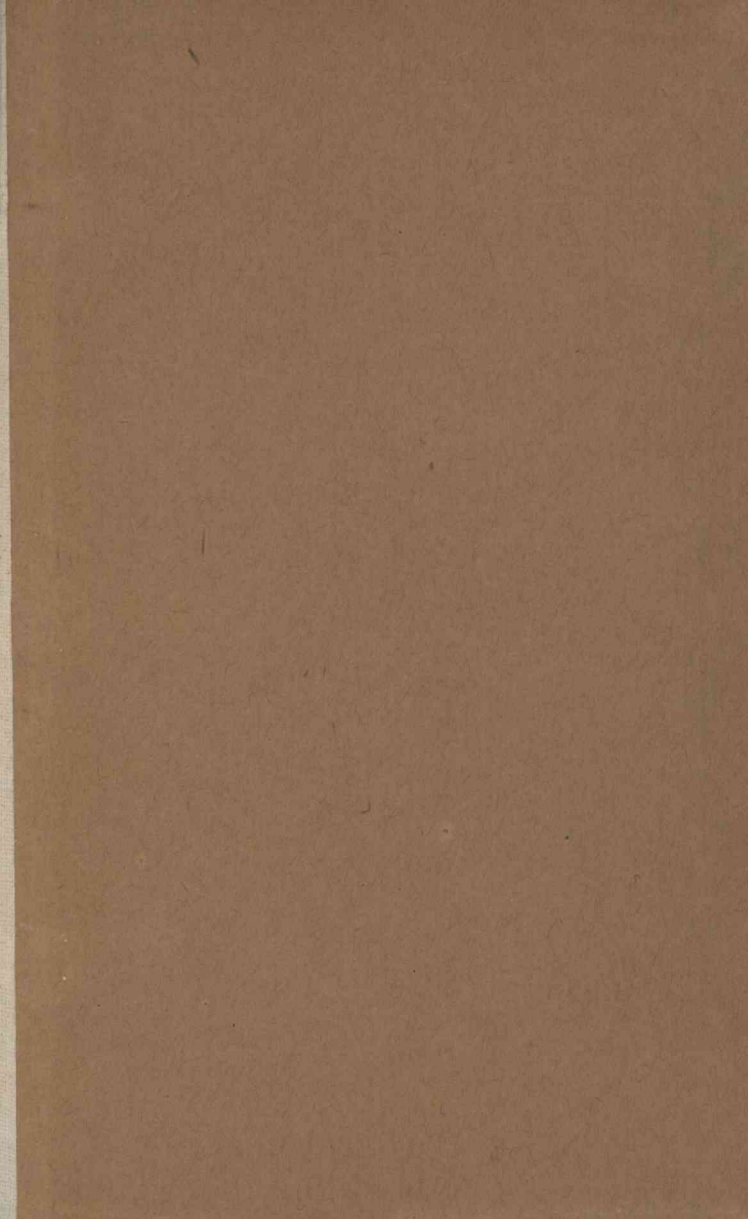
Stasiak L. Skarbiec króla Kazimierza, pow.











Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A20816

2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie



1000171957